LUCILLE

Zdzisław Smektała

Lucille

Blues o miłości narkotycznej
(do wielokrotnego wertowania)

Wrocław 2005

Wszystko, co zdarzyło się na kartach tej bluesowej drogi przez mękę, jest wyłącznie autorską fantasmagorią. Podobieństwo do występujących tu bohaterów, aktorów tej książki, żyjących czy umarłych, do miejsc i faktów, to tylko przypadek. I tyle.

Ilustracja na okładce:
Rafał Olbiński

Zdjęcie autora na okładce:
Jan Bortkiewicz

Redakcja:
Magdalena Błędowska

Projekt typograficzny:
Jerzy Nowak

Skład komputerowy:
Aleksandra Ziemlańska

© Copyright by Zdzisław Smektała
and Oficyna Wydawnicza ATUT – Wrocławskie Wydawnictwo Oświatowe
Wrocław 2005

ISBN 83-7432-02..

Oficyna Wydawnicza ATUT – Wrocławskie Wydawnictwo Oświatowe
50-010 Wrocław, Podwale 62, tel./faks (71) 341 32 04, tel. (71) 342 20 56
http://www.atut.ig.pl, e-mail: oficyna@atut.ig.pl

Powieściowe metrum jest niskim pokłonem złożonym
śpiewakowi bluesów – Robertowi Johnsonowi

Pięćdziesiąt lat to jak ostatnia godzina wieczoru, kiedy słońce już zaszło i człowiek organicznie skłania się ku refleksji. W moim przypadku jednak zmierzch prowadzi do grzechu. I może właśnie dlatego przy swoich pięćdziesięciu latach zamyślam nad tym, co wiąże się dla mnie z jedzeniem i erotyzmem, ze słabościami ciała, które najsilniej mnie kuszą. Chociaż *hélas*, nie są to te, którym najbardziej się oddawałam.

Isabel Allende

A rolling stone gathers no moss
Toczący się kamień mchem nie porasta

Muddy Waters

Blues to nie jest ozdrowieńczy sen sytego mężczyzny. To gorzka potrawa z wykpioną datą ważności. Ale ma w sobie więcej smaków niż jakikolwiek inny gatunek muzyczny. Blues to korzenie muzyki. Reszta to bluesa mniej lub bardziej pielęgnowane owoce. Blues nigdy nie zakrztusi się nicością. Zawsze powstanie z kolan. Mimo że w otwartych ranach ma wyłożoną grubą, piekącą sól. Blues to właśnie ja.

Blues Brother

Pierwsze, surowe jeszcze notatki prowadzę w kratkowanym brulionie o twardych, nabłyszczanych okładkach. Dopiero później przepisuję je, w wersji bardziej uporządkowanej, do pamięci laptopa firmy HP.

Notuję zatem pierwociny w zeszycie wyprodukowanym w Strzegomiu. Gdzie na komunalnym cmentarzu – obmywanym wezbraną wiosną przez wody brudnej, dzikiej rzeki o nazwie Miedzianka – leży moja babka. Antonina Kaczmarek z domu Andrzejewska.

Kochała życie. Umarła na stojąco. Stała, bowiem nigdy nie słyszała od bogobojnych kum, aby Bóg odbierał życie ludziom dogorywającym w pionie. Babka, Wielkopolanka, nauczyła mnie szacunku do ludzi, spraw i rzeczy.

Na tytułowej stronie zeszytu widnieje napis: *Nostalgic Places – Limited Edition*.

To niezwykła zbieżność. Moja niepohamowana nostalgia podbudowana strachem przed nieuchronną Smugą Cienia. Oraz deklarowana gotowość czystego zeszytu do przyjęcia moich myśli.

Zeszyt – miejsce nostalgiczne.

Ma zielony grzbiet i fotografię przedstawiającą stary dom. Postawiony przed wielu laty na dziko zarośniętej łące. Dom niemal całkowicie zniszczony.

Tak jak zniszczone jest moje życie.

Los bluesmana z pierwszymi oznakami starości.

Dom poniżony siłą wandali ma szerokie okiennice z resztkami wybitych szyb. Brak ręki prawowitego gospodarza rozzuchwalił przechodzących nieopodal barbarzyńców. Z ram złazi w chipsy skręcona biała farba.

Ospowate liszaje szpecą bezpańskie ściany.

Ale mury budynku są wciąż solidne. Wzniesione do wysokości pierwszego piętra z przydrożnych polodowcowych otoczaków.

Ten przeciwnościami losu zużyty dom – to jestem ja.

Ja dzisiaj.

Kiedy za sprawą skłębionych myśli wychodzą na świat słowa, zdania, większe fragmenty zapisków – dzieje się historia człowieka. Wszystko, co zamierzam z siebie wyrzucić, ma oczywistą przyczynę. Chcę zniwelować strach przed nadchodzącymi zmarszczkami.

Opowiedzieć o miłości, namiętności, oddaniu.

A przede wszystkim o zazdrości.

W ten sposób bronię się także przed samotnością. Przed dojmującą starością bez kobiecej krwi, potu i łez. Oraz coraz rzadszej spermy własnej produkcji wlewanej w studzienny pysk Oślinionej Owcy.

Ruszam więc w podróż wyrażaną na papierze wieloma tysiącami liter. Zabieram ze sobą w tę peregrynację około setki wypróbowanych przyjaciół. Tych, którzy towarzyszyli mi w meandrycznej, nieuchronnej drodze na krzyż. Są wśród nich nieustępliwi wizjonerzy.

Wielkie postaci globalnej cywilizacji:

Robert Johnson, Bessie Smith, John Belushi, Tadeusz Nalepa, Etta James, Jimi Hendrix, Janis Joplin. John Lee Hooker, Charlie Parker.

I jeszcze wielu innych. Niekoniecznie muzyków.

Howgh!

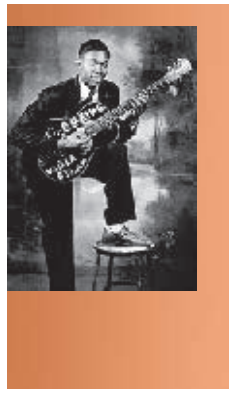

Lucille

Dźwięk, którego teraz słuchacie
Wydobywa się z mojej gitary – Lucille
Szaleję za Lucille
To ona wybawiła mnie od pracy na plantacji
Można nawet powiedzieć że przyniosła mi sławę

Nie sądzę bym mógł wyrazić to wszystko
Co chciałbym opowiedzieć o Lucille
Czasem kiedy jestem smutny
Wydaje mi się że Lucille chce mi pomóc
Głośno wzywa moje imię

Dawniej śpiewałem spirituals
Myślałem że to chcę w życiu robić
Ale pewnego dnia – służyłem wówczas w armii
Chwyciłem za gryf Lucille
Zacząłem grać bluesa

Cóż – kiedy przebijam się przez życie
Pewnie nie wiecie, co mam na myśli
Mówiąc – kiedy przebijam się przez życie
Mam na myśli ten czas gdy sprawy idą źle
Wówczas zawsze mogę polegać na Lucille

A więc teraz też pozwolę Lucille przemówić

Solo na harmonijce marki Hohner

Wątpię byście czuli bluesa tak jak ja
Ale kiedy myślę o rzeczach przez które brnę
Jak wówczas gdy mam niewierną dziewczynę
I wracam do domu nocą – to może jestem samotny
Cóż nawet nie może – naprawdę jestem samotny

Ale wówczas biorę do ręki Lucille
A ona wydaje wspaniałe dźwięki
Które brzmią w moich uszach jak balsam
Zatykają gardło nic nie mogę powiedzieć
Myślę nawet że to Lucille ze mną płacze...

Solo gitarowe na strunach Lucille

Wiecie że mógłbym śpiewać piosenki pop
Jak Frank Sinatra czy Sammy Davis Junior
Ale teraz nie jest to możliwe
Lucille nie chce grać nic innego jak blues.
Cieszę się z tego że mam jedyną – Lucille

Graj Lucille...

Solo na harmonijce marki Hohner

Powiem to tak...
Lubię jak śpiewa Sammy lubię jak śpiewa Frank
Więc w tonie Lucille jest Frank, Sammy
Trochę Raya Charlesa
Jest w w niej ton wszystkich ludzi z duszą

Wielu z was chce pewnie wiedzieć
Dlaczego moją gitarę nazwałem – Lucille
Lucille uratowała mi życie
Dwa albo trzy razy
Bez żartów naprawdę uratowała

Pamiętam miałem wypadek samochodowy
I kiedy spadła na mnie ostra blacha karoserii
Lucille zatrzymała uderzenie
To jeden z tych razy
Kiedy uratowała mi życie

Solo gitarowe na strunach Lucille

Imię Lucille wzięło się stąd
że grałem kiedyś w klubie Twist w Arkansas
Wiem wiem
Nigdy nie słyszeliście o tym miejscu
Tam pewnej nocy dwóch facetów poszło w tan

Ten który był zły na swoją kobietę
Brutalnie ją popchnął
Runęła na ogrzewający knajpę kanister
Benzyna rozlała się po podłodze
Ostro zaczęła się fajczyć cała buda

Wszyscy uciekali w popłochu
I ja niemal płonąłem
Ale wróciłem po bitą kobietę
Ta o którą poszło tamtej nocy
Miała na imię Lucille

Och wciąż chcecie wiedzieć
Dlaczego nazwałem ją Lucille
Od tamtej pory przez wszystkie dni
To jest dla mnie Lucille
Taka jest moja Lucille!!!

Solo gitarowe na strunach Lucille

B.B. King

001. Diana Krall

Kurwa!

W moime czynszowym poniemieckim mieszkaniu znowu nie ma kobiecych majtek tuż przed praniem. Rozwieszonych wyzywająco na oparciach krzeseł. Wciśniętych w zapomniane zakamarki skórzanej kanapy. Albo w obrzeża materaca leżącego na ramie holenderskiego metalowego łóżka koloru srebra. Nie ma koronkowych samonośnych pończoch porozrzucanych w podniecającym nieładzie we wszelkich niemożliwych miejscach.

Od białych, pomalowanych emulsją ścian nie odbija się elektroniczny ton jazzowych standardów pianisty Josefa Zavinula. Rzadko krążą w powietrzu spowolnione tony bluesów Taj Mahal. Nie krążą wcale. Przede wszystkim bezpowrotnie zniknął nostalgiczny ton Diany Krall, urodziwej pieśniarki jazzowej, którą Lucille – moja utracona kobieta – polubiła frenetycznie. Stała się uległą wielbicielką Kanadyjki obdarzonej rzadko spotykanym głosem.

Nauczyłem Lucille słuchać śpiewu tej płowowłosej kobiety z uwagą konesera. Wychowana na przypadkowej muzyce radiowej – na cygańskich kawałkach Gipsy Kings – polubiła Dianę bez zastrzeżeń. Tak naprawdę rozrzewniała się do cna przy jednym standardzie. W sposób niemal mistyczny, religijny słuchała *Let's Fall in Love*. Piosenki z koncertowej pły-

ty nagranej na żywo – *Live in Paris*. Zamieniała się wówczas w zastygły pomnik. W skamieniałą lawę.

Kiedy ze stereofonicznej wieży Yamaha wyfruwały leniwie wiedzione kawałki Krall, przybiegała pod moje biurko. Nawet gdy jeszcze przed chwilą gapiła się w telewizor na lukrowane seriale typu *Seks w wielkim mieście*. Nie miałem pojęcia, dlaczego ten właśnie standard przenikał ją ekstatycznie. Porzucała irytujące gryzienie solonych pistacji. Nie dłubała wykałaczką w zębach. Odkładała grubą paterę Rosenthala ze schłodzonym winnym gronem.

Podchodziła do biurka z komputerem i zastygając, delikatnie drapała mnie po głowie. Wpatrywała się jednocześnie w wieżę w skupionym milczeniu. Jakby to był rozjarzony kolorami szklany wizjer telewizora JVC. Może działo się tak z tego powodu, że rytmiczna pieśń Diany Krall nosiła w sobie tajemny klimat kołysanki z filmu Polańskiego *Dziecko Rosemary*.

A Lucille – po podaniu przeze mnie porcji czeskiej miętówki KB Pepermint Liker z Ústí nad Labem – próbowała kołysankę Krzysztofa Komedy śpiewać na głos. Jej doświadczenie wokalne było tragikomiczne. Chociaż już starzy Chińczycyp powiadali, że kto ku Wielkiemu zmierza – na małe się nie ogląda.

Była to bodaj jedyna muzyczna kompozycja przechodząca odważnie przez jej gardło. W ciepły wieczorny czas sierpnia powiedziała, że muzyka Komedy przywołuje nostalgiczne sceny z jej własnego ślubu. Podczas którego, z powodu niechlujności tego wydarzenia, beknięć pijanego pana młodego, pośpiesznej ceremonii lekceważąco prowadzonej przez kapłana, nie włożyła na głowę symbolu niewinności – białego welonu. Często, w zupełnie nieoczekiwanych momentach, nad brakiem tego mitycznego skrawka materiału płakała grochem.

Gdy pokrywana obcym męskim mięsem traciła status mężatki.

Niejeden raz przekonywała mnie żarliwie, abyśmy zawarli taki uświęcony przyrzeczeniami związek. Tylko po to chociażby, aby białym powiewnym muślinem nadać realność swoim marzeniom, by je rytualnie spełnić. By nie ominęło jej to syte uczucie. Kołysząca biodrami ballada Krall mogła też przypominać Lucille sceny z jej kilkuletniego pobytu w Kanadzie. Zupełnie nieudanego.

Jakiś jaśniejszy, wolny od obowiązków dzień, w którym nie musiała od świtu rozklekotaną półciężarówką rozwozić po polskojęzycznych sklepach ruskich pierogów. Formowanych w starych, obtłuczonych miskach przez azylantki jeszcze biedniejsze niż Lucille. Albo wtykać w pocztowe skrzynki naręcza reklamowych gazet propagujących bezużyteczne towary. Wypełnionych tandetą sfotografowaną w full kolorze.

Nie musiała w podejrzanych parterowych pakamerach hurtowo handlować świecidełkami ze srebrem zatopionym w bursztyn. Zbyt śmiało nazywanymi słowiańską biżuterią. Albo sprzątać pijaną nocą przydrożne drugstory. Nory śmierdzące stęchlizną i starym przepalonym olejem. Tam zmęczeni alkoholem różnokolorowi mężczyźni patrzyli na nią wyłącznie jak na zawodową dziwkę. Dostępną za kilka wymiętych, wyszmelcowanych dolarów.

002. Waris Dire

Samotność żre paszę uformowaną z pustych godzin. Czas – niczym Gold Wasser – przepływa przez palce. Zimno, niewidocznie i beznamiętnie. W akwarium pozbawionym tlenu zdechła mityczna Złota Rybka. Przestała mi smakować niesłodzona jaśminowa herbata. Nie czuję na języku soli. Nakręcany zajączek z wystającymi z pluszu zbędnymi sprężynami.

Nie mam już własnej kobiety – Rudej Lucille.

Pozostał po niej kłąb zapomnianej czernizny pośledniej kategorii. Chińskie bawełniane majtki pozbawione nawet śladów zapachu samicy w wieku rozrodczym. Udające brabanckie koronki biustonosze z wszytym zakrzywionym drutem. I papieskiego koloru bieliźniany zestaw Triumpha wzburzający przed laty moją krew. Nim właśnie zwabiała mnie między szeroko rozwarty trójkąt ud. Na Rudą Kosodrzewinę, która zalegała Wierzchołek.

W kuchni dogorywają bezpańskie garnki oszronione czarnym nagarem. I żelazko Siemensa z przebarwioną aluminiową stopą. Na balkonie właśnie umierają – lub już umarły z braku wody – aloes zwyczajny, sępolia fiołkowa, dziwło modre. Oraz karolińska juka.

W najbardziej osobistej szufladzie omdlewają moje zapiski o Lucille. Nie jęczą ponaglająco w wyczekiwanym orgazmie.

Są wierniejsze od najbardziej oddanego psa. Linijki liter wiodą tekst niepewnie, chybotliwe. Lecz nigdy mnie nie oszukają. Prowadzę je w gorączce, namiętności i żalu, często we wspomnieniach o Lucille krzesanym.

Słowa, myśli, czyny – zamienione w zdania nanoszę do zielonego brulionu o różnych porach dnia i nocy. Ostatnio jednak nocami piszę bardzo mało. Chociaż spędzam je bezsennie. Umiejscowiona nad piętą lewej nogi cukrzycowa rana wielkości dawnej niklowej pięciozłotówki – z wizerunkiem rybaka – rwie nieustannie pulsującym bólem.

Wielogodzinne normalne spanie stało się niespełnionym marzeniem morfinisty. Na rozgrzebaną ranę nie pomagają liczne nakładane mazidła. Ani nawet specjalne wyjałowione plastry próżniowe koloru naturalnej skóry. Przysłane z Berlina przez pierwszą kochankę mojego życia. Dawniej piczkę zagubioną w radzieckich kapronach przypiętych do różowej uprzęży. Dzisiaj ustawioną carycę deweloperskich biur z tętniących nową zabudową okolic Zoologischer Garten.

Aby zapomnieć o piekącej nodze, godzinami siedzę nieruchomo przed ekranem JVC. W ciemnościach, w zupełnym milczeniu, oglądam na telewizyjnym kanale Fashion modelki dziwacznie kanciasto rozkołysane. Chcę tam, wśród nieprzebranej masy istot doskonale przez kreatorów mody ulepionych, odnaleźć moją Lucille. Zatem nie zwracam uwagi na urodzaj pysznych sukien z tafty, delikatnej wełny, kaszmiru, satyny czy jedwabnej krepy.

Nie spoglądam na wizjonerskie fasony wyzywającej, chociaż zupełnie na zwykły dzień niepraktycznej garderoby. Na okryte szmacianą złudą słynne wymiary sześćdziesiąt – dziewięćdziesiąt – sześćdziesiąt. Patrzę łapczywie na mocno pudrem i szminkami podrasowane twarze wychuchanych kobiet. Sunących po wybiegu paralitycznie. Porównuję, czy

różnokolorowe twarze, nieznacznie nawet, podobne są do oblicza Lucille okolonego miedzią włosów.

Pragnę we fluorescencyjnej szybie ujrzeć jej klon. Zobaczyć upstrzone rdzawymi piegami policzki. Podziwiać równo ułożone zęby. Dostrzec przy kąciku ust sznurowate zgrubienie po zamierzchłej, zagojonej już ranie. Gumowym pejczem zadanej jej w dzieciństwie przez ojca. Kata i gwałciciela własnej córki. Prymitywnego chuja, oprawcę, gnoja. Przed sąsiadami udającego katolika. Posłusznego nakazom wszystkich Bożych przykazań.

Wyniesioną z dzieciństwa szramę miała Lucille dokładnie w tym samym miejscu, w którym nosi ją na twarzy słynna modelka Waris Dire. Niepoprawna, przedwcześnie dojrzała córka plemienia Nomadów. Szczepu wędrującego bezkresami pustyń. Sprawca szramy pordzewiałą dostawczą syreną bosto wywiózł zsikaną ze strachu Lucille za rogatki Wrocławia.

W przydrożnym rowie, osłoniętym kolczastymi krzakami jeżyn, po męsku, mściwie, wyważając razy jak kapo, twardą gumą dręczył małą dziewczynkę. Bez oznak litości. Do krwi. Raz uderzał z jednej strony. Raz z drugiej. Karał ją paskiem rozrządu z silnika przeklętego dostawczego dwusuwu.

Pijany, w esesmańskim uniesieniu, bił dziewczynkę za to tylko, że w kilka godzin po przyjęciu ciała Bożego – Pierwszej Komunii, zgubiła prezent. Sowiecki blaszany zegarek na rękę. Marki Pobieda. Co w tłumaczeniu na język Polandii oznacza „zwycięstwo". Czasomierz wyposażony był w zbyt luźną drucianą bransoletę. Uszykowaną wyraźnie na przegub osoby dorosłej.

Długa biała sukienka – obszyta licznymi koronkami kreacja aniołka wkraczającego w bramy katolickiego kościoła – zbrukana została jasną krwią. Jej własną. Nie była to jeszcze

oczyszczająca krew miesięczna. Zwiastująca wybrany przez Boga charakter płci. Chociaż Ruda Lucille, za sprawą zwyrodniałego Tatuśka, już na cztery lata przed uroczystymi święceniami niewinną mienić się nie mogła.

003. Ernesto Sábato

Człowiek jest bytem nieuchronnie wychylonym ku śmierci. Ale ja nie chcę jeszcze umierać. Albo lepiej będzie, gdy napiszę – obumierać za życia. Odchodzić w malignie beznadziejnie przepływających dni. Nie chcę się stać uczuciowym eunuchem. Zapiski, które prowadzę w zupełnej samotności, w trawiącej mnie febrze tęsknoty za utraconą kobietą, sporządzam wyłącznie dla siebie. Takie przyjąłem postanowienie.

Czuję się jak postać z mrocznej powieści argentyńskiego fizyka Ernesto Sábato *O bohaterach i grobach*. Wprawdzie przestałem być zagubionym w anonimowym gąszczu bezmyślnym zwierzęciem. Skażonym instynktowną rują wygłodzonego stada. Lecz nie doznałem jeszcze długotrwałej sytości bycia półbogiem. Czego tak narkotycznie pragnął mój umysł, rozbudzony istnieniem rudowłosej kobiety o imieniu Lucille.

Okazało się, że droga do wszechświata nie wiedzie – jak chcieli klasycy sentencji – przez wiejską głuszę. Ta droga to przede wszystkim blues – Krew, Pot i Łzy. Oraz rozedrgany ciśnieniem cieczy sercowy mięsień. W dwunastotaktowym muzycznym reżimie. Formując słowa na sznurkach zdań pragnę w zeszycie zatrzymać Czas. Pragnę wciąż kochać i marzyć. Obok zarzuconej piegami Rudej Kobiety chcę słuchać bez końca głosu Etty James – Największej Pieśniarki w Historii Świata.

Utrwalić Miłość i Nienawiść przed wyparowaniem.

Skaleczony bagażem wspomnień: wyrazistymi ilustracjami wspólnych nocy, torfem jej niecnej przeszłości, ratuję się zapełnianiem stronic zeszytu. Rozchybotanym, niespokojnym pismem. Za którym kryją się Sperma, Zazdrość, tłumiona Nienawiść. Oraz Ból po utracie Samicy. Podobnie jak w najgłośniejszych pieśniach Davida Claytona Thomasa. Kryją się także częste omdlenia mojej ostatniej kobiety. Spanie z językami zatopionymi na długie godziny w naszych ustach.

Jeszcze nie dzielę się wspomnieniami z żywymi. Nie mam pewności, czy na żer obcych oczu mogę wydać bardzo bliskie i pieszczotliwe słowa, którymi okładaliśmy się nawzajem. Te silnie miłosne: Ukochana moja Lucille. Ty nieustannie jebana dziwko! Pierdol mnie, Bluesie! Suko nieposłuszna. Pluj na mnie. Mój jedyny prawdziwy mężu. Moje uda rozszerzają się tylko dla ciebie.

Oraz te silnie nienawistne: Tania szmata z pojebanego klubu Jatki. Jednodniowa putana powszechnego użytku. A nawet jeszcze bardziej żarliwe.

Gdzie jest kres podręcznikowej moralności? Granica miłosnych, wydyszanych wyznań? Nawet gdy brzmią one jak pieśni Maldorora. Jak bełkot szaleńca pozbawionego rozumu.

Pierwszy raz osobistymi notatkami zakładam sobie na szyję pętlę. To nowy odcień mojego pisania. Usługowo pisałem już soulowe musicale. Libretta do bluesowych koncertów dla mass. Także rymowane słowa do archaicznych murzyńskich fraz. Będące fragmentami większej kompozytorskiej całości.

Tworzyłem muzyczne bajki o dobrych i złych duchach. Układałem poddańcze ody, kojące ambicje żelowanych prezesów

ponadnarodowych korporacji. Oraz rozproszone teksty do komercyjnych piosenek dla kumpli z show-biznesu. Za teksty pokryte cieniem zabronionych używek – przeznaczone na płytę unplugged *Bluesy aniołów z dna piekła* – dostałem literacką nagrodę imienia Brunona Schulza.

W zapomnianej szufladzie trzymam kilogram pochwalnych dyplomów. Byłem częstym stypendystą Ministerstwa Kultury i Sztuki. W hanzeatyckim, mieszczanami bogatym niemieckim mieście Wiesbaden firmowałem przez pięć lat pojednawczy festiwal Europejski Blues – Wschody i Zachody. Ale po raz pierwszy wystawiam moją nostalgię na ryzyko przyszłej autoironii.

Jestem teraz słaby z powodu częstych zawrotów głowy. Czasem myślę, że za chwilę upadnę bez czucia. Wówczas chodzę po ziemi zygzakiem. Dłońmi pieszczotliwie masuję ściany. Obezwładniony wspomnieniami. Powtórką tych scen, w których między nami rodziło się uniesienie. Może z tego właśnie powodu intymność z Lucille zmieniam w skargę chaotycznie komponowanych zapisków. W tajemnicę zielonego zeszytu *Nostalgic Places – Limited Edition*. Chociaż wszelkie

tajemnice wychodzą prędzej czy później na żer słonecznych promieni.

Są pożywką mass. Jednak nie mogę dłużej nosić w sobie kamienia. Nie mogę. Od roku najmniej jestem arktycznym samotnikiem. Żyjący wiele lat w gęstych kłębach papierosowego dymu, w pobliżu licznych szklanek z lichą wódą i stad spoconych moją sztuką kobiet, dzisiaj boję się ludzi. A przecież to właśnie dzięki ludziom miałem czelność podnosić głowę. Dawali mi witalną siłę i nieposkromioną odwagę życia. Od szóstej rano słuchałem w kółko kompozycji Czesława Niemena – *Jednego serca*. Niby tak mało. Ale nie jest to terapia spełniona.

The Crossroads

Wariacja na temat bluesa Roberta Johnsona

Stanąłem na rozdrożach
Padłem na kolana
Stanąłem na rozdrożach
Padłem na kolana
Hej miej litość dla Boba
Począłem prosić Pana

Och stojąc na rozdrożach
Próbowałem złapać stopa
Och stojąc na rozdrożach
Próbowałem złapać stopa
Nie poznawali mnie skarbie
Więc wymierzali kopa

Stoję na rozdrożach kotku
Ogniste słońce chowa się
Stoję na rozdrożach kotku
Ogniste słońce chowa się
Klnę się na biedną mą duszę
Pechowy Bob jest na dnie

Zatem biegnijcie z nowiną
Niech słyszy Willie Brown
Zatem biegnijcie z nowiną
Niech słyszy Willie Brown
Jak na rogatkach pieśń głoszę
Śpiewam jak biedny clown

Stanąłem na rozdrożach mamo
Spojrzałem na zachód na wschód
Stanąłem na rozdrożach mamo
Spojrzałem na zachód na wschód
Wieczorny ogarnia mnie smutek
Kobiecego ciała czuję wilczy głód

004. Jens Bjorneboe

Pod moim dachem jest teraz cicho jak w domu wisielca. Wiele tygodni temu zaczęła się i trwa do dzisiaj Powszechna Historia Samotności. W drzwiach wejściowych do mieszkania nie przepuszczam już przed sobą Lucille. Na stopniach sprayami zohydzonej schodowej klatki nie wkładam dłoni pomiędzy jej opalone nogi. Czyniłem tak dawniej w sposób nagły. Zamierając w pół kroku, nie przyciska mojej ręki przyzwalająco udami. Obleczonymi w pończochy.

Nie zatrzymuje się przy poręczy. Nie odwraca się twarzą, by do mojego ucha włożyć ruchliwy język mrówkojada. Przynoszę teraz z miasta do domu znacznie mniej jedzenia. Tylko biały chudy ser. Poznański pumpernikiel, świeże winogrona, suszone kalifornijskie śliwki. Czasem łososiową metkę. Rzadziej rozdrabnianego tuńczyka w oleju w dwustupięćdziesięciogramowej puszce.

Pustymi wieczorami zacząłem znów, powoli – strona po stronie – prawie sylabizować niezwykłą powieść: *Historię bestialstwa. Chwilę wolności*. Szokującą książkę Norwega samobójcy – Jensa Bjorneboe.

Znów w sposób modlitewny czytam straszliwe zdania o prawdziwym obliczu Małych Niedźwiadków. Czynię to zazwyczaj wtedy, gdy niewytłumaczalna metafizyka włada mną bardziej niż księżyc pokazujący w nowiu liszajowatą twarz. W święta, dni religijnych prób, oczyszczających sądów.

Nie myję już całej Lucille w mojej przyciasnej wannie. Płynnym mydłem nie nacieram zbiegu ud utraconej kochanki. Nie przenoszę jej w siodełku rąk na wielkie, metalowe, srebrnoszare holenderskie łóżko. Po to także, by plastikową jednorazową golarką Philipsa zdrapywać delikatnie miękkie wypustki jej ciała. Poskręcaną rudą kosodrzewinę. Nadzwyczajnie u Lucille obfitą.

Wokół nie ma już charakterystycznego zapachu zdolnej do reprodukcji samicy. We wszystkich zakamarkach mieszkania triumfuje odczłowieczona woń chemicznego proszku Persil. Wyjałowienie dokonuje spustoszeń. Uciekły mieszkające pod zlewozmywakiem mrówki faraona. Dzisiaj w czterech ścianach istnieję tylko ja. Oraz niewidzialna, znienawidzona aseptyka. Zabijająca życie pod każdą postacią.

W lustrze poranka zobaczyłem, że po nocy przestały mi się odkształcać włosy. Zawsze mnie to denerwowało. Teraz miałem je ułożone jak przed spaniem. Straciły elastyczność. Dni stały się polem gry w go. Walki czarnego z białym. Mającej w sobie żywotność nieokiełznanej duszy. I zarazem harmonię archaicznego bluesa. Gry mrocznej jednak. Bez jasnych półcieni.

A przecież w życiu jest zgoła inaczej. Wiem dobrze, że domaganie się od Lucille miłości odwzajemnionej to karykatura melodramatu. Posłannictwo petenta. Porażka. Klops. Popelina. Wiodę na liniowanej kartce te osobiste zdania pełne pytań bez odpowiedzi.

Ból głuchy, ból kłujący i ból pękający – to trzy podstawowe rodzaje przykrych doznań. Zaliczyłem je już wszystkie. Nawet jeśli obraz powstały w *Dzienniku* przedstawi mnie kiedyś – w nieokreślonej jeszcze przyszłości – jako mięczaka złamanego przez kobietę, nic sobie z tego nie robię.

Jestem zaledwie kroplą nieskończonego ludzkiego wodospadu.

Żyję we wschodniej części Europy, odmienianej obyczajowo i politycznie przez głupkowatych, niewykształconych polityków. W tej części Starego Kontynentu, w której od pięćdziesięciu z górą lat nie było wojen prowadzonych przez małe państwa. Przez narody rozbestwione religijnym szowinizmem.

Nie było na tych ziemiach manifestacji z setkami trupów kończących marsze protestu w foliowych workach. Nie zaznano tutaj zbiorowych mordów etnicznych. Podrzynania gardeł maczetami. Nie było tysięcy gwałconych, oszalałych ze strachu kobiet. Poniżanych butelkami kręconymi w pochwach. Wpuszczaniem tam szczurów. Tubylczy dyktator, generał Wojciech Jaruzelski, zamiast zostać katem znienawidzonym przez naród, jest swego narodu tragicznym zakładnikiem.

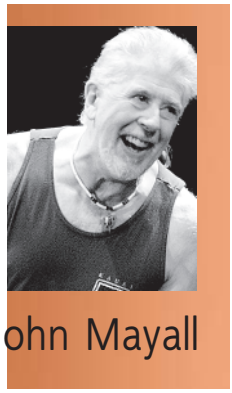

005. John Mayall

Jestem kompozytorem, autorem melancholijnych rymowanych strof opisujących trud bytowania. Jestem także koncertowym harmonijkarzem. Śpiewakiem polskich i amerykańskich bluesów. Moja popularność w Polandii – pomimo wielu lat występowania na estradach – jest umiarkowana. Nie rozpoznają mnie na ludnych meczach basketu play off. Ani w rozedrganych mrowiskach supermarketów przybywających w krajobrazie lawinowo. Miejscach zboru zastępujących kościoły.

Blues nie karmi dwunastotaktowym feelingiem nieprzebranych mass. To muzyka kosmopolitów. Wybranych przez kapryśny los. Albo słucha się jej i bez warunków wstępnych czuje mrowienie. Albo przechodzi obojętnie w sytą krainę nagród Grammy. Na kwietne łąki złotych i platynowych płyt.

Mam jednak satysfakcjonujące uznanie w kręgach ludzi skaleczonych już do końca życia festiwalem zorganizowanym na farmie Yasgura w Bethel, nieopodal Woodstock. W stanie Nowy Jork. Pamiętnym spędzie pół miliona wolnych ludzi. Który odbył się w roku tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym dziewiątym.

Roku triumfu Janis Joplin, Jimiego Hendriksa, Carlosa Santany. Czy Joego Cockera w jego klonowanym na świecie niebieskim psychodelicznym T-shircie. Zatem czuję akcepta-

cję fanów, dla których błotne kąpiele podczas koncertów pod gołym niebem nie są specjalną ekstrawagancją. Wymysłem ograniczonych umysłowo reżyserów reality shows.

Gram na bluesowo strojonej, w C-dur, niewielkiej harmonijce ustnej marki Hohner Marine Band. Model tysiąc osiemset dziewięćdziesiąt sześć. Ten niewielki przedmiot decydująco i ostatecznie wpłynął na moje życie. W domowych szufladach ułożyłem kilkadziesiąt hohnerów. Rozmaicie ustawionych dźwiękowo. Te już zużyte nadmiernym graniem rzucam z estrady – czasem zbyt teatralnie – w rozfalowany tłum.

W ten sposób honoruję najwierniejszych fanów. Ściśniętych sardynkowo zaraz przy estradzie. Pod metalowymi barierkami wspieranymi przez ochroniarzy rozkraczonych nazistowsko. Nigdy na koncerty nie noszę harmonijek – wzorem innych muzyków – stadami. W szerokim skórzanym pasie, naśladującym myśliwski. Na Scenę, do ludzi rozkołysanych muzyką, wychodzę z jednym egzemplarzem w dłoni.

Nie jestem przy tym naśladowczym bluesmanem ortodoksyjnym, archaizującym. Moją wyobraźnię rozbudza bardziej John Mayall niż Champion Jack Dupree. Raczej bierze mnie Eric Clapton. A nie T-Bone Walker. Ze starszych wirtuozów wciąż lubię muzykę Alberta Kinga. Do którego w chwilach porywczości jestem podobny. Ale szacunek mam dla wszystkich kreatorów i wyznawców bluesa.

Moim największym idolem od początków grania na scenie – jeszcze tej amatorskiej – był, jest i będzie na zawsze jeden człowiek.

King of The Delta Blues Singers – Robert Johnson!!!

Legendarny król archaicznego bluesa urodzonego w dorzeczu Missisipi. Przypuszczam, że zachowały się zaledwie dwa,

z trudem rozpoznawalne zdjęcia tego niespokojnego artysty. Na jednym ma przyklejonego do ust rozżarzonego peta. Umoczonego w ślinie, zwisającego z kącików warg. Zachował na nim fascynujące spojrzenie diabła tasmańskiego.

Na drugim gniecie krzesło odziany w cajgowy ciemny garnitur. Markuje zaledwie grę na rezonansowej gitarze. Na tej wyblakłej fotografii ma z kolei kuszący wzrok Lucyfera Piekielnego. Grzesznego Szatana, jakiego w kościelnej zakrystii pokazywał przed laty – nam, nieopierzonym ministrantom – ksiądz proboszcz Kazimierz Szyszka. Ze strachu nie zmrużyliśmy oka przez kilka następnych nocy. A mój najbliższy kolega z podwórka, Krzysztof Rac, porzucił ministranturę na zawsze.

To Robert Johnson skomponował nieśmiertelne pieśni w tej trudnej dwunastotaktowej branży. *Sweet Home Chicago*, *The Crossroads* albo *Hellhound On My Trail*. Wydał z siebie nuty, które wciąż, do dzisiaj, zajmują największych muzyków globu. Johnson – według bajkowych podań tworzonych dla ukontentowania czarnych ludzi – sprzedał duszę Piekłu. Oddał ją za talent tak szczodrze mu podarowany.

To elegancki Robert – skryty w dwurzędowym gajerze – podczas koncertowych tras, w skleconych z desek prymitywnych garderobach używał niepoliczonych zastępów czarnych kobiet. Oczarowanych, rozognionych samic oddających się z kwikiem zachwytu. W każdej możliwej pozycji. Rozchylających uda na wskazanie nabrzmiewającego kciuka jurnego Murzyna.

Do dnia, w którym gburowaty mąż jednej z nich, śmierdzący cebulą, zabrudzoną fuzlami whisky i starym potem, skutecznie go – za przyprawione rozległe rogi – otruł. Są jednak i tacy, którzy twierdzą, że młodego życia pozbawiła go Stara Rura. Piekielnie zazdrosna kochanka.

Lecz jakie to ma dzisiaj znaczenie? Ważne, że w tej legendzie z każdym mijającym rokiem oddalającym śmierć muzyka zwiększała się liczba czarnych kobiet chełpiących się wizytą jego Badyla.

Ja nie przechowuję w żyłach murzyńskiej krwi. A bez właściwej posoki nawet prosciutto, moja ulubiona parmeńska szynka obłożona dookoła zimnym, soczystym melonem, smakuje jak stara świńska podeszwa. Ale nigdy nikogo nie musiałem naśladować. I nie naśladowałem. Wypuszczałem na światło dzienne zawsze własny produkt.

Moje słowa, moja muzyka, mój wieloletni bunt. Taki jest standard repertuaru Blues Brothera. Czyli mojego. Zawsze znajdował uznanie słuchaczy. W trakcie ustawicznej wędrówki przez wielkie i zapyziałe sceny nigdy nie żyłem w blasku i z blasku innych nazwisk.

Kiedy przed wieloma laty przeczytałem w miesięczniku „Jazz" entuzjastyczną recenzję mojego premierowego koncertu we wrocławskim Pałacyku, doznałem pierwszego uderzenia sławy podzelowanej pychą. Nieposkromione marzenia rozwalały mój młodzieńczy łeb. Z kilkoma egzemplarzami periodyku biegłem przed siebie zatłoczonymi chodnikami.

Do utraty tchu. Aż do całkowitego wyczerpania. Ekstremalnego, dławiącego dyszenia. Wysmarkiwania z nosa zbrylonej krwi pomieszanej z zielonkawą mazią. Galopowałem jak strojony kolorowymi wstążkami zwycięzcy koń champion z Pardubic. Roztrącałem przechodniów, krzyczałem, podarłem flanelową koszulę.

Moim obecnym popisowym numerem – promującym najnowszą płytę *Tatuaże Bluesa* – jest narodowa pieśń Polandii. *Jeszcze Polska nie zginęła*. Soplowo grana na harmonijce diatonicznej – metodą overbending. Natychmiast kręci publicz-

ność, zdziwioną dźwiękami wydobywającymi się zuchwale z instrumentu. Brzmią niemal jak ludzki głos, jak ongiś łkała gitara Jimiego Hendriksa. Gdy genialny gitarzysta uderzył w struny jankeskim hymnem na festiwalu Woodstock.

Największy zaś muzyczny triumf odniosłem, grając równe jedenaście minut *Mazurka Dąbrowskiego* w sali warszawskiej Filharmonii Narodowej. Działo się to w ubiegłoroczne narodowe święto, Jedenastego Listopada właśnie. Kaskadami ostentacyjnych łez szlochała wówczas ładna czarnowłosa prezydentowa Jolanta. A za nią wielkie grochy puszczały z wymalowanych oczu wszystkie damy namiestnikowskiego dworu.

Oraz cna publiczność, wyselekcjonowana na specjalnych listach bezpieki. Zgoniona pod pałacowy prezydencki dach zaproszeniami z czerpanego papieru. Których pod żadnym pozorem nie wolno było lekceważyć. Ale teraz, od dobrych kilku miesięcy, stałem się zakładnikiem Płomiennowłosej Lucille i Czterech Jeźdźców Apokalipsy. Pojawiających się na nieboskłonie raczej w rozwichrzonym, szalonym kształcie plastycznym nadanym im przez Jana Lebensteina niż przez Albrechta Dürera.

Najważniejsze bluesowe płyty wszech czasów

Z dziennika „Rzeczpospolita" przysłali ankietowy, grzecznościowy list. Poprosili, abym z okazji stulecia tego gatunku muzyki ułożył osobistą listę dziesięciu najważniejszych płyt bluesowych wszech czasów. Lubię ten dziennik. Nie zwlekałem z odpowiedzią.

01. The Complete Recordings – Robert Johnson
02. At Fillmore East – Allman Brothers Band
03. John Mayall Bluesbreakers & Eric Clapton
04. Texas Flood – Stevie Ray Vaughan
05. Hoodo Man Blues – Junior Wells
06. The Healer – John Lee Hooker
07. Living The Blues – James Cotton
08. Let's Roll – Etta James
09. Newport'60 – Muddy Waters
10. Riding With The King – B.B. King & Eric Clapton

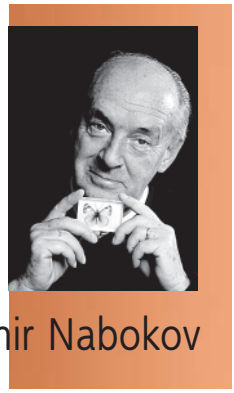

006. Vladimir Nabokov

W przedpołudniowym domu jest teraz ciepło i nostalgicznie. Z głośników stereofonicznej wieży Yamaha prawie niepostrzeżenie wymykają się w przestrzeń jazzowe nuty firmowane przez big-bandy Gerry'ego Mulligana, Colemana Hawkinsa, Woody'ego Hermana, Duke'a Ellingtona. Nasycany starymi standardami uczestniczę bezwiednie w muzycznej wycieczce w przeszłość.

W lata ozdrowieńczego dla Europy planu Marshalla.

W czasy frachtowców przypływających do Gdyni z darami UNRRA. Wypełnionych tekstyliami, oliwą, kukurydzą pakowaną w bawełniane wory. Z których krawcy, prywaciarze, szyli tubylczym elegantom szykowne koszule. Bikiniarskie w kroju i formie. Przenoszę się w czasy konfliktu w Zatoce Świń. Hańby Marilyn Monroe, seksualnie wykorzystywanej w dzieciństwie przez jej przybranych rodziców.

W lata delegalizacji karykaturalnych komunistów w USA. Dni premiery *La Strady*. Porażającego czarno-białym pięknem filmu Federica Felliniego. Który już w tamtych latach powtarzał do znudzenia, że cenzura to najlepsza reklama na koszt państwa. Zanurzam się w epokę mięsistej powieści Leopolda Tyrmanda – *Zły*. Wreszcie w otoczenie grzesznej *Lolity*, skandalizującej wówczas powieści zakamuflowa-

nego zbereźnika Vladimira Nabokova. Potencjalnego pacjenta Sigmunda Freuda.

Surowe, nieobrobione notatki na stronach zeszytu *Nostalgic Places* to zapis obecnego stanu mojej świadomości. To zresztą nic innego jak znowuż ponętna Lolita. Tylko wypchnięta na scenę kilkadziesiąt lat później. Zmieniła się scenografia dramatu, kostiumy głównych bohaterów, sposoby wabienia na chłód pościeli. Inna jest dzisiaj cena kobiet. Odmienny, znacznie bardziej wyuzdany jest w tych dniach smak rozwiązłości. I ciężar gatunkowy popełnianych grzechów.

Ale Namiętność drąży trzewia zakochanych z takim samym dramatyzmem jak w antycznych czasach Kaliguli. Jak na stronicach książki Nabokova. Więc jestem wciąż zakochanym Humbertem Humbertem. Tylko Lolita nie jest już trzynastoletnią nimfetką. Perwersyjną córką nadmiernie wymalowanej kokoty – Charlotte. Ma na imię Lucille. Jest mocno zużytą kobietą ze śladami przeszłej urody. Jest namiętnością obdarzoną suką, która kusiła, wabiąc feromonicznymi kropelkami moczu.

Wonią płynącą spod pach wciągnęła mnie na rozległe torfowiska grzechu.

Odwagę pisania takich właśnie słów daje mi wieloletnia zaniedbana cukrzyca. Oraz zupełnie siwe włosy. Zielony zeszyt staje się moją obsesją. Szatańskim podarunkiem od Lucille. Jedynym wartościowym prezentem, jaki mi po niej pozostał. Noszę go przy sobie w każdej chwili, w każdej upływającej sekundzie. Jak długo jeszcze – nie wiem.

Często zapiski te prowadzę w ulubionej czapce na głowie. Grubo tkanej, modernej, wełnianej. Bardzo podobnej do tej, jaką w *Narkomanach*, kultowym filmie Jerry'ego Schatzberga, nosił w roku tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym pierwszym debiutant – Al Pacino.

Ciemnozielonej, niezbyt głębokiej, z naszytą z przodu czarną metką: *C.A.B.L.E – Cable Car Clothier's*. Czasem w niej nawet śpię. Zupełnie nagi. Na lekkiej puchowej kołdrze zepchniętej w nogi łóżka. Zasypiam tylko w tej zielonej czapce bezimiennego buntownika. Ciężko jest mi się z nią rozstawać. Nawet gdy w upalne lato wystawiony jestem na pastwę słonecznych promieni.

Czym przypominam nowojorskich świrów z powieściowej trylogii Paula Austera. Opalone, otłuszczone ciało siwowłosego zgreda, kolorowe bokserki za kolana i zimowa czapka na czubku głowy. To przecież niecodzienny wakacyjny zestaw. Wyglądam jak przechodzona albinoska gwiazda hip-hopu. Żyjąca jednak zupełnie inną, mniej pulsującą muzyką.

Lubię też nosić wypchane w okolicach kolan, białe, luźne spodnie skrojone z żaglowego płótna. Takie, jakie musiał zakładać podczas dalekich rejsów Józef Conrad Korzeniowski. Wówczas gdy pisał *Lorda Jima*. Te białe spodnie dają mi poczucie, że jestem wolnym człowiekiem. Dalekim od granic interioru. Lubię też nosić wysokie trzewiki z surowej, niebarwionej juchtowej skóry. Zakładane przez cały niemal rok wprost na gołe stopy.

Chodzę bez skarpet od pierwszych dni kwietnia aż do końca października. Ubieram luźne T-shirty sprane do granic używalności. Prawie rozchodzące się w dłoniach. Na estradę wdziewam najczęściej amerykańskie bojówki moro. Przywożone z Rammstein w niemieckim Palatynacie. Z magazynów tamtejszej wojskowej bazy jankesów. Albo czarne sztruksy marki Lee, Wrangler, Levi's Strauss. Kupuję je na wyprzedażach podczas coraz rzadszych koncertów w starych landach Germanii.

Zjednoczone od dziesięciolecia Niemcy były przez lata podstawą mojej znośnej, a nawet przyzwoitej egzystencji. To ze stolicy Hesji, z bogatego miasta Wiesbaden, przywiozłem

dwanaście lat temu swój pierwszy prawdziwy samochód. Ciemnoczerwonego forda taunusa combi. We Frankfurcie nad Menem po raz pierwszy poczułem także wszechwładną siłę wymienialnej waluty.

Pięćdziesiąt marek kosztował jeden sztos u przepięknych kolorowych kurew pracujących w wielopiętrowych burdelach okalających Dworzec Główny. W monstrualnych wieżach Babel wabiących przytłumionymi, różowymi światłami w zasłoniętych oknach. Tam, w stolicy europejskiej finansjery, po raz pierwszy poznałem nieokiełznaną butę tubylców. Kamuflowaną sztucznymi – niby to spolegliwymi – uśmiechami.

007. Friedrich Nietzsche

Ich idol – Nietzsche. To ponury destruktor, który politycznie, kulturowo i obyczajowo ustawił Teutonów na wiele lat do przodu. Ja z jego intelektualnej skarbnicy kupiłem myśl towarzyszącą mi przez wiele dorosłych lat. Mądrość jest szeptem samotnika do samego siebie, oznajmianą pośród gwarnego targowiska. Fakt.

Gdy tylko okrzepli po militarnej przegranej, gdy twarda waluta uderzyła im do głów niczym nieczyszczony rosyjski samogon – zwariowali.

Ukazało się ich butne oblicze. Podkręcani histerycznym krzykiem niezrównoważonych psychicznie filozofów i przywódców, walili równo wojskowymi podkutymi buciorami o bruki całej Europy. Aż do końca drugiej światowej wojny, podczas której

Germanowie unicestwiali słabsze narody bez pardonu.

Hołdowali karnie, w sposób zorganizowany, destrukcyjnym wezwaniom Friedricha Nietzschego. Którego twórczość, zapisana w księgach finansowanych przez chadeków, polegała niezmienne na sianiu chaosu. Nawet zza grobu wzywał Niemców do zapanowania nad światem w nowym, magicznym stuleciu.

Uzasadniał we wciąż dodrukowywanych utworach, wydawanych na specjalnym czerpanym papierze, że tylko oni, napuszeni Szwabowie, dostali od Opatrzności rozkaz prowadzenia wielkiej polityki. Przesyłał im z zaświatów polecenie trzymania licznych narodów w munsztuku.

Jątrzył, iż tylko oni, butni Teutonowie, zniecierpliwieni naiwnym wolnościowym duchem wspólnej Europy, mogą dać sobie samym prawo do decydowania o losie tej części świata. Następstwa naszych czynów biorą nas za łeb – pisał wyniosły Fried.

Zarazem jednak ci czyści Germanowie, pachnący dezynfekującymi środkami tych samych przereklamowanych marek, ubrani pod szablon w towarowych domach typu C&A, byli naiwniakami. Puszczali mimo uszu fakt, że ich idol, Nietzsche, był palącym marihuanę syfilitykiem. Pomijali oczywistość, że wielu z ich zmarłych idoli, którymi chełpią się w folderach drukowanych na maszynach Heidelberga – tacy jak Heine – to rozpustnicy zarażeni jedną z licznych odmian wenerycznych chorób.

Często wchodzę w dusze potomków Nietzschego. Z satysfakcją patrzę, jak goniąc za obniżkami cen, tracą w tłoku godność za kilka nędznych euro. Domy towarowe typu Woolworth, Karlstadt, Quelle, Kaufhof, C&A są ich nowymi świątyniami wiary w nigdy niekończący się konsumpcjonizm. Niemcy to także naśladowcy osiągnięć kultury innych narodów. W światowe dziedzictwo nie wnoszą dzisiaj wiele.

Ich kinematografia śmieszy naiwnością. Ich teatr wciąż grzebie się w odgrzewanym komuniście Brechcie. Czasem w mutacjach opowieści Jacoba Wassermanna o dziecięciu Europy Kacprze Hauserze. Współczesną muzykę kupują dziś za euro. Niemiecka śmieszy od pierwszych taktów teutońską frazą. Podoba mi się ich wielka artystka, morfiniczna

skandalistka – Nina Hagen. Ale jest coraz starsza. Coraz bardziej rozleniwiona. Ma znacznie mniej odjazdowych pomysłów.

Wolność to także odpowiedzialność.

A Nina kapcanieje. Ratuje ich mocna gospodarka. Wyżyłowana na giełdach waluta. Dawniej Turcy i Jugole sprzątali po nich cywilizacyjne odchody. Gówna, których Niemcy produkują bez miary. Miliony śmierdzących ton. Dzisiaj konsumpcyjne brudy zbierają po nich Ukraińcy, Polacy, Rosjanie, Wietnamczycy. A Brecht triumfuje.

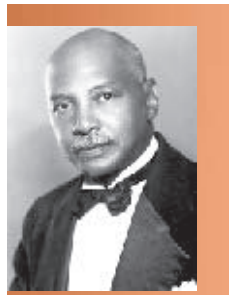

008. William Christopher Handy

Coraz częściej czułem nagłe uderzenia potu. Na trotuarach, w domu, zaczynałem tracić równowagę. Szczególnie gdy po gorącej kąpieli wstawałem z wanny. Czoło nawiedzały nagle liczne krople słonej cieczy wypływające z wnętrza ciała. Martwiały mi dolne partie nóg. Coraz słabiej czułem duże palce stóp. Przy opuszkach pękały zrogowaciałymi, wąwozowymi uskokami. Takimi, jakimi pęka świeży jeszcze chleb. Ale bólu nie zaznawałem.

Stopy rozcierałem uporczywie o grubo tkany, indyjski sznurkowy dywan. Skutek był mizerny. W takich chwilach pragnąłem mocno, by Anioł Stróż zaprowadził mnie do miejsc mojego dzieciństwa przywoływanych z gęstej mgły pamięci. Wiódł nad obsadzony gęstymi krzakami brzeg Łużyckiej Nysy w Zgorzelcu. Pomiędzy wielkie polodowcowe kamienie od północy porośnięte mchem. Leżące nieopodal klasycystycznej Górnołużyckiej Hali Pamięci imienia Wilhelma I i Fryderyka III.

Tam, gdzie w socjalistyczne lata rozbijała się złuszczona karuzela w picassowskie wzory. Gdzie stawała strzelnica sportowa. Gdzie z wozów Michała Drzymały sprzedawano cukrową watę na patyku. Którą następnie gnietliśmy na czas do rozmiarów owłosionej pingpongowej piłeczki. Gdzie młodzi zalotnicy w ortalionowych kurtkach szwedkach wariowali z nieudolnie skrywanego pożądania.

To nie były sielanki Szymonowica. Aby ugasić pożar krwi, dodać sobie cech diabła, pili w nadrzecznych zaroślach, przy zbronowanym, naszpikowanym minami granicznym pasie, owocowe, zasiarczone wina. Pod pudełko zapałek. Pod fiński nóż. Pod kciuka. Z pocztówkowymi płytami dźwiękowymi pod pachą szukali następnie pomiędzy karuzelami niedoświadczonych, ale chętnych do jebania kobiet. Kuszących niewiarygodnie krótkimi spódniczkami o kroju wymyślonym przez Mary Quant.

Siks przez całą dyszącą noc gotowych obsługiwać gramofon o nazwie „Bambino". Zapomnieć się przy zakręcanej butelce po winie, której wskazanie przyszłych pokątnych kochanków pozbawiało kolejnej części garderoby. Pragnąłem powrócić do szczeniackich czasów powolnego rozgryzania kawowych draży nadziewanych likworem. Pakowanych w tekturowe etui wielkości kart do gry.

Dzisiaj podobnie delikatnie rozgryzam wielkie czarne oliwki z pestkami. Kupowane w śródziemnomorskich krajach prosto ze starych beczek. Przesiąkniętych podniecającą wonią matuzalemów. Powrócić do zlizywania z otwartej dłoni oranżady w proszku. W namaszczony obrządkiem sposób. W jaki teraz celebruję z rzadka picie sierra tequilli.

Albo zachłystywać się oranżadą mocno czerwonego koloru. Rozlewaną w grube szklane butelki zamykane na biały ceramiczny kapsel. Otoczony sparciałą czerwoną gumką. Bez zaciągania się palić mocne ciemnotytoniowe papierosy „Mazury". Sprzedawane na sztuki po dziesięć groszy.

Jeżdżę zatem z coraz większą tkliwością do miejsca moich urodzin. Po te wciąż żywe wspomnienia. Do nadgranicznego miasta Zgorzelec. Aby wciąż marzyć. Jak czyniłem to często w zbuntowanych szczenięcych latach. Myśląc naiwnie, że w przyszłości uda mi się podbić świat. Była to jednak konstatacja jałowa. Drapieżna scenografia sztuki o nazwie życie na full dawno została ustalona.

Rewers naszego losu zapisano w dniu przyjścia na świat.

Zawsze jednak, niezależnie od zawodnych wiatrów, marzyłem o tym, aby w sztuce młokosa Alfreda Jarry'ego kreować rolę króla Ubu. Myślałem też często gęsto, aby zagrać w sztuce przez siebie napisanej barwną postać lekko naciąganego odkrywcy bluesa W.C. Handy'ego. Tego, który sobie przypisał zasłyszane na kolejowym dworcu pierwsze popularne kawałki – *Memphis Blues* oraz *St. Louis Blues*.

Ale marzenie to jedno. Łatwo wypowiedzieć je z zamkniętymi ustami. Za oknami zaś jest zupełnie inaczej. Więc w chwilach nostalgii tęsknię do dźwięków wydawanych przez rowerowe dynamo w czasie jazdy. Do strzelania z wiatrówki w stronę sztucznych kwiatów z marszczonej bibuły. Albo ręcznie malowanego celuloidu. I do małych, trocinami wypychanych piłeczek na gumie. Typu jo-jo.

Gdy tęsknota za miękkim ciałem Lucille przybiera kształt przerywanego krzykiem nerwowego snu, pojawia się w nim bezkresna jazda samochodem.

Zawsze w tym śnie jadę, siedząc przy otwartym oknie. Przywołuję intensywny zapach świeżo skoszonej łąki w okolicach Łagowa. Gdzie w mięsistej, wysokiej trawie, objedzeni przydrożnymi papierówkami, trzepaliśmy konia na czas.

Całą małoletnią bandą. Jęcząc i wpatrując się w trzymane w drugiej dłoni lusterko z ledwie pokolorowanym zdjęciem. Przedstawiającym roznegliżowaną Claudię Cardinale, Brigitte Bardot albo Sophię Loren. Wyrostki z *Amarcordu*, filmu Federica Felliniego, to przy nas były cienkie Bolki.

Przeglądam w wyobraźni – jak na slajdach – obrazy Ostatniej Wieczerzy. Tworzone przez malarzy z różnych historycznych epok. Jem surowe gruszki z Nowej Zelandii. Wy-

ciągane z puszek wypełnionych po brzegi gęstym syropem marynaty. Mimo wielodniowych energetycznych zapaści pilnuję cały czas właściwej higieny ciała. Jaja przemywam codziennie szarym czeskim mydłem z wytłoczonym wizerunkiem białego jelenia. Czynię to na stojąco. W bieżącej wodzie. Wykładam je wprost do ceramicznej krzywizny umywalki.

Głowę natomiast czyszczę wyłącznie mydłem w płynie. Najczęściej niemieckiej firmy Klona. Wychodzi tego dziesięć naciśnięć zaworu spustowego na jedno mycie. Razem z torsem, czyli namydlaniem ciała do pasa. Produkowanym w Londynie dezodorantem YP Men spryskuję policzki, szyję, nos, uszy. Zamiast pach, jak mówi wielojęzyczna instrukcja na opakowaniu.

Na twarzy od wielu tygodni utrwalam zakonserwowaną żałosną, bezbarwną tymczasowość.

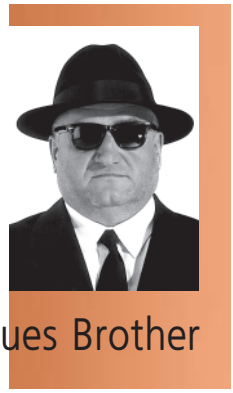

009. Blues Brother

Blues, to moje jedyne imię. Nie byłem bierzmowany. Brzmi zwyczajnie – Blues. A nazwisko Brother. Także nic specjalnego. Jestem niezaprzeczalnie klonem amerykańskiego aktora i komedianta Johna Belushiego. Wyglądam jak on, tyle samo ważę, podobnie się poruszam. Mam identyczne poczucie humoru. Lubię sytuacyjne wygłupy. A przede wszystkim chicagowskiego bluesa w stylu Big Bill Morganfielda – syna Muddy'ego Watersa.

Lecz obecnie stałem się odchodzącym w Smugę Cienia muzykiem, narkotycznie kochającym kobietę, w którą, jak się później okazało, wchodziło bez stroszenia piórek wielu imiennych i bezimiennych mężczyzn. Która mszcząc się na zdychającym rodzinnym życiu, solonym często zaciśniętą pięścią i kaskadowymi łzami, milcząco oddawała się przygodnym jebakom.

I to zaraz po zakończeniu pijackich partanin, na przykład w artystycznym klubie Jatki. Gdzie kręciło się więcej amatorskich, początkujących kurew niż ześwirowanych, nieudanych artystów. Firmowym klubie podstarzałych miłośniczek zapomnianego studenckiego festiwalu Jazz nad Odrą. Nadmiernie otłuszczonych tlenionych blondynek. Nękanych w najmniej oczekiwanych momentach nagłymi dusznościami.

Gnębionych gwałtownymi uderzeniami gorąca, zapowiadającymi nieuchronną menopauzę. Popularnym terenie nazbyt wyperfumowanych alfonsów, pijących drinki o nazwie Nadzieja Konia albo Zrób mi Loda. Oraz licznych w tym pseudoartystycznym miejscu ciot, marnie udających zaaferowanych kolekcjonerów staroci.

Albo też polowała na napalonych kutasów w rynkowej letniej kawiarni Grażyny i Henryka Horszowskich. Eleganckiej, popularnej wśród bohemy, rozbrzmiewającej przez całe lato oryginalnym hawdalowym jazzem z kręgu amerykańskiego kompozytora Johna Zorna. Jego licznej muzycznej rodziny, przyjeżdżającej do Wrocławia na lato.

Kawiarni tętniącej popularną odmianą standardów George'a Gershwina, z najbardziej rytmicznymi fragmentami opery *Porgy i Bess*. Lub rozrywkowymi głosami aktorów letnich teatrów ogródkowych. Ci ostatni występowali najczęściej w składance kleconej z repertuarowych zasobów Mariana Hemara i Juliana Tuwima. Korzystali z wyblakłych archiwaliów Teatrzyku Zielona Gęś.

Zapłacona, ugadana, przyklepana kupieckim plaśnięciem dłoni, wytresowaną pozą wstawała od ogrodowego, w metalu kutego, stolika. Podnosiła łatwo dostępne do obściskiwania ciało i w omdlewające upałem południe sierpnia szła ze świeżo poznanym gachem rozkładać opalone uda w jego sezonowym biurze podróży. Położonym tuż za secesyjnym rogiem ulicy Świętego Mikołaja.

Stolikowe rozmowy kolejnych kochanków o kontraktowym jebaniu Lucille nie trwały nazbyt długo. Zamykały się w cenie mocnego anyżkowego aperitifu. Za dwadzieścia złotych jeden solidny, wyziębiony kielich. Oraz w cenie firmowego kawałka schłodzonego tiramisu. Nasyconego amaretto. Posypanego obficie kakao, chrzczonego nabrzmiałymi kro-

plami oleistego, kawowo-likierowego specjału domowej roboty.

Do tej pory, do dnia poznania Lucille – sprawczyni moich największych uniesień i mojej zawstydzającej zguby – posiadałem na wyłączność Kobiety Ofiarne. One – po rozstaniu ze mną – nigdy już nie znajdowały stałych partnerów. Nie przychodziły z nimi do piwnych restauracji na wrocławski Rynek. Na konny tor wyścigowy w dzielnicy Partynice. Na teatralne premiery sztuk Eugène'a Ionesco, by naśladować modernistycznie odgrywane łyse śpiewaczki.

Były wciąż samotne. Bardzo często używały za to wynalazku Bella, aby zapewniać z łóżkowym pomrukiem w głosie, że wciąż są cierpliwymi antycznymi Penelopami. Więc gdy tylko zechcę, natychmiast do mnie powrócą. Cokolwiek by robiły. Z kimkolwiek by były. Wybaczają mi, jak to określały z łagodną perswazją, te przypadkowe, przelotne związki z fankami. Ogłupiałymi moją sławą. Więc doprawdy, przestańmy, kochanie, udawać małe dzieci! Nie ma o czym gadać.

Jednak z kobietą o imieniu Lucille było zupełnie inaczej. Taka poddańcza deklaracja suki, nawet gdyby nastąpiła, byłaby ze strony Rudej Kobiety zwykłym śmieciem. W oblepiającej ubrania wilgocią mżawce listopada – niespełna trzy lata później – zrozumiałem, że co rusz przywoływana w pamięci

nienawiść do Lucille jest silniejsza od modlitw o dalszą miłość.

Tylko przez chwilę nasza wspólnota była taka, jakie w muzyce klasycznej jest standardowe metrum. Przez wiele długich miesięcy objawiała się niczym skomplikowane kombinacje rytmiczne. Tradycyjny ciąg następujących po sobie tonów wypierany przez chaotyczne dźwiękowe plamy. Wciąż się zmieniające. Nie była uporządkowana i przewidywalna jak muzyka zapisana w nutowych zeszytach Maurice'a Ravela.

Zachowywała się jak współczesne kompozycje Johna Cage'a. Ocierające się o trywialność marnego codziennego życia. W których nie było precyzyjnego scenariusza. Ani nawet melodycznej linii. A tylko wariacje, niespodziewane interwały. Oraz dalekie echa hucznych, rozwiązłych imprez, w których uczestniczyła w pierwszoplanowej roli szczodrej diwy.

Milkcow's Calf Blues

Wariacja na temat bluesa Roberta Johnsona

Szepnij krówko jedno słowo
Coś u diabła z tobą źle
Niespokojna krowo wdowo
Coś u diabła z tobą źle

Karmisz teraz nowe cielę
Lecz twe mleko psuje się
Więc językiem głodnym miele
Pustą tykwę mocno ssie

Hej mleko nosisz zepsute
Cielę głodne musi stać
Też pragnę doić do rana
Ale krowa nie chce wpaść

Pragnę syto się napoić
Jej wymiona wyschły już
Błagam miła chętna babo
Odmień piersi swoich susz

Bez urazy Stara Krowo
Nadszedł czas do domu iść
Ma jałówko filuterna
Zgoń klientów chętnych kiść

Krowy mojej rozrywkowej
Dookoła pełno jest
Innemu dziś służy bykowi
W jego mieście
I jest fest!

010. Todor Stoiczkow

W tych dniach mniej używam czarnego żelowego cienkopisu. Mniej w zielonym zeszycie *Nostalgic Places* zapisuję słów. Czaszkę opukują mi, coraz rzadziej na szczęście, wirtualne młoty nadciśnienia. Od kilkunastu dni wychodziłem – krok za krokiem – z objęć pierdolonej Kostuchy. Miała dla mnie, w omamach maligny, kształt rozpustnicy w rozchylonym przy udach białym szlafroku frotté. Z napisem wyhaftowanym na plecach – Fuck Off!

Szlafroku z wynaturzoną twarzą Lucille u szczytu. Osadzoną pomiędzy fałdami wielkiego, miękkiego kołnierza. Kostucha uderzyła mnie kosą gwałtownie. Z nagła. Gdy po nocnym koncercie w Radio Barze urządziliśmy w domu pijaństwo. Lucille, w takt leniwych bluesów Steviego Raya Vaughana, w alkoholowej nieświadomości, w zrywającym się filmie, opowiedziała bełkotliwie, jak przystawiając nóż do gardła, brutalnie zgwałcił ją owłosiony nadmiernie Bułgar.

Przysadzisty, krótkonogi typ, zarośnięty na piersiach czarną świńską szczeciną. Sygnowany w obfitości jubilerskim złotem. Władający zaśmieconym campingiem położonym nieopodal plaży Morza Czarnego. Campingiem stworzonym przez bułgarskich tajniaków dla handlarzy przybywających tu masowo ze wschodniej Europy. Socjalistycznych biedaków udających dewizowych turystów.

Kiwając się w tureckim kucu, opowiadała nieskładnie, jak gwałtownie, z knurzym kwikiem nienasyconego bydlaka wpychał w nią bałkańskiego kutasa. Sfilcowana śmiertelnym strachem, nie była rozpaloną samicą.

Nie kwiliła ulegle, nie rozsiewała wokół podniecającej rui.

Torsem barbarzyńcy przyciskana do histerycznie protestujących sprężyn starego szpitalnego lub wojskowego łóżka, dygotała pod Bułgarem w całkowitym milczeniu. Jak przy klasycznym ataku padaczki. Rodziła za to krople zimnego potu natychmiast rozmazywane ruchliwym korpusem mężczyzny.

Jej poniewierane ciało przechodziło z każdą chwilą kwaśną, alkoholowo-czosnkową wonią gwałciciela. Wonią, którą zapamiętała na całe życie. Zapachem gwałtu i poniżenia, sprawiającego, że całowała teraz namiętnie moje zrogowaciałe stopy. Wcierała w nie łzy i luźne smarki. Jęczała tekstem skargi w rwanym, płaczliwym seansie. W rozwiązującym języki nadmiarze wypitej wódy.

Biseptol i koronkowa damska bielizna. Ten towar, w działających na dolarowe bony restauracjach położonych przy plaży Złotych Piasków, był pełnoprawną dewizową walutą. Także pakowany w niebieskie blaszane pudełka krem Nivea. Złoto i dolary pozyskane z handlu kremem sprzedawała po powrocie do Wrocławia na Hali Targowej. Z tego wówczas żyła. Utrzymywała siebie i męża – nieudanego, rozpijaczonego artystę.

Opowiadała teraz rwanymi zdaniami, że Bułgar gwałcił ją jak niewolnicę bez praw. Traktował jak sprzedajną szmatę z najciemniejszych, szczynowatych zakamarków kolejowego dworca. Nie zdejmował z siebie złotych łańcuchów i bransolet. Ani połyskliwej koszuli w rybie łuski. Nawet spodni ciemną plamą przepoconych w okolicach jaj.

Ale wpierw, chcąc osiągnąć najwyższą cenę za przywieziony z Polski towar, kokietowała go. Mamiła dziwkarsko głęboko wyciętą w biuście kretonową sukienką w kwiaty. A potem pozostawiła brudnego kochasia z nabzdyczonym kutasem w rozporku.

Olała go, dyszącego jak wieprz. Napalonego na rzadką w tej części Europy blondynkę. Zostawiła go, niby to umykając do prymitywnej campingowej budki z paździerza. Zamykanej od środka na śmieszny drewniany patyczek. Wtykany w druciany skobel. Budki, której chybotliwe drzwi wielokrotnie w dzień, częściej jednak w nocy, otwierano brutalnymi kopniakami.

011. Stevie Ray Vaughan

Byliśmy już mocno pijani. Ja napełniony białą wytrawną wódką, pobieraną małymi łyczkami pod anchois i suszone kalifornijskie śliwki. Lucille nasycona czeskim miętowym likierem firmy KB Union Drink's z Ústí nad Labem. Płynem niezwykłym – jak się później okazało – dla naszej miłości, który nalewałem do szklanych pojemników służących za pochwy świecom z IKEA.

Owinięty wiedzionymi ślimaczo bluesami Steviego Raya Vaughana słuchałem opowieści burzących krew każdego mężczyzny zazdrosnego o swoją własność. Oczyszczała się przy mnie ze szlamu pokrętnej przeszłości. SRV śpiewał oskarżycielsko *Love Struck Baby*. Lucille pociągała dużymi haustami zieleninę KB. Zasmarkana – spazmatycznie szlochając – paplała osłabiające mnie wyznania. Na które wcale nie czekałem.

W pościeli mokrej od łez i potu oplotła mnie mocno nogami. Unieruchomiła żywym imadłem ud. Plując skropioną mgłą oddechu, wtłaczała w ucho występne słowa. Nadmiernie nasycone alkoholem o smaku mięty. Miałem dość! Głęboko oddychałem nosem. Próbowałem się gwałtownie wyrwać z jej zamkniętego międzyudzia. Nie chciałem być dalszym uczestnikiem bolesnej dla mnie, zabełtanej spowiedzi.

Nie mogła przecież liczyć na rozgrzeszenie. Dno wiadra wyrozumiałości było już mocno przerdzewiałe. Wyrywałem tors ku górze. Ku rozjaśnionej sufitowej gondoli żyrandola. Wówczas to, nagle, w kilkusekundowych odstępach, rozstrzeloną lawą, bryzgającym ogniem, wybuchł w mojej głowie wulkan. Jak gdyby wyleciała w powietrze powulkaniczna wyspa.

Chciałem wyprostować nogi. Ale ogromne, ruchliwe młoty bijące wahadłowo wewnątrz czaszki skutecznie mi to uniemożliwiały. Każdy, nawet łagodny ruch ciałem, silnie wzmagał ich uderzenia. Rozsadzał głowę. Traciłem powoli zdolność postrzegania tego, co dzieje się wokół. Podnosiłem się jednak po ścianie uporczywie. Centymetr po centymetrze. Jeżeli mam skończyć ziemski epizod, partaninę z doczesnym światem, uczynię to jak moja babka Antonina. W pionie.

Umierając – mimo surowych ostrzeżeń lekarza – ciągle wstawała z łóżka. Prostowała powoli starcze, wiotczejące ciało. Nie słyszałam, aby ktokolwiek umarł na stojąco – szeptała bardziej do siebie niż do zebranej rodziny, zajętej własnymi myślami.

Bóg przecież nie zabiera do siebie ludzi opartych o ścianę.

Więc pozytywnie myślała o Bogu. Tak jak przedstawiają Go w czarnych prostolinijnych modlitewnikach przeznaczonych dla uległych mass. Wierzyła, że i ona nie odda ducha w tej pozycji. Nie upadnie na deski podłogi jak nieważny strzęp. Pomyliła się. Najwyższy zawiódł jej zaufanie. Oto dzisiaj mnie także wystawiał rachunek. Za wieloletnie, pogardzane nadciśnienie tętnicze. Poważny stan lekceważonej cukrzycy. Za ochłap mieszczańskiego trybu życia.

Spędzanego w obskurnych jazzowych piwnicach, w zapuszczonych knajpach, prowincjonalnych hotelach wzdłuż estradowej trasy. Punktowały mnie rytualne pijaństwa. Wielkie ilości wsze-

lakiej gorzały przepuszczonej przez zachłanne gardło. Byle jakie, nieregularne posiłki spożywane o dziwnych porach dnia i nocy przede wszystkim. Sycone starym, spalonym olejem.

Rozliczał mnie hotelowy zlew tanich kobiet wyślizgujących się z wyra przed świtem. Bez używania oczyszczającego prysznica i wspólnego papierosa na pożegnanie. Przecież o czułym całowaniu mowy być nie mogło. Pogrążały mnie liczne przypadłości. Wypisane ostrzegawczo, szczegółowo, dużymi literami w poradnikach medycznych kierowanych do ludzi prowadzących samych siebie na krótkiej smyczy.

Stałem ciasno przyssany brzuchem do ściany. A pulsujące krwią wewnętrzne młoty biły regularnie w skroń. Słyszałem dookoła muzykę spowinowaconą z dzwonami rurowymi Mike'a Oldfielda. Uciążliwa, natrętna fraza zwielokrotnionego kamertonu rozedrgała wszystko wokół mnie. Domowa scenografia zaczęła nagle płynąć jak obrazy w zwrotnikowym upale. Rozmazywać się jak kolejowe tory w lipcowej perspektywie. Gorączce wakacyjnego dnia.

Mijały – jedna za drugą – niekończące się minuty. Lucille leżała w nogach łóżka. Coraz słabszym, delirycznym głosem bredziła nieznanego pochodzenia czarodziejskie zaklęcia. A ja tkwiłem wciąż przy ścianie niczym słup graniczny. Podążałem śladami starców od tysiącleci reklamowanych w Biblii. Najmniejsze targnięcie głową wzmagało bolesne działanie Bluesa Śmierci.

Może rzeczywiście nadchodził wówczas koniec mojego ziemskiego bytowania. Może nadszedł kres spazmatycznej jawy. W tych przełomowych latach Nowego Tysiąclecia – zapełnionych licznymi wizjonerskimi przepowiedniami – Nostradamus zarzucał sieć z porządkiem spraw jeszcze nieznanych Ziemianom. Nadzieja jednak mnie nie opuszczała. Trwałem. Nie przelatywały mi jeszcze przez głowę sceny z całego dotychczasowego życia.

012. Martin Buber

Po kilkunastu minutach łomotów zaborczy blues kościstej cmentarnej dziwki zelżał. Na tyle, że bardzo powoli – sunąc bosymi stopami po sznurkowym indyjskim dywanie – zacząłem przesuwać się w kierunku okna. Myślałem strachliwie: żeby tylko nikt nie zapukał teraz w drzwi wejściowe. Nie zagrzechotał telefon. Z sufitu żeby nie spadła lampa. Każdy mocniejszy dźwięk wdzierający się do pokoju mógłby na powrót uruchomić krążący wewnątrz mózgu natrętny, destrukcyjny rój.

Drobiąc sposobem opanowanym przez inwalidów, dotarłem do parapetu. Po drugiej stronie okna – w zakamarkach ulicy ukrytych w półcieniach rzucanych przez lampy – lotem trzmiela buczały maszyny pobliskiej drukarni prasowej. Jeszcze krótka chwila i byłbym w jutrzejszym dzienniku pierwszostronicowym newsem opatrzonym wykrzyknikami. Lekki wiatr muskał moją twarz oszpeconą przez skurczone nerwy.

Ugiąłem nogi w kolanach. Przyciągnąłem do siebie lekkie wiklinowe krzesełko. Powolutku opuściłem na nie ciało. Wystawiłem słaboczułe stopy za parapet. Trwałem tak bez ruchu przez wiele martwych minut. Lucille – zwalona działaniem miętowego likieru KB – chrapała rwanymi charknięciami. Na pewno jednak nie śniła o świńsko zarośniętym bałkańskim gwałcicielu.

Zacząłem w myślach rozmawiać z obecnym gdzieś obok Bogiem. Monologowałem z nim po swojemu. Bez certyfikatu pozyskiwanego od jego niepewnych etycznie urzędników. Ojcze, mówiłem do Niego, zupełnie nie poruszając wargami. Z nieruchomo zaciśniętymi szablami ust.

Jestem pewnie dla Ciebie rynsztokowym skurwysynem. Muzycznym odszczepieńcem. Grzesznikiem. Nie święciłem, kiedy trzeba było, dnia świętego. Cudzołożyłem z wieloma występnymi kobietami. Pożądałem żon swoich bliźnich. Kradłem w sklepach jedzenie. Nie płaciłem podatków. Mówiłem fałszywe świadectwo.

Miałem pogańskich bożków. Czciłem ich w pijanym widzie.

Ale przecież nie zrobiłem niczego haniebnego. Podobnie źle – jak ja postępowałem w życiu – kombinują wszyscy dookoła. Wiesz o tym najlepiej. Ty, Największy w kosmosie Twardy Dysku. Przecież stworzyłeś świat. A ile jeszcze zła i nicości przezeń prześwieca? W księdze ksiąg, w Biblii, o Tobie, o Twoim Synu, niewiele jest budujących historii. Za to zamieszkuje tam na stronicach bezlik morderców, kazirodców, złodziei, ludzi kłamliwych i chciwych.

Niegodziwców, których nieobliczalną dobrotliwością wyniosłeś ponad miarę. Przecież przereklamowany w modlitewnikach Adam był zawodowym tchórzem. Mięczakiem wysługującym się kobietą. Jego pierwszy syn, Kain, zabił z zawiści brata. A ten twój król Dawid! Największy żydowski idol? Nieudacznik o sercu zająca!

Biblia to wielowątkowa powieść czytana chciwie przez wychowywanych bez ojców obłąkanych dyktatorów. Ja do nich nie należę. Więc Ojcze grzesznych dzieci, proszę. Odpuść i moje winy. Przyrzekam poprawę. Odprawię solidną pokutę. Pozwól jeszcze przez czas jakiś pożyć na tym najgorszym ze światów. Tak z nim rozmawiałem.

Pozwolił. Jest przecież nieskończenie miłosierny. I nie ma nad sobą rady nadzorczej. Być może działał pod wpływem poddańczego eseju Martina Bubera *Ja i Ty*. Tego Bubera od wciąż nicowanych *Opowieści chasydów*. Kaznodzieję ocierającego się o literackiego Nobla. Siedziałem przy otwartym oknie długo w noc kojoną pełnią księżyca. Półmartwymi girami ułożonymi wysoko – na parapecie – dawałem świadectwo wiary.

Nieudana podróż na Drugą Stronę dobiegała szczęśliwego końca. Dopiero po tygodniu od niepotrzebnych zwierzeń mojej kochanki przestałem czuć nieznośny ucisk w głowie. Mogłem znów wbiegać na korytarzowe schody po kilka stopni. Ale od tego właśnie feralnego dnia postanowiłem zapisywać więcej słów. W zielonym zeszycie *Nostalgic Places* prowadzić codzienne, a przynajmniej regularniejsze zapiski.

Notować na luźnych restauracyjnych jadłospisach utykanych podczas koncertowej trasy w kieszeniach skórzanej kurtki. Więziłem wreszcie fragmenty tekstów w laptopie. Notowałem myśli o mnie. Ale przede wszystkim o ukochanej Lucille. Prowadzenie zapisków stało się rodzajem terapii.

Jak radzą sobie w życiu ludzie, którzy niczego nie zapisują? Niczego nie malują, nie komponują? Jak oni, nieszczęśnicy, uciekają od macek nachalnego szaleństwa. Od trawiącej puste godziny melancholii. Od panicznego strachu przypisanemu ludzkiemu rodzajowi przez liczne religie. Jednakowo okrutne i bezlitosne dla najwierniejszych z wiernych. Czyli dla Gołych, Bosych i Głodnych. Oraz dla niewinnych dzieci. Ludzie syci i bogaci nie mają bowiem z religią nic wspólnego.

013. Ariel Ramirez

W końcówce sierpnia słońce wciąż jeszcze niebezpiecznie rozpalało wiekowe kamienie bruku przy gotyckim kościele Garnizonowym. Wielkiej, ceglastej świątyni dręczonej wielokrotnie tajemniczymi pożarami wzniecanymi nocą. Ich sprawców nigdy nie udało się aresztować. Dzisiaj wokół obrzędowej bryły było podobnie jak w pierwszych zdaniach regenerującej jaźń powieści Brunona Schulza – *Sklepy cynamonowe*. Gorące promienie zmiękczały scenografię tego miejsca.

Tutaj, w rozedrganym temperaturą powietrzu, zarabiałem u Najwyższego Włodarza kolejne dni odpustu. W letnie popołudnie fauna zastępowałem Claude'a Debussy'ego. Na ustnej harmonijce marki Hohner, model Marine Band, grałem solo mszę. Dedykowaną różnokolorowej wakacyjnej publiczności. Zbyt skąpo odzianej jak na miejsce modlitw.

Luzacko zachowującym się kochankom bluesa wydmuchałem z niewielkiego instrumentu Andami podszytą *Mszę kreolską*. Dzieło Argentyńczyka Ariela Ramireza. W kompanii z jazzowym sidemanem, grającym kciukiem na elektrycznym bezprogowym basie, interpretowałem mszę nowatorsko. Zagrałem ją w moim autorskim wydaniu. Wiodłem w surowym kształcie archaicznego bluesa.

Podobnie jak czynił to na archiwalnych płytach wytwórni Chess pierdolnięty kokainą, zwalisty Kokomo Arnold.

Dźwiękami wypływającymi z instrumentu naśladowałem zawołania ulicznych sprzedawców z gett Nowego Orleanu. Opowieści analfabetycznych włóczęgów. Prośby żebraków z poboczy wiecznie zakurzonych bawełnianych dróg. Kopiując kołysanki gargantuicznych piastunek białych bękartów, nadawałem im liturgiczny kształt.

W ten sposób pokazywałem fanom, że muzyka jest uniwersalna, jedna. Sakralny twór Ramireza, mimo że powstał w Południowej Ameryce, może być zajmująco moderowany w różnych estetykach. Nigdy nie zapomnę, jakie piorunujące wrażenie zrobiła na mnie ścieżka dźwiękowa z filmu *Piknik pod Wiszącą Skałą*. Nakręconego przez nieudanego handlarza nieruchomościami, Australijczyka Petera Weira.

Podobał mi się cały film. Hipokryzją malowana epoka wiktoriańska z surową właścicielką pensji, panią Appleyard. W długiej sukni zapinanej wysoko pod szyją. Oraz seksualny chichot naładowanych niewyżytą energią młodych kobiet. Z każdym dniem dojrzewających coraz bardziej do rozkładania ud. Wreszcie Nierozpoznana Tajemnica – mdlejąca w gorącym, rozfalowanym powietrzu Ayers Rock. Świetnie zagrały zdjęcia operatora Russela Boyda.

Wreszcie obłędna, obłędna, obłędna, obłędna muzyka. Właściwie jeden jej ciągnący się, niepokojący leitmotiv. Nieprawdopodobne, mózg świdrujące dźwięki skomponowane przez uchodźcę. Przez Gheorghe'a Zamfira, wyrwanego z oparów rumuńskiego komunizmu. Grającego wirtuozowsko na fletni Pana. Przeobrażającego stare, ludowe melodie Bukowiny i Transylwanii w nuty wibrujące niespokojnym timbrem w krajobrazie ziem utraconych przez Aborygenów.

Płynące z ekranu muzyczne skargi podpisane ręką Zamfira zabierały spokój na wiele godzin po wyjściu z kina. Muzyka Zamfira, obecna także w filmach Quentina Tarantino, przyszła mi do głowy w trakcie koncertu. W kościele Garnizo-

nowym zagrałem solo *Mszę kreolską* w wyczekiwanym przez artystów amoku. Wstrząsany przybyłą nagle febrą uniesienia. Kilka setek oniemiałych słuchaczy zamieniłem w biblijną nałożnicę Lota.

Cisza po wybrzmieniu końcowych nut trwała wiele sekund. Nigdy przed tym harmonijkowym wyznaniem wiary nie czułem podobnych mistycznych dreszczy. Zespalających mnie z Bogiem? Gdy w krzyżowo sklepionej przestrzeni zanikały maruderskie dźwięki *Agnus Dei*, w refektarzu, w nawach bocznych, w przyległościach głównego ołtarza setki uszu pieścił bezdech milczenia.

Następnie – jak w końcowych, koncertowych scenach filmu *Blues Brothers* – sążniste brawa, okrzyki, a nawet niespotykane w kościele gwizdy musiały wzbudzać zawiść wszystkich mieszkających tu świętych. Dziękowałem Szefowi Nieba, że pozwolił mi na krótką chwilę świętokradztwa. Na poczucie się przez czas niedługi półbogiem.

Kyrie, Gloria, Credo, Sanctus, Agnus Dei

Tony kreolskiej mszy Ramireza dały mi nową wiarę. Wyprostowały grzbiet.

014. Roman Polański

Aż do wyjściowej furty trwała ceremonia standardowych pożegnań. Wychodziłem z kościelnej zakrystii spełniony. W uszach słyszałam jeszcze rykoszet niedawnych braw błądzących po gotyckich sklepieniach. W głowie szumiała ziołowa nalewka własnej roboty. Serwowana w grubym rżniętym szkle przez jowialnego proboszcza parafii. W namaszczającym stopniu kapelana pułkownika Wojska Polskiego.

Po drugiej stronie przykościelnego parkingu, w zbawczym cieniu dokonanego dnia, ujrzałem niecodzienny obrazek. W otwartych tylnych drzwiach mocno zużytej dostawczo-terenowej mazdy stała dziwnie schylona kobieta. Odziana w zwiewną, bardzo krótką sukienkę w żywofarbne kolorowe kwiaty. Taką, jakimi w hippisowskich kolekcjach zasłynęła Francuzka Sonia Rykiel, apologetka filozofii prêt-à-porter.

Kusa sukienka wydawała na bezwstyd rozpoczynającego się wieczoru mocno opalone nogi. Aż do czerni wysoko wyciętych majtek. Kobieta miała zauważalnie krótkie nogi. Tak dalekie od doskonałości pałąkowatych kończyn modelek z wybiegu. A jednak ich kolumnowy kształt zadziwiał podniecającą dziewczęcością.

Stała w szerokim rozkroku, przeładowując w aucie bagaże. Konkretnie układała w plastikowym pojemniku butelki z piwem. Nuciła przy tym od pierwszej chwili rozpoznawalną

kołysankę z filmu Polańskiego *Dziecko Rosemary*. Jej zachowanie zdradzało niedawny kontakt z alkoholem. Mormorando wychodziło zupełnie nieźle. Ale skacowana wokalistka zewnętrznie w niczym nie była podobna do Mii Farrow.

Do filigranowej, ciepłej blond aktorki o piskliwym głosie, przypisywanym słynnemu w historii muzyki, wykastrowanemu samcowi Farinellemu. Która najsłynniejszą jazzową kołysankę Komedy śpiewała z dużego ekranu. Właścicielka butelek z piwem była kobietą dobrze zbudowaną. Może lepiej będzie, gdy napiszę – proporcjonalnie zbudowaną. Nie odstręczała nadmiarem kilogramów. Nie płoszyła anoreksją. Była w sam raz. Mrucząc śpiewnie, podniosła głowę ponad drzwi mazdy. Spotkaliśmy się wzrokiem. Miała dobre, maślane oczy. Mimo że wyraźnie draśnięte przebrzmiałym alkoholem.

Tak poznałem Lucille! Kobietę Wzniosłej Miłości.

A później Mojego Upadku. Zobaczyłem ją po raz pierwszy cztery lata temu. Od premierowej chwili, od pierwszej sekundy, nazwałem ją w sposób naturalny i jedyny do przyjęcia – Rudą Kobietą. Z przyczyn, których nie potrafię wyjaśnić – nie uczynią tego nawet twórcy podręczników psychologii – natychmiast skojarzyła mi się z gitarą B.B. Kinga. Dobiegającej osiemdziesiątki globalnej ikony bluesa.

Kojarzyła mi się ze słynnym, używanym najczęściej przez Mistrza, modelem Gibson ES, koloru jesiennych drzew z okolic Wrocławia. Wydającym z głośników pieca Lab Series lepkie i ciepłe dźwięki. Uzupełniające głos pomnikowego króla bluesa. Brzmienie dalekie od kanałowego przesterowania, kombinacji z high-gainem.

Brzmienie tak przyjazne, jak na płycie B.B. Kinga *Reflections*. Na której przysposobił do bluesa *What A Wonderful World*, wielkiego Louisa Armstronga. Ruda Lucille mierzyła ponad

sto siedemdziesiąt centymetrów wzrostu. Przypominała w ostrych kolorach malowane, wyraziste kobiety z obrazów Amerykanina Normana Rockwella.

Szczególnie ten zatytułowany *Dziewczyna w lustrze*. Miała wszędzie, rozrzucone po całym ciele, różnej wielkości niepoliczalne rdzawe piegi. Twarz opalała z durszlakiem. Rude, gęste, sznurkowe włosy, jak się później okazało, też miała wszędzie. Także u zbiegu ud.

Te piegi i te włosy powodowały, że mimo pełnego ciała, minionej czterdziestki, nosiła w sobie coś dziewczęcego, coś z charakteru Lolity.

Cieszyłem się, gdy moje wcześniejsze kobiety goliły łono. Lub czyniłem to ja, do nieskazitelnej gładkości skóry. W przypadku Lucille zaniechałem tego nakręcającego obrządku.

Lubiłem patrzeć długimi minutami, jak dziko rosnąca kosodrzewina rozlegle pokrywała jej podbrzusze. Miała grube, murzyńskie i niespotykanie miękkie wargi. I doskonale zakonserwowane zęby. Równe, białe, duże, wyzywające.

Jak z telewizyjnych reklamówek kręconych w planie amerykańskim. Nigdy prawie nie nosiła biustonosza. Luźne, wciąż nabrzmiałe kule, pulsowały swobodnie, meduzowato pod zbyt obszernymi swetrami. Pod oszczędnie krojonymi sukienkami łatwymi do natychmiastowego zadzierania.

015. Shirley Horn

Lucille miewała często maślane oczy. Ale na ich dnie czaił się tajemniczy strach. Albo skrywana pieczołowicie tajemnica z przeszłości. Spostrzegłem to już po pierwszych chwilach rozmowy. Wynikająca z zawodu estradowego muzyka znajomość ludzi chroniła mnie przed manowcami. Przesuwające się przed moim wzrokiem niezliczone twarze kobiet – egzaltowanych, napalonych oraz dziwek z charakteru – uczyły mnie ulicznej psychologii.

Miała zbyt nisko osadzone pośladki. Jak powiedzieliby nadmiernie się przechwalający następcy Casanovy – była nisko skanalizowana. Pomiędzy pośladkami prężyła się wystająca nad skórą nienaturalnie duża ogonowa kość. Bardzo lubiłem głaskać ją w tym miejscu. Było w tym coś małpiego, odruch stadny. Naciskałem mocno na wybrzuszenie ciała, sprawiając jej ból. Uznając taką zabawę za złośliwość, zawsze strącała moją dłoń.

Lucille ciągnęła za sobą sparciałą rybacką sieć. Pełną występnego szlamu. Starych podgniłych butów. Stęchłej bielizny, szmat ludzi poniewieranych. W której swój dom znalazły skorupiaki. Nosimy przez życie liczne felery własnych ciał i uczynków, nikomu o nich nie mówiąc. Ale wszystkie niedoskonałości tej kobiety polubiłem natychmiast. Z nimi była mi bardzo bliska. Bliższa niż pochód modelek z telewizyjnego kanału Fashion.

Od bioder w górę była ładną kobietą o urodzie ludów słowiańskiego Wschodu. Rozpoznawalnych dzięki wydatnym policzkowym kościom. Miała wąskie dłonie zakończone ruchliwymi palcami. Biust, mimo dawno przebytej czterdziestki, nie przynosił jej wstydu. Słabością Lucille były zbyt rzadkie włosy. Garściami zbierane przez nawet miękkie szczotki.

Spowodowane to było, jak sądziłem, niedostatkiem estrogenu. A może do bram jej organizmu dobijała się niedoczynność tarczycy. Ze wszystkimi konsekwencjami. Śmieszyła mnie szczęka Lucille strzelająca w najbardziej niezwykłych momentach. Na przykład w naszym holenderskim łóżku. Podczas finalnych chwil miłości.

Bawił mnie nos skrzywiony nieco po brutalnym pobiciu przez udającego katolika okrutnego ojca. Na lewej ręce nosiła, ale bez ostentacji, czerwonym tuszem wytatuowaną podobiznę egipskiej bogini Izydy. Zwieńczenie ramienia Lucille przypominało świeżą ranę.

Miała tam Izydę daremnie poszukującą Ozyrysa, zdradzającego ją małżonka.

Bogini przedstawiona została w kształcie kani, drapieżnego ptaka broniącego śmiertelnych ludzi przed wężami, drapieżnikami i innymi strachami. Była symbolem zjednoczenia przeciwstawnych sił kosmicznych. Egipska postać uwieczniona na ramieniu powinna do ziemskich dni ostatnich symbolizować zwycięstwo życia.

Sens tego wydzierganego wizerunku wielkości jaskółki pojąłem wiele miesięcy później. Gdy szukałem odpowiedniego logo na okładkę nowej płyty. Składanki moich najbardziej znanych bluesów. Znak ten zobaczyłem na ramieniu fascynującej czarnoskórej Shirley Horn, tajemniczej, nierozmownej pianistki i wokalistki. Wówczas gdy akompaniowa-

łem jej na hohnerze podczas prezentacji płyty *I Remember Miles*. W klubach jazzowych Berlina.

W utworach *Summertime* oraz *Basin Street Blues* zastępowałem w jej kapeli mojego niedościgłego mistrza – Tootsa Thielemansa. Wykonując jazzowe i okołobluesowe songi z inwalidzkiego wózka, epatowała wytatuowanym wizerunkiem Izydy. Wyglądającym w świetle reflektorów jak krwawa pożoga. Miedziany, rozległy tatuaż wywoływał we mnie wrażenie piekła.

Przez lawinowo rosnącą namiętność do Lucille stawałem się coraz bardziej podległym niewolnikiem jej Czarnej Dziury. Mokry Kosmos wypełniony Krochmalem stawał się moim osobistym hologramem. Ona to, używana teraz obficie, odebrała sprzyjający mi do tej pory cynizm bytowania. Przerwała aroganckie wyobrażenie o świecie. Niwelowała mięsisty smak olewackiego życia. Po raz pierwszy stawałem się posłusznym pariasem kobiety. Powolnym jej zachciankom.

To z powodu jej rudego u dołu podbrzusza po raz pierwszy od ćwierć wieku poszedłem do spowiedzi. W ogromnej katedrze na Ostrowie Tumskim znów przywołałem lekceważoną w młodości maksymę Jakuba Boehmego, średniowiecznego mistyka i szewca.

Bóg powinien być w nas. Inaczej nie ma go wcale.

Poszedłem do konfesjonału wiedziony emocjami. Zbliżyłem się do inkrustowanej budki spowiednika. Serce biło mi jak podczas zbliżeń z Lucille. W myślach przelatywały mi sceny z pierwszych lekcji religii. Na których ksiądz proboszcz Szyszka pokazywał nam z czarnego bakelitowego rzutnika przeźrocza ilustrujące karę za wszystkie grzechy. Egzekwowaną bez litości.

Klęknąłem w pokorze. Szeptem rzuciłem w stronę okratowanego okienka, że pewnie będę mówił niezgodnie z przy-

jętym ceremoniałem. A to z tego powodu, że nie wyznawałem grzechów kapłanom dwadzieścia pięć długich lat. Nie znam już zdań-formułek prologu. Boży sługa zaszeleścił czarną sukienną odzieżą, poprawił modlitewnik, mruknął zachęcająco. Mów synu, mów szczerze, co leży ci na sercu. Pan Bóg nie jest ortodoksą protokołu.

W gotyckiej świątyni, siedzibie tysiącletniego wrocławskiego biskupstwa, trafiłem na wyrozumiałego sługę. Licząc właśnie na to, nie szukałem spowiednika na obrzeżach miasta. Chciałem rozmawiać z rozumnym stoikiem. A nie być strofowanym przez statystę klepiącego pacierze. Niby się spowiadałem. Ale przede wszystkim na klęczkach rozmawiałem z duchownym prawie całą mszę. O tym, czy mogę z Najwyższym rozmawiać bez pośrednictwa Jego urzędników.

Sam na sam. Jeden na jeden. Tak jak czynię to do tej pory. Nie przez ludzkie zawodne ucho. Podatne na podszepty miałkości. Najpierw długo milczał. Pomrukiwał coś o krzywoprzysięstwie. Nie odpowiedział wprost. Ale dał rozgrzeszenie. Poprosił, abym poszukał w Ewangelii św. Marka rozdziału o Jezusie odrzuconym przez swój naród. O winnicy pozbawionej ręki Gospodarza. Tam znajdę odpowiedź na nurtujące mnie pytanie. Dobra, dobra, przysięgałem gorliwie. Pilnie i cierpliwie poszukam. Postaram się zrozumieć słowa Ewangelii.

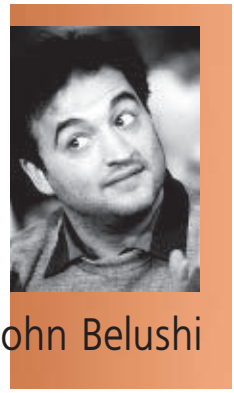

016. John Belushi

Jestem Pięćdziesięciolatkiem. Ostrzyżonym krótko, tuż przy skórze. Przy tym zupełnie siwym. Jak Marek Piwowski, reżyser przez pokolenia oglądanego filmu *Rejs*. Siwym jak chudy, charyzmatyczny bluesman albinos – Johnny Winter. Chociaż cerę mam znacznie bardziej od Wintera ogorzałą. A także wypełnione kluskami pucołowate policzki.

Przypominam komiwojażera raczej niż rasowego bluesmana. Pinokia albo żydowski mam nos. Złamany w młodości na sali treningowej pięściarskiego klubu Turów Zgorzelec. I ważę dwa razy tyle, ile ten wyniszczony dragami, szczapowaty białas.

Mam kilkadziesiąt stron w Internecie i dziesięć profesjonalnie rozbudowanych fan clubów. Lubię dobre jedzenie. Zbieram, lecz nie kolekcjonersko, dziwne, nieprzydatne przedmioty. Szklane, nakrapiane kolorowymi plamami ryby. Produkowane przed laty w socjalistycznej hucie w Pieńsku.

Mam rosyjską lupę z kościaną, szlifowaną rączką. Z wtopionymi trzema rodzajami powiększającego szkła. Trzymam łapkę do drapania pleców wykonaną ze słoniowej kości. Na widocznym miejscu postawiłem w domu porcelanowy półlitrowy kubek opisany dookoła szwabachą: *Pracuj, człowieku, pracuj. A radość przyjdzie sama!*

Lubię nosić w kieszeniach flanelowych spodni stary pozłacany kieszonkowy zegarek z dewizką. Amerykańskiej firmy Hampden Watch & Co – Canton – Ohio. Tysiąc dziewięćset osiemnaście. To moja ważna relikwia. Albo lepiej talizman.

Dostałem go w prezencie od chicagowskiego harmonijkarza Louisa Handmana. Za wspólne festiwalowe jam session. Wspólne zagranie kawałka *The Crossroads* w warszawskiej Sali Kongresowej. Dwa lata temu Handman, skubaniec, nie przyjął ważnej nagrody MTV. A mnie dał z serca mocno pozłacanego sikora.

Ostatnio bierze mnie wieczorne słuchanie wiadomości z trzeszczącego lampowego pioniera. Radia w ciemnobrązowej bakelitowej obudowie. Wyprodukowanego w roku tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym drugim. Roku mojego urodzenia. Lampowy aparat jest więc moim rówieśnikiem. Dbam o niego pieczołowicie. Wycieram często flanelą nasyconą niebieskim płynem od Rossmana. Co jakiś czas uważnie prostuję drut pokojowej anteny.

Jak wcześniej już zapisałem – zewnętrznie, ale i wewnętrznie, z powodu zmierzwionego charakteru, podobny jestem do Johna Adama Belushiego. Urodzonego w Chicago, w roku tysiąc dziewięćset czterdziestym dziewiątym, syna albańskich emigrantów Adama i Agnes. Pojebanego showmana, ministranta bluesa, soulu i rocka. Dzieciństwo spędzającego, podobnie jak ja, głównie z babcią napychającą brzuch wnuka łakociami własnej produkcji.

Belushiego zmarłego w pokoju chicagowskiego hotelu Chateau z powodu przedawkowania dragów. Umarł po zażyciu Szybkiej Kuli w mitycznym Wieku Chrystusowym. Trzy z przodu i trzy z tyłu. Odszedł w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym drugim roku. Jego interpretacja utworu Roberta Johnsona *Sweet Home Chicago* zmieniła moje myślenie o bluesie.

Jego pamiętne estradowe wezwanie:

Każdy z nas potrzebuje miłości! Ty, ty! Ty i ty!

stało się spajającym okrzykiem milionów kochanków.

Zewnętrznie najbardziej podobny jestem do Johna z jego wojennej filmowej komedii – *1941*. Najpełniej, gdy po zakończeniu polowania na japońskie myśliwce, podpity, wyłazi z samolotu z zapalonym petem w ustach. Kiedy na zwykłej stacji benzynowej tuż przy autostradzie próbuje zatankować paliwo do zbiorników swojej maszyny.

Ale coraz częściej wchodzę w stan wyłączenia się z otoczenia. Czuję wokół mokradła, ruchome piaski, widmo śmierci, postępującą martwicę ciała. Louis Armstrong, ochrypły pieśniarz i trębacz, powiedział kiedyś wścibskiemu dziennikarzowi: *Jeśli pytasz, czym jest jazz, nigdy się tego nie dowiesz!*

A jak to jest z bluesem? Muzyk z jajami na miejscu wie doskonale, od pierwszej chwili, co stworzył. Jakiej klasy muzykę. Jakiej prawdziwości rymowany tekst. Lipa to czy feelingowe uniesienie? Jeśli kryguje się przed publicznością, że nie wie – chuj z nim. Jestem muzykiem i twórcą tekstów. Więc czasem mogę bawić się nawet w półboga.

Mogę uśmiercać i zbawiać. Przedłużać zwiędłe przyrodzenia. Czynić kobiety na powrót niewinnymi. Z małą wilgotną jamą. Nienaruszoną przez napalonych mężczyzn. Mogę przedstawiać najbardziej skryte myśli. Mogę kreować ponadludzkie zdarzenia. Otwartą seksualną zuchwałość.

Sweet Home Chicago

Wariacja na temat bluesa Roberta Johnsona

Zapraszam me złotko w podróż
Wnet uda nam się trafić
Do miejsca ze swojską zgagą
Słodkiego domu Chicago!
Sweet home Chicago!

Zapraszam me złotko w podróż
Wnet uda nam się trafić
Do miejsca ze swojską zgagą
Słodkiego domu Chicago!
Sweet home Chicago!

Cóż – jeden i jeden to dwa
Sześć i dwa to osiem
No chodź moja dziecino
Nagrzany znów cię proszę.

Hajdi – hej!

Zapraszam me złotko w podróż
Wnet uda nam się trafić
Do miejsca ze swojską zgagą
Słodkiego domu Chicago!
Sweet home Chicago!

Sześć i trzy to dziewięć
Dziewięć i dziewięć to osiemnaście
Spójrz tylko tam maleńka
Gdzie słońce nigdy nie gaśnie
Sweet home Chicago!

Hajdi – hej!

Zdania zachowane w postaci odręcznego tekstu napisanego czarnym cienkopisem w zeszycie formatu A-4. Z sygnaturą niemieckiej firmy Toppoint z Nordhorn. Notatniku zatytułowanym:

Welcome!!!

Pod adresem producenta widniały słowa:

Hotel Pod Orłem
59 900 Zgorzelec
Warszawska 17
Telefon (0048) 75 77 524 53
Apartament 115

Prolog

Najdroższa Lucille! Moja Wielka Miłości! Rudowłosa!
Piszę do ciebie ze Zgorzelca.
Miasta, które kocham bez wzajemności.
Naprowadzam słowa na sznurki zdań w tutejszym hotelu Pod Orłem.
W apartamencie numer sto piętnaście.
Zawsze, kiedy po śmierci matki przyjeżdżam do miasta mojej młodości, dostaję ten sam zapewniający mi spokój apartament.
Symulujący strzęp rodzinnego domu.

Mam tutaj znajdowane nawet po ciemku gniazdo do zasilacza laptopa.
Tutaj dają mi do mocno sprężynowanego łóżka małą poduszkę typu jasiek.
Nie dostaje jej żaden inny hotelowy gość.
Chciałbym bardzo, abyś w te wrześniowe dni była razem ze mną.
Pragnę nieustannie cię wąchać.
Jeść z tobą ostro przyprawiony tatarski befsztyk.
Popijać go – wspominając przeszłe czasy – wrocławskim fullem.
Serwowanym w smukłych zielonookich butelkach.
Picie tego poszukiwanego piwa było w nadgranicznym mieście, z końcem lat sześćdziesiątych, symbolem sytości i luksusu.
Dzisiaj, w skupisku liszajowatych domów, skorumpowanej policji, bezliku narkomanów chorych na AIDS, przemytników papierosów i złodziei samochodów, triumfują inne bożki.
Cielec Przewały, Statua Występku, Baran Pazerności.
Posąg Ogolonej Głowy.
Nie ma cię teraz przy mnie.
Jesteś niestety we Wrocławiu.
Dzielą nas sto sześćdziesiąt cztery kilometry.

I
The Animals

Na jutro miejscowe polskie i niemieckie media zapowiadają w Amfiteatrze Przyjaźni wielki ponadnarodowy koncert bluesa.
Ja i moja płyta *Tatuaże Bluesa* zagramy rolę główną – wydarzenia wieczoru.
Będzie też mocna ekipa z Görlitz.
Z gwiazdą niemieckiego bluesa Jo Bohnsackiem.

Najgłośniej reklamują jednak Erica Burdona – lidera zakurzonych Animalsów.
Widziałem w hotelu coraz grubszego wykonawcę dwunastotaktowych standardów – Gary'ego Moora.
Znów nicować będzie stare kawałki z *Back To The Blues*.
Dookoła hotelu wszystko coraz intensywniej pachnie marychą.
Ale ja myślę tylko o tobie,
Moja piękna Lucille!
Przy rozgrzanej wolframem nocnej lampce i włączonym laptopie więzi mnie teraz rozrzewnienie.
Pragnę wszystko ci o sobie opowiedzieć.
Wyrzucić ból niepowodzeń. Objawioną nagle miłość.
Mackowate strachy nadpływającej starości.
Chcę ci wyjawić, kto pragnie dotykać cię wszędzie i bez ograniczeń.
Co to za człowiek kładzie się wczesnym wieczorem do chłodnego łóżka. Zasłanego pedantycznie wyprasowaną pościelą.
Po to tylko, aby szybko zamknąć powieki.
Móc pod nimi marzyć o tobie do woli.
Często mówiłaś, że nie ma świata ani Dobrego, ani Złego.
Tylko nasze myślenie takim je czyni.
To prawda!
Skłaniam się w twoją stronę z dala od pospolitości.
Twój uśmiech przywołany w pamięci uruchamia liczne mrówki wewnątrz mnie.
Odległy zapach twojego ciała przysyła mi sen znaczony w finale spermą.
Wybrałem ciebie.
Kocham Lucille!

II
Prosciutto

Więc czytaj Ruda Kobieto!
Pod wpływem kosmicznych działań Wodnika spłodzono mnie właśnie tutaj.
W nadgranicznym Zgorzelcu.
Mieście silnie czerwonych dachówek pokrywających budynki licznych umiejscowionych tutaj koszar.
Bastionie naszpikowanym wojskami pogranicza.
Za trzy miesiące zobaczę w przypominających pokutne krzyże oknach mojego domu cyfrę pięćdziesiąt!
Smuga cienia coraz częściej rozjątrza skrywaną do tej pory, mylną wiarę w nieśmiertelność.
Wciąż jednak żyję.
Dzięki tobie znów, niczym młokos, doznaję prawdziwego szczęścia. Rozpuszczam się w czymś wspaniałym.
W Lucille!
Przyszłość staje się dniami pożądanej lekkości.
Znowu przybyła!
Nieustannie pragnę cię mieć.
Wchodzić w ciebie zawsze, kiedy tylko zapragnę.
Lubię cię lizać.
Jak w młodości musującą oranżadę w proszku.
Lubię łupane włoskie orzechy i łatwo obieralne mandarynki.
Moje ulubione dietetyczne danie to prosciutto z doliny San Danielle.
Do tego zimny, soczysty melon.
Oraz ser roquefort obsypany po bokach kaparami.
Wreszcie nabrzmiałe kule czerwonych winogron.
I gorący – pękający uskokami – czosnkowy chleb ciabatta.
Wszystko to popijam kwartami kalifornijskiego wina

„Chardonnay savignone". Podawanego wbrew etykiecie w wielkich grubych szklanicach.
Lubię też potrawy z pamiętnych dni niedostatków dzieciństwa.
Młode ziemniaki z nadmiernym dywanem świeżego koperku.
Do tego dymiący mielony kotlet pełen wonnych kraterów.
I zasmażaną młodą kapustę z jej kapitalnym kwaskowatym sosem.

III
Bata

Przed laty chodziłem na ruskie bazary z tandetą kupować klasyczne nakręcane zegarki na rękę.
Z jak największą ilością rubinowych kamieni.
Mołnia, ural, zarja, łucz, rakieta, poliot, pobieda, wostok, moskwa. Mam ich kilkadziesiąt sztuk.
W szufladach skrzyń przytarganych z targów staroci mam wojskowe lornetki made in USSR.
Lupy powiększające ze szkłami Carla Zeissa.
Portfele z wytłaczanymi w skórze herbami zakaukaskich miast.
I prawdziwe hartowane fińskie noże z pachnącymi oliwą ostrzami.
Lubię nosić dobre markowe buty.
Na przykład obszywane ręcznie grubą żółtą nicią.
Na kauczukowej słoninie.
Butami mam wyłożone spody ubraniowych szaf.
Leży tam ich blisko sto par.
Niektórych nie miałem okazji założyć od dobrych kilku lat.
Najlepsze z nich to wysokie, czarne, sznurowane, klasyczne trzewiki firmy Bata.

Ostatnio dwadzieścia pięć par, ledwo używanych oraz zupełnie nowych, podarowałem trunkowym chłopakom z myjni benzynowej stacji Orlen.
Myślę coraz częściej, aby zamieszkać w wiejskim budynku.
Takim przerobionym z kamiennej stajni.
Albo ze starego wodnego młyna.
Byłby tam jeden ogromny pokój bez tynków, zabudowany starymi meblami, wielkim łóżkiem.
Wypełniony tysiącami nieprzeczytanych książek.
I sprzętem z naszą ulubioną muzyką, Lucille.
Bluesem w wielu postaciach.

IV
Advocaat

Książki czytam po kawałku.
Za to kilka naraz.
Aktualnie: *Dziennik* Henri Amiela, *Wehikuł czasu* Wellsa, *Wschód, Zachód* Rushdiego, biografię Rolling Stonesów, *Święto wiosny* Carpentiera, *Twórcę* Borgesa, *Autoportret reportera* Kapuścińskiego, *Sztukę wojny* Sun-Tzu, *Cząstki elementarne* Michela Houellebecqa, *Wczesne smutki* Danilo Kiša i *Nieśmiertelność* Milana Kundery.
Znów, jak przed wielu laty, lubię dużo czytać.
Najchętniej jednak dzienniki, zapiski, notatniki, wspomnienia, osobiste, życiowe sprawozdania wielkich.
Na literaturę z przewidywalną narracją, łatwym do odgadnięcia finałem, jestem już zbyt wyrafinowany.
Myję się wyłącznie mydłem w płynie.
Nawet w najlepszych restauracjach gazowaną wodę mineralną piję wprost z butelek.
W tym także wody luksusowe i drogie: perriera, mattoni, vichy.

A nawet słynną wodę z czeskiego uzdrowiska Láznì Libverda.
Którą wielokrotnie smakował upudrowany romantyk Carl Maria von Weber. Oraz mroczny, niezdolny do miłości milczek, Franz Kafka.
Wyłącznie z gwinta piję też osiemnastoprocentowego advocaata.
Lubię gruby makaron al dente z chudą, kawałkowaną, żyłkowaną wołowiną. Mierzi mnie nadęta towarzyska celebra sztucznych inteligentów.
Zwisa mi szaleństwo windsurfingu.
Oraz jazda na nartach.
Poważam byłego amerykańskiego prezydenta Clintona.
Za cygaro podane Monice Lewińskiej.
Za uznanie dla bluesa i za śmiesznie nieporadną grę jazzowych standardów na saksofonie.

V
Citizen

Uosobienie sprzedajnego seksu to dla mnie wyzywająca rajfura ubrana wyłącznie w rajstopy z nabłyszczanej lycry.
Pochylona nisko, z szeroko rozstawionymi nogami, przy lilipucim czerwonym kabriolecie. Od strony kierowcy.
Często widzę taki właśnie senny obrazek, gdy penis – upominany przez pełny pęcherz – nabrzmiewa mi nocą.
Nie podobają mi się wzory zegarków firmy Citizen.
Żałuję, że nigdy w życiu nie dogonię już wyobraźni młodych komputerowców.
Ważę sto kilogramów.
Zawsze chodzę zbyt lekko ubrany.
Nigdy w życiu nie nosiłem i nosić nie będę kalesonów.

Jestem człowiekiem zanadto oszczędnym.
Mam nadmiernie wysokie ciśnienie.
Dolne zawsze powyżej stu.
Boję się chodzić do lekarzy. Nie byłem u nich od lat.
Przesadnie dbam o książki.
Nie potrafię niczego naprawić przy samochodzie.
Używam zbyt dużo soli.
Za to cukru w ogóle.
Mam trzydzieści podręczników do niemieckiego i ponad czterdzieści do angielskiego.
Ale nic z tego nie wynika.
Chociaż myślę naiwnie, że każda następna zmusi mnie wreszcie do nauki języków.
Zbyt często podlewam kaktusy przywiezione z Andaluzji.
Nienawidzę gównianych papek – zup w proszku.
Zdzieralne listki kuchennych kalendarzy zapisuję myślami nagle przychodzącymi.
W miesięczniku *Twórczość* opublikowałem opowiadanie o śmierci bluesmana Ryszarda Riedla.

VI
Kia Retona

Przez cały boży rok sypiam wyłącznie nago.
Akceptuję naszych sąsiadów – braci Czechów.
Chociaż to uczucie irracjonalne.
Ale gdy piję wielkopopowickiego kozła w półlitrowych kuflach, wymiękam.
Używam coraz częściej, szczególnie podczas jazdy moją terenową kią retoną, okularów leczniczych.
Założyłem je trzynastego grudnia tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego siódmego roku.
Z własnej woli jestem więźniem rock'n'rollowej filozofii Blues Brothers.

Blues jest moim wielkim przesłaniem!
Moim całym życiem!
Mam misję od Boga!

Przed laty, w weekendowe dni, uwalałem się pijany na dywan i bardzo głośno słuchałem Muddy'ego Watersa, Ko Ko Taylor, Buddy'ego Guya, Brownie McGhee, Sonny'ego Boya Williamsona.
Także jazz koi moje wnętrze. Szczególnie wielkie big-bandy w stylu orkiestry Buddy'ego Richa.
Joe Cocker to gość, którego śpiew, przed i po upadku tego artysty, mocno akceptuję.
Podobnie jest z czarnoskórym, niewidomym Rayem Charlesem.
Uważam się za niezgorszego smakosza. Sprawdzonego na wielu stołach, setkach przyjęć.
Po domu, latem i zimą, chodzę boso.
Młode Niemki kojarzą mi się z bezproblemowym bzykaniem.
Zawsze miałem stałe partnerki, więc nie używam lateksowych gum.
Nie piszę bluesów do szuflady.
Pisanie tekstów to pieprzona, ciężka i ukochana zarazem praca.
Nigdy nie biorę książek czy gazet do toalety.
Mam dwadzieścia własnych karykatur szkicowanych przez wybitnych polskich rysowników.

VII
Pronit

W tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym pierwszym roku za noc ze starszą ode mnie kobietą z górniczej wioski Zatonie pod Bogatynią dostałem w prezencie wymarzony longplay fonograficznej firmy Pronit.

Nazywał się *Wołanie o słońce nad światem*.
Krążek legendarnej grupy Dżamble.
Grałem w piłkę nożną z heavymetalowymi muzykami zespołu Iron Maiden. Ścierałem się ostro z wokalistą Bruce'em Dickinsonem.
Czuję w środku muzykę gitarzysty Johna Scofielda.
Osłabia mnie żar solówek hammondowca Jimmy'ego Smitha.
W ukraińskim Zaporożu próbowałem po pijanemu podprowadzić z przepastnego muzeum teczkę służbową z czarnej świńskiej skóry.
Należącą do byłego I Sekretarza KPZR Leonida Breżniewa.
Innym razem komsomolcy z Kijowa chcieli mnie – zaraz po koncercie – wyrzucić poza granice ZSRR.
Wygadałem się po pijaku, że wręczone mi małe brązowe popiersie z główką Lenina przerobię na gałkę drążka zmiany biegów w terenowej nivie.
Mam mocny rower górski, osprzęt Sachsa, opony Fuldy, siodełko Seller Italia.

VIII
Ameryka

Ucząc się w technikum, wyreżyserowałem *Pluskwę*.
Teatralną sztukę rewolucjonisty Majakowskiego.
Grałem w niej z powodzeniem główną rolę – pijaka Prysypkina.
Akceptuję kobiety wyzwolone.
Ale nie wulgarne.
Zagrałem główną rolę w komediowym filmie *Jazz dla Mass*.
A w teatrze – w sztuce *Żegnaj, Judaszu* Ireneusza Iredyńskiego.
Kreowałem rolę starego boksera z zasadami.

Lubię świeże grzyby duszone w ukwaszonej śmietanie.
I młode ziemniaki obsypane koperkiem.
Biorą mnie kobiety nie do końca rozebrane.
Zupełnie nagie są aseksualne.
W młodości wstrząsnęła mną książka *Ameryka* Franza Kafki i Salingera *Buszujący w zbożu*.
Na stacjach benzynowych tankuję zawsze pełny zbiornik.
Lubię ciepłe, nostalgiczne, wczesne kino Miloša Formana.
Mam pewność, że nie dożyję do wieku, w którym mężczyźni noszą sztuczne szczęki.
Przyjaźniłem się z nieżyjącym już aktorem Himilsbachem.
Z którym w długim tourneé objechałem Dolny Śląsk.
Swoje już w życiu zagrałem, wytańczyłem i wypiłem.
Nie znoszę kręcić się tanecznie po parkiecie.
Alkohol przestałem brać do ust.

IX
Blues

Napisałem ponad sto piosenek.
Płyta *Tatuaże Bluesa* jest dla mnie najważniejsza.
Mój pierwszy zakurzony sztubacko papieros to mazur sprzedawany w papierowych paczkach po dziesięć sztuk.
W latach siedemdziesiątych gryzłem często prażony słonecznik.
Popsułem zęby.
Mam w dupie ćwiczenia na siłowni.
Lubię powolne spacery parkowymi alejami z rękoma założonymi do tyłu.
Wrażenie zrobiła na mnie książka *Pachnidło* Süskinda.
Wchłaniałem chciwie wszystkie powieści amerykańskiego skurwiela, pijaka i bitnika Charlesa Bukowskiego.

Zbyt rzadko odwiedzałem w Zgorzelcu schorowaną mamę.
Anioła miasta Zgorzelec.
Wierzę, że prawdziwa ojczyzna człowieka jest w jego dzieciństwie.
Fotografie robię japońskim aparatem cyfrowym Konica Minolta Dimage x/50. Ma pięć milionów pikseli.
Pierwsze w życiu lakierki założyłem na nogi w grudniu tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego ósmego roku.
Nie znoszę kondomiarskich garniturów.
Olewam uciskające szyję krawaty.
Nie jestem nawiedzonym majsterkowiczem.
Nie jestem żrącym tabletki garściami lekomanem.
Mam ponad tysiąc wizytówek innych ludzi.
W dzieciństwie mocno przeżywałem przygody Tytusa, Romka i A'Tomka.

X
Land-rover

Kobietom rzadko darowuję kwiaty. Raczej książki słynnych autorów.
Namówiłem piosenkarkę Ewę Bem do pisania felietonów.
Zapominam o imieninach i urodzinach najbliższych.
Nie gimnastykuję się regularnie.
Wcale się nie gimnastykuję.
Nigdy nie kupiłbym samochodu firm Daewoo, Fiat, Opel.
Nie kręcą mnie ani trochę.
Gdy słucham kapeli Blood & Sweat and Tears wciąż potnieją mi jajka. Szczególnie przy *Spinning Wheel* Davida Claytona Thomasa.
Marzeniem mojej starości jest terenowy land-rover defender dziewięćdziesąt.

Albo toyota hilux, samochód talibów.
Ale na kię retonę nie narzekam.
Lubię patrzeć przez okno pędzącego pociągu.
Nie cierpię ludzi podszytych skrajnościami.
Mam blisko czterysta ilustrowanych książek kucharskich z całego świata.
Lubiłem, gdy mama przyrządzała wielkopolską zupę czerninę albo octowaną fasolową, białe kluchy na parze, gzik ze świeżego twarogu.
Gdy w soboty produkowała ze starego przetopionego twarogu lejący się ser z kminkiem.
Nigdy w życiu niczego samodzielnie nie wyprasowałem.
Uwielbiam dobre prowincjonalne hotele.
Szwajcarskie pensjonaty, niemieckie stylowe hoteliki.
Przed laty, podczas winobrań w okolicach Wiesbaden, przez wiele dni spałem na betonowej podłodze garażu.
Za zarobione w ten sposób pieniądze kupiłem kilkanaście harmonijek Hohnera.
Oraz przechodzonego forda taunusa combi.

XI
McDonald

Drażnią mnie słabe teatralne sztuki.
Złotoustych picerów wyczuwam na kilometr.
Nigdy nie jadłem fastfoodowej paszy w Pizza Hut.
W McDonald's zasiadam raz na kilka miesięcy.
W tym przy wylocie z Wrocławia, obok benzynowej stacji Aral.
Nie znoszę supermarketów.
U kobiet lubię czarne, grube rajstopy sto den. Lub cienkie, sześćdziesiąt den, za to śnieżnobiałe.
Kręcą mnie bokserskie mecze pierwszoligowej Gwardii.
Zajadam się gliwiejącymi serami bez udziału chleba.

Zdarzało mi się prowadzić auto na niezgorszej lufie.
Nie żuję z byle powodu gumy.
Szukam zapamiętanego z dzieciństwa specyficznego zapachu przedszkolnej kuchni.
Nie wierzę reklamom past do zębów.
Oglądam z aprobatą satyryczne rysunki Mleczki, Czeczota, Krauzego.
Zazdroszczę talentu pisarzowi i dramaturgowi Januszowi Głowackiemu.
Bierze mnie szorstki głos Etty James i Sugar Pie Desanto.
Kombinuję ciekawe kulinarne składanki, np. winogrona, anchois i młode ziemniaki w mundurkach.

XII
Diaprel MR

Uwielbiam przyglądać się udającym suki, zaganianym blondynkom.
Mam sześćdziesiąt par spodenek bokserek.
Dałem je sobie uszyć na miarę.
Lubię przesiadywać w letnich kawiarnianych ogródkach.
Mam dziesiątki pomysłów dziennie.
Nie starcza mi tylko cierpliwości do ich realizacji.
Ale jak za coś się biorę, robię to skutecznie.
Wódkę piłem w przeszłości małymi łyczkami. Straszliwie brzydziło to biesiadników.
Nie znoszę stadnego działania.
Lubię oglądać stare książki, filmy dokumentalne, ryciny w klimacie Breughla, Dürera.
Będąc w świecie, podpatruję, jak inni organizują bluesowe koncerty.
Najbardziej lubię pracować w sobotę i niedzielę.
Wstaję o ósmej rano.

Chodzę spać grubo po północy.
Na wyczucie, bez konsultacji z lekarzem, połykam czasem tabletki Prestarium i Diaprelu MR.
Słucham tylko lokalnych rozgłośni państwowego radia.
Podchodzi mi kulinarnie nadmiernie wysmażony kruchy boczek z kalifornijską śliwką.
Seksualnie kobiety najbardziej biorą mnie na kacu.
Kaca mam niestety coraz rzadziej.
Nigdy nie noszę chusteczek do nosa.
Nie zabieram ze sobą szalika, rękawiczek, parasolki.
A mam tego po szufladach w bród.

XIII
Wrocław

Kocham Wrocław!
Moje miejsce do śmierci.
Lubię wrocławski bar Mewa, gdzie jest najlepsza i najtańsza kuchnia w mieście.
Mielony – niecałe dwa złote, ogórkowa – złotówkę.
Podchodzą mi arabskie dania restauracji Kebab Hut, tej przy Teatrze Polskim. Nie znoszę coca-coli.
Za to kompot z rabarbaru owszem.
Jestem z miasta.
Ale podoba mi się ospałość letnich wiosek, ich żarem z nieba zniekształcany wizerunek, woń żniwnej stodoły.
Chociaż rzadko wiejskie życie toczy się z moim udziałem.
Czytam tygodnik „Forum".
Moją krew porusza śpiew Chaki Khan.
Lubię brnąć pod prąd ogólnie przyjętych schematów.
W Zgorzelcu byłem najlepszym sześciodzwonkowym ministrantem.

A za zakrystią wypijaliśmy proboszczowi Szyszce mszalne białe wino. Prawie bezalkoholowe.
Nigdy nie paliłem i nie palę papierosów zawodowo.
Latem tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego roku w zgorzeleckiej kawiarni Łużyczanka wąchałem klej butapren.
Przed laty owijałem pieczołowicie książki w plakaty filmowe.
Nie lubię kobiet zaczytujących się w babskich pismach.
Fascynujących się sprawami fiuta.
Zaś w domu udających purytańskie małpy.
Akceptuję samochody typu combi, minivany i terenowe.
Mam w domu pięćset rolek papieru toaletowego kupionego okazyjnie po osiem groszy za rolkę.

XIV
Summertime

Dwa razy w roku odwiedzam w celach towarzyskich potężną, ważącą sto pięćdziesiąt kilogramów Marię Stodołę.
Niezwykłej żywotności właścicielkę pogrzebowego zakładu na cmentarzu osobowickim.
Nie chodzę wieczorami po knajpach.
Nigdy też specjalnie nie umawiałem się na picie.
Nie miałem i nie mam na własność magnetowidu.
Prawiczkiem przestałem być latem tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego ósmego roku. W wieku lat siedemnastu.
Stało się to w zgorzeleckiej gipsowej willi powiatowego partyjnego działacza.
A tak naprawdę wieśniaka mieszkającego przy ulicy Wilhelma Piecka.
Miał ładną córkę i maniery buraka.

Położyłem na mozaikowy parkiet starszą o rok kochankę.
Nie była dziewicą.
Wkrótce zdradziła mnie z przyjezdnym gitarzystą rockowym z zespołu Czerwono-Czarni.
Imponowało jej, że gołą ręką rozbijał szyby zbrojone drutem.
Mój pierwszy akt stał się realnością przy utworze płynącym z Radia Luxemburg – *Miłość jest niebieska*.
Zaglądam często do Biblii.
Chociaż nie zabrałbym jej na bezludną wyspę.
Raczej wziąłbym tam *Jesień patriarchy* Gabriela Garcii Márqueza.
Przez wiele lat byłem jurorem konkursów Miss Polonia.

XV
Görlitz

W tygodniku „Forum" lubiłem w młodości czytać felietony Arta Buchwalda.
Największe piwne uniesienia przeżywałem z kumplami z podwórka.
Byli to bracia Krzysztof i Jerzy Racowie, Michał Zarębski, Piotrek Serafin, Zdzichu Kania.
Często piliśmy w miejskim parku w Görlitz piwo z browaru Landeskrone.
W starym, zadbanym parku, pełnym złuszczonych kasztanowców otaczających Stadthalle.
Szczególnie mieszał nam w głowach jesienny, ciężki, oleisty, siedmioprocentowy Bock.
Do Stadthalle przychodziły gromadami wyzywająco ubrane młode enerdówki.
Najłatwiejsze dziewczyny świata.

Chodziliśmy z nimi w pobliskie krzaki.
Takie jak w *Powiększeniu* Antonioniego.
W finale piwnych seansów biegaliśmy po zaparkowanych przy knajpie trabantach, wywalając w tekturowych dachach dziury.
Dziwne, że nigdy nie zwinęli nas ludzie z politycznej policji Stasi.
Na noc, gdy bardzo mi źle, zażywam mianserin.
Ogłupiające tabletki, które kupiłem na trasie w Hamburgu.
Rano mam po nich wrażliwość Forresta Gumpa.
Uwielbiam zapach świeżych, dziewiczych książek.
W szkole podstawowej z lubością wchłaniałem woń nowych podręczników.
Olewam produkty mleczne wielkich firm jak Danone.
Wolę kefiry z małych, prowincjonalnych mleczarni.
Nie znoszę akwizytorów z ponadnarodowych firm.
Ludzi w znoszonych, tanich garniturach, mówiących sztucznym, ugrzecznionym językiem reklamowym.
Z pamięci nie potrafię zanucić żadnej kompozycji Krzysztofa Pendereckiego.

XVI
Jamboree

Od wielu lat nie kupuję biletów na imprezy kulturalne.
Korzystam wyłącznie z zaproszeń.
Lub wchodzę na twarz.
Mam wspólne zdjęcia z co najmniej setką słynnych osób z show-biznesu. Najbardziej cenię sobie fotografie z B.B. Kingiem, z Keithem Jarrettem.
I to z łysiejącym koniem, genialnym gitarzystą Johnem Scofieldem.
Zrobione wówczas, gdy grałem na festiwalu Jazz Jamboree.

Do języka niemieckiego wprowadziłem neologizm.
Niezbędną podczas menstruacji podpaskę nazwałem: *damen deckel*.
Pisząc publiczne teksty, podpisuję się własnym nazwiskiem.
Przy posiłkach zawsze uświnię garderobę.
Bardzo często ostatnim kęsem.
Szczególnie gdy ubiorę się elegancko.
W Wiesbaden, w domu Bettiny Schreiber przy Kapellenstrasse, liderki Partii Zielonych, poznałem niemieckiego polityka Joschkę Fischera.
Był wówczas taksówkarzem paradującym w chińskich tenisówkach.
Mogę organizować, i organizuję, gigantyczne imprezy masowe.
Zniechęca mnie przepalona żarówka.
Przestałem wielbić moje dawne bożyszcze – szynkę.

XVII
Amarcord

Teksty piosenek w pierwszym kształcie wciąż piszę wiecznym piórem. Parkerem podarowanym przez fankę.
To pozwala na intymność tworzenia.
Laptop spowalnia myślenie.
Przynajmniej przy konstruowaniu pierwszych, surowych zdań.
W czasach szkoły średniej wymieniłem z Andrzejem Piwowarczykiem trzy roczniki miesięcznika „Jazz" na zimowe spodnie w jodełkę.
Zresztą przetarte już w kroku.
Musiałem tam natychmiast wstawić skórzaną łatę.
W sposób zawodowy opanowałem produkcję jajek na miękko.

W toalecie trzymam zawsze podniesioną deskę.
Nie potrafię tonowo wybrać numeru wewnętrznego.
Gram w golfa.
Niestety, tylko dwa, trzy razy w roku na wybrzeżu, w Międzyzdrojach.
Kilka kilometrów od hotelu Amber Baltic.
Nigdy nie gryzłem chipsów „Springle".
Odmawiam spożywania stawianej gorzały.
Filmy, które na mnie zrobiły wrażenie, to m.in.: *Powiększenie*, *Absolwent*, *Nocny kowboj*, *Grek Zorba*, *Miłość blondynki*, *Pociągi pod specjalnym nadzorem*, *Amarcord*, *Blue Velvet*, *Kobieta z wydm*, *Rio Bravo*, *Lot nad kukułczym gniazdem*, *Blues Brothers*, *Rejs*, *Strach na wróble*, *Odrażający, brudni, źli*.

XVIII
Müsli

Przeczytałem przynajmniej sto pięćdziesiąt okołowojennych kieszonkowych książeczek z serii z Tygrysem.
Dopiero w wieku pięćdziesięciu lat zacząłem jeść müsli w różnych odmianach smakowych.
Do tej pory spluwałem z obrzydzeniem na widok tej dziwnej mieszaniny.
W młodości przeżyłem dwa lata bez grosza dzięki życzliwości kucharek z akademika.
Grałem specjalnie dla nich ukraińskie dumki, songi o wędrującym harcerzu. Evergreeny zaciągane pijacko na weselach.
Gdy stukilowe, łaskawe kucharki nie miały humoru, za darmowy obiad obierałem w piwnicy na wpół zgniłe ziemniaki.
A gdy popiły w pracy z okazji narodowego święta albo imienin, deklamowałem im teksty archaicznych

bluesów z czasów Skipa Jamesa czy Lonniego Johnsona.
Szanuję tradycję.
Jestem tolerancyjny.
A z wiekiem coraz bardziej wyrozumiały.
Staję się stoikiem.
Taki jestem ja, Blues Brother.
Mój list jest chaotyczny, ale specjalnie go nie układałem.
Ot, taki strumień nieocenzurowanych myśli.
Więcej grzechów nie pamiętam.
Za te i za wszystkie przepraszam.
Serdecznie za nie żałuję.
Kocham cię, Lucille!
Kocham cię tak, jak w życiu nie kochałem żadnej z kobiet.
Gdy wrócę do Wrocławia, będę prosił, abyś swoje dni na stałe złączyła z moimi.
Do śmierci twojej lub mojej.

Twój Blues

Epilog

Odłożyłem reklamowy cienkopis z napisem *Hotel Pod Orłem*.
W słupku piśmiennego żelu zostało już niewiele.
Pustka dzwoniła elektrycznością.
Długo siedziałem skulony przy małej, agregatem buczącej lodówce.
Milczałem, milczałem, milczałem.
Niespokojnie śpiewał poluzowany transformator kinkietu.
Zza okien dobiegał tłumiony freejazzowy zew ruchliwej o tej porze ulicy Warszawskiej.
Złodzieje samochodów wykradanych z Niemiec wjechali z łupem na drogi Polandii.

Zebrałem gęsto zapisane kartki rozrzucone po całym biurku.
Nagle w dolnych piętrach hotelu, w piwnicy, groźnie zamruczała ziemia.
W sąsiednim pokoju kobieta udawanym ochrypłym kwikiem dochodziła do mety.
Za szklaną taflą szyby z wielką szybkością przeleciało stado czarnych kruków w żółtych skórzanych pilotkach wciśniętych na ptasie łebki.
Ktoś niecierpliwie, jak w tekstach Anglika George'a Orwella, zaczął dobijać się do drzwi.
Pierdolca dostał sekundnik urala.
Zwariowała wskazówka mojego ręcznego sowieckiego zegarka.
Wyprodukowanego w latach czterdziestych.
Kręciła się jak oszalała.
Jakby grała w komediowych niemych filmach z Haroldem Lloydem.

017. Aretha Franklin

Lucille pracowała w Panoramie Firm. Jako akwizycyjny *unit manager*. Taką nosiła wizytówkę z pleksiglasu. Przypiętą do służbowej, stalowego koloru garsonki *made in China*. Ta wizytówka i ta szara garsonka – a przede wszystkim jej wieczorna praca – wzbudziły moje pierwsze podejrzenia. Kim naprawdę jest Ruda Kobieta?

Coraz napływała do mózgu uporczywa myśl, iż chodzenie po ludziach i instytucjach pozwala jej przede wszystkim znajdować i wybierać samców do jebania. Myślałem, zazdrością skażony, że Panorama Firm jest wygodną przykrywką do życia w nieustannym rozpustnym bałaganie.

Chociaż przy mnie zmieniła się gwałtownie. Rzuciła palenie. Gotowała dwudaniowe obiady z kompotem. Zaczęła dbać o schludniejszy wygląd garderoby. A przede wszystkim o czystość bielizny. Nie malowała się nazbyt grubo, nadmiernie wyzywająco.

Piekła bezsmakowe ciasto z zakalcem, które bez odkrawania spalonego spodu rzadko kiedy nadawało się do jedzenia. A które jednak pożerałem z łapczywością. Jak mocno przereklamowane produkty wrocławskiej cukierni Bliklego. Częściej niż do tej pory przebywała z córką Marysią. Ale to właśnie

Marysia rzuciła pierwszy cień podejrzeń, początek swój biorących w okolicach męskich jaj.

Powiedziała mi kiedyś z dziecięcym zadowoleniem, że nareszcie, dzięki panu, panie Blues, na powrót odzyskuję mamę. Dawniej, zanim pana poznała, mamy prawie nigdy nie było w domu. Dzwoniła wieczorami, najczęściej mówiąc, że bardzo mnie kocha. Ale przez telefon tego nie czułam. Bałam się ciemności i chrobotania przy drzwiach. Teraz jestem spokojniejsza.

Rzeczywiście! W zużytym służbowym notatniku, który z rozmysłem ukradłem z jej domu wiele miesięcy później, pełno było chybotliwych, pijanych wpisów o spotkaniach w okolicach godziny dwudziestej drugiej. A nawet o północy. Często miały to być spotkania w prywatnych mieszkaniach. Macedońska dwadzieścia dwa, łamane przez cztery. Duboisa siedem przez siedem.

Przecież nikt cny o tej porze nie przeprowadza biznesów. Nie zamawia firmowych długopisów, kalendarzy, reklam i ogłoszeń. Zeszyt w czarnej skórze wypełniony nazwiskami klientów Panoramy Firm miał jeszcze jedną zastanawiającą prawidłowość. Wieczornymi rozmówcami byli wyłącznie mężczyźni. Kobiety rachitycznie, ledwie wychylały się ze stron.

Informacje przy damskich wpisach dotyczyły fryzjerki, telefonów szmaciarni typu second hand, terminu oddania kilkusetzłotowego długu. Dowiedziałem się też od jej uczynnych przyjaciółek, że w Panoramie Firm była pierwszą chętną do organizacji integracyjnych imprez w terenie.

Także firmowych pijaństw. Spotkań polepszających niby wizerunek ponadnarodowych firm. Żyjących dostatnio z nabierania naiwnych frajerów.

Wyjazdowe szkolenia w Kazimierzu nad Wisłą były jej koronną specjalnością.

Zostawiała w domu córkę, która w wieczornym tańcu rozchybotanych cieni, w chroboczącej pod parkietem samotności, w więzieniu betonowego bunkra czekała na te faryzeuszowskie telefoniczne: kocham cię, córeczko. Mamusia jest z tobą. Przywiozę ci prezent.

Najczęściej był to kamień-krzesiwo podniesiony z brzegu Wisły. Błyszczący świeżością kasztan, wykradziona z restauracji łyżeczka, stary fantazyjny jadłospis. Mógł to być mosiężny numer hotelowego pokoju, w którym mieszkała – wykręcony z drzwi pilnikiem do paznokci. Albo dziwnie uformowana butelka po drogim alkoholu wypełniona morskim piaskiem z okolic Kołobrzegu.

Kurwa! Jak ja nienawidziłem tego także przy mnie zbyt często powtarzanego banału. Kocham cię, moja córeczko, sapała podniecona do słuchawki. Mam dla ciebie, kochanie, nowy miesięcznik „Gala". Z twoją ulubienicą Avril Lavigne. I jednocześnie unosiła w górę rudo upstrzony zadek. Szeroko rozkładała krótkie nogi. Drugą dłonią szukała moich jaj i kutasa, gdy nazbyt gorączkowo zdzierałem z niej czerniznę.

Pragnąłem jednak Rudej Kobiety bezkrytycznie. Nosiła w sobie kolor jesiennego parku. Barwę złocistych liści. Ślady niepohamowanej nostalgii. Zapowiedź przyszłych niezwyczajnych zdarzeń. W pierwszym okresie miłości była lotna jak *Freedom*. Wielki soulowy hymn Arethy Franklin.

Nie miała w sobie nic z ufryzowanych dup żyjących olewacko dla facetów w jedwabnych krawatach. Po kilkanaście godzin dziennie biorących udział w nieustannym Wyścigu Szczurów. Z dziko rosnącą rudą kosodrzewiną, sięgającą aż po schowany w tłuszczu pępek, wydawała mi się ładniejsza niż modelka pozująca do *Narodzin Wenus* Sandra Botticellego.

Kochałem coraz bardziej stalagmitowy strzęp jej dzikiego mięsa.

Pozostały po niedokładnie wyrugowanej dziewiczej błonie. Albo po partacko wykonanej operacji chirurgicznej. Wierzyłem, że wreszcie zaniknie jej zastanawiające milczenie.

Była mało rozmowna. Jakby bała się za dużo powiedzieć. Tłumaczyłem to czasem niezbędnym do wzajemnych obserwacji, oswojenia się z nową sytuacją. Nie byłem więc na początku nazbyt dociekliwy. Po dwóch ostatnich latach znoszenia obecności przypadkowych, bezosobowych kobiet bardzo chciałem mieć sukę. Oddaną i wierną. Sukę w najlepszym tego słowa znaczeniu.

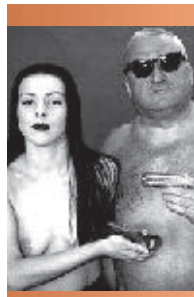

018. B.B. King & Mała Lucille

Pragnąłem mieć kobietę, która zachrypłym, jeszcze pościelowym głosem powie z nastaniem brzasku: Najdroższy Bluesie! Miałam w nocy piękny sen. Byliśmy na twoim jubileuszu w nowojorskiej Carnegie Hall. Grałeś tam ze starym Mayallem płytę – *Tatuaże Bluesa*. Grałeś wyłącznie dla mnie. To było wspaniałe, mój najdroższy Bluesie! Pragnąłem być wreszcie z kobietą, która pożąda mnie nie tylko z tego powodu, iż uparła się, że przeleci ją facet z koncertowego plakatu.

Starzy Chińczycy mówili, że ten, kto kocha, jest na drodze do nieuchronnej przegranej. Ale nie chciałem już słuchać przestróg Mencjusza. Chciałem mocno kochać. Pragnąłem budzić rankiem moją kobietę solówką Jamesa Cottona z utworu *Missisipi Freight Train*. W której udawałbym nadjeżdżający parowóz. W laptopa wklepywać z nią wspólnie przeżyte teksty do moich nowych piosenek. Może nawet wspólnie je później śpiewać przed estradową premierą.

Po zwichrzonych latach pragnąłem mieszczaństwa. Opieki. Na przykład do pięćdziesiątego roku życia moja twarz nie czuła zbyt wiele kremu. Nie widziała go w ogóle. Mam w domu mało kosmetyków. Najczęściej myję się w zimnej wodzie. W zimnej wodzie czyszczę zęby twardą szczoteczką. Dosyć mam już dookolnego zimna. Chociaż z poprzed-

nimi stałymi kobietami żyłem w przyjaźni. Nawet po rozstaniu. Z byłą żoną jestem w komitywie doskonałej.

Żadna z kobiet nie znalazła po mnie stałego partnera. Z Lucille natomiast, wiem to na pewno, nie zaprzyjaźnię się nigdy. Mogę ją wyłącznie mocno kochać. Albo silnie nienawidzić. Tylko skrajności. Żadnej wody po kisielu. Jeszcze nie była dla mnie miarą wszechrzeczy. Ale już zapach jej ciała stapiał w okolicach kolan drgające pożądaniem mięśnie.

Chciałem być z Rudowłosą na full. W jesienny weekend, przy użyciu aparatu Boehringer Mannheim – teutońskiego urządzenia do mierzenia poziomu cukru we krwi – w kuchni, przy sosnowym kredensie, wymieniliśmy Płyn Życia. Uczyniliśmy to, szanując powagę chwili. Przytuleni, bezustannie lizaliśmy się po twarzach. Jak psy.

Językami czyściliśmy sobie nawzajem zęby. Zawładnęło nami rzadko spotykane Uniesienie. Działo się to wszystko bez pośrednictwa wszędobylskiej, niszczącej gorzały. Lucille, zupełnie nago, usiadła okrakiem na mojej nodze. Czułem na udzie szczecinę Oślinionej Owcy. Patrząc mi prosto w oczy, podała opuszek serdecznego palca. Nakłułem go germańskim aparatem. Potem naciąłem też swój kciuk.

Wypłynęła z nich leniwie ciemna, gęsta krew, tworząc dwie wciąż wzbierające krople. Wymieszaliśmy je, zlizując powstały koktajl z przyśpieszonymi oddechami. Zakrwawionymi językami całowaliśmy się po szyjach, po policzkach, po oczach, czole, zostawiając ciemne smugi. Złapałem Lucille mocno za uszy, odchylając głowę do tyłu. Miała podnietą rozszerzone źrenice.

Jej twarz była otwartym, bezgrzesznym niebem. Wezbrała w nas niezwykła Euforia. Wypełniona krótkimi, świszczącymi oddechami. Bez potrzeby wkładania do Mokradła niecierpliwego kutasa. Bez udawanych pościelowych pojęki-

wań. Takiej chwili nie przeżywałem nigdy dotąd. Lucille także sprawiała wrażenie kobiety trąconej Fantasmagorią. Szeptała cicho – Bluesieee, Bluuuesie....

Wierzyłem w ten posoką naznaczony szept. Sądziłem uzurpatorsko, że do tego dnia nie wiedziała, iż do mężczyzny można mówić ciepło, zdrobniale. A obok podejrzanego milczenia istnieją zaklęcia miłości. Siedząc nago na moim udzie, w coraz większym rozkroku, wycisnęła z przepony zdanie przeznaczone do głębokiego namysłu.

Bluesie, zaskowytała poddańczo. Proszę cię na wszystko, co mam najcenniejszego. Na moją przyszłość. Zdrowie mojej córki. Proszę, wybacz mi moje głupie, niegodne ciebie dotychczasowe życie. Przebacz mi, proszę. Gdybym wiedziała, że kiedykolwiek spotkam takiego człowieka jak ty, do dzisiaj żyłabym zupełnie inaczej. Wybaczam, wyrwało mi się to trudne do wypowiedzenia słowo.

Lucille przyrządziła wystawną kolację. Dobre francuskie sery, kalifornijskie wina i nieustanne się obściskiwanie. Po kolejnej butelce sauvignone wymyśliłem, że wprawdzie do dzisiaj mieliśmy kutasa i cipę, członka i waginę, fiuta i szparę, jednak po użyciu aparatu Boehringer te nazwy stały się nazbyt trywialne. Nadaliśmy więc nowe określenia. Wymyśliliśmy je wyłącznie dla nas. Z oczywistego powodu – uczucia puchnącego każdego dnia coraz bardziej.

B.B. King!!!

Tak nazwaliśmy mój starzejący się członek.

Mała Lucille!!!

Otrzymała nazwę luźna jama Rudej Kobiety. Podobna do grzyba – piestrzenicy kasztanowatej.

Nalepa, ojciec polskiego bluesa, śpiewał w tym czasie z głośnika yamahy song: Jak dobrze ci w tej sukni. Oni zaraz

przyjdą tu. Czyżby w tej mojej Smudze Cienia zaczynało się nowe, barwniejsze życie? Po wieloletniej nieobecności w świątyni poszedłem do spowiedzi. W garnizonowym kościele powiesili na ścianie Chrystusa. Żywo przypominającego Tadeusza Nalepę. Tak oto finiszowało przymierze krwi. Czy naprawdę nie ma takich wielkich ust, by mogły wszystko wypowiedzieć?

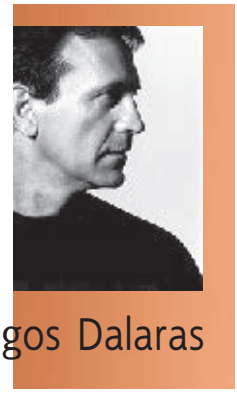

019. Jorgos Dalaras

Byłem wyczerpany i prawie szczęśliwy. Ale już kilka dni później kołatało we mnie zwątpienie. Lucille przyszła z dworu wieczorem, rozmemłana, podpita, wulgarna. Spotkanie załogi naszej korporacji, tłumaczyła nieszczerze. Masz obiekcje? Miałem. Niedawny niecodzienny list, obnażający mnie zupełnie, napisałem w hotelu Pod Orłem po głębokim zastanowieniu. Wymianę krwi czyniłem z rozmysłem i nadzieją. Budowałem podwaliny naszego wspólnego domu. Czy słusznie?

Znów intrygowała mnie nierozpoznana do końca Ruda Kobieta. Myślałem tylko o niej. Gdzie jest? Co aktualnie robi? Gdzie i jakie spożywa potrawy? Jak często zmienia majtki? Jaki jest ich kolor? Czy nadal korzysta z nienawistnego, burdelem emanującego notatnika z logo Panoramy Firm? Nie mogłem znieść tej dręczącej szarady.

Pożądliwym zapachem zrudziałego ciała, mieszanką potu, koniaku i papierosowego tytoniu zabierała mi coraz większe połacie rozsądku.

Czarną Dziurą w rudej ramce z poskręcanych włosów zasłoniła mi horyzont. Dlaczego z Lucille właśnie postanowiłem skończyć ziemską drogę do piekła? Wędrówkę starzejącego się mężczyzny używającego w przeszłości licznych kobiet. Wkładającego B.B. Kinga do Małej Lucille, kiedy tylko jeszcze się uda.

Pragnąłem mieć na starość kobietę, której się regularnie używa. To bardzo ważne. Prawdziwy, spełniony kontakt pomiędzy kobietą i mężczyzną liczy się tylko wtedy, gdy wielokrotnie namaszczasz ją Krochmalem. A także Krwią, Potem i Łzami. Inaczej klęska. Panicznie bałem się zestarzeć z kobietą ratlerkiem. Z papużką nierozłączką. Z gdaczącą pańcią dla wyczesanego psa. Sflaczałą, zapudrowaną Barbie.

Zszarzeć z partnerką, z którą nie zaznałem walki i męczeństwa w skotłowanym wyrze. Nie chcę starczo dogorywać z kobietą, o którą nie trawiła mnie zazdrość spowodowana jej intymnymi przeżyciami. Zazdrość o dawnych facetów złażących z niej po akcie. Z kobietą, z którą nie zaznałem wzajemnego szarpania bielizny. Nie czułem w powietrzu słodkawego zapachu występku.

Bałem się zaniku emocji przyspieszających oddech na widok szeroko rozsuniętych ud. Taki zanik przybliżałby powinności eunucha. Coraz częstsze zawroty głowy doświadczane bez powodu potęgowały strach. Ustawiczne myśli krążące wokół jej łososiowych majtek, samonośnych białych pończoch w koronkowe wzory pozwalały trwać.

Kosodrzewina na podbrzuszu, zapowiadająca jesień, koiła złe myśli. To wszystko mnie ustawiało. Podpowiadało – z Lucille scalę los harmonijkarza.

Z nią powinienem toczyć kamień Syzyfa do usranej śmierci.

Muzyka Sfer wyznaczała mi w ten sposób partnerkę dozgonną. Literatura pełna jest soczystych opisów kobiet, jakie posiedli niezliczeni bohaterowie milionów powieści. Nie spotkałem jednak na stronicach opasłych tomów wyznań narratora przyznającego się do Kobiety Ostatniej. Do starczej bezradności.

Z tymi myślami pojechałem na kolejny koncert. Znów do rodzinnego Zgorzelca. Graliśmy w górniczej hali widowiskowej. Koncert zatytułowano górnolotnie *Bluesowa Europa bez granic*. Wszystkie bilety rozeszły się wiele dni wcześniej. Wszak plakaty stadami wywieszone na ulicach zapowiadały pierwszą ligę tego gatunku muzyki. W tym mieście początkujący harmonijkarz, czyli ja, pisał do miesięcznika „Jazz" historyjki o zupełnie nieznanym w Polandii Robercie Johnsonie.

Prawdę mówiąc, przerabiałem po swojemu teksty ściągnięte z periodyku „Down Beat". Z Zachodniego Berlina przysyłał mi go rówieśnik, zgorzelecki Żyd. Uciekł w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym ósmym roku w stronę Statuy Wolności, maskując się w zbiorniku na zlewki zamocowanym pod restauracyjnym wagonem enerdowskiej Mitropy. Władze miasta w akcie głupiej zemsty zabrały jego matce mały sklep z pasmanterią.

Tutaj byłem częstym sidemanem greckiego zespołu gitarzysty-samouka Gorysa Ikonomu. Który wiele lat później z popularnym bardem Aten – Jorgosem Dalarasem zjeździł z helleńskimi koncertami świat. Od surowego cywilizacyjnie Anchorage na Alasce. Do zamglonej pedalskiej Antwerpii przesączonej zapachem marychy. Osobliwie w parku Middelhaim.

Wspólnie z Israel Philharmonic Orchestra, gdzie grała masa rosyjskich Żydów, zadziwiał wielonarodową publiczność ciężkimi, archaicznymi rembetikami. Przerobionymi na orkiestrę greckimi więziennymi bluesami z lat dwudziestych i trzydziestych. Tutaj, w Stadthalle, po drugiej stronie Łużyckiej Nysy, grywałem wyjałowionego z feelingu rock'n'rolla. Firmowanego przez enerdowską grupę The Phudys.

Brzmieli tandetnie, od nuty do nuty, jak Pan Bóg przykazał. Bez wariactwa improwizacji. Ale ich menadżer płacił na-

tychmiast po imprezie prawdziwe pieniądze. Sto dolarów do ręki. Bez wypisywania podatkowych kwitów. Kapitalistyczne banknoty pachniały nowymi dżinsami, dobrym jadłem i luksusowymi towarami. Wówczas doznawałem przeświadczenia, że wciąż żyje nie tylko Elvis Presley. Ale także komercyjny blues. Oraz ja.

020. David Hemmings

Po drugiej stronie Łużyckiej Nysy, w Görlitz – w salonie muzycznym na staromiejskim Targu Rybnym – poznałem natomiast niszczącą siłę dźwięków organów Hammonda. Skonstruowanych przez amerykańskiego zegarmistrza. A przede wszystkim poznałem talent niewiarygodnego klawiszowca Jimmiego Smitha. W urządzonym staroświecko składzie płyt, nut i instrumentów jasnowłosa sprzedawczyni podawała mi zza lady stereofoniczne słuchawki. Bez zniecierpliwienia puszczała licencyjne płyty firmy Amiga.

Get My Mojo Working, *Hoochie Coochie Man*, *Livin' It Up* – to wspaniałe krążki czarnoskórego jazzmana, których słuchałem na okrągło. Stałem w kącie salonu, napinając mięśnie podczas solówek organisty. Przysiadałem z wrażenia, nie bacząc na zdziwiony wzrok enerdowskich Niemców. I wychodziłem bez krążka pod pachą. Płyt nie kupowałem nie z powodu ich wysokiej ceny. Uznałem, że na adapterze „Bambino" zabrzmią nazbyt trywialnie.

Tutaj, w Zgorzelcu, w klubowych piwnicach Powiatowego Domu Kultury, zadawałem się cieleśnie z przebiegłymi czarnowłosymi Greczynkami. Udającymi przed swoimi rodakami kobiety cnotliwe. Zwierzęco pociągał mnie niecodzienny w tej geograficznej strefie zapach kobiet Morza Egejskiego. Wionął od nich słodkawy aromat wielkanocnej zupy mairitsa, pełnej delikatnych podrobów pozyskiwanych

z mlecznego jagnięcia. Ostra woń *arni kapama*. Bejcowanej baraniny przez wiele minut duszonej na wolnym ogniu.

One to podarowały mi miłośnie, z dumą odkrywcy potraw, smakosza Brillat-Savarina, pierwsze kawałki słonej fety. Słoiki po dżemie napełnione z meniskiem wypukłym czosnkowym sosem tzatzyki. Wystrugane patyki, na które nadziewano mocno wypieczone souvlaki. Oraz moją rosnącą namiętność – nabrzmiałe od soku czarne oliwki prosto z beczki, wielkości śliwek węgierek. Zmiękczały mnie nieodmiennie.

Ten wywiedziony z Biblii smak wstawiłem na całe życie do kanonu dziesięciu kulinarnych przykazań.

Były to wspaniałe, narkotyczne miesiące spędzane w cieniu filmu *Powiększenie*. Kultowego obrazu nakreślającego naszemu pokoleniu zasady popartowego życia. Oglądałem na ekranie Davida Hemmingsa kilkanaście razy. Uczyłem się chodzić jak on. Dałem sobie uszyć białe spodnie z żaglowego płótna.

Szybko zebrałem potrzebne pieniądze, by kupić półzawodowy enerdowski aparat Pentacon Six TL. Musiałem koniecznie, podobnie jak Hemmings, pstrykać lustrzanką zdjęcia polskim Vanessom Redgrave. Ćwiczyłem z euforią umiejętność artystycznego fotografowania. Zapisywałem na kolorowym trzydziestoszścioklatkowym filmie starożytne rodowodem twarze i jabłkowe, sterczące piersi młodych kruczowłosych Greczynek. To było jak we śnie.

Aby czuć wspólnotę z pop-artem – zupą Campbella w wymiarze Andy'ego Warhola – wszystkie elektryczne kontakty pomalowałem w domu kolorem czerwonej purpury. Z amerykańskiego worka po kukurydzy uszyłem bikiniarską koszulę. Z napisem *USA* na plecach.

Ubiór Hemmingsa, filmowego artysty reklamy: jego słynne białe spodnie, sprane dżinsy; widzialne gadżety wokół niego – wielkie śmigło, wystrój pracowni – były dla mnie wzorami do tubylczych plagiatów. Minispódniczki Mary Quant, wkurwione utwory na płytach grupy The Troggs, narkotykowe wybryki Micka Jaggera, bluesowe koncerty live Alexisa Kornera – tworzyły w Polandii nową klasę ludzi wyluzowanych. W proteście przeciwko gomułkowskiemu małemu realizmowi.

Czytałem zdanie po zdaniu opowiadanie *Babie lato*. Wykorzystane w scenariuszu *Powiększenia*. Opowiadanie autorstwa pisarza z Argentyny – Julio Cortázara. Tego od *Gry w klasy*. Wirtualnie wydeptywałem ulice eleganckiej dzielnicy Chelsea. Odwiedzałem antykwariaty słynnej Carnaby Street. Dzięki *Powiększeniu* miałem pewność odkrywania czegoś nowego, niepokojącego. W całej historii kina powstało niewiele obrazów równie doskonałych.

021. John Gray

Z koncertowej trasy wróciłem do Wrocławia o zmroku. Wypakowywałem z terenowej retony estradowy sprzęt. Wnosiłem po schodach wzmacniacz Marshalla. Pod drzwiami odświętna, mocniej niż zwykle umalowana, stała Ruda Lucille. Że przyjdzie, wiedziałem z przysłanego wcześniej esemesa. Na powitanie podarowała mi promocyjną reklamówkę z pobliskiej włoskiej pizzerii. Oraz używany nadmiernie – z postrzępionymi kartkami – katalog z ubiegłorocznej oferty niemieckich mebli i sprzętów sieci Habitat.

Tak wkrótce będziemy mieszkać, kochany Bluesie – mówiła powitalnymi słowami cicho i ochryple. Głupio, bezwiednie przewracała wygniecione kartki. Widziałem, że jest jakaś wystraszona. Albo wciąż moim hotelowym listem. Albo grzechami, o których jeszcze nie miałem pojęcia. Teraz jednak była obiektem pożądania. Zaraz za drzwiami mieszkania zamknąłem ją w kleszczach ramion.

Powstrzymywałem się przed nadmierną gwałtownością. Rozbierałem ją powoli. Sunącymi po ciele ruchami rąk, naśladującymi jaszczurkę. Przedłużałem zdejmowanie każdej części jej garderoby w konwencji zwolnionego filmu. Szlak moich szorstkich dłoni, niewidoczny, odsłaniał jej ciało coraz bardziej.

Rozebrałem Lucille do naga. Była gotowa do wieczornego zmywania z niej paprochów dnia. Z falą napływającego pożądania patrzyłem na krągłości jej ramion. Miałem w dupie obowiązującą szorstkość udawanego macho. Patrzyłem, jak wyciska na dłoń szampon, rozmazując go na rudej kosodrzewinie. Zapraszająco. Nie odmawiałem. Wspólnie z ciepłą wodą płynącą z prysznica każde z jej ramion przemywałem własnym językiem.

Stała w wannie w lekkim rozkroku. Bluesie, mój Bluesie – szeptała z uległością gówniary, repliki Szekspirowskiej Julii. Położyła dłonie na moich siwych włosach. Oblewając ją wodą, nacierałem ciało gąbką. Reagowała wyraźnym drżeniem na zaledwie muśnięcia opuszków palców. Dyszała zachętą. Drgający nerw w kąciku jej oka, zdradzający zazwyczaj złość, zmieszanie lub przemęczenie, zamarł. Przestał pulsować. Myłem ją gąbką i własnymi wargami. Detergenty w ustach smakowały mi jak migdałowy deser.

Czułem w takiej chwili wielką wspólnotę. Do dzisiaj nienazwaną po imieniu w poprawnych obyczajowo damsko-męskich słownikach. Nieobecną w masowo drukowanych, kieszonkowych czytadłach Johna Graya. Tego, co pisał o kobietach z Wenus i mężczyznach z Marsa. Oraz o Marsjanach i Wenusjankach w sypialni.

Wspólnotę nieobecną także w seksualnych podręcznikach dla prawiczków, erotomanów, niespełnionych emerytów.

Grałem na niej jak na hohnerze najlepszego gatunku. Wytarła się ręcznikiem. Siadła na muszli klozetowej koloru zabielanej kawy. Sikała ze wstydem na twarzy. Patrzyłem na nią z dumą. Jak na Adamową kobietę. Przeznaczoną wyłącznie dla mnie. Stałem i słuchałem tonów pięknego bluesa skomponowanego przez strugę moczu wypływającą z jej wnętrza.

Dzisiaj, podobnie jak czyniłem to już niejeden raz, klęknąłem przed nią i pomiędzy jej kolana wsuwałem rękę, zbierając słomkową ciecz na dłoń. Patrzyliśmy sobie głęboko w oczy. Nie było w nich kurestwa, śladów płatnej miłości. Tylko bezgraniczna ufność. Zwierzęce, ruiczne oddanie. Miłość!

Po kąpieli prowadziła mnie za rękę, jak małe dziecko, do holenderskiego metalowego łoża. Podczas takiej nieodległej wędrówki nie odzywałem się słowem. Spleceni, zapadaliśmy w chłodną pościel. Chcieliśmy być dwuosobową grupą Laokoona. Będąc z Lucille w łóżku, po raz pierwszy od lat nie przejmowałem się wyciekającą na pościel spermą.

Żadne mieszczańskie ręczniczki i flanelowe szmatki haftowane w odlewające się pieski. Zupełnie nie zależało mi na tym, by biel prześcieradła była jednostajną bielą. Mazaliśmy po niej. Stare i nowe plamy były dla mnie konturami zdobywanych lądów. Pytałem nawet zaczepnie, może, rudzielcu, zrobimy następne?

Uśmiechała się tak, że po chwili chcieliśmy tworzyć zarysy nowych kontynentów. Nie lubiłem, gdy mówiła, chodź do mnie, wejdź do środka. Wiedziałem, że zezwalała w ten sposób innym na korzystanie z ciała. Zakazałem jej tak do mnie mówić. Połknęła mój krochmal, szeptała, że czyni to po raz pierwszy w życiu. Chciałem bardzo w to uwierzyć. Pukałem do nieba, nasłuchując echa. Bądź cierpliwy, niespodzianki za rogiem, tuż-tuż, odpowiedziało niebo alfabetem Morse'a.

Drunken Hearted Man

Wariacja na temat bluesa Roberta Johnsona.

Pijane moje serce
Życie marny ma gest
Pijane moje serce
Życie marny ma gest
Choć wciąż o cnym losie marzę
Zmienić się nie sposób jest

Miałem zapał miałem kopa
Od czasu kiedy żyję sam
Miałem zapał miałem kopa
Od czasu kiedy żyję sam
Nie mogę pojąć dlaczego
Do kobiet fartu nie mam

Ojciec zmarł i nas opuścił
Matka krzątała się jak nikt
Ojciec zmarł i nas opuścił
Matka krzątała się jak nikt
Mężczyźni bawią się w miłość
Lecz wygrana w tej grze to mit

Wciąż jest pijane moje serce
A źródłem chlania jest grzech
Wciąż jest pijane moje serce
A źródłem chlania jest grzech
Gdy po kochance kac pozostaje
Sznur na cię czeka czyli pech

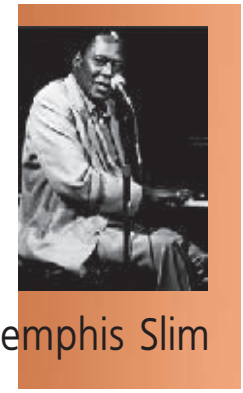

022. Memphis Slim

Tonąłem w Rudej Kobiecie po czubki jej płonących miedzianych włosów. Od kilku dni ekranową tapetą otwierającą użytkowe programy w laptopie HP było anatomiczne zdjęcie Małej Lucille. Zrobiłem je cyfrową konicą o pięciomilionowej rozdzielczości. Przez co jej wnętrze przypominało postrzępiony, krwawiący, zalany niecodziennym światłem Wielki Kanion rzeki Kolorado w mikroskopijnym zbliżeniu.

Albo położone na Księżycu krater Eudoksosa. Naniesione na słynną kolorową mapę Heweliusza już w siedemnastym wieku. Zastanowiła mnie łatwość, z jaką do obiektywu wystawiała łuki ud. Rozkładała szeroko nogi bez najmniejszego wstydu, mimochodem. Jakby robiła to już wiele razy. Także latem nie oponowała słowem, gdy małoobrazkową standardową minoltą obfotografowałem ją nagą po pijanemu. W skwarze bezlitosnego południa.

Na dzikiej kamienistej plaży nieopodal starożytnego bułgarskiego miasteczka Nesebyr. Gdzie nad Morzem Czarnym – przez mało spamiętany tydzień – wypoczywaliśmy jak utracjusze. Żyjąc rozpustnie ponad wszelką miarę. Przy luzackich songach Memphisa Slima – zaproszonego do wspólnego nagrania płyty przez chłopaków z Canned Heat – morskimi kamieniami tłukliśmy za bezcen kupowane podróbki zegarków firmy Rado, Doxa, Omega.

Wieczorami zaś za drobne euro zmuszaliśmy knajpianych muzyków w haftowanych kożuchach – projektowanych przez etnografów – by rzępolili na skórzanych gajdach bałkańskie rytmy. W zakamarkach kamienistej plaży Morza Czarnego zachwycałem gwiazdy wulgarnymi pchnięciami, obracając słońcem rozgrzane ciało Lucille. Byliśmy sami.

Wygniatałem jej kobiece, powolne mi członki, jak chciałem.

Lecz ani razu nie zapytała: po co to, Bluesie, robimy? Czy jest to nam potrzebne do szczęścia? Nie jęczała w babski, przewidywalny sposób. Przestań. Nie tutaj, Bluesie. Ktoś może nas zobaczyć. Bez wahania podawała siebie we wszystkich możliwych pozach. Figurach – jakie pchany prądem alkoholu – wymyślałem na poczekaniu.

Prężyła tors w milczeniu. Pilnując ciągłego napełniania szkła. Ale nie miałem jej tego za złe. Byliśmy oszołomieni wcześniej spożytymi, niepoliczonymi butelkami muskatowej rakiii. Także smażonymi na wolnym ogniu krewetkami przetykanymi pękającymi od ognia solonymi migdałami. Mulami duszonymi w czosnkowym sosie mouclade. I białym rybim mięsem uformowanym w dziwnej czworoboczne foremce. Za dwa dolary udającym hajlajfową langustę.

Jej beznamiętną zgodę na wariacki seans tłumaczyłem rozluźniającym wpływem alkoholu. I ufnością w nasz związek. Nie oglądałem efektów fotografowania. Okazało się, że konica – z powodu zalania – miała uszkodzoną kartę. I dobrze, że miała.

U obnośnego handlarza pirackimi nagraniami, którego natychmiast nazwałem Bułgarski Ślad, kupiłem hurtem kilkanaście bluesowych płyt z zupełnie mi obcej wytwórni Blues Paradise. Tytuł serii – *Good Whiskey Blues*. Okładki to świetnie dobrane obrazy Normana Rockwella. Wspaniała,

zapładniająca kolekcja. Zupełnie tajemnicze nazwiska. Wielkie talenty.

Zdumiewająca wirtuozeria nagranej na płytach muzyki. Wieczorem zajrzałem w hotelu pod internetowy adres wytwórni. To rosyjscy kopiści bluesują swój powstający z kolan naród. Corey Stevens, Bobby Mack, Scott Keeton, Doyle Bramhall. Niektórych z wymienionych nie ma już na świecie. Wybrańcy Bogów żyją krótko.

W bluesowym zawodzie jest rywalizacja wśród wykonawców. Ale nie ma jatki. Na przykład telefonów podczas trwania koncertu: Bluesie, umarła ci matka. Cha, cha, cha! I jak się czujesz, baranie?! Raczej wymiana płyt z Zachodu. Wspólne koncerty dla kilkuset tysięcy prawdziwych fanów w czterdziestomilionowym kraju. Festiwale *Blues Brothers Day* i *Rawa Blues*. W garderobach klimat filmu *Big Lebowski* – Joela i Ethana Coenów. Luz i rozczulające wspomnienia z przeszłości.

023. Charles Baudelaire

Na początku wspólnej drogi z Lucille rezerwuar mojej nieufności był wypełniony po brzegi. Zaraz po jebaniu przechodziłem bezszelestnie do bibliotecznego pokoju. Nie puszczałem z yamahy dwunastotaktowej muzyki. W milczeniu zasiadałem do laptopa. Łączyłem się z Internetem.

Chociaż nie szukałem w jego zasobach niczego specjalnego. Zostawiałem ją w srebrnym metalowym łóżku bez głupich w takich chwilach zapewnień o miłości. Tak jakbym chciał zapomnieć o tym, co się przed chwilą wydarzyło. Nie dzielić chwil odprężenia z Rudą Kobietą.

Później, po wielu tygodniach wspólnego obłapiania się, wszystko wyglądało inaczej. Trudno było mnie z łóżka wygonić. Zawsze po nocy z Lucille, ale przecież nie tylko nocy, bolały mnie kości. Miałem częste zakwasy. Bóle mięśni wokół karku. Przypominały o sobie sflaczałe bicepsy. Kochając, myślałem wyłącznie o niej. Bardzo zależało mi na tym, by jej ożywione oddechy przechodzące w suchy szloch przynależnej suki zwiastowały orgazm.

Zupełnie nie myślałem o sobie. Pragnąłem, aby się uzależniła ode mnie narkotycznie. Klaskała jedną ręką. Nie mogła żyć bez Bluesa i B.B. Kinga.

Uważałem, by w łóżku nie paplała okrągłych, stereotypowych zdań. Tej bardzo wkurwiającej gadaniny podczas gry

wstępnej. Milczała. Tylko milczała. Jej półprzymknięte oczy zachodziły mgłą tajemnicy. Bała się wypowiedzieć słowa, które mogłyby naprowadzić mnie na ślady błotnej przeszłości.

Nigdy też nie mówiła do mnie w łóżku po imieniu. Jeśli już wydobyła z trzewi jeden wyraz, brzmiał on – kochany. Tak było dla niej bezpieczniej. Ale wiele miesięcy później, gdy na dobre oswoiliśmy już nasze wspólne dni, zdenerwowała mnie. Wciąż powtarzanym zwrotem, naśladując papugę. Brzmiał on:

Tak cię czuję! Taki jesteś mój! Tak cię czuję! Taki jesteś mój!

W przywoływanych tu chwilach byliśmy kochankami pasującymi do tez głoszonych przez skandalizującego francuskiego dekadenta – Charles'a Baudelaire'a. Byliśmy bożym ludem. Miałem głębokie przeświadczenie, że to, czym zachwycają się masy, na pewno nie może być dobre. Ale w tym przypadku poddałem się słowom poety, apologety zła i brzydoty, autora tomu *Kwiaty zła*. Napisał, że lud to łatwy do kierowania motłoch. Ale ma jedną doskonałość – zwierzęce pierdolenie. I ono właśnie jest najpiękniejszą poezją prostego ludu.

Gdy była w dobrym humorze, sapała z udawanym zdenerwowaniem: kurza melodia. Zwrot przywieziony ze Wschodu. Skąd przyjechali jej rodzice. Szkoda, że dość rzadko wypowiadała te słowa. Ostatnio mówiła tak na balkonie. Zakładaliśmy kwietny ogródek. Zwoziła z miasta, z ogrodniczych marketów, juki, brunfelsje, afelandry, begonie, kordyliny. W ręcznie malowanych przez córkę glinianych donicach ustawiała kwiaty wzdłuż fantazyjnie kutej bariery.

Przynosiła na balkon dziwnie smakujące zupy, zakalcowate ciasta, makaron daleki od al dente, truskawki polane śmietaną, posypane cukrem pudrem.

Wszystko mi smakowało. Cokolwiek podała. Jedliśmy te potrawy, siedząc naprzeciw siebie na brezentowych reżyserskich krzesełkach. Lucille palcami nóg masowała mi jaja. Ja, przełykając zakalec, wciskałem duży palec u nogi w jej Małą Lucille.

Te niewyszukane zaloty były najlepszymi przyprawami każdego posiłku. Cieszyłem się, że po latach przypadkowych związków mam nareszcie kobietę domową. A nie przygodny towar znikający świtem bez pożegnania. Żywość rozmowy i bezwstyd wywlekania na światło dnia przeszłych historii pojawiały się najintensywniej po czeskiej miętówce.

Czasem, rzadko, piłem z nią absynt, bułgarską anyżówkę – mastikę, greckie, przywożone z Aten przez muzyków ouzo pięć. To były ledwie trunki trywialne, jak polandyjska biała wódka. Dopiero mikstura o nazwie KB Likér zupełnie ją rozwalała. Bredziła konfesyjne opowieści, gdy wypiła nawet niewiele zielonkawego trunku. Przy tym nigdy nie protestowała, kiedy napełniałem kolejne miarki. Jakby z rozmysłem szła na rzeź wspomnień. Nalewałem zatem miętówkę z gorliwością latynoskiego alfonsa.

Kochałem ją coraz bardziej. Więc chciałem wiedzieć, z jaką kobietą będę do końca życia. Poznać jej przeszłość. Ta niepohamowana ciekawość stała się moim przekleństwem. Ale przywoziłem z Czech, z Liberca, z Hradca Králové, całe torby miętówki. I wysłuchiwałem zabijających mnie opowieści. Zielona jak liście marychy na krzaku, jak miętowe nadziewane cukierki, jak płyn do mycia naczyń, niszczyła nasze uczucia. A Lucille opowiadała, opowiadała, opowiadała. Oczyszczała się z przeszłości, która jej najwyraźniej ciążyła.

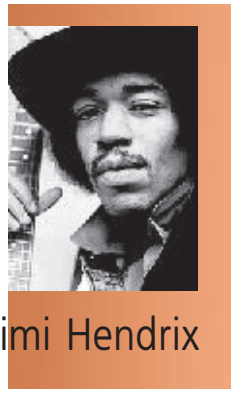

024. Jimi Hendrix

Dzisiaj dostałem wspaniały prezent. Lucille podarowała mi koncertowego hohnera model Unsere Lieblinge. Do którego własnoręcznie uszyła etui z ciemnoczerwonej delikatnej skóry. Na czołowej stronie wytłoczono w złocie godło Polandii – dumnego orła bielika. Ten z safianowej skóry futerał skomponowała z własnego dyplomu ukończenia studiów na Wrocławskim Uniwersytecie! Wydział Astronomii.

Aby okazać miłość, zdarła z książeczki okładkę. Byłem pod wielkim wrażeniem. Zmarnowała państwowy dokument! To na pewno będzie dla ciebie ważne, mówiła cicho wprost do ucha. W ten sposób będziesz bliżej mnie. Pierwszej kobiety po twoim, Bluesie, rozwodzie, która może w domu odbierać telefony. Bardzo mnie wzruszyła tym niezwykłym podarunkiem bez okazji. Puściłem CD z wielką chwałą Jimiego Hendriksa – kompozycją *Hey Joe*.

Puszczając cover Jimiego, odmieniam się. Zastygam. Mam kilkanaście wersji tego zbuntowanego songu. Wiele piracckich. Produkowanych na Ukrainie, Białorusi i w Bułgarii. Nie mam poczucia wyrządzania muzykom krzywdy. Płyty w Polandii są drogie. Kupuję nagrania bluesowych wykonawców, których najczęściej nie ma już na świecie. Płacę zaledwie dwa euro za CD!

Kupuję też płyty jazzowe. Od Kenny'ego Garretta do Jana Garbarka. Od wciąż tasowanych składanek Milesa Davisa do krążków Johna McLaughlina. Wspólnych nagrań Erica Claptona i Johna Mayalla. Aż do oper w wykonaniu Andrei Bocellego.

Wreszcie od półjazzowych łkań miękkiej Nory Jones po niesamowitą Barbarę Hendricks. W księgarniach Berlina, Hamburga, Brukseli trzeba zapłacić za te same tytuły w granicach trzydziestu euro. Wkładając do kieszeni odtwarzacza Yamahy słynny kawałek Hendriksa, powiedziałem mojej kobiecie: Ruda Kobieto!

Muzyka Genialnego Murzyna oraz gryzienie Małej Lucille do woli nadają sens mojemu życiu!

Wsadziła mi do ucha palec, pokręciła nim z wyczuciem. Pocałowała w usta, nie pozwalając na złapanie oddechu. Następnie jak małego chłopca wzięła za rękę i z biblioteki poprowadziła na holenderskie metalowe łoże. Rozbieraliśmy się nawzajem w milczeniu. Jak przed walką zawodowi, najemni żołnierze. Czyli nie gwałtownie, chaotycznie.

Hey Joe dodawał nam energii wyznaczonej intymną sytuacją. Rozsunęła szeroko nogi. Wszedłem w jej Małą Lucille od razu. Bez wstępnego wyszukiwania śliskiej koleiny. Brutalnie. Kochaliśmy się bez jęków, dając pierwszeństwo Jimiemu. Gdy seans z tekstem: tak cię czuję, jesteś taki mój, dobiegł końca, przyniosłem do łóżka czyste kartki.

W euforii jeszcze będąc, wypisałem na nich nazwiska dziesięciu najlepszych moim zdaniem gitarzystów wszech czasów. Nazwiska, które przyszły do mojej głowy w jednej chwili. Ułożyłem je według ważności na prośbę redakcji magazynu „Down Beat". Dałem Lucille do przeczytania. Większość magnetycznych nazwisk była w jej uchu pustym dźwiękiem. Ale wpatrywała się w nie z prawdziwym zainteresowaniem. Podzieliłem się z nią treścią kartki, bo znów miłowałem Boga Bez Twarzy. W takiej chwili nie chciałem być sam. Znów przez chwilę czułem się półbogiem.

01. Jimi Hendrix
02. Duane Allman
03. Stevie Ray Vaughan
04. Eric Clapton
05. Robert Johnson
06. B.B. King
07. Keith Richards
08. Kenny Wayne Shepherd
09. Jimmy Page
10. Ry Cooder

025. Tadeusz Różewicz

Lucille mieszkała w domu ze stemplem gomułkowskiej architektury. W nazwanym na wyrost willą, szkaradnym betonowym klocku ustawionym krzywo przy porośniętej starymi dębami ulicy Januszowickiej. Dokładnie naprzeciw mieszkania tubylczego Wieszcza – Tadeusza Różewicza. Poety uznawanego za wybitnego przez państwowe władze wszystkich politycznych orientacji.

Chociaż dla mnie Różewicz dzisiaj to zdziecinniały staruszek, opowiadający na spotkaniach autorskich o bogatym smaku popularnego mlecznego batonu „Mars". Kupionego na kolejowym dworcu przed czekającą go podróżą do uzdrowiska. To do niego w przypływie wspomaganej przez alkohol odwagi chodziła z wierszami córki Marysi. Smutnej, uduchowionej dziewczynki, która w wieku trzynastu lat z niewyjaśnionych przyczyn zastrzegała się panicznie, że nigdy nie wyjdzie za mąż. Nienawidzi owłosionych mężczyzn.

Lucille przynosiła Mistrzowi najsmutniejsze wiersze świata. Razem z taśmami magnetofonowymi. Na których amatorsko nagrała skrzypcowe utwory wykonywane przez córkę. Mistrz łaskawie przyjmował poezje dziewczynki. Ale nigdy nie wypowiedział słowa o ich jakości.

Betonowy mieszkalny bunkier zostawił jej w spadku ojciec – chciwy lodziarz. Nigdy, nawet przez sekundę, nie lubiłem tego

popadającego w ruinę ponurego pudła. Czułem niechybnie, wiedziałem na pewno, że pod sufitami nieustawnych, niewielkich klatek wisi smog przebrzmiałych gargantuicznych pijaństw. Snuje się chichoczące echo prymitywnych, bełkotliwych pieśni typu *Góralu, czy ci nie żal*.

Wrzasków knajackich, wśród których słowo „kurwa" należało do sążnistych komplementów. A popularny zwrot „jebał cię pies" był wyznaniem wiary w krzywy kapitalizm i dolarowe bony PEKAO. Tutaj ojciec Lucille, szczwany prywaciarz w pierwszym pokoleniu, ujawniał zaufanym kolesiom topografię nieustannych przekrętów, podatkowych łapówek.

Tutaj miało miejsce sarmackie obłapianie się chłopków-roztropków przerobionych na pseudokapitalistów. Pyszniących się rozgrzanymi od wódy, przekrwionymi mordami. Tutaj wreszcie ojciec Rudowłosej lubieżnie chwalił się dorastającą córką, której strzeliste, nabierające kobiecości uda masował własnym kutasem już niejeden raz. Do dnia Pierwszej Komunii.

Wiele miesięcy później, przy kolejnej porcji miętówki KB Likér, opowiedziała szlochając, jak podczas takich zamroczonych, maratońskich spędów siedziała godzinami w kucki pod biesiadnym stołem. Otoczona ze wszystkich stron ruchliwymi nogami biesiadników zakończonymi ciężkimi półbutami na słoninie. Obszytymi grubą żółtą nicią. Albo damskimi kozakami na czarnych koturnach, przypominającymi skórę żaby nadmiernie nadmuchanej przez słomkę.

W weekende wieczory trwała pod blatem potężnego dębowego stołu, niewiele rozumiejąc z bełkotliwego potoku słów uwalonych rzemieślników. To z tamtych dni zostało jej mechaniczne jedzenie suchych bułek. Sikała w białe rajtuzy ze strachu.

Wówczas gdy ojciec i jednocześnie kochanek wywoływał ją chrapliwie, bez używania imienia. Wyłaź, krzyczał, rozbijając przy tym o ściany przywiezione ze Związku Radzieckiego porcelanowe figurki.

Przedstawiające nieogolonych, wkurwionych marynarzy z krążownika Aurora.

Sikała kropelkowo, gdy pijany władca zrzucał ze ścian tandetne reprodukcje Vincenta van Gogha ze słynnym *Mostem Langlois* i nieśmiertelnymi *Słonecznikami*. Wymieszane z wiszącymi obok wizerunkami świętych. Wśród nich z nawróconą jawnogrzesznicą Marią z Magdali. Ją najbardziej wyszydzał, wyzywał od bezwstydnych kurew, żonglując obłudnym katolicyzmem.

Nie lubiłem betonowego klocka przy Januszowickiej. Przeczuwałem pokutujący w nim duch rozpusty. Zastygły odór z przeszłości pozostawiony przez wcześniejszych kochanków Lucille. Zatem bywałem w domu Rudej Kobiety najrzadziej, jak tylko mogłem. W największym pokoju na parterze, nazywanym przez Lucille living roomem, siadałem na brzegu chybotliwego krzesła sczerniałego od brudu. U niej wszystkie krzesła były chybotliwe i zapuszczone. Nigdy nie rozwalałem się na nich jak syte panisko. Tylko jak przybysz zaniepokojony chwilową tutaj obecnością.

Siedząc nieruchomo, co jakiś czas odrywałem od spodni młodego kota miauczącego za karmą. Odsuwałem nogą emanującego permanentnym zapachem szczyn starego, osowiałego, niemieckiego owczarka nietrzymającego moczu. A już na pewno nie położyłbym się na podniszczoną skórzaną kanapę. Widziałem w kadrach wyobraźni walące się na nią męskie torsy. Pod którymi ulegle lądowała moja miłość – Rudowłosa!

Zaledwie kilka razy Krochmalem zapełniałem Małą Lucille przy Januszowickiej. Czyniłem to w małym pokoiku na górze. Na pościeli, którą sam tutaj przyniosłem. Znałem więc życiorys tej materii. Nigdy też w poszukiwaniu szklanki, łyżeczki, talerzyka nie podchodziłem do kredensu z szufladami zakończonymi rozchybotanymi uchwytami.

Ale gdy podała słomkową herbatę, barszczyk z torebki, zakalcowate ciasto, jadłem z apetytem Głodomora. Kochałem!

026. Roy Lichtenstein

Oglądam czarno-białe, podniszczone zdjęcie Lucille. Widzę na nim, w nieostrych konturach, kilkuletnią dziewczynkę w jasnej letniej sukience. Z pieskiem kundelkiem kręcącym się przy chudych, pałąkowatych nogach. Dziewczynka pozuje przed betonowym mieszkalnym klockiem. Schyla się nad zwierzęciem w pozie Samarytanki. Ale jednocześnie patrzy w obiektyw niczym smutna i przedwcześnie dojrzała kobieta.

To musiało być po tym, jak matka – czując się odtrąconą, przegraną rywalką – spaliła jej lalkę. Gdy Lucille miała dziewięć lat, matka z premedytacją wrzuciła jej ulubioną gałgankową zabawkę do ognia. Uczyniła tak z zemsty, której nie mogła publicznie wyjawić. Dziewczynka miała zaszklone oczy, gdy płomienie lizały szmaciany tułów.

A wszystko z tego powodu, że ojciec Lucille często zamykał się w sypialni z córką, aby osobiście czytać jej na dobranoc mroczne bajki autorstwa chorych psychicznie braci Grimm. Zimnym, władczym głosem zakazał żonie zbliżania się do pokoju bez uprzedniego pukania. I tak nigdy by tam nie weszła, wiedząc, w jaki sposób jej życiowy idol te mroczne bajki interpretuje chlebowymi łapami.

Aby zagłuszyć wzbierającą wściekłość i żal, w stojącej na korytarzu balii płukała bardzo głośno pranie. Albo w kuch-

ni przewracała garnkami, wywołując sztuczny rumor. Lalkę spaliła córce na złość. W odwecie zazdrosnej samicy. Aby nie mogła w dziecięcych łzach żalić się szmacianej kukle na niecne postępowanie tatuśka. Jedynej adresatce, która nie wywoływała kropelkowego moczu strachu. I nie odpyskowała grubiańsko.

Po spopieleniu szmacianej przytulanki Lucille nie miała już nikogo bliskiego. Milczała i chudła.

Podobną zrezygnowaną minę outsiderki zobaczyłem, gdy w miejskim szpitalu odwiedzaliśmy Marysię. Córka Rudej Kobiety leczyła tu niewyjaśnione bóle dolnej części brzucha. Sąsiednie łóżko zajmowała dziewczynka klonowato podobna do Lucille ze starego zdjęcia. Była może dwa, trzy lata starsza.

Miała zatem niespełna trzynaście lat. Jak wówczas, gdy Lucille, wypuszczona nad morze bez mamusi i tatusia, po raz pierwszy z własnej nieprzymuszonej woli – podkręconej słodkim, ciężkim zagranicznym winem Mistella – oddała się studentowi z Łodzi.

Matka wysłała ją do Świnoujścia pod opieką zaprzyjaźnionego małżeństwa rzemieślników produkujących pokrowce na samochodowe fotele. Już w drugi dzień pobytu trafiła pod namiot studenta z Łodzi, podrywacza. Nie miał pojęcia, ile mała ma lat. Najpewniej nie chciał wiedzieć, ile wiosen liczy wychudzona tyczka o twarzy dziecka. Na kocu nie było przecież kropli krwi. Nie było okrzyków wypływających z dziewiczego bólu. Więc potraktował ją jak standardowy wakacyjny towar. Do dnia, w którym jedną dobę za wcześnie do nadmorskiego kurortu przyjechał tatusiek.

Poinstruowany przez życzliwych kumpli, znalazł córkę w namiocie przywaloną torsem studenta. Dostał ataku szału. Klasycznego zajoba. Obcy mężczyzna wchodził kutasem

w jego własność. Bez potrzeby czytania baśni braci Grimm. Robił, czego zapragnął, z ciałem należącym tylko do niego, do kochanego tatusia.

Zawył zwierzęco!!! Ty kurwooo, ty gnojuuuu, skurwysynuuu!!! Na namiotowym polu rozpętała się nawałnica.

W sekundę ruchem goryla wyrwał brezent z niewoli aluminiowych śledzi. Jeden z nich złapał jak fiński nóż, starając się ugodzić nim w pierś wrogiego kochanka. Metodą teatralną Stanisławskiego grał karykaturę Szekspirowskiego Jagona. Toczył wokół rzadką ślinę, dzikim wybałuszem oczu straszył gromadzących się wokół wczasowiczów.

Tylko dzięki nim nie zabił rywala. Kilku mężczyzn przygniotło go kolanami do leśnej ściółki. Lucille uciekła, zbierając z trawy biedne części garderoby. Bawełniane majtki. Tani biustonosz. Bohater dramatu został suką przewieziony na komendę.

Po spisaniu protokołów na komisariacie milicji rodzice z córką wyjechali natychmiast do Wrocławia. Matka podczas powrotnej drogi piła w samochodzie na całego. Wyraźnie triumfowała. Król nareszcie był nagi. I miał młodszego rywala. Chore więzy rodzinne poluzowały się w okolicach poprzegu.

Po tym burzliwym wakacyjnym zdarzeniu tatuś dał wreszcie spokój. Widocznie Bóg pogroził mu w końcu Palcem Sprawiedliwości. Tatusiek nie czytał już w ciemnym pokoju okropieństw powstałych w zwichrowanych umysłach braci Grimm. Córka nie czekała już na niego w febrze niepewności, aureoli skwaśniałego potu.

Wszystko to, ustami Lucille, opowiedziała mi miętówka KB Likér. Teraz, w miejskim szpitalu, przymuszałem Rudą Kobietę wzrokiem, aby patrzyła na dziewczynkę zajmującą łóżko

obok Marysi. Jak mogłaś tak łatwo oddawać ciało – bezgłośnie przemawiałem rozgoryczonym spojrzeniem. Miałaś przecież tyle lat, co ta mała, jeszcze dziecko.

Lucille poprawiając pidżamę Marysi, udawała, że nie rozumie, co też wyjawiają moje oczy. Patrzyła na mnie lekkim zezem. Zdawała się mówić: jestem tylko twoja, Bluesie. Trawa jest zielona, a kwiaty czerwone. Ty jesteś Blues, a ja Lucille. To jest prawda. Cokolwiek więcej niż prawda, to zbyt wiele. Przeszłość jest rozsypanym proszkiem.

Szukała językiem po zębach drobin suchej bułki. Jej twarz przywoływała w pamięci prymitywnie pomalowane, celuloidowe oblicza szmacianych lalek. Coraz bardziej przypominała komiksowe, ciemne portrety Roya Lichtensteina. Popartowskie, przerysowane, bez półcieni. Proste. Do rozszyfrowania od pierwszej chwili. Byłem zdezorientowany.

027. Brigitte Bardot

Mam w domu stare przedwojenne talerze firmy Wellner, sosjerki z hitlerowską swastyką, dwie rombowe maselniczki Rosenthala. Stołówkowe platerowe sztućce z przedwojennych polskich uzdrowisk. Meble łączone drewnianymi kołkami. Z epoki, w której stolarze nie używali gwoździ. Wszystko wyprodukowane zostało przez ludzi, którzy od lat już nie żyją. Kupuję takie przedmioty na comiesięcznych giełdach staroci.

Nie podchodzę jednak do zawodowych handlarzy. Ci dyktują niebotyczne ceny, wydymając po pańsku policzki. Biorą je z sufitu. Interesujące mnie starocie wybieram ze szmat ułożonych na betonowym placu. Sprzedają je drobni złodzieje. Albo ludzie, którzy na gwałt potrzebują pieniędzy. A mają na materii wyłożone przednie eksponaty. Rzadkie okazy. Wyszukiwanie ich daje mi wewnętrzną satysfakcję.

Wydaje mi się, że obcując z tak zakupionymi przedmiotami, wchodzę we wspólny Kosmos z ludźmi, których już nie ma. W nieskończony ciąg łańcucha życia. Lubię opierać na starych meblach coraz częściej, za sprawą Lucille, zagubiony wzrok. Lubię słuchać z bakelitowego radioodbiornika „Pionier" trzeszczącego głosu spikera. Zapowiadającego kolejne afery i nieszczęścia w gospodarce. Anonsującego archaiczną bigbandową muzykę Glenna Millera, śmiertelnie

zestrzelonego przez Niemców podczas drugiej światowej wojny.

Przypływa wówczas w czarodziejski sposób zapach utraconego dzieciństwa. Odżywają niespełnione nigdy marzenia młokosa. Jeszcze prawiczka z jajkami bez włosów. Wołającego odważnie i wbrew układom: Zdobędę świat! Będę kimś. Wydam wszystkim bezpardonową walkę! Bez obawy o towarzyskie konsekwencje. Będę miał wiele pięknych kobiet. Z którymi jest podobnie jak z przedmiotami.

Niektóre kobiety są jak zegarki marek Cyma, Doxa, Omega.

A na drugim biegunie: Pobieda, Ural, Wostok. Niektóre to krzesła z linii Gallarda. Rozłożyste kanapy Gattiego, wąskie Paoliniego. Albo zupełnie zwariowane koturnowe łóżka Marca Helda. To talerze z manfaktury w Cluny. Srebrne sztućce ze słynnej fabryki Norblina. A na drugim biegunie aluminiowe, klasycznie barowe. Bez śladów firmowej sygnatury. Pod paltem wynoszone cichcem z mlecznych jadłodajni.

Bez wyprawy na targowisko rzeczy osobliwych nie można znaleźć niczego oryginalnego. Kobiet też trzeba szukać. Nieustannie. Ale ja nie szukałem. Ja już znalazłem. Chciałem być z Lucille do śmierci. Bardzo chciałem. Pomimo że lęgła się we mnie złowroga myśl – jej Mała Lucille jest nadmiernie zużyta. Musiała wiele razy przyjmować na sobie worki męskiego mięsa różnej wielkości. Mięsa, które przyduszało piersi. Uciskało brzuch, miednicę i lędźwie. Zabierało cne życie.

Musiał ją otaczać nieustannie kwaśny zapach nieprzetrawionego alkoholu. Smród spalonego tytoniu różnych marek, ostra woń amoniakiem psutego żołądka. Błysk zepsutych zębów. Gdy byle tors dyszał przy niej rują, pożądliwe

łapy gmerały przy jej wilgotnej, nabrzmiałej jamie, milcząco mściła się na szlamowatej przeszłości.

Gardziła czymś, co mężczyznom produkowało ślinę pożądania. Była jak ta bezrozumna kukła.

Kiedy przed miesiącami po raz pierwszy przyszła do mojego domu w tanecznym wódczanym pląsie, zachowywała się zuchwale, wyzywająco. Więc podobnie jak inni chwilowi kochankowie mogłem w nią wpychać zgłodniałego fiuta. Ale nie zrobiłem tego. Chciałem poczekać na rozwój wypadków. Czułem w Rudej Kobiecie ledwie maskowaną powierzchowność tej seksualnej ostentacji. A przede wszystkim nie byłem pewien, czy mi stanie.

Pojawiła się w moich ścianach w świetle dnia, przed południem. Przybyła niczym Brigitte Bardot. Z owocem grzechu, z zielonym jabłkiem w dłoni. I nie wyglądała jak na rewersie śmiesznie kolorowanego lusterka. Które w młodości nosiłem w tylnej kieszeni dżinsów „Super Rifle". Weszła jak bogini z filmu Rogera Vadima *I Bóg stworzył kobietę*. Tyle że nie była blondynką.

Pojawiła się ruda niczym wiewiórka. Tyle że z szerszymi biodrami i znacznie większym biustem. Rozglądała się ciekawie dookoła. A ja bardzo się wstydziłem. Miałem brudne okienne parapety. Zakurzone, od miesięcy niemyte szyby. Porozwalane po całym domu książki. Sterty nieaktualnych już, porzuconych gazet. Zeszyty nutowe w szafie z garderobą. I zlewozmywak pełen talerzy i sztućców. Miałem akurat doła.

Usiadła na brzegu holenderskiego metalowego łóżka. Puściłem machinalnie CD. Arie wielkiej pieśniarki Joan Sutherland. Australijska gwiazda śpiewała nagrane w Metropolitan Opera kreacje z oper Belliniego, Rossiniego i Meyerbeera.

Nie chciałem w ten sposób robić na Lucille wrażenia. Płyta słynnej sopranistki leżała na wierzchu stosu. Milczeliśmy. Scena była surrealna. Pisk Sutherland, brud mieszkania i niespełnieni kochankowie siedzący przy oknach bez firanek.

Zmieszany, zacząłem robić to, co czynię, gdy mam zasiąść do pisania muzyki albo tekstów piosenek. Opróżniałem pusty kosz na śmieci. Z dywanu podnosiłem nieistniejące paprochy. Poprawiałem idiotycznie ustawienie krzeseł, przesuwałem skórzany fotel. Na ile mogłem, opóźniałem zasiadanie przed wyłączonym laptopem. Lucille milczała. Czułem, że jest mi wdzięczna, że nie rzuciłem się grubiańsko na jej ciało zaraz po zamknięciu drzwi wejściowych.

Ramblin' on My Mind

Wariacja na temat bluesa Roberta Johnsona

Brudne myśli
Brudne myśli w głowie mam
Brudne myśli
Brudne myśli w głowie mam

Żal opuszczać cię mała
Lecz traktujesz mnie jak chłam
Mimo że grzeszne myśli
O twym łonie w głowie mam

Dziecino ach dziecino
Grzechy wciąż widzę we śnie
Żal opuszczać cię mała
Lecz jak chłam traktujesz mnie

W te pędy biegnę na dworzec
Pociąg w ruchu dogonię
Biegnę w te pędy na dworzec
Nie będę marudnym słoniem

Blues o damie Owakiej
Małe dziecko śpiewa w głos
Jak kamfora znikam w świetle poranka
Bezradny przeklinając los

Opuszczam to miasto z rana
Bacząc na losu stan
Żal opuszczać moją małą
Lecz traktuje mnie jak chłam

028. Ella Fitzgerald

Ella Fitzgerald wydala z głośników yamahy oleisty kawałek – *Old Devil Moon*. A ja coraz bardziej chaotycznie kształtuję postępujące po sobie zdania. Narracja tych zapisków coraz mocniej opiera się logice. Przeskakuję fakty i czas akcji. Ale wiadomo – klasyczna beletrystyka jest zbyt schludna. Zatem na kartkach zielonego zeszytu *Nostalgic Places* operuję Rozgardiaszem Prawdziwego Życia.

Miłość na tych zapisywanych chybotliwym pismem kratkowanych stronicach zwycięża atakującą cukrzycę. Na widok – na woń samicy o nazwie Lucille – mój zagubiony, więdnący B.B. King odzyskuje prawo do swojej dumnej nazwy. Ale jednocześnie rozpierdalają mnie w malignie rodzone opowieści o licznych użytkownikach jej Rudego Kosmosu.

Opowieści, które sam masochistycznie wywołuję na świat. Sam je kreuję przy pomocy czeskiego, zielonego, pepermintowego trunku o nazwie KB Likér. Produkowanego w Czechach pod adresem: 400 07 Ústí nad Labem – Krásné Březno, ulice Drážďanská 80. Założeno 1847. On jest moim pomocnikiem. Sprawia, że historia nieodpłatnego dziwkarstwa Lucille zamienia się na jej wargach w swoiste *Baśnie z tysiąca i jednej nocy*. One to sprawiają, że kocham Lucille i jednocześnie z całych sił jej nienawidzę.

Znalazłem wczoraj w jej portfelu wiersz nieudolnie napisany na maszynie. Bez polskich czcionek. Stary wiersz. Sprzed kilku lat. Pisała go pewnie w Kanadzie. Był o tym, że koniecznie chce mieć za męża artystę. Wyłącznie prawdziwego artystę. Chce być oddaną, wierną muzą na usługach Posiadacza Talentu

A przecież nie była kobietą czytającą do poduszki Miltona *Raj utracony*.

Myśli Lucjusza Seneki ulatywały od niej bardzo daleko. Chociaż rozumiała zapewne jedno z jego przesłań, że dobrodziejstw Sztuki nie można, ot tak, dotknąć ręką, bo wpierw rodzą się one w duszy. Wertowała – jednak nieuważnie – kolorowe gazety drukowane w setkach tysięcy egzemplarzy. Przeznaczone dla kobiet wyglądających ekscytującego jutra. Ignorowała teksty o czarodziejskich właściwościach drogich kremów L'Oréal. Tak naprawdę zajmowały ją jedynie pikantne artykuły o szczęśliwym jebaniu.

Wokół czuło się wówczas nadchodzący dreszcz oddawania się mężczyźnie. Oddychała głębiej niż zwykle. Deformowała T-shirt, naciągając go mocno na złączone kolana. Była wówczas nieobecna. Czasem towarzyszyła jej Kanadyjka Diana Krall. Albo młoda, smukła, jeszcze nieznana w Europie Argentynka Gabriela Andres, genialnie odtwarzająca cover *The Girl from Ipanema*. Lucille puszczała ten utwór w kółko kilka razy.

Zauważałem też u niej coraz dziwniejsze zachowanie. W nieoczekiwanych chwilach rzucała na boki gwałtownymi spojrzeniami. Patrzyła nieruchomo przed siebie i nagle jej oczne gałki skakały w tańcu świętego Wita. Widziałem takie ruchy u ludzi niespełna rozumu. Gdy natomiast przeżuwała jedzenie, głośno trzaskała jej na zawiasach szczęka. Często ordynarnie ziewała z otwartymi ustami.

Uczyłem ją, aby podczas ziewania dłonią przysłaniała usta. Jakiś czas się starała. Ale widziałem, jak nauki te idą na marne. Była pierwszą kobietą w moim otoczeniu, która puszczała bąki bez oznak wstydu. Uznawała to nawet za dobry żart. Ostatnio żartowała w ten sposób w wypełnionej ludźmi cukierni.

Zaczęła objawiać się ciemniejsza część jej osobowości.

Niepokoiło mnie też to, że wyprzedawała albo zastawiała w komisie pozostałe po rodzicach ostatnie złote monety – południowoafrykańskie kruggerandy. Także skupowane w socjalizmie od uczestników Pociągów Przyjaźni ciężkie, ordynarne pierścionki podłej próby nasadzane opalami. Złote ruskie zegarki z rubinowymi kamieniami. Wielkie kolczyki z wytłaczanymi literami cyrlicy.

Mówiła, że czyni tak, aby otworzyć własny biznes, który utrzyma ją i mnie. Bo musisz przecież, Bluesie, żyć bez doczesnych trosk, bez egzystencjalnych kłopotów, lizała mnie językiem lepkim od miętowego likieru. Skupić się musisz, mój drogi, wyłącznie na produkcji zachwycających bluesów. Na nagrywaniu nagradzanych w świecie płyt. Tak pragmatycznie mówiła.

A ja niejeden raz wykupywałem ją z lombardu. Ale nie na długo. Po kilku dniach znów zanosiła tam wszystko, co miało jakąkolwiek wartość. I mnie paliło złoto należące dawniej do jej ojca. Konkretnie złoty zegarek „Rakieta" z toporną, ciężką bransoletą. Założyłem go kilka razy na rękę. Ale parzył, uruchamiał wyobraźnię, przypominał, co kochany tatuś robił z córką w przeszłości.

029. Sylvia Plath

Bez litości masakrowała gazety wszelkiej maści. Zupełnie nie szanowała książek. Śliniła i zaginała, nadrywała stronice. Namaszczała je zupą, odznaczała kawałkami makaronu. Między kartkami gromadziła resztki lakieru z paznokci. Przyniesione z księgarni powieści po jednym dotknięciu Lucille przypominały zdeflorowane tomy z podrzędnej komunalnej wypożyczalni.

Dałem jej do czytania *Mewę*. Romantyczną miniprozę Richarda Bacha. Przed laty książka ta – po raz pierwszy drukowana w tygodniku „Literatura" – zrobiła na mnie duże wrażenie. Ale nie na Rudej Kobiecie. Twardą okładkę przełamała na pół. Stronice przypominały ptasią toaletę upstrzoną drobnymi gównami. Z treści zapamiętała to tylko, że mewa pędząca z prędkością karabinowego pocisku musi być głupia. Jakby nie mogła kombinować inaczej z tym lataniem.

Nie mogłem tego ścierpieć. Ja, który, by w młodości zaoszczędzić pieniądze na zakup powieści Williama Faulknera czy Kurta Vonneguta, do jednego mielonego zamawiałem w tanim mlecznym barze trzy porcje kartofli z tłuszczem. Nigdy odwrotnie. Zawijałem świeżo nabyte wielkie amerykańskie powieści pieczołowicie w filmowe plakaty. Nadając okładkom nowy graficzny wymiar.

Teraz, przy działalności Lucille, obserwowałem degrengoladę mojej pokaźnej biblioteki. Ale mimo zniszczeń przymuszałem Rudowłosą do czytania książek: *Żartu* Milana Kundery. *Zbyt głośnej samotności* Hrabala. Kazałem jej czytać tom Howarda Gardnera – *Niepospolite umysły*. Wskazywałem na szkic o pisarce Virginii Woolf. Sądząc, że był trochę o psychice Lucille.

Podsuwałem do czytania miłosne historie o Zeldzie i Scottcie Fitzgeraldzie. Opowiadałem o przesłaniu powieści *Wielki Gatsby*. Najbardziej przejęła się jednak biografią nadwrażliwej poetki, Sylvii Plath, autorki *Szklanego klosza*. Fascynowała się artykułem zamieszczonym w kolorowym gazetowym dodatku, „Wysokich Obcasach". Bredziła po kilku kieliszkach miętówki, że chce być dla mnie jak Sylvia dla swojego uduchowionego, chociaż okrutnego kochanka.

Umieranie jest sztuką jak wszystko inne

– mamrotała płynną miętą.

Ja będę w tym szczególnie dobra, przekonywała. Jak gdyby chciała szybko umrzeć. Jakby obawiała się, że wkrótce wyjdzie na jaw jej skancerowane życie. I między nami nastąpi koniec. Ludzkie historie lubią się powtarzać. Mówiła, że Droga Krzyżowa Plath to jest także historia o nas.

Coraz częściej łapię się na tym, że, dławiony myślami o Lucille, zaczynam, dla równowagi, zapisywać chaos. Znerwicowane notatki starzejącego się dziada z przyplątanymi doń coraz liczniejszymi chorobami. Na przykład wczoraj, nie wiadomo po co, pisałem o tym, jak w dużym, metalowym, emaliowanym kubku przynosiły mi zabieloną kawę kolejne moje kobiety. Jak różnie podpierały go dłonią, bo był dla nich zbyt ciężki.

Zapisałem także w zielonym zeszycie, że w skórze Lucille schroniło się nowe wcielenie Andersenowej Królowej Śnie-

gu. Była jednocześnie zimna i oddana, wyniosła i groteskowa. Rozwalona w łóżku, ziewała ordynarnie i bezwstydnie. A jednocześnie oddawała się jak najwierniejsza suka.

Od połowy oglądała głupawe amerykańskie seriale o seksie w wielkim mieście, wpatrując się w szklany ekran beznamiętnie. Reagowała tylko wówczas, gdy Shirley MacLaine grała w parze z Nicholsonem. Oprócz słynnej kołysanki Komedy, kilku piosenek Diany Krall, nie miała swojej ulubionej muzyki. Może zajmował ją jeszcze ten, który znacznie przedawkował dragi, Jim Morrison. I to wszystko.

Któregoś dnia przyniosła do domu wielkie albumy z familijnymi zdjęciami. Uznała, że w ten sposób oddaje w moje ręce swoją przeszłość. Oglądałem fotografie z rezerwą. Ale uwierzyłem od razu, że innym kochankom nie zanosiła przed jebaniem rodzinnych pamiątkowych konstelacji. Przeglądając fotki, myślałem o niej dobrze. W pokaźnych zbiorach nie było fotografii ślubnych.

Raczej zdjęcia z kanadyjskiego uchodźstwa. Jakieś przypadkowe fotki przy stosach ruskich pierogów. Plenerowe ujęcia z gnanymi po świecie ludźmi o innych kolorach skóry. Były uwiecznione emigracyjne wieczornice organizowane za municypalne pieniądze. Te ślubne spaliły się w Toronto, mówiła zatroskanym głosem. Albo Ruda Kobieta spaliła je w chwilach depresji, która dopadała ją co kilkanaście miesięcy.

Wybrałem kilka starych zdjęć. Wszystkie czarno-białe. Te z fantazyjnym, staroświeckim obramowaniem. Na których Lucille była jeszcze Lolitą. Dziewczynką z pieskiem, w białych sukienkach aniołka. Ale ze smutną twarzą dojrzałej kobiety, przedwcześnie obarczonej tajemnicą współżycia z własnym, bezwzględnym ojcem. Skurwielem bez możliwości przebaczenia u Boga.

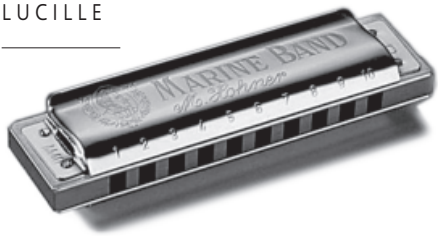

Notatki w Zeszycie Myśli

Zapisywane nerwowo, jak nuty utworów Charliego Parkera. Takich jak *Night in Tunisia*.

* Porównania są często zwodnicze.
Ale czegoś trzeba się trzymać.
Ja uczepiłem się własnego życiorysu.
Podręcznikowi mentorzy mnie nie kręcą.

* To z Lucille chciałbym zakończyć życiową
wędrówkę pełnowartościowego mężczyzny.
Ze sterczącym kutasem, kołkiem gotowym
do działania.
Kurwa! Niech tak się stanie!
Chcę jeszcze być! Żyć!

* Dawałem jej do domu własne krzesła, pościel,
garnki, których sam nie miałem wiele.
Nie dopisywałem do tego myśli o filantropii,
dobrodziejstwie, łasce.

* Bita w młodości przez ojca gumowym paskiem
rozrządu. Klęczała na ziarnkach grochu jak
Słynna Księżniczka.
Świat jawił się jej jako mieszanka zwierzęcego strachu przed męskimi razami i dziewczęcej dumy.
Gdy mi o tym opowiadała, jej oczy nabierały
szklistego, neonowego blasku. Ale nie chlipała.

* Moja osobista lista marzeń muzycznych nagranych na jednej płycie pokrywa się idealnie z utworami wybranymi przez Quentina Tarantino. Użytymi do jego filmu *Kill Bill*.
  Jadąc na przykład na Syberię – do samotniczego karceru – zabrałbym płytę z muzyką z tego filmu.
  Jest tam *Bang Bang* w wykonaniu Nancy Sinatry.
  Słucham jej od wielu lat. Albo *The Lonely Shepherd* w wykonaniu Rumuna Gheorghe'a Zamfira.
  Potrafię ten utwór zagwizdać. Jakbym grał na fletni Pana.

* Podczas ślubu z jedynym mężem Lucille nie miała na głowie welonu. Powiedział, że welon to mieszczańska kicha.
  Nakazał jej założyć na głowę idiotyczny, śmieszny czerwony beret typu Che Guevara.
  Klasyczny welon śnił się jej wiele nocy.
  Wciąż marzy o śnieżnobiałej koronce okrywającej twarz.
  Kupię jej taki welon i założę podczas picia kolejnej porcji miętówki.

* To Ruda Kobieta nauczyła mnie, że łokcie należy regularnie smarować kremem.
  Pilnowała tego codziennie.
  Nigdy przed nią tego nie robiłem.

* Byłem z nią razem w menopauzie, w uderzeniach zimna i gorąca. Zdejmowałem z rozgrzanego ciała kołdrę, gdy się nadmiernie pociła. Poprawiałem odklejające się na pośladkach hormonalne plastry. Milcząco przetrzymywałem jej rozdrażnienia.

* Chyba na zawsze stracę partnerkę, która opiekowała się moimi nogami. Zrogowaciałymi zgrubieniami stóp.

Wsmarowywała leczniczy krem w martwiejące miejsca ciała.
To była wielka, patrycjuszowska przyjemność.
Gdy myła mi pokancerowane giry.
Delikatnie wodziła opuszkami palców wokół miękkiego krateru cukrzycowej rany.

* Teraz czuję, jak nogi martwieją mi ewolucyjnie.
Tracę w nich czucie z każdym kolejnym tygodniem.
Bosymi stopami szorowałem mocno o guzełkowaty indyjski dywan z juty. Uderzałem o palce, pięty harmonijką Hohnera.
By je lepiej czuć.
Ale niewiele to dawało.

* Mam zbyt dużo butów i coraz bardziej poranione, coraz mniej przydatne do obuwia nogi.
Wielu par leżących na dnie szafy nie ubiorę już nigdy.
Inne stoją zgromadzone na półkach.
Prawiczkowe od lat.
Po co więc je wciąż i wciąż kupuję?
Wciąż przecież to czynię!

* Zawsze chciałem mieć kobietę, która tylko dla mnie ubierałaby się w białe pończochy zakończone gumą bogatą w koronkowe ornamenty.
Lucille doskonale wiedziała, kiedy ma je nosić na nogach.
Wariowałem wówczas jak erotoman.
Całą ją gryzłem, szarpałem.

* Lubiła, gdy szarpałem ją za włosy.
Nigdy nie protestowała.

* Ostatnio wydzielałem jej na talerz jedzenie.
Jadła zbyt łapczywie, w nadmiarze.

Wszystko. Bardzo szybko.
Ledwie przeżuwała. Nerwy?

* Kiedy przychodziła z miasta do domu, już od progu kazałem jej się rozbierać do naga i siadać okrakiem na moim kolanie.
Na korytarzu stało duże sosnowe krzesło.
Na nim przylegaliśmy do siebie w milczeniu przez długie minuty. Kwadranse.
Te milczące chwile były rozmową o miłości.

* Namówiła mnie do gruntownego remontu mieszkania.
Kupiłem nowy piec gazowy, elektryczny bojler, wymieniłem stare żeliwne rury na miedziane.
Zawsze to lekceważyłem.
Wiele tygodni w roku żyłem na trasie, w hotelach.
A teraz cieszę się schludnością odnowionego domu.

* Mam wciąż jeszcze smarowane nogi. Ale coraz częściej myślę o samotności bez Lucille.
Czy znam siebie dostatecznie dobrze?
Co wówczas zrobię?
To, co w wannie uczynił Malowany Ptak – Jerzy Kosiński?

* Wciąż czuję, że Ruda Kobieta nosi w sobie tajemnice szlamowatej przeszłości.
Po wymianie, po przełknięciu naszej krwi zrobiliśmy cyfrowym aparatem coś na kształt ślubnego zdjęcia.
Nareszcie czułem się do tego uprawniony.

* W chaotycznym okresie naszego bytowania Lucille nie całuje mnie szczególnie namiętnie.
Drobi językiem, jakby połykała niedogotowaną kaszę.

A przecież bywały dni, w których łopatą języka dosięgała mnie wszędzie.

* Egipskie papierosy, dobra woda kolońska – Leon Schiller lubił taką zapachową mieszankę bijącą od kobiet.
Ja bym do tego dodał delikatny aromat koniaku z dwucyfrową datą leżakowania.

* Nauczyłem się żyć z bólem.
Smaruję penatenem, maścią dla dzieci, otarcia i żywe mięso.
Marzę złudnie, że zasnę bez komplikacji.

* Nienawidziłem jej bardziej, wciąż bardziej.
Tak, jakby wyrządziła mi wielką krzywdę.
Jakby zabiła moją ostatnią rozpaczliwą nadzieję na wspólną starość. Nastroje odmieniały się we mnie jak w lunecie z kolorowym tłuczonym szkłem.
Ale to może ja jej wyrządziłem krzywdę?
Uświadamiając bryndzę jej lekkomyślnego życia?

* Coraz częściej jeździłem retoną pod klockowaty dom Lucille.
Nie uprzedzając o wizycie, zaglądałem wieczorem do okien od strony ogrodu. Stałem w cieniu, patrząc w krąg światła.
Szukałem dowodów jej niewierności.

* Pisała do mnie odręcznie długie, przegrane listy na papierach firmowych towarzystw ubezpieczeniowych, w których zarabiała pieniądze. Ostatnio były to żółte firmówki Panoramy Firm.

* Zauważyłem, że coraz większą rolę w jej postępowaniu odgrywało zło.

Niechlujnie się ubierała.
Paliła jak smok.
Zaczęła używać grubych słów.

* Słucham w tych dniach bardzo często płyty Pata Metheny'ego – *Speaking of Now*.
Nieraz po trzy, cztery godziny nocne.
Puszczam ją w kółko.
Bardzo mnie uspokaja.
A do tej pory, jak cały Metheny, nie robiła na mnie wrażenia.

* Kocham Lucille.
Aby nie sprawiać jej przykrości, kupiłem wiosną nowy materac na holenderskie łóżko.
Tylko po to, żeby nie było na nim skrzepowych plam pozostałych po obecności minionych kobiet.
Wyrzuciłem ten, na który mój krochmal wypływał z otworów innych kochanek.

* Myślę często o tym, aby napisać moją autorską definicję słowa „suka".

* Przy mnie, w piwnicy jej klockowatego domu, doszczętnie podarła wielką kolorową fotografię ojca pedofila.
Pijanego, łysiejącego chuja, siedzącego półnago przy stoliku zastawionym białą gorzałą oraz zagrychą typu salceson, szczeciński paprykarz, mazowiecki pasztet.
Patrzył w obiektyw z butną miną Wilhelma Zdobywcy.

* Coraz częściej nazywałem ją, wołałem za nią – Królowa Śniegu!
Jak w baśni Christiana Andersena.
Była coraz zimniejsza.
A ja stawałem się Kajem.

* Jest ze mną źle.
Leżąc wieczorem w pościeli, ściskam mocno
w dłoni kutasa.
Chcę w ten sposób uśmierzyć, zmniejszyć tępy ból
płynący od strony cukrzycowej rany.

* Lucille mnie dzisiaj zadziwiła.
Powiedziała bez powodu, przy jedzeniu: Jaki był,
Bluesie, sens ukrzyżowania Jezusa?
Miał nas zbawić ode złego.
A wojen coraz więcej, są coraz straszniejsze.
Czy nie wystarczyłoby, gdyby powiedział, czy raczej
nakazał nam, ludzie, miłujcie się?

* Lubię szpitalne korytarze.
Paraduje po nich dużo służbowych kobiet
w rozchylonych, rozpiętych od dołu białych
fartuchach.

* Dostaję chyba pierdolca. A może to igra ze mną
starość.
Na targach antyków skupuję szklane ryby.
Znam je z dzieciństwa.
Były produkowane w hucie szkła w Pieńsku.
Najnowszą zdobycz w kolorze butelki do piwa
postawiłem na ludowej serwecie okrywającej
bakelitowe, lampowe radio „Pionier".

* Najbardziej lubię, gdy ubrana w czerniznę Lucille
za rękę prowadzi mnie do łóżka.
Jak niesfornego chłopca do szkolnej tablicy.

* Urządziliśmy sobie dziś sylwestra, właśnie
powitaliśmy Nowy Rok.
Chociaż w kalendarzu był już jedenasty dzień stycznia.

Kupiliśmy w supermarkecie wiele luksusowych towarów.
Francuskie sery, owoce morza, dobre wina.
Dzisiejszą noc spędziliśmy bez czeskiej miętówki.
Chciałem zasnąć bez omamów nasyconych jej dziwkarstwem.

* Muszę koniecznie raz jeszcze przełożyć na polski kawałek B.B. Kinga *Lucille*.
Tekst ściągnięty z Internetu jest zbyt dydaktyczny.
Nie ma w nim miejsca dla zepsucia Rudej Kobiety.

* Jem już wyłącznie na wiekowych, poszczerbionych talerzach kupionych na giełdach staroci.
W starych talerzach wiosłuję starymi sztućcami.
Czy to coś znaczy?
Szukam kontynuacji ludzkiego łańcucha?

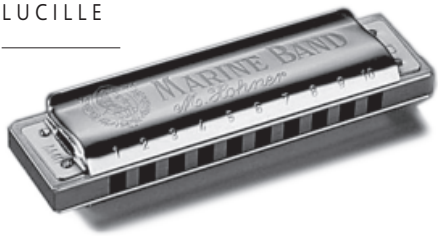

Spady zgorzeleckie

Zapiski w hotelu Pod Orłem prowadzone w całkowitej samotności.

* Zapisać spowiedź Lucille, którą wymusiłem na niej nieopodal rynkowej fontanny w czeskim Frýdlandzie.
Znów zadziałała miętówka KB.
Wyznawała swoje życie tonem samobójcy.
Ja kuliłem się pod jej słowami, imionami kolejnych kochanków.
Kroiłem się pordzewiałym brzeszczotem piły do metalu.
A wokół rynku rozlegały się miejskie komunikaty wygłaszane przez gigantyczne megafony.
Surrealizm triumfował.

* Golenie przed lustrem zaczynam zawsze maszynką elektryczną od lewej strony.
Widzę wówczas Lucille przez drzwi.
Leżącą bezwstydnie, nago, na łóżku.
Lubię na nią długo patrzeć.

* Była szybka jak partytury Offenbacha.
I przewrotna jak *Gott mit Uns* na klamrach pasów gwałcicieli Europy. Żądnych krwi i chwały dla Führera – tak określiłem ostatnio moją traconą kobietę.
Ale też bywałem dla niej bardziej poetycki.

Zapisałem o Lucille takie oto zdanie: *Białe konchy Jej ramion zamknęły cały mój świat*.

* Miałem jakiś czas temu kobietę, która jabłka przyniesione do domu z targu myła w gumowych rękawiczkach.
W kondomiarskich różowych rękawiczkach myła też moje nogi.
Brrr! Jaki to był przykry widok.
Podzwonne dla umarłego uczucia.

* Wczoraj Lucille powiedziała do mnie w łazience – Grzesiu, podaj mi szampon.
Jeździła niedawno z kafelkarzem o tym imieniu do hurtowni.
Ale dlaczego do mnie „Grzesiu"?

* Zatynkowała w suficie na balkonie dziurę, to niespodzianka.
Znów pali szluga za szlugiem.

* Koncert plenerowy na Stadionie Olimpijskim.
Przed sceną dzieci zwiedzające Wrocław.
Po opowieściach Lucille inaczej patrzyłem na gdaczącego ich opiekuna i na malców zgromadzonych wokół niego.

* Opale przynoszą nieszczęście, przeczytałem gdzieś słowa Katarzyny Medycejskiej.
Ja wciąż wykupuję opale Lucille z lombardu.
Noszę wówczas na ręce – przez kilka dni – złoty zegarek pedofila.
Takie traumatyczne doświadczenie na sobie samym.

* Przyniosła do domu czarną książkę.
Prawdziwe historie o czternastu zgwałconych

w dzieciństwie kobietach. Odrzuciła ją po kilku stronach.
Wymiotowała.
Chodziła po domu z plastikową miską.

* Coraz częściej słuchając bluesa, zapalam hinduskie trociczki.
Lubię zapach diwali oraz darshan.

* Przestałem u znajomego Bułgara kupować pirackie płyty CD.
W niemieckim Görlitz tłoczy mi je teraz kumpel z młodości.
Wypożycza z Muzycznej Biblioteki Publicznej Miasta Görlitz nowości i w domu kopiuje je mozolnie dla znajomych i nieznajomych.
Jest bezrobotnym.
Bez prawa do zasiłku.
W ten sposób zbiera na socjalne opłaty.
Czynsz, prąd, wodę.

* Przestałem też pić bułgarską rakiję.
Lubiłem kilkuletnią muskatową.
W pękatych, ciemnych butelkach.
Nie lubię nic bułgarskiego.

* Postanowiłem dzisiaj, że nigdy już nie będę jurorem konkursu Miss Polonia. A byłem nim etatowo niemal.
Nigdy też nie zagram na imprezach bożonarodzeniowych.
Rzeczywiście z młodego gniewnego zamieniłem się już w starego wkurwionego.
Najwyższy czas.

* Opisać, jak Lucille ziewała dawniej prostacko, nie zakrywając ust dłonią, na początku naszej znajomości.
  A jak ziewa przy mnie. Dzisiaj.
  Jak dyskretnie.

* Zmieniłem do posiłków przyprawę.
  Nadużywałem do wszystkiego polskiego plagiatu maggi.
  Teraz kupuję produkowanego w Czechach worcestera.
  Czeskie tłuste jadło i przyprawy polubiłem podczas długiej trasy z wielkim jazzmanem, klarnecistą Jiøím Stivínem.

* Zapamiętam długo czeskie Habartice, cygańską wioskę pod Frýdlandem. Tuż za polską granicą.
  Tam na gęstej, kobiercowej, mokrej trawie wyłożonej kartonami po telewizorach, pod barakiem leśników i myśliwych, dopadła mnie Lucille.
  Spazmatycznie dławiła się moim B.B. Kingiem.
  Słońce grzało landszaftowym porankiem, śpiewały ptaki.
  Prawie ryczał jeleń rodem z tandetnego oleodruku.
  Z otwartych drzwi zaparkowanej za barakiem retony dobiegał głos Sarah Vaughan.
  Sceneria jak z Hrabala.
  Jednak wyłącznie dla ludzi zepsutych i nienasyconych.

* Zaglądam do coraz ciekawszej ogólnoświatowej witryny bluesowej www.thebluehighway.com
  Dużo tam Polski i Polaków.
  Moje *Tatuaże Bluesa* stoją w rankingach całkiem wysoko.

* Czuję, że nadchodzi dzień, w którym pozdrowię jej stare pseudotureckie dywany.
Jej błyszczące okleiną meble, tandetne figurki z rosyjskiej porcelany, posrebrzane sztućce – pozostałości po rodzicach.
Pozdrowię i udam się, fiuuu, w samotną drogę.

* Wspominam niewielkie andaluzyjskie miasto Ronda.
Miasto najstarszej w Hiszpanii areny do walk byków.
Przez tydzień byliśmy tam z Lucille we wrześniu.
W Apogeum Naszej Miłości.
W mieście kończyli remontować Plaza de Toros.
Szykowali się na słynną Corridę Goyesca.
Wielką fiestę.
Ogólnohiszpańską wariację, podczas której torreadorzy noszą stroje projektowane przez malarza Goyę.
Za pięć dolarów wypożyczyłem od robotnika taczkę i wołając – olé!!!, woziłem Rudzielca po arenie koloru jej włosów.
Potem nosiłem ją na barana. Pociesznie wierzgała nogami
Grałem ostro na hohnerze kawałek Roberta Johnsona – *Me And The Devil Blues*.
Hiszpańscy robotnicy ze śmiechem pokazywali nas palcami.
Byłem w Niebie.
Chciałem skoczyć w dół z wielkiego mostu Puente Nuevo.
Lucille też promieniała.
Po raz pierwszy w życiu miała wspólną walizkę z mężczyzną.
Była adorowana przez własnego torreadora.

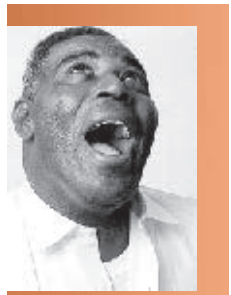

030. Willie Dixon

Organizatorzy imprez dzwonili do mnie z propozycjami występów coraz rzadziej. Nadchodziła koncertowa zima. Brak środowiskowych kontaktów. Więc znów wieczorami nalewałem Lucille do kieliszków czeską miętówkę. Zadziwiający napój w niezrozumiały sposób otwierający najtajniejsze zakamarki jej duszy. Ruda Kobieta miała coraz słabszą głowę. Ale bez oporów szła na górę zwaną Golgotą.

Krzyżowała siebie samą, wyjawiając najintymniejsze sceny z pokrętnego życia.

Każdy z nas nosi w sobie ukryte głęboko mroczne tajemnice z przeszłości.

A ja, zżerany egoistyczną miłością – a przede wszystkim bezrozumną zazdrością – zbyt szybko chciałem o Lucille wiedzieć wszystko. Chciałem poznać, dotknąć, naznaczyć, obsikać wszystkie drzazgi, wszystkie części jej nadmiernie obmacywanego ciała. Posiąść jej anatomiczny i obyczajowy atlas. Ciekawe, co o moim zachowaniu napisałby Sigmund Freud?

Gdy Lucille czuła w głowie szmer wyznaniowego alkoholu, zaczynała autorskie misterium. Wpychała w otwory wszystkich znajdujących się w domu lichtarzy czerwone świeczki. Panicznie bała się pustych świeczników. Wciskała stearynowe słupki, mamrocząc niezrozumiałe zaklęcia. Mełła

przekleństwa. Lub mormorandowała jazzowe tony kołysanki *Dziecko Rosemary*.

Niejeden raz – natchniona alkoholiczną miętą – zapisywała o życiu zdania zaskakujące. Prawdziwsze niż te, jakie w słynnych książkach o seksie obwieszczał John Gray. Czytała je na głos. Otwierała ów poetycki notatnik, przerobiony ze służbowego kalendarza Panoramy Firm, i cichym głosem recytowała: Do gotowania i miłości przystępuj z oddaniem bezgranicznym. Albo: Nie sądź, że miłość zmieni niechlujną kobietę we wzór cnót.

Tutaj pewnie wykpiwała moje częste nawoływania, by stała się wreszcie kobietą z zasadami. Nienawidziła zwrotu – bądź cną. Kilka z jej aforyzmów postanowiłem wykorzystać w tekstach bluesów. Pisała niczym nauczycielka kobiecych mass rekrutowanych z kobiecych magazynów. Ale nie brała tych mądrości do siebie.

Wiecznie upaprana jedzeniem, dzieliła je tak, by na swoim talerzu mieć jak najwięcej. Musiało jej to zostać z czasów dzieciństwa. Przy racjonowaniu posiłków była zaprzeczeniem kobiety żerującej w stadzie. I jadła byle jak, niechlujnie. Prosiłem, by przygotowane dania serwowała na przyniesionych z giełdy staroci wiekowych talerzach. Daremnie.

Namawiałem do obopólnej schludności. Bardzo dbałem o to, aby zawsze mieć czysty oddech. Nie plułem kruszynami potraw na ekran laptopa. Nie chodziłem koło jedzenia krokiem złamanego wiekiem paralityka. Na nic. To właśnie przy posiłkach intensywniej wypluwała z siebie historie wywoływane zielonkawą Ambrozją Zwierzeń. Na przykład o przygodzie z niewielkim, posuniętym w latach Filmowcu z Pożyczką Włosów.

Kurdupla zapakowanego w przechodzone jedwabne koszule znałem z kawiarni Horszowskich. Zawsze wionął od nie-

go charakterystyczny odór nieprzetrawionej gorzały. Zabijał go, obficie zlewając się markowymi wodami kolońskimi. Lucille pierdoliła mi do ucha farmazony, że intensywny bukiet złożony z woni gorzały i joopa przyciągał ją do samca w niezrozumiały sposób.

Snuła bajkę, że poczuła samarytańską misję, aby wiecznie podpitego konusa z Pożyczką Włosów wyciągnąć z alkoholizmu. A przecież szło wyłącznie o to, by wpychał w nią perfumowanego kutasa. Skręciło mnie z obrzydzenia, gdy wyobraziłem sobie, jak małym korpusem śliskiego sklepowego manekina wdrapuje się na brzuch, na pełne piersi Lucille.

Kazałem jej natychmiast odłożyć szkło z miętówką i zrobić rzymską wilczycę, karmicielkę Remusa i Romulusa. Wsunąłem się pod nią całym ciałem i mocno gryzłem stwardniałe sutki Rudej Kobiety. Chciałem zagłuszyć tę wkurwiającą story. Tutaj, pod jej ciałem, byłem tylko ja. Lucille pojękiwała poddańczo jak suka suk. I była coraz bardziej pijana. Taksówką wysłałem ją na Januszowicką.

Kurwa! Lucille, kobieta, którą pokochałem tak mocno, jest bez wątpienia dziwką!!! Często gniecioną męskim mięsem!

Bardzo przeżywałem te aranżowane przeze mnie seanse. Sacrum rozpływało się w butelkach KB Likér. Na moje życie waliło się Profanum. Teraz, aby zabić mijające puste godziny, wypróbowuję nowe, przyniesione mi przez hurtownika harmonijki. Modele „Golden Melody" i „Larry Adler Professional".

Dźwięki z nich brzmią jednak w moim wykonaniu jak z obłożonego pergaminem plastikowego grzebienia. Lipa. Nie potrafię złapać feelingu, dotrzeć do właściwego tonu. Wywołać tajemnicy bluesa. Wargi mam niczym ze sparciałej gumy używanej do kopalnianych taśmociągów.

Zagrałem żałośnie i amatorsko *Missisipi Blues* Williego Dixona. A zaraz potem hammondowy cover Black Knights. Wychodziło koślawo, bez ikry. Tłumaczyłem sobie, że to kolejna porażka poniesiona z powodu podekscytowania wywołanego przez Rudą Kobietę. Osłabiała mnie. Kładłem telefon koło łóżka, czekając, aż zadzwoni.

Czytałem Márqueza *Morze utraconych opowiadań*. Jego starsze felietony. Były krótkie, w każdej chwili do przerwania. Wiodłem wzrokiem po liniach druku, ale naprawdę czekałem na dźwięk telefonu. Czy już jest w domu. Zaraz po przyjeździe miała zadzwonić. Niecierpliwość. Kochałem i nienawidziłem.

031. Alejandro Gonzáles Inárritu

Amores perros, porażający film A.G. Inárritu – zaledwie czterdziestoletniego człowieka z Meksyku. Oglądałem go wspólnie z Lucille i Marysią. Marysi ten okrutny obraz bardzo się podobał, jeśli jest to właściwe słowo. Byłem zdziwiony żywym odbiorem filmu przez tę smutną zazwyczaj dziewczynkę. Takie jest prawdziwe życie wokół nas – powiedziała cicho, przełykając popcorn pod coca-colę.

Napiszę smutny wiersz o tych nieszczęśliwych, zagryzionych psach. I zagram im na skrzypcach jakieś dramatyczne intermezzo Schumanna. Marysia była przeciwieństwem matki. Zdolna skrzypaczka, zbyt szybko dojrzała, pojmowała świat jak dorosła kobieta. Jej naturalnym stanem było, podobnie jak u matki, milczenie. Oraz wyrażany wzrokiem bezbrzeżny żal.

Ale Lucille tego wszystkiego nie zauważała. Z zagranicznych podróży przywoziła córce śmiecie. Wybujałe w kształtach flaszki po bułgarskim winie. Śródziemnomorskie muszelki, piach z nadbałtyckich plaż. Wodę morską z jachtowego Puerto Mogan. Zamkniętą w plastikowej butelce. Strzępy teatralnych plakatów obwieszczające corridę. Rozkłady jazdy z odwiedzanych miast. Restauracyjne karty dań.

Traktowała Marysię jak bezmyślną nakręcaną lalkę.

Ludzkie upadki są znacznie ciekawsze niż podmalowany Ken posuwający Barbie. Lalkę ubraną w halki. Z cekinami na dupie. Miałem z Rudą Kobietą osobiste Amorres Perros. Upływający czas naszego związku mierzyłem od ładowania do ładowania akumulatora aparatu do golenia Philipsa. Od soboty do soboty. Ta czynność uzmysławiała mi, jak wartki jest Potok Czasu.

Aby uśmierzyć ból cukrzycowej rany, znów często ściskałem kutasa z dużą siłą. I czekałem na cud. Na pogodne dołki w policzkach Lucille, które tak bardzo lubiłem. Przed jej coraz rzadszymi wizytami powietrze w mieszkaniu zmieniałem dezodorantem. Wkładałem zawsze świeży T-shirt, wyprasowane bokserki, zaglądałem w zapomniane kąty. Znów wielokrotnie przesłuchiwałem telefoniczną sekretarkę z wcześniej nagranym miłosnym klangorem Lucille.

W ten sposób pragnąłem pielęgnować naszą miłość. Gdy grzechotał dzwonek domofonu, biegłem do drzwi, sądząc, że to Lucille. Kiedy pod okno mojej kamienicy podjeżdżała jakakolwiek taksówka, wyglądałem z nadzieją, że wysiądzie z niej Ruda. Niestety. Ale też zapisałem w laptopie takie zbuntowane zdanie: Musisz rzucić Rudą Kobietę. Inaczej zginiesz. Zatracisz się, przepadniesz.

Porównywałem ją w myślach do mercedesa posiadanego przez Niemca i Jugola. Niemiecki miał ważne badania techniczne, lśniące detale, pachniał choinką, zielonym jabłkiem. Jugolski wydawał odór. Często przechodził z rąk do rąk. Straszył wypalonymi przez pety siedzeniami. Czuć było w nim zapach tytoniu, uryny, wymiotów i gorzały. Podczas jazdy cały dygotał.

Byłem zaślepiony miłością, pomimo że empiria podpowiadała mi, brzęczała w ucho, iż Lucille była zaprzyjaźniona z mercem jugolskim. Przestałem całować zaślinione oko Małej Lucille. Coraz rzadziej wierzyłem jej słowom. Od ja-

kiegoś czasu przestawała być świeża. Niejeden raz kazałem się jej kłaść na holenderskim łóżku, szeroko rozsuwać nogi.

Jak weterynarz sprawdzałem, czy nie ma w Małej Lucille obcego nasienia. Wariowałem. Gdy jeszcze dbała o siebie, używała delikatnych kosmetyków, lubiłem spać na jej małej poduszce, wchłaniając zapach. Podczas jej nieobecności.

A teraz, z cieszącego się luzackim życiem hippisa Big Lebowskiego, bohatera filmu braci Cohen, stawałem się człowiekiem pełnym rozterek, outsiderem. Dostawałem świra. Zawoziłem Lucille pod Legnicę, na autostradowy atol. W ogólnie znane miejsce, w którym bułgarskie kurwy oddawały się kierowcom tirów za banknoty o niskim nominale. I tam, nie zdejmując z niej majtek, gwałtownie brałem ją w przydrożnej trawie.

Wchodziłem w nią pośpiesznie, w ubraniu. Podobnie jak w kobiety wchodził niemiecki komunizujący dramaturg Bertolt Brecht. Albo podczas domowych śniadań kazałem jej z ustami pełnymi jogurtu całować mojego B.B. Kinga. Rozsmarowywaliśmy też na sobie twaróg ze szczypiorkiem. I na starym, pokrytym skórą krześle, ocierając się ciałami, jedliśmy się nawzajem.

Coraz mniej spałem. Nocą moją ulicą często przejeżdżała straż pożarna, zrywając mnie ze snu. Dawniej mogli syreną wyć co godzinę pod samymi oknami. Miałem to w dupie. Dzisiaj budziły mnie firanki poruszane przez wiatr. Zwiastujący zimny, wichrowy wieczór.

O ile świat byłby pełniejszy, gdyby swoje ciemne historie opowiedzieli ci, co zabierają je do grobu.

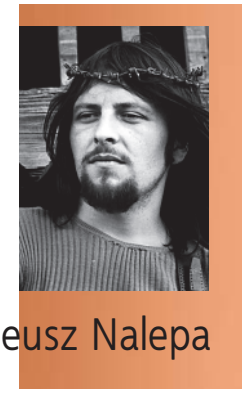

032. Tadeusz Nalepa

Nowe skórzane buty zakładam na gołe stopy z uporu. Doświadczam siebie. Zatem mam je często poranione. Słabo się goją. Martwieją coraz większymi połaciami. Znów uderzam w nie harmonijką Hohnera. Stopa cukrzycowa z klasycznego opisu. Wciąż rozdrapuję rozbabrane rany. Myślę z niepokojem, że wkrótce wszystkie te moje ukochane buty od Lloyda, Baty czy Deichmanna okażą się nieprzydatne. Po prostu nie będę miał ich na co zakładać.

Boję się chudnących z powodu choroby nóg. Boję się tego, że pomiędzy tułowiem a resztą ciała będzie zbyt groteskowa dysproporcja. Kupiłem ostatnio wysokie buty z haftowanym napisem – *Harley Davidson*. Ale zaraz podarowałem je znajomemu motocykliście. Panicznie czułem, że mam w nich uwięzione nogi.

Boję się ciągłego łaknienia zimnej wody mineralnej, pojawiającego się nagle kropelkowego potu na tylnej części głowy. W okolicach karku. Coraz krótszych stosunków z Lucille. Nie akceptuję wzwodowego oporu B.B. Kinga. Z nienawiścią patrzę na włączony pulsujący glukometr. Na sekundę przed wskazaniem wyniku pomiarów.

Już codziennie, bez względu na pogodę, zakładam przeciwsłoneczne okulary. Wiele miesięcy temu czyniłem tak wyłącznie podczas bluesowych koncertów. Dzisiaj bluesbro-

thersówkami Raya Bana maskuję podkrążone oczy. Tylko na Boga, przed kim właściwie to czynię? Kurwa! Zaczynam unikać dziennego światła.

W nocy zapalam najwyżej zaduszny znicz. Do wanny wchodzę po ciemku. W okularach. Trzęsą mi się dłonie wystawiane przed oczy dla sprawdzenia tej ułomności. Przyciskam mocno harmonijkę do ust. Po to właśnie, by ukryć drżenie palców. Unikam krzyków. I muzyki z pierwszych, mocnych płyt Deep Purple. Drażni mnie, że z powodu mrocznej przeszłości Lucille wkrótce na pewno ją stracę.

Nigdy już nie będę miał kobiety do nieograniczonego pierdolenia.

Żadna nie wzbudzi już we mnie samczych emocji. A więź z Kobietą bez używania B.B. Kinga jest sztuczna. Jak miłość starej, opuszczonej dewoty do wystrzyżonego pudla z różową kokardką. Zawsze miałem kobiety starsze od siebie o trzy, cztery lata. Tylko Lucille jest kilka lat młodsza. Jest w pełni.

To Lucille nauczyła mnie nacierać kremem twarz każdego ranka. Dotychczas nigdy tego nie robiłem. Twarz smaruję dokładnie – także przy nosie, nad ustami, Bluesie, instruowała czasem macierzyńsko. Natrzyj łokcie, byś uniknął rogowatych stwardnień. A jak krem zostanie na dłoniach, wsmaruj go w kolana. I w te śliwkowe, połyskliwe blizny po ledwie zagojonych ranach.

Tadeusz Nalepa powiedział mi kiedyś na koncertowej trasie, że samotność przychodzi do mężczyzny zaraz po pięćdziesiątce. Następnego dnia po urodzinach. Wyśmiałem go. Nigdy bym w to nie uwierzył. Ale już w kilka dni po okrągłych urodzinach trafiłem do szpitala. Lucille za namową miętówki KB Likér obdarzyła mnie kolejnym bełkotliwym wyznaniem o przeszłych kochankach.

W proteście moje życie stawało się podróżą w głąb siebie. Do lat przeszłych, lat dzieciństwa. Do początków grania, do muzycznych prób w piwnicy mojej matki. Kiedy wzmacniaczami były wyposażone w magiczne oko radiowe superheterodyny naszych ojców – Przodowników Pracy Socjalistycznej. A bulwiaste mikrofony na cewkach nakręcanych przez Takisa Papadopoulosa kopały prądem przy zbyt bliskim przyłożeniu ust.

Moją umysłowość kształtowała wówczas mała stacja Zgorzelec Ujazd.

Na której zatrzymywały się tylko na krótką chwilę międzynarodowe pociągi do wielkich europejskich metropolii. Do Berlina, Frankfurtu nad Menem i Paryża. Widok zarumienionych, sytych podróżnych o nieobecnych twarzach pozwalał mi pod wielkim stacyjnym zegarem marzyć o przyszłości w sławie.

O wielkich muzycznych scenach oświetlonych rzęsiście, aż do wybałuszu ślepi. Samodziałowych marynarach fruwających pod sufit. Zapalonych w euforii gazetach udających pochodnie wolności. O cekinowych ubraniach wiszących luzem na nabuzowanych alkoholem artystach. Oraz o oryginalnych butach beatlesówkach przysyłanych w paczkach z Londynu.

Moja młodość to stojące na granicy niemieckie wymyte wagony typu pulman. Potężne restauracyjne smoki enerdowskiej Mitropy. Z których teutoński kelner, twardo szwargocząc, sprzedawał dzieciakom podobne do amfetaminy sproszkowane miętowe dropsy. Oraz wymodloną nocami gumę do żucia, którą przepuszczaliśmy przez zęby z namaszczeniem. Niczym niedzielną hostię od grubego proboszcza Szyszki.

To stwardniały, kożuchowy budyń w niedomytej aluminiowej menażce. Gęsta, upstrzona kawałami tłustego boczku fasolowa zupa. Oraz pachnący, świeży komiśniak. Żołnierze Wojsk Ochrony Granic wielkie jego bochny rzucali nam, wyrostkom, z obitego blachą konnego wozu wprost na chodnik. Smakował wyśmienicie.

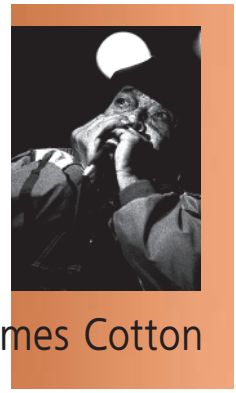

033. James Cotton

Moja młodość to także kulawy, przedwcześnie wyłysiały, a mimo to wyniosły Karol Jan Urbaniak. Miejski zegarmistrz posiadający wypachniony zakład przy ulicy o niepokojącej nazwie – Bohaterów Getta. Chromy, brzydki facet, nigdy nienasycony specjalnymi, razowymi kobietami przybyłymi na te poniemieckie tereny ze Wschodu. Z kresów dawnej, przedwojennej Polski.

Za możliwość chaotycznego korzystania z krocza młodych, pszenicznowłosych kobiet naprawiał i ofiarowywał im zdobyczne zegarki. Młokosy, podglądaliśmy Urbaniaka przy robocie przez małe okienko od podwórka. Lub przynajmniej podsłuchiwaliśmy pod drzwiami zakładu ekstatyczne westchnienia.

Z radiowego głośnika dochodziły do nas jazzowe utwory puszczane przez Willisa Conovera, mieszające się z dyszkantowym pojękiwaniem. Gdy kulawy heros z rzadkimi kłębami strąkowych włosów na stojaka wpychał w nie swojego pytona. Nie oponowały, nie wierzgały obronnie. Dobry niemiecki zegarek z sekundnikiem był dla nich gwiazdką z nieba.

Wiele lat później z tęsknoty za młodością zacząłem kolekcjonować stare sprężynowe zegarki. Ręczne, z prostymi tarczami. Podobnymi do tego wielkiego czasomierza wiszącego na kolejowym dworcu Zgorzelec Ujazd. Ale i te zegarki,

spoglądające z dna szuflady, sprawiały, że czułem się coraz bardziej samotny.

Nie chciałem wychodzić w dzień na ulice. Nie wiem jednak do końca, czy samotność brała początek z buntu, czy z poczucia posiadania kobiety zużytej. Napisałem przed chwilą – nie wiem. A przecież wiem doskonale. Nachodziła mnie bolesna żałość, że Ruda Kobieta, z którą chciałem dokonać żywota, okazała się być dziwką.

KB Likér z każdą otwieraną butelką wbijał mi w ciało gwoździe wcześniej wyjęte z Chrystusowego krzyża.

Martwym okiem wpatrywałem się przez wiele minut w laptopa z włączoną mięsną tapetą przedstawiającą szeroko rozwartą, zapraszającą Małą Lucille. Najbliższe były mi w tych dniach kompozycje z mojej ostatniej płyty – *Tatuaże Bluesa*. Nie słuchałem ich w kółko. Ale miałem pewność, że utwory zapisane na tym krążku są naprawdę ważne.

Były oczyszczające jak archaiczne teksty bluesów Roberta Johnsona. Na przykład *When You Got A Good Friend*. Niech śmieją się na te słowa recenzenccy pyszałkowie, ale tak właśnie jest. Wymykają się one mieszczańskiej pobożności, dalekie są od blichtru telewizyjnych show, szydzą z uniżoności.

Muzyka na *Tatuażach Bluesa* nie jest dodatkiem do wakacyjnego gibania. Jest muzyką przeznaczeń, człowieczego lęku, zakorzenionych przesądów, archetypów okrutnych baśni. Może to być zaskakujące, ale moją ostatnią płytę porównuję – z wszystkimi zachowanymi proporcjami i należnymi geniuszowi ukłonami – z trzydziestoma i trzema wariacjami Ludwika van Beethovena na temat Piekła, Diabła oraz wyniszczających życie Wiecznych Płomieni.

Tatuaże Bluesa to muzyka zupełnie inna od tej granej dzisiaj przez B.B. Kinga – wciąż uśmiechniętej i energetycznej ma-

skotki światowego bluesa. Coraz częściej rozpełzała się we mnie myśl, że *Tatuaże Bluesa* zapowiedziały nadejście Lucille. Kobiety, która coraz bardziej pogrążała mnie w grzęzawisku namiętności.

Wiłem się zżerany nieposkromioną zazdrością o nią, o jej zrudziałe miejscami ciało. Tak bez umiaru ongiś rozdawane.

We wczesnych latach Bluesowej Drogi spełniałem się w graniu kompozycji Jamesa Cottona. Lubiłem się popisywać kawałkiem *You Didn't Think About That*. Napalałem się godzinami muzyką Alexisa Kornera. Snułem długie frazy wspólnie z analogowym czarnym krążkiem Led Zeppelin. Specjalnie na hohnera opracowywałem Wielkie Bluesowe Standardy.

Ludność wariowała, chciała nieustannych bisów, bywałem półbogiem. Później układałem po pijaku bluesy do myśli Mao Tse-tunga. Wybranych z jego słynnej *Czerwonej książeczki*, którą do dzisiaj mam na półce. A niektóre zdania sławiące rewolucję kulturalną będę pamiętał do końca ziemskich dni. To na przykład, że z niesłusznymi poglądami trzeba prowadzić i walkę, i polemikę!

W studenckich klubach rymowałem bluesowo *Polski kodeks honorowy* Władysława Boziewicza. Próbowałem umuzykalniać sonety papieża Jana Pawła II. Zapraszając do duetu najzdolniejszą polską harfistkę Annę Faber.

Wszystko wokół przerabiałem na dwunastotaktowca. Produkowałem muzyczne spięcia dalekie od mieszczańskich przyzwyczajeń.

Tak było w przeszłości. Ale utwory z płyty *Tatuaże Bluesa* są źródłem czystego bluesa, są południowymi stanami USA.

Traktuję je jak ledwo poskromione dzikie zwierzęta. Określają moją relację z Rudą Kobietą. Nie ma jednej pamięci o rzeczach i sprawach. Ja jednak wciąż żyję nadzieją, że pamięć moja i Lucille może się spotkać w jednym miejscu. Będzie trwać. Oszukuję sam siebie?

Siedzę przy włączonym laptopie, grzebię w pamięci i tytuł po tytule odpowiadam na pytanie szefa branżowego pisma „Twój Blues". Układam listę największych utworów powstałych przez sto lat istnienia bluesa. Jako osobnego muzycznego gatunku. Ciekawe, jak moje typy potraktuje środowisko. Moi faworyci:

01. *Sweet Home Chicago* – Robert Johnson
02. *Little Wing* – Jimi Hendrix
03. *Boom, Boom* – John Lee Hooker
04. *I'm Your Hoochie Coochie Man* – Willie Dixon
05. *Crossroads* – Robert Johnson
06. *The Thrill Is Gone* – Ray Hawkins
07. *Layla* – Eric Clapton
08. *Stormy Monday Blues* – T-Bone Walker
09. *C.C. Woman* – Muddy Waters
10. *Oni zaraz przyjdą tu* – Tadeusz Nalepa.

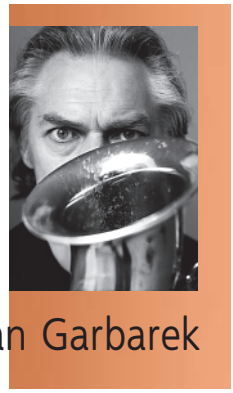

034. Jan Garbarek

Zamglone, mleczne tło horyzontu – gdy retoną jechałem autostradą wiodącą do granicy z Niemcami – wyzwalało kolejną gonitwę poszarpanych myśli. W jednostajnym szumie pracującego silnika czułem bliską obecność Nieba. Ponoć cały świat poświęcony jest majestatowi Boga. Ale czy zza fałd bogato zdobionego Boskiego odzienia zauważa On ludzki proch?

Czułem, że gdzieś w tej wszechogarniającej mgle wypisywany jest rachunek za moje życie. Przypomniałem sobie trafiające w sedno słowa Simone Weil.

Małej, brzydkiej i zakompleksionej, nieużywanej cieleśnie Żydówki. Napisała:

Czas prowadzi nas tam – i to zawsze – gdzie wcale iść nie chcemy.

Dodawała, że, gdziekolwiek się jest, cokolwiek się robi, własnym oddechem, barbarzyńskim biciem serca zakłóca się ciszę Nieba i Ziemi.

Taki zawstydzający stan zawładnął mną. Mógłbym bez zbędnych ceregieli – jedynie przy dźwiękach płynących z bluesowej harmonijki Musselwhite'a – przejść dzisiaj za Ostateczną Kreskę. Wszystkie moje doczesne namiętności, dobre

uczynki i grzechy rozmyły się w wacie otulającej drogę do Zgorzelca. Były nicością.

Betonowe płyty autostrady A4, popękane w niezliczonych miejscach, wprawiały chwilami terenową retonę w taniec świętego Wita. Ale nie zwracałem uwagi na podrygiwania. W głowie kłębiła się Lucille. Myślałem o tym, że w miłości nie można pokazywać uzależnienia od partnerki. Jak każdy narkotyk, po chwilowym uniesieniu, wtrąca w kłopoty.

Jestem zużytym już, nazbyt dobrze znającym życie bluesmanem. Gorzała, tanie hotele, połamane wyra, skancerowane stare autobusy, koncertowe granie dla kilku osób z okazji Dnia Metalowca. Haniebne jedzenie, zasrane toalety. Fałszywi organizatorzy znikający bez śladu przed zakończeniem koncertu z moim honorarium.

Kurwa! Zawodowa prostytucja i gorzki smak bytowania!

Ale jest na świecie Ruda Lucille. Wciąż mnie rozpala. Niczym nagrodzonego kobiecym łonem miłosnego praktykanta. Układam więc w myślach zasady. Jak z Rudą Kobietą postępować, aby nie zwariować? Jak w łóżku odwracać się do niej plecami, kiedy pragnie się czuć jej język w swoim uchu. Jak zasypiać przy jej nagrzanym, bezwstydnie rozwalonym ciele, kiedy jeszcze tyle chciało się powiedzieć.

Jak podchodzić do telefonu z ociąganiem, jak przeczekiwać kolejne dzwonki, chociaż chciałoby się krzyczeć, tak, Lucille, jestem, słucham! Jak żegnać się niby od niechcenia, mimo że wciąż chce się czuć na sobie jej zapach. Gdy chce się natychmiast znać godzinę następnego spotkania. Jak obojętnie witać się z Lucille, okiełznując podniecony oddech? Jak nie oglądać się do tyłu, odchodząc od bramki jej betonowego mieszkalnego pudła.

Jak cierpliwie czekać w wielkim metalowym łóżku, gdy w łazience obmywa się nazbyt długo. Jak pytać lodowato, gdzie była i co robiła przez ostatnie godziny, kiedy się jej nie widziało. Dlaczego miała wyłączoną cholerną komórkę. Jak nie spełniać jej zachcianek, gdy pragnie się podarować jej najlepszego hohnera ze swojej kolekcji. Jak, jak, jak!?

Chciałem koniecznie powrócić do pamiętnego dnia, w którym w zabytkowej Bramie Szeptów na Starym Rynku w Görlitz, na Targu Rybnym, pod wpływem chilijskiego białego wina wyznawałem jej miłość. Pochylona, stała z jednej strony bramy, ja zaś z drugiej. A słowa szeptane w kamienną rynnę trafiały spotężniałe wprost do jej ucha.

Dymną smugą płynęły te zaklęcia w rytm saksofonu Jana Garbarka grającego nieopodal na plenerowej estradzie. To były jedne z piękniejszych chwil. Miłosne wyznania w rodzinnym, dwujęzycznym mieście. W Zgorzelcu – Görlitz! Lubiłem wracać do miasta mojej młodości. Pobudzały mnie czerwone dachy domów widoczne z daleka. Krzepił cień katedry górującej nad okolicą.

Poruszała pamięć o niewielkich szklanych kulkach przerzucanych z Görlitz przez Nysę, którymi graliśmy później na pieniądze. Młodzi Niemcy rzucali nam też słynne blaszane zapalniczki przeciwwiatrowe, których fabrykę zbudował tutaj w roku tysiąc dziewięćset dziewiątym austriacki chemik i wynalazca – baron Carl Auer von Welsbach.

W zadbanym, rozległym miejskim parku w Görlitz, wyglądającym jak arena zdarzeń z filmu *Powiększenie*, nieopodal Stadthalle czytaliśmy na głos *Buszującego w zbożu*. Zwariowaną powieść Salingera. Każdy z nas chciał być Holfieldem. Kombinowaliśmy, jak to jest, móc używać do woli płatnej kobiety. Albo z fiutem prawiczka gramolić się na dużo starszą kobietę.

Tak, jak działo się to u Petera Bogdanovicha w *Ostatnim seansie filmowym*. Filmie, który nami, prowincjonalnymi łebkami, silnie wstrząsnął. Właśnie w okalających Stadthalle krzakach dzikiego agrestu zdawałem maturę z seksu. Pęczkami przychodziły tam pachnące użytkową chemią młode dederonowe Niemki.

Bez pruderyjnych fanaberii rozkładały nogi za kiełbaskę z grilla. Były to wychowane w cieniu Stasi najłatwiejsze kobiety świata. Wystarczyło piwo Landeskrone i wypychane byle czym wursty po jednej marce za sztukę. To one łączyły w prawdziwej przyjaźni dwa socjalizmem skażone narody.

Okaleczone betonowe złącza autostrady wybijały powrót do rzeczywistości. Przed szybą samochodu przebiegł nagle przez drogę wielki jeleń. Z porożem owiniętym sznurami intensywnie świecącymi na czerwono. Nacisnąłem mocniej pedał gazu, wbijając się we wszechobecny płaszcz utkany z coraz gęstszej mgły. Rozum podpowiadał mi, że był to omam. Chyba tak, bo za chwilę na betonowej powierzchni rozjechałem oponami świeże krowie gówno.

035. Willis Conover

Do miasta mojej młodości jechałem na pogrzeb. Umarła mi Matka. Już nigdy nie odpowie na pytanie, jakie pierwsze rozumne słowo wydobyłem z siebie, wychodząc z okresu niemowlęctwa. Umarła dobra, cierpliwa kobieta, Teresa, która każdą rzecz robiła tak, jak gdyby nie zajmowała się niczym innym. Anioł, prostym, szlachetnym życiem rozświetlający szarość bytowania. To od niej wiele lat temu dostałem na Gwiazdkę pierwsze organki. Bardzo dobry model – Hohner Marine Band.

Matka tym świątecznym prezentem ułożyła moją przyszłość. W jedną rozgwieżdżoną, mroźną noc nauczyłem się na nich grać wirtuozowsko. W sposób logicznie niewytłumaczalny. Sonny Terry, Sonny Boy Williamson, Junior Wells oraz Little Walter obdarowali mnie wypadkową swoich talentów. A przecież nigdy do tamtej nocy o nich nie słyszałem. Byłem wprawdzie niepokornym wyrostkiem wcześnie czytającym broszurowy miesięcznik „Jazz", tygodnik „Świat", ale bluesa było w nich mało.

Słuchałem w dziwnej ekstazie radiowych audycji Willisa Conovera. Mojego ulubionego prezentera wielkich jamboree zatytułowanych *Music USA*. W tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym szóstym przysłał mi nawet specjalną legitymację fana swojej stacji. Ale o archaicznym bluesie wiedziałem niewiele. Bo skąd? Dopiero po latach, gdy grałem już na zawo-

dowej scenie, przeżywałem wielokrotne déjà vu, zgłębiając muzyczne archiwa bluesa z Południa. Z delty Missisipi.

Amerykę kochałem silnie, ślepo i zupełnie bezkrytycznie.

Lecz przede wszystkim jej zewnętrzny, propagandowy obraz. Kraj uciśnionych Murzynów, pucybutów i milionerów. Podziwiałem dżinsy Levi Straussa, sztruksy marki Lee. Zadziwiał mnie nęcącą prostotą McDonald's. Fascynowała guma do żucia. Czarowała coca-cola, buty z corfamu firmy Du Pont i wiskozowe kraciaste szmaty przybyłe do Polandii w paczkach UNRRA.

To była moja nieodwzajemniona miłość. Do Nowego Orleanu i na plantacje bawełny na południu Stanów nie miałem przecież wstępu.

Harmonijkę Hohnera dostałem w dzień Wigilii. Matka moja, z nadzieją na lepsze życie i lepsze wynagrodzenie, codziennie od piątej rano pracowała za rzeką, w Görlitz. W fabryce radiowych kondensatorów. Zwanych przez polskie robotnice zwijkami.

Władczy niemiecki nadzorca, chcąc Polkom wynagrodzić wielogodzinne ślęczenie nad mikroskopijnymi detalami, zorganizował w fabryce kiermasz. Show, w którym jego zgięte w karkach podwładne mogły za kilka bonusowych marek wybrać konsumpcyjne dobra. Wystawione w rzędach wprost na fabrycznej hali.

Kobiety kupowały więc w oszołomieniu kolorowe emaliowane garnki, fantazyjne chromowane kanki na mleko. Także lampowe radioodbiorniki Telefunkena, stylonowe bluzki z ciężkim teutońskim haftem na piersiach, nylonowe pończochy bez szwu, irracjonalną w tym miejscu, delikatną, różową bieliznę. Towary w kraju leżącym za Łużycką Nysą nie do zdobycia.

Mojej matce, ostatniej w promocyjnym ogonku, z błyskawicznie znikającej sterty towarów pozostały brudnego koloru łóżkowe narzuty z anilany, drewniane pojemniki na chleb, analogowe płyty z saksońskimi przyśpiewkami ludowymi, filcowe zimowe męskie buty. Oraz, w otwartym futerale, niewielkie, połyskliwe organki. Przywołujące wzrok maestrią wykończenia, wytłaczanymi detalami, przyjazną smukłością instrumentu.

Matka milcząco sięgnęła po instrument. Robotnice, szturchając się wzajemnie, naigrywały się z Teresy. Te, kurwa mać, muzykantka, pani grajkowa! Lepsza byłaby ruska harmoszka, no nie! – piszczały drwiąco. Przecież ty w ogóle nie potrafisz zagrać na tym piździajstwie. A może – chichotały zaraźliwie – to nie do grania potrzebny ci jest ten kawałek fajansiarskiej blachy.

Cha, cha, cha!!! Wszak jesteś teraz bez swojego mężulka, nieustannie nawalonego kolejarza. Cha, cha, cha! Może coś innego będziesz, Terecha, robić z tym grającym kutasem, kpiły ordynarnie. Komunistyczny nadzorca, obserwując prostacką scenę, podszedł do matki.

Przepraszająco wyjaśnił, że ten niewielki instrument tak naprawdę wyłożyli przypadkowo. Zawieruszył się wśród gospodarczych towarów. Ale skoro zamiast pończoch, garnków i firan przypadł jej hohner, może instrument wziąć za darmo. A dodatkowo narzutę na łóżko.

W domu, w świąteczny wieczór, Matka nie żałowała ani przez chwilę, że tak właśnie w fabryce kondensatorów się stało. Ciekawa mojej reakcji, patrzyła, jak gorączkowo, z szeroko otwartymi oczami, odpakowywałem niewielkie zawiniątko. Jak pieczołowicie wyjmowałem harmonijkę z tekturowego etui. Jak bojaźliwie zdejmowałem z niej natłuszczony, ciemnobrązowy papier.

Dokładnie, powoli wąchałem wszystkie zakamarki firmowego pudełka. Wytarłszy dokładnie dłonie, uniosłem przed oczy, do światła, mrugający chromem instrument. Nie mogłem usiedzieć na miejscu. Chciałem odejść od stołu i nareszcie zagrać. Kończyła się wigilijna kolacja. Byłem coraz bardziej niespokojny.

036. Matthias Hohner

Po lewej stronie dużego talerza, na kremowej, nadto wykrochmalonej serwetce, zamiast widelca położyłem instrument, którego dźwięki dolatywały mnie do tej pory z rzadka. Jeśli już, to z bakelitowego radioodbiornika marki Pionier. Gdy w tajemnicy przed matką łowiłem audycje muzyczne Głosu Ameryki.

Złamałem wtedy bożonarodzeniową tradycję naszej małej rodziny. Zazwyczaj głośno, wspólnie z matką, dziękowaliśmy Dobrotliwemu za świąteczne jedzenie. Za uwielbianego, drobno porcjowanego karpia, smażonego na świeżym, chłopskim maśle. Dostarczanym w pachnących gomółkach przez wieśniaczki spod Zgorzelca.

Za kartoflano-fasolową wielkopolską pastę przypominającą zieloną plastelinę. Za pieczony w węglowym piekarniku schab, którego pożądałem zaraz po przyjściu z kościelnej pasterki. Także za gruzełkowatą białą kiełbasę. Oraz za tłustą berlińską metkę. Z lekkością rozsmarowującą się po sznytce czarnego pumpernikla.

Dziękowałem za parującą gęstą grzybową, z której wybierałem poćwiartowane kapelusze suszonych borowików. Składałem pokłon za czerninę, zupę warzoną ze świeżej kaczej krwi. Wreszcie za gęsty, jasnobrązowy kompot z wonnych śliwek. Kompot, którego smak kojarzył mi się z jesiennymi, dalekimi podróżami do dzikich uroczysk.

W tym szczególnym dniu o modlitwie zupełnie zapomniałem. Mamo, czy mogę pójść na podwórko, tylko na chwilę, prosiłem. A ona skinęła przyzwalająco, idź, synku. Tylko musisz uważać na schody. Na dworze jest już bardzo ciemno. Bez kurtki, bez szalika, ledwie wzuwszy byle jak zasznurowane buty, wybiegłem przed czynszowy budynek.

Nieopodal, ze ciemnymi dziś okiennicami, stała wojskowa pralnia rozsiewająca wokół zaduch przepoconych polowych mundurów moro. Intensywną woń świeżych trocin i taniego proszku do prania. Kręcący w nosie zapach dezynfekujących środków z zawartością lizolu.

Z tyłu, od strony podwórka, ciągnęły się porośnięte krzakami sterty śmieci pozostałych z drugiej globalnej wojny. Młodzi chłopcy i zbyt wcześnie puszczane samopas dziewczynki znajdowali w nich kikutowe części delikatnych porcelanowych lalek z Miśni. Małe ciemnobrązowe buteleczki po tajemniczych lekarstwach z wytłaczanymi literami.

Skórzane fragmenty wojskowego oprzyrządowania w dobrym stanie. Klamry żołnierskich pasów krzyczące na cały świat – *Gott Mit Uns*! Fosforowe oświetlające pociski, które, tarte o chropowaty mur pralni, niespodziewanie wybuchały gejzerem kapiącego ognia. Wypalały na naszych dziecięcych dłoniach dośmiertne ślady. Grube, z trudem gojące się sznyty.

Czasem w tych zwałach kryjących wiele ludzkich nieszczęść trafiały się aluminiowe identyfikacyjne blaszki po zaginionych bez wieści żołnierzach Wehrmachtu. Zwiastujące zagładę obłe kawałki metalu wybieraliśmy z hałd ze strachem. Jeden z nich, o sygnaturze Fl. Horst-Kdtr. Görlitz A/201, przechowuję do dzisiaj. Wśród najważniejszych talizmanów. Do tej chwili czuję się powiernikiem losu nieznanego mi Horsta.

Tam właśnie – gdzie dzisiaj postawiono stację obsługi zdefektowanych koreańskich samochodów Daewoo – znajdo-

waliśmy także fragmenty mundurów feldgrau. Kłęby nikomu już niepotrzebnych, nadpalonych akt z wyrokami obligującymi skazanych do natychmiastowej śmierci. Wybijane krzykliwą szwabachą buńczuczne zarządzenia lokalnych przegranych führerów. Podszyte strachem odezwy, których przy dźwiękach artyleryjskich sowieckich salw nie zdążono wprowadzić w życie.

Wszedłem na jeden z takich rakowatych, śmieciowych pagórków. Gwiazda betlejemska, dawno już spełniwszy swoje zadanie, zmieszała się z milionami światełek nieboskłonu. Lekki wiatr, wiejący od nieosłoniętej drzewami części pralni, chłodził moją rozgorączkowaną twarz. Powoli wyciągnąłem harmonijkę z futerału. Jej pierwowzór stworzył w roku tysiąc osiemset dziewięćdziesiątym szóstym Matthias Hohner.

Przyłożyłem do ust poszatkowaną poprzecznymi drewienkami blachę instrumentu. Dmuchnąłem krótko, jeden raz. Słabo, bojaźliwie. Nie znałem nut ani najprostszych technik grania. Nie wiedziałem nic o wyrafinowanych właściwościach półtonów znamionujących muzykę bluesową w C-durach.

Takie muzyczne terminy, jak *indeciso*, *monofonia*, *pressando* czy *amoroso*, były pustymi słowami.

Spojrzałem w Kosmos, na Mleczną Drogę. Jeszcze raz przytknąłem instrument do ust. Tym razem wyrzucając mocniej powietrze z płuc. Zamknąłem oczy, ściągnąłem ciało na kształt naprężonej struny. Bez jednej chociażby próby, jednej lekcji gry, dmuchnąłem w ustnik niczym stary muzyczny macher. Cyniczny skurwysyn będący w najwyższej życiowej formie.

Stało się. Wynalazek z manufaktury Matthiasa Hohnera znalazł właściwy adres! Grałem!

037. Sonny Boy Williamson

W jednej chwili zrozumiałem, że wydawane dźwięki to nie jest amatorska kakofonia. To piękne tony wypływające z czarnych niewolniczych serc. Nadpływające z bawełnianych pól, zbożowych ściernisk Alabamy. Mogły powstać podczas koncertów w chicagowskiej dzielnicy bluesa, na ulicach sąsiadujących z Maxwell Street. Poczułem dar odrzucania plew od ziarna. Bez możliwości popełnienia pomyłki.

Na ciemnym podwórku, gdzieniegdzie tylko rozjaśnionym mdłym blaskiem gołych żarówek niskowatowych, stała się rzecz niezwykła. Pod nocne niebo uleciały archaiczne dźwięki starego bluesowego standardu *Hoodoo Hoodoo*. Słynnego utworu nagranego w końcówce lat trzydziestych przez chicagowską gwiazdę Sonny'ego Boya Williamsona. I ja zagrałem perfekcyjne, nieskażone fałszem dźwięki.

Mały, nieopierzony chłopak, w sposób logicznie niewytłumaczalny, zagrał na harmonijce niczym wytrawny zawodowiec. Zagrał tak, jak kreują dwunastotaktowca chicagowscy wirtuozi. Oraz samorodne talenty wspierane wynalazkiem Jacka Danielsa, umiarkowanie kopiącego draga. Standard *Hoodoo Hoodoo* wypełnił podwórko muzyką, jakiej tutaj jeszcze nigdy nie słyszano.

Inną od niedawnych hałaśliwych nazistowskich marszy typu: *Wo befindet sich eine Waescherei*. Niepodobną do socre-

alistycznych songów zatytułowanych *Serce partii* albo *Umiemy hartować młode serca*. W jednej sekundzie zawładnął mną słuch absolutny i nadprzyrodzona zdolność rozumienia przesłań archaicznego bluesa. W pierwszej chwili wystraszyłem się posiadaniem tej niezwykłej umiejętności. Potem zdziwiła mnie niespodziewana siła gry na niewielkim instrumencie.

Ale z każdym kolejnym kształtnym dźwiękiem wypływającym z hohnera nabierałem pewności, że to, co robię, jest naturalne. Doznawałem emocji znanych doświadczonym instrumentalistom. Chwila po chwili wchłaniałem w siebie moc idoli wielkich koncertowych sal. Mądrość władców muzycznych studiów radiowych i telewizyjnych. W jednym momencie, w wigilijną noc pełną cudów, posiadłem umiejętność perfekcyjnego grania na harmonijce ustnej.

Od Boga otrzymałem prezent, o jakim nigdy mi się nie śniło.

Kończyłem wielki bluesowy standard *Hoodoo Hoodoo*. Ciało współgrało z muzyką, kołysało się w rytm tonów pełnych żalu. Ja, *Hoodoo Hoodoo* oraz harmonijka – staliśmy się jednością. Wokół, we wszystkich oknach budynku, zapalały się kolejne żarówki. W wigilijną noc czynszowe kobiety, mizernie kształcone dzieci i pijani już o tej porze mężczyźni stali w poświacie ubarwionej choinkowymi żaróweczkami.

Głośno bili brawo! Pokrzykiwali także grube słowa. Nie rozumieli pewnie rozżalonego przesłania bluesa Sonny'ego Boya Williamsona.

Nie słyszeli przecież do tej pory tego rodzaju muzyki. Lecz czuli, że dzisiaj nastał dzień szczególny. Nie tylko z powodu przyjścia na świat małego bezbronnego Jezuska. Wiedzieli, że uczestniczą w zdarzeniu niezwykłym.

W takiej scenerii, na przykrytej śniegiem hałdzie poniemieckich śmieci, w blasku licznych świateł, stałem znieruchomiały. Przy aplauzie sąsiadów, mojej pierwszej publiczności. Po policzkach spływała mi słona woda. Z bramy, wolnym krokiem, jakby po omacku, szła w moim kierunku Matka.

Też miała mokrą twarz. Widziałem na niej liczne słone kulki. Łzy kobiety, która wydała mnie na świat. Podeszła, przytuliła i spazmatycznie przerywanym głosem powiedziała: Synu, Pan Bóg uczynił cię wielkim! Podziękujmy mu modlitwą. Poniemiecki czynszowy dom zatrząsł się od burzliwych oklasków. Z każdego piętra słychać było głośne okrzyki nieudawanej aprobaty.

Ludzie płakali bez ocierania łez. Padali sobie nawzajem w ramiona. Kto żyw. Około północy w małym nadgranicznym mieście zdarzyło się drugie Betlejem. Harmonijka Hohnera świeciła na podwórku proletariuszy niczym gwiazda na nieboskłonie. Odbijając elektryczne światło płynące ze wszystkich już okien, migotała w moich dłoniach z nadrealną intensywnością. Jaśniał Hohner Marine Band.

Niewielki przedmiot, który od tego dnia stał się ważną częścią mojego życia. Stał się Wielkim Wyzwaniem i Przekleństwem jednocześnie. Miałem w swoim życiu setki tych instrumentów. Ten, który dostałem od matki, był najważniejszy. Był przyczyną wielu uniesień. Oraz wstydliwych porażek. Żył razem ze mną każdego dnia. Żyje nadal!

Tak zostałem bluesowym muzykiem!

038. Champion Jack Dupree

Wspomnienia są pilnie strzeżonym skarbcem każdego ludzkiego życia. Nawet najbardziej plugawego. Mnie czynią lepszym. Przekładam miesięczną kartę ściennego kalendarza z przełomowego dwutysięcznego roku. Wydanego przez telekomunikacyjną firmę Dialog. Dwanaście nagich kobiet przedstawiono na nim w świeżych warzywach. Wśród cukini, pekińskiej kapusty, marchewek. Zdjęcia mają silne zabarwienie erotyczne.

Kobiety są tykowate, anorektyczne, niemal bez piersi. Zginają się w poddańczych pozach. Zalatują uległą chińszczyzną. Podręcznikiem *Tao miłości i seksu*. A wszystko w kolorze ciemnej sepii. Lubię takie postmodernistyczne eksperymenty. To niezwykły kalendarz. Pieczołowicie go odkurzam.

Już cztery lata przewracam w kółko jego stonowane brązem karty. Wywołuję w ten sposób obrazy, które przepadły już w przeszłości. Przypominają mi się pierwsze dziewczyny z licealnych studniówek. Debiutujące młode kobiety w śnieżnobiałych bluzkach. Przez które przebijały wstydliwie zarysy pancernych biustonoszy.

Kobiety z włosami pachnącymi tanimi perfumami, przesiąknięte papierosowym dymem. Od środka rozgorzałe budzącym się pożądaniem.

Paul Getty wyznał arogancko w wywiadzie, że nie ma powodu, aby zachowywać wspomnienia w coraz bardziej zaśmieconych głowach. Lepiej zachowają je pecety. Moje są zbyt drogie, by je powierzyć maszynie. Martwemu bydlęciu z Intela o ksywce Pentium.

Wróciłem z kilkudniowej trasy po Polsce z wielkim bluesowym pomnikiem – Górą Czarnego Mięsa – Louisianą Redem. Niesamowita siła, feeling, witalność, bulgocząca gorąca smoła. Ponad sto kilogramów muzyki Południa. Taki wagowo byłem przed poznaniem Lucille. Louisiana grał z biglem dwa kawałki z moich *Tatuaży Bluesa*.

Potrzebne mi było to krótkie emocjonalne tournée, bo coraz bardziej przypominam Championa Jacka Dupree. Starego zgreda ze standardu *The Heart Of The Blues Is Sound*. Skarży się Champion, że wyczekiwane jutro nigdy nie nadejdzie. Więc czuje się smutny i niepocieszony. I ja stawałem się nostalgicznym utopistą targanym przez pamięć o ideałach z czasów pop-artu.

Dziadzieję. Dzisiaj ojczyzna to dla mnie Wrocław, a w nim może jeszcze trzy, cztery osoby zaledwie.

Najgorsza była tegoroczna Wigilia. Samotność w tym jedynym w roku dniu doskwiera najbardziej. Odrzuciłem uprzedzenia. Chciałem te godziny spędzić z Rudą Kobietą. Chociaż czekały na mnie w jej domu przy Januszowickiej powykrzywiane sztućce. Powyciągane z zapyziałych szuflad, w których triumfowały sypiące się paździerze. Czekała na mnie ryba z pobliskiego sklepu z garmażerką, bigos z supermarketu i zakalcowate ciasto własnego wypieku.

Kontakty z ludźmi poza estradą stają się coraz bardziej uciążliwe. Nachalność fanów odbiera mi wewnętrzną harmonię. Wystawianie autografów na pudełkach papierosowych, na tramwajowych biletach – denerwuje. Nudzi mnie udawana celebra prostaków w garniturach od Bossa. Kupionych

w okresach sezonowych wyprzedaży. Na zebraniach Rotary Club nie robią niczego innego, tylko kombinują, gdzie za granicę wysłać własne dzieci. Taki sztuczny high life.

Mało jeździłem konno. Zaledwie kilka razy w życiu grałem w ziemnego tenisa. Nie chodziłem wyczynowo po górach. Dwa razy do roku grywam w golfa na polach hotelu Amber Baltic w nadmorskich Międzyzdrojach. Jestem miejskim szczurem. Mało słońca. Wychowywały mnie muzyczne piwnice ociekające moczem nieudanego życia.

Mam pocerowany dwunastoma szwami przegub prawej ręki. Rozcięty toporną blachą wentylatora. Który w młodości zrobiłem własnoręcznie z silnika wyjętego ze starej pralki. Kiedy będę stary, napiszę bogato ilustrowaną *Historię bluesa*. Z dużym rozdziałem o Polakach. Chciałbym dorównać tej skomponowanej przez Wima Wendersa i Martina Scorsese.

Lubię czytać powieści z serii Nike. Są dobrze dobrane, poręczne, w twardych oprawach. Idealne do hotelu, do pociągu, na łąkę, do parku. Od wielu lat nie jeździłem porannym tramwajem. Zapomniałem, jaki zapach wydaje skotłowany ludzki tłum. Nigdy zresztą do tej woni nie tęskniłem. Myję się w wannie samochodową gąbką – dużą, pojemną, szorstką.

Nigdy nie zaciągam w samochodzie ręcznego hamulca. Noszę lecznicze okulary firmy *Naf Naf*. Oraz przeciwsłoneczne ray bany. Dezodorant pryskam na głowę. Nie pod pachy. Piję teraz tylko czeską podibradkę. Oraz nałęczowiankę. Na przyjęciach, na które chodzę, szukam na stołach zaróżowionego rostbefu w plastrach, suchego schabu, winogron, melona i głosu kobiet śpiewających jazz.

W mojej obecności przestały więdnąć kwiaty! Kiedyś więdły. To przy Lucille polubiłem liczne doniczkowe rośliny. O piątej rano jeździłem na kwiatową giełdę oglądać ludzi żyjących z ich sprzedaży.

039. Amalia Rodrigues

Z głośników śpiewa Amalia Rodrigues, poetka ulic Starej Lizbony. Ma rozdzierający głos. Jej fado, nostalgiczne pieśni, te portugalskie bluesy, zawsze robią na mnie wrażenie. Brzmią jak Wielkie Standardy Bessie Smith, Sugar Pie Desanto, Janis Joplin. Czarny koronkowy szal, wibrujący ton i tajemnicze cienie migoczące chybotliwie na ścianach.

Fado to świadomość, że nie da się pokonać przeznaczenia. Że nie można nic zmienić. To nieustanne zadawanie pytań. Mimo pewności, że nie będzie na nie odpowiedzi. Fado nie jest ani wesołe, ani smutne. Jest interwałem. Zmęczeniem żywej duszy. Obrazem pogardy, z jaką traktujemy Boga, w którego niby tak oddanie wierzymy. Lecz którego lekkomyślnie opuściliśmy. Tak właśnie jest. Krzyk utworu *Fado Alfecinha* rozpieprzy każdego.

W laptopowych zasobach pamięci znalazłem jeden z pierwszych listów, jakie napisałem do Lucille. Wówczas, gdy bez ograniczeń oddała mi na wyłączność Rudą Kosodrzewinę. Kto sądzi, że składając świat u stóp swojej kobiety, jest bohaterem – nie kocha. To fałszywy wolontariusz. Ja nim nie byłem. Napisałem ten zdumiewający dzisiaj list zaraz po tym, jak do ram holenderskiego łóżka kupiłem nowy materac.

Aby nie było na nim plam, śladów mojego Krochmalu wypływającego spomiędzy ud innych kochanek.

Do Kobiety Mojego Życia napisałem tak:

> Lucille! Najpiękniejszy widok świata – to twoja twarz zanurzona we śnie. Mógłbym na nią spoglądać długimi godzinami. Widok dla mnie nie do zapomnienia to twoje ciało. Proszę, nie żachnij się w tej chwili. Miękkość twoich piersi jest wspaniała. Rozpierała mnie duma, że jesteś obok, przy mnie. Najprawdziwsze zaś chwile spotkań to te, w których płaczesz. Nie musisz udawać twardzielki. Czujesz, że możesz w domu zrzucić zbroję. To dla mnie ważne. Taką chcę cię widzieć najczęściej. Byłaś dzisiaj dyrygentem naszego duetu. Przystałem na to, bo chcę cię bliżej poznać intymnie. Poznać twoje oczekiwania, potrzeby. Inaczej brzmi muzyka naszych ciał. Popełniłem pewnie wiele niezręczności, w tym grzech nadmiernego poddaństwa. Tak jest w premierowych wydaniach. Pragnę jednak, byśmy dobrze się z sobą czuli. Przeczuwam w tobie nieustępliwy cień. Nieopuszczającą cię skazę przeszłości. Kotarę niedobrych wspomnień. Myślę, że dlatego właśnie odrobina bólu, który ci zadałem, tak zmieniła twoje zachowanie w finale. Chcę być przy tobie. Chciałbym być odtruwaczem tego, co w twoim życiu było złe. Coraz bardziej cię pragnę. Nie tylko cieleśnie. Nie jestem twoim wrogiem, wojownikiem stojącym naprzeciw. Nie wrzucaj mnie do jednego bezosobowego wora. To niesprawiedliwe. Całą ostatnią niedzielę byłem zamyślony. Nie wypowiedziałem słowa. W łóżku zostało trochę twojego zapachu. W lodówce jest przyrządzony twoją ręką łosoś w sałacie. Zjem go na kolację. Mam jeszcze twój ulubiony wileński chlebowy napój. Obciąłem paznokcie, łokcie posmarowałem kremem „Nivea", szukam wokół twojej obecności. Nie oczekuję wylewności. To nie w twoim stylu. Ale na pierwsze słowa topiące lodową górę – czekam.
>
> Blues

When You Got a Good Friend

Wariacje na temat bluesa Roberta Johnsona

Jeśli masz przyjaciółkę
Co u Twego boku będzie stać
Jeśli masz przyjaciółkę
Co u Twego boku będzie stać
Poświęć jej każdą minutę
Musisz dobrze ją traktować

Skrzywdziłem moje maleństwo
Sam nie wiem czemu postąpiłem tak
Skrzywdziłem moje maleństwo
Sam nie wiem czemu postąpiłem tak

Gdy tylko o tym pomyślę
Na koszuli łzy zostaje znak
Czy zdołam ją przeprosić
Czy wybaczyć zechce mi
Mmm

Czy wybaczyć zechce mi
Mmm

Jest czarnoskórą kobietą
Nie ma od niej lepszej
Mmm

Dziewczyno, mogę nie mieć racji
Ale twoja to kotku ocena
Skarbie pozostań ze mną
A krzywdę zastąpi wena

Jeśli masz przyjaciółkę
Co u Twego boku będzie stać
Jeśli masz przyjaciółkę
Co u Twego boku będzie stać
Poświęć jej każdą minutę
Musisz ją dobrze traktować

040. Billie Holliday

W dniach, w których z trasy napisałem miłosny list, toczyło się nasze *Love Story*. Jesień życia jawiła się w marzeniach syto. Jak wolne od układnych rytuałów przyjęcia w willi reżysera Polańskiego. Przy naznaczonej krwią hollywoodzkiej ulicy Cielo Drive sto. Zanim jego żonę, Sharon Tate, odwiedził z komuną kundlowatej postury hippis Manson.

Lucille stała się moim osobistym znachorem. Cukrzycowe rany nóg nacierała pieczołowicie świeżym sokiem wyciśniętym z młodych pędów aloesu. Wprowadziła do naszego domu gryczany miód. Piłem go codziennie rano w herbacie „Dilmah". Czasem wymieszany z sokiem z cytryny. Oraz na czczo z ledwie ciepłą przegotowaną wodą.

Aby zlikwidować tik, nerwowe drżenie mojej lewej powieki, zarządziła regularne łykanie rozpuszczalnego magnezu. Oraz rozrzedzającej krew, specjalnej aspiryny. Miało mnie to chronić przed zawałem otłuszczonego serca. Często myła mi nogi. Zdzierała ze stóp wielomiesięczne zrogowacenia. Krzyczała na mnie, więc przestałem pić wodę prosto z kranu.

Do słodzenia kawy i herbaty sypała amerykańską fruktozę z owoców. Specjalnie dla mnie kupowała na targu wielkie ziemniaczane bulwy. Gotowała je w mundurkach, po wielkopolsku. Były przeznaczone do śledzi w cebuli i gęstej kwaśnej śmietanie. Wychodząc rano do mleczarni po twa-

róg, pozostawiała na lustrze w przedpokoju szminkowe wyznania – Kocham cię, Bluesie! Pomyśl o twojej Lucille!!!

Gdy była poza domem nawet niedługą chwilę, nagrywała na automatyczną sekretarkę kawałki Billie Holliday z dedykacją. Odsłuchiwałem wiele razy te słowa miłości. Wniosła do domu kwiaty i badyle zbierane z łąk, parków i ulic. Z których tworzyła niezwykłe suche bukiety. Razem z Rudą Kobietą przeżywałem nirwanę.

Byłem szczęśliwy. Życie to tylko chwila. Lepiej więc wspominać w przyszłych latach, co się w nim zdarzyło. Niż co przydarzyć się mogło.

Przy szosie do zgorzeleckiej puszczy targowaliśmy się wspólnie o ceny kobiałek młodych podgrzybków. Dusiła je w śmietanie. Najlepiej udawały się niewielkie kurki z dużą ilością pieprzu.

Zaś przy autostradzie prowadzącej do granicy nabyła u stolikowego handlarza dwie filiżanki do kawy typu Bunzlauer Keramik. Ze słynnym bogatym zdobieniem. W ciemnofioletowym kolorze. Przyniosła także do domu duży wiklinowy kosz. Zasadziliśmy w nim pachnący, metrowej wielkości świerk.

Przyrzekliśmy sobie, że powinien żyć przynajmniej tyle co my. Gęsto się w te dni kochaliśmy. Na różne sposoby. Mając w sobie B.B. Kinga, krzyczała słowne nonsensy. Lubiłem ją, gdy była nieumalowana. Ciepła od przed chwilą wziętej kąpieli. Przestałem z Rudą Kobietą walczyć o klapę w toalecie. Ciągle ją podnosiłem, nie chcąc zasikać deski. Ona nieustannie ją opuszczała. Ceramika muszli była za zimna dla Małej Lucille.

W Görlitz, przy szerokiej i spacerowej Berlinerstrasse, kupowaliśmy U Armaniego dużo ubrań dobrych marek. Glo-

bertrotter. Tom Tailor, s. Oliver. A nawet garderobę firmowaną przez słynnego hip-hopowca Seana Johna – NYC. To właśnie U Armaniego kupiła mi eleganckie, giemzowe, jasnobrązowe rękawiczki z jedwabną podszewką.

U Armaniego. Tak nazwaliśmy parterowy magazyn typu second hand. Założony przez Amerykanów w miejscu pozostałym po socjalistycznej enerdowskiej kawiarni. Pełen mało używanych ciuchów przywożonych spod francuskiej granicy. Lubiłem kupować te szmaty. Czułem się w nich tak, jakbym na grzbiecie nosił cudzy los. Kawałek życiorysu człowieka o gabarytach zbliżonych do moich.

Kobiety pracujące U Armaniego, w tym ekspedientki polskie, specjalnie dla mnie wynosiły z zaplecza rzeczy zupełnie nowe. Pozostałe z sezonowych końcówek, z wyprzedaży. Pokazywały je z dumą, to dla pana, panie Blues, prosząc o autograf. Oraz o płytę *Tatuaże Bluesa*. Z torbami pełnymi używanej garderoby jeździliśmy przez Zittau do pobliskiego czeskiego Frýdlandu. Do ustronnej myśliwskiej chaty pod wioską Arnoltice. Gdzie w sezonie i poza nim duzi brodaci chłopcy ze strzelbami, klnąc w każdym słowie, urządzali gargantuiczne pijaństwa.

Kładliśmy się na gęstej murawie nieopodal klubowego budynku. A gdy była po deszczu mokra, leżeliśmy na tekturowych kartonach ustawionych stosami pod okapem leśniczówki. Otwieraliśmy litrową butelkę białego bohemia sekt i z ustami pełnymi gliwiejącego hermelina całowaliśmy się łapczywie. Jak więźniowie wypuszczeni z miejsc długoletniego odosobnienia. Mój B.B. King wyglądał po krótkiej chwili jak biała broda bożonarodzeniowego Mikołaja.

Tam właśnie uczyłem ją właściwego znaczenia słowa „suka".

Dowodziłem, kim dla swojego mężczyzny suka być powinna. Tam grała na B.B. Kingu nieśpieszne improwizowane

bluesy. Leżeliśmy przytuleni na pomiętych w walce kartonach. A Lucille nie pozwalała się dotykać dłońmi. Była na dole bolesna. Więc pozostałości sera zjadałem z jej brzucha ustami, bez użycia rąk. Wokół otaczało nas Niebo, do którego jeszcze przed chwilą zmierzaliśmy.

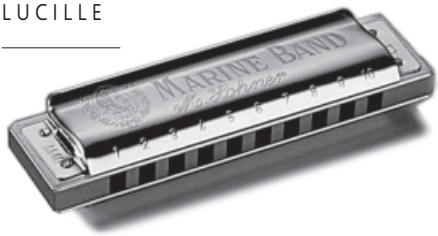

Niektóre esemesy przysyłane przez Lucille w czasach apogeum

* Czuję się wolną kobietą. Tylko twoją kobietą ze wszystkimi swoimi ułomnościami. Należę tylko do ciebie. Możesz ze mną zrobić, co zechcesz.
* Pragnę, Bluesie, żebyś tylko ty mnie pierdolił. Bardzo tego pragnę.
* Proszę, zadzwoń, jak tylko wstaniesz. A najlepiej zaraz przyjedź.
* Wszystkie sny moje są twoimi snami. A dusza twa jest moją duszą.
* Nikt i nic nie uciszy brzegu morza. Naszej miłości także.
* Dobranoc, mówi oddana ci kobieta. Dobrze śpij, mój kochany!
* Myślę, że to nie jest problem. A szansa dana nam od życia.
* Dlaczegóż to, szanowny profanie, nie chcesz zjeść ze mną dzisiaj ziemniaczanych placków. Sos do nich dorobiłam w kolorze Twojego Krochmalu.
* Czy dzisiaj będziesz mnie kochał? Rozmaślisz znowu nade mną swoje piękne oczy i w finale odpłyniesz daleko?
* Bluesie, jeb mnie jak sukę. Przecież jestem twoją suką!
* Chociaż już mnie nie chcesz, chociaż życie toczy się dalej – ja mam wciąż w sobie nasze kochanie.
* Nawet sny nie chcą już spać!

* Właśnie układam strony nowego tomiku twoich piosenek, czy już śpisz?
* Nie umiem już żyć bez twojego Kciuka.
* Jestem już w domu. Idę spać. Między nogami jeszcze czuję wyciekający Krochmal twojej produkcji.
* Mama już dawno śpi, a ja odbieram z cierpliwością pana okropne esemesy. Dziękuję. Myślę, że Bóg to Panu wybaczy! Marysia.
* Pomożesz mi odzyskać chęć do życia?
* Zazdroszczę ci, że masz swój cel, że jesteś szczęśliwy!
* Dobra! Czy mógłbyś w ostateczności przystać na to, żeby być ze mną? Ale więźniowie pragną kobiety fizycznie. A ja bym chciała, żeby łączyła nas także więź emocjonalna.
* Napisz, jak bardzo chciałbyś, żebym była przy tobie?
* Śnij i myśl o mnie. Będę w twoich snach kusić cię moim namiętnym ciałem odzianym w muślinową bieliznę, pończochy na czarnej gumowej koronce, otoczona nutką zmysłowych perfum. Tak jak lubisz!
* To dobrze, Bluesie, bo i ja tak lubię. Krótka spódniczka i nic pod nią. Buty na obcasie. Będę dla ciebie cała dostępna i bardzo mokra.
* Mocniej, szybciej, już cała płonę. Robisz to świetnie. Cała jestem tylko twoja.
* Chcesz czuć moją dłoń na B.B. Kingu? Moje ciało blisko twojego!?
* Ja ciebie pragnę mocno i głęboko. Tęsknię za twoją pogodą ducha!
* Bardzo!!! Proszę! Bardzo proszę, nie zamykaj się na moje wołanie o kontakt z tobą.
* Zalej mnie całą twoim gorącym Krochmalem.

* Pocierając dłonią Małą Lucille, doprowadzasz mnie do szaleństwa.
* Chcę się budzić, zasypiać tylko przy tobie. Czuć twój ciepły dotyk.
* Przypominam. Obwód w biuście – 86. Pas – 75, biodra – 90. Kup dwie pary. Jedna koniecznie czarna.
* Lubię, kiedy delikatnie pchasz i napełniasz mnie całą.
* Słyszysz mój głośny krzyk i czujesz, jak poddaję się twojej obecności w Małej Lucille. Wciąż wsuwasz i wysuwasz, a twój B.B. King robi się coraz twardszy.
* Wolę w usta. I czuć twój ciepły dotyk.

041. Charles Bukowski

Zdaje się, że równo w dwudziestą rocznicę śmierci Charlesa Bukowskiego, pisarza z jajami na właściwym miejscu, tracę Rudą Kobietę. Szukałem jakiejś pamiętnej daty. A ta wydawała mi się właściwa i łatwa do zapamiętania. Amerykanin Bukowski – mężczyzna brzydki i programowo nieokrzesany – prozatorskimi niepokornymi powieściami ośmielił mnie do dalszego życia. Do bytowania według dotychczasowego scenariusza.

To na stronach jego książek: *Szmira*, *Hollywood* czy *Miłość to piekielny pies* znalazłem wytłumaczenie dla własnych zachowań. Bukowski stał się moim rodzonym bratem, Robertem Johnsonem popierdolonej literatury. Ja też, jak on, za nic mam mieszczańskie konwenanse. Gwiżdżę na etykietę. Nigdy nie lubiłem wizytowych koszul, czarnych garniturów.

Chociaż ostatnio coraz silniej napada mnie żałobna myśl, aby nie tylko na teatralne koncerty typu Blues Brothers odziewać się w czarne garnitury. A na znak swoistej pokuty po odejściu Lucille ubierać się tak codziennie. Chodzić po ulicach w skwarne popołudnia i ranki dystyngowanie okryty. Płoszyć przechodniów wizerunkiem urzędnika karawaniarza.

Myśli takie potwierdzały, że wchodziłem w coraz większy chaos. Ulegałem mu i wyczuwalnie miękłem. Po raz pierwszy za sprawą kobiety zapłakałem słoną wodą. W szlochu

drżały mi ramiona, gdy upita miętówką opowiadała, jak ją brał Bard Piosenki Wkurwionej. Będący we Wrocławiu na koncertach opiewających totalną wolność.

Jak do hotelu pokornie niosła za nim gitarę. Sposobem oślepionego sławą giermka. Jak bez jednego pocałunku zwalił się na nią z nieumytym kutasem w ręku i bełkocząc o istocie globalnej demokracji zasnął w pół drogi. Opowiadała, jak pod prysznicem zdrapywała z siebie tytoniowo-alkoholową woń przyjezdnego barda. Jak z hotelu bez pożegnania wyszła w noc, odprowadzana pogardliwymi spojrzeniami zaspanych recepcjonistek.

Ja, twórca dumnych, obrazoburczych *Tatuaży Bluesa* beczałem jak skarcony dzieciak. Skręcało mnie, że jej ciała w taki łatwy sposób używali inni. Uciekałem wówczas we wspomnienia o naszych Dobrych Chwilach. Lubiłem, gdy ubierała się w białe samonośne pończochy na koronkowych gumach. Brał mnie ten podniecający chłód.

Kawałek ciała pomiędzy końcem pończoch a pierwszymi włosami Rudej Kosodrzewiny.

Lubiłem łapać ją za Małą Lucille na stopniach schodowej klatki. Gdy w obu dłoniach trzymała foliowe worki z zakupionymi wiktuałami. Też to lubiła i zaciskała uda, pokonując kolejne stopnie jak clown. Uwielbiałem niespodziewanie wchodzić w nią B.B. Kingiem, gdy rozmawiała z córką przez telefon. Głos Lucille stawał się natychmiast prawie porwany na sylaby. I był to koniec rozmowy.

Nienawidziłem natomiast dziwkarskiego sposobu, w jaki w łóżku ściągała ze mnie bokserki. Robiła to wprawnie jak tresowana małpa. Palcami u nóg sprytnie ujmując gumę. Schodziły jak ślubna obrączka z palca posmarowanego oliwą. Wiedziałem, że sposób ten wytrenowała na niejednym torsie przypadkowych i stałych kochanków.

Nawiedzały mnie kłęby nienawistnych myśli, gdy rozsmarowywała mój Krochmal po swoim ciele. Kurwa! Traktowała go jak kosmetyczny balsam. Miałem pewność, że dla Lucille jest to zajęcie rutynowe. Litry spermy wielu mężczyzn musiała tak rozprowadzać po swoim podbrzuszu, pod piersiami, na udach.

I jeszcze ten stereotypowy miłosny klangor, gdy rozgrzana miętowym KB likierem zapominała najwyraźniej, z kim znajduje się w łóżku.

Kiedy traciła nad sobą kontrolę, to w jednym, zawsze tym samym szyku, wypowiadała takie same zdania: Tak cię czuję. Ochchch! Taki jesteś mój! Ochchch! Tak cię czuję! Tekst ten brzmiał jak cytat z najbardziej tandetnych stronic pamiętników typu Fanny Hill.

Wszystko to, co w życiu spotyka człowieka, pochodzi z niego samego. Więc co tu się dziwić sytuacji, w jakiej się znalazłem. Tracę Lucille, chociaż w te właśnie dni powiedziała mi, że chce wreszcie dawać siebie całą. Już nie zamierza być niczyim materacem. Tak jak to działo się do tej pory. Była nadspodziewanie szczera i to bez działania miętówki KB. Z tym już koniec, mówiła głośno z łazienki.

Poszedłem tam. Przytuliła się mocno. Sikała na moje dłonie. Nabijała się na kciuk. Krzyczała: Jestem twoją suką, tylko twoją, Bluesie!

Chciałbym, aby tak było. Bo to Rudowłosa po latach kotłowaniny z przypadkowymi kobietami znów zrobiła ze mnie mężczyznę pełnego. Mogłem znów jebać, kiedy tylko zechciałem. Bez strachu, czy kolejnym razem także się uda. Z nią byłem ciężkozbrojnym hoplitą ze sterczącym, pewnym siebie B.B. Kingiem

Lubiła być długo brana. Na początku było to dla mnie dość trudne. Zaraz po zejściu z Lucille łapał mnie suchy, kłujący

płuca kaszel. Musiałem wstawać z łóżka do pionu i podchodzić do okna, by głęboko oddychać powietrzem nocy. Ale później wszystkie dolegliwości minęły. Kochaliśmy się długo, często i regularnie. Jak w pogodnych zakończeniach najpopularniejszych bajek świata.

Częste odwiedziny holenderskiego łóżka spowodowały, że dostała pierwszy od kilku lat silny okres. Mocno krwawiła. Jak minie, chcę mieć, Bluesie, z tobą córkę. Nazwiemy ją Nadzieja – wyszeptywała w nienaturalnym podnieceniu.

Coraz częściej przeglądała kolorowe gazety z ubrankami dla dzieci. Modliła się równolegle do swojego Boga.

Aby jej córka, Marysia, jak najdłużej była dziewicą.

Uniknęła zalotów swojego tatuśka.

042. Gore Vidal

Marysia wyrastała przy boku matki w milczeniu. Pozostawiona sama sobie, szybko zorientowała się, że aby nie doznać wiecznej nicości, musi zbudować własny, autonomiczny świat. Rezerwat, do którego dostępu trzeba bronić. Czasem starała się przybliżyć do rówieśniczek. Ale udawało się to średnio.

Siadała więc solo przy chyboczącym się, brudem zapuszczonym stole i pochłaniała kopiaste miski dzikiego brązowego ryżu. Przyrządzanego z porcjowanych foliowych torebek. Gotowanego na szybko. Zagryzała go na wpół zielonymi, twardymi bananami. Miały ponoć mniej kalorii. A wszystko popijała przegotowaną wodą słodzoną miodem. Taką, jaką karmiła mnie jej matka.

Nieustannie paradowała przed jedynym w domu lustrem w obcisłych spódniczkach, z których mimo głębokich wdechów wciąż wylewały się fałdy nieposkromionego tłuszczu. Jeździła wyczerpująco na rowerze, robiła setki brzuszków. Daremnie. Smukłość omijała ją bokiem.

W piwnicznej części betonowego klocka – przerobionej na ascetyczne studio nagrań – ćwiczyła godzinami pasaże z klasyków. Grała własne kompozycje opatrzone tekstami zapisywanymi na pięcioliniowym papierze pomiędzy gąszczem

nut. W których nie było jednak naturalnej radości budzącego się seksu nastolatki. A tylko nieustanny cień wiszący nad jej głową.

Nie było w nich rozkwitającej dziewczęcości i songów do ukochanego z wzorcowej sztuki *Romeo i Julia*. Dramatu, który w skórzanej, twardej, złoconej oprawie nosiła wciąż przy sobie. Były natomiast okrutne słowa o tym, że nigdy nie wyjdzie za mąż. Oraz liczne rymowane utwory o kolorach. Opowieści o tym, czym dla młodej kobiety są czyste barwy Nieba i Ziemi.

Była w tych tekstach impresjonistką stawiającą plamki słów w stylu Georges'a Seurata. Z zacięciem przegrańca grała dość często słynny koncert skrzypcowy Feliksa Mendelssohna-Bartholdy'ego. Gdy kończyła staccato, szczere brawa biła rodzina mieszkająca za płotem. To były krótkie chwile, w których córka Lucille miała na twarzy spełnienie.

Złościło mnie ciągłe oszukiwanie Marysi. Gdy Lucille szła do mnie na noc, nie unikała kłamliwych banałów. Mówiła córce, że ma jeszcze wieczorne spotkania z ważnymi klientami, że rozpoczyna nową reklamową kampanię, podpisuje strategiczną umowę. Złościło mnie to, bo wiedziałem, że ten numer z pracą stosuje od długiego czasu.

A szła rozkładać szeroko nogi do wyr kolejnych kochanków.

Nienawidziłem Rudowłosej, gdy po rutynowym roztarciu na brzuchu Mojego Krochmalu dzwoniła na Januszowicką i przesłodzonym głosem rajfury paplała do słuchawki: Marysiu, jeszcze chwila i przyjadę do domu. Kończę negocjacje z kolejnym kontrahentem. Przywiozę ci ciekawy prezencik. Mamusia cię bardzo, bardzo kocha. Tak, tak, wiem. Ty też bardzo kochasz mamusię.

Zabierała mi później z regału świeżo zakupioną książkę, mówiąc, że bierze ją dla córki, bo przecież obiecała. A jak mama obiecuje... W momentach rozhuśtanych emocji śmiała się prostacko, hałaśliwie wołając na przykład: Mama Marysi lubi Skandynawię. Lubi poznawać Finlandię w płynie i kosztować norweskiego łososia!

Cha, cha, cha! W stresie gasła jak chybotliwy płomień. Za sprawą KB Likér dowiedziałem się, że przed laty, by egzamin poszedł gładko, chciała dla pewności nauczycielowi córki z muzycznego liceum oddać – do chwilowego używania – krocze. Ale wcześniej się z emocji zsikała. Wyszła afera. Zupełnie nie znała ceny własnego ciała.

Rozdawała je zbyt łatwo. Często sikała w sytuacjach ekstremalnych. Także w młodości, gdy zagrożona była jej tajemnica cielesnego obcowania z tatuśkiem. W podstawówce obsikiwała się nieustannie. Kiedy rozognione rówieśniczki rozprawiały o tajemniczym penisie, odchodziła w klasowe kąty.

Zbyt dobrze znała jego brutalną dla małej dziewczynki wielkość. Przerażającą, nabrzmiałą moc, gdy pierzchała cienka, złudna chmurka moralności. Gdy kochany tatko przychodził do niej do pokoju przed nocą, aby czytać bajki braci Grimm. A właściwie mamrotać je podnieconym charkotem.

Nazywała go wówczas w myślach Nocarzem. Modliła się do wszystkich znanych jej wówczas bogów, by po godzinach popołudniowych nie następowała Noc. Dobrze wiedziała, że gdy tatko, grzebiąc pomiędzy jej dziecięcymi udami, rzęzi okrutne bajki Braci Grimm, za ścianą każdy lichy nawet szmer wyłapuje matka.

Bezsilnie zaciska pięści. Miota się, leżąc niezaspokojona w pustej małżeńskiej sypialni. Pokryta zimnymi kroplami strachu Lucille miała pewność, że matka od wstającego z kolan brzasku znienawidzi ją jeszcze bardziej. Będzie ją tłukła

po głowie, nazywając młodocianą szmatą. Będzie dla matki domową rywalką w walce o mężowski pot i kutasa.

Bo przecież modły, by ojciec gramolił się wieczorami wyłącznie na matkę, nie odnosiły w niebie skutku. A modliła się nadzwyczaj żarliwie do dzisiaj. Panicznie bała się, żeby to, co spotykało ją od kochanego przez całą rodzinę tatki, nie dotknęło Marysi. Dlatego zapewne nigdy nie przeczytała własnemu dziecku ani jednej bajeczki braci Grimm.

W przypływie roztkliwienia znów przekonywała mnie, że naszej córce damy na pierwsze imię Nadzieja. Ale na drugie koniecznie – Myra. Takie, jakie nosiła dzielna, pomiatająca mężczyznami kobieta, bohaterka książki Gore'a Vidala – Myra Breckenridge. Był to miniony już czas, w którym nie złościłem się jeszcze na dźwięk słowa „dziecko".

043. Jan Himilsbach

Czeska miętówka wyzwalała wciąż nowe obrazy z życia Lucille. Z martwą powieką, głosem wytrawnego sądowego sprawozdawcy, opowiadała o nieustannym strachu przed tatuśkiem. Obserwowała spod kolorowej ceraty stołu, jak człapał od rana po kuchni w wypchanych przy kolanach barchanowych kalesonach.

Stukał ostentacyjnie naczyniami i podśpiewywał kresowe piosenki o znarowionym ogierze, o bezkresnym zaoranym ugorze i czekającej w wybielonej zagrodzie wiernej po grób narzeczonej z pszenicznym, grubaśnym warkoczem. Sławił stepy Ukrainy i sokoły omijające góry i doły. Wódka, kresowe śpiewy, poborcy podatkowi, lody i Lucille to były jego życiowe drogowskazy.

Woniejący świeżymi waflami, wanilią i spożywczą chemią – używaną do lodów, które produkował dla ludności spragnionej słodyczy – wcierał brud rąk w barchan odzienia. Smugami tłuszczu tworzył na kalesonach swoiste generalskie lampasy. Wyglądał jak Bóg Klanu Prywaciarzy, Przewodnik różnej maści rzemieślników.

W opowiadaniach Lucille przypominał aktora naturszczyka Jana Himilsbacha z filmu Morgensterna *Trzeba zabić tę miłość*. Z rozporka kalesonów co rusz wypadał ciekawy świata kutas, paraliżujący jego ukochaną córeczkę. Każde wieczorne

podejście dzielnego Nocarza łączyło się dla Lucille z bólem i bezsilnością. Cwany tatusiek nie rozpychał się w niej do końca, by całkiem nie uszkodzić córki.

Wiele lat później, gdy przestał już być użytkownikiem własnego dziecka, pozwalał, aby pod jego ojcowskim baczeniem szła na całe noce do wspólnika od interesów – Handlarza Chińskim Sztruksem. Aby pomagała otępiałemu po stracie żony szmacianemu biznesmenowi podnosić jego coraz słabiej reagującego kutasa.

Wiedział, że w ten sposób mści się na pierwszym mężu Lucille, nieudanym artyście, malarzu utracjuszu. Soczyście znienawidzonym od pierwszego dnia, w którym Lucille przedstawiła go rodzicom. Mnie też by pewnie nie cierpiał. Za sprawą czeskiej miętówki KB Likér nie zabrał do ziemi tajemnicy gwałcenia własnej córki.

Nie leży więc teraz obok żony jak syte panisko. Wstydliwie przewraca się we wspólnym grobowcu. Bóg, jeśli jest sprawiedliwy, może jego grzeszne członki wyrzucić na światło dzienne w każdej chwili. Jak na razie zwleka z decyzją. To mnie złości. Bywa, że w napadach tej złości dla upodlenia noszę na ręce sowiecki złoty zegarek. Ten właśnie należący przed laty do tatuśka. Zegarek, który ratując Lucille, wykupiłem z lombardu razem z innymi błyskotkami.

Wówczas przemyśliwam, w jaki sposób tym charkotliwym głosem czytał ciemne bajki braci Grimm. O Kopciuszku, Czerwonym Kapturku czy Siostrze Siedmiu Kruków. Albo jak podniecony dukał wieloznaczne powiastki La Fontaine'a. Myślę o tym, jak w komunalnej kamienicy przy ulicy Ruskiej zachowywała się jej matka.

Gdy za drzwiami myła się w emaliowanej miednicy, słysząc ochrypły seksualny skowyt wygłodzonego wilka. Czasem

ekstatyczne piski lisa chytruska. Rozdającego dla niepoznaki słodkie, różem nadziewane pralinki Wedla. La Fontaine pisał w swoich dwuznacznych moralitetach, że wszystkie dzieci są własnością matek.

Tatusiek zadał kłam słynnemu bajkopisarzowi. Lucille była tylko jego. Wyłącznie. Była jego, gdy za zgubiony zegarek, dar na Pierwszą Komunię, bił ją za miastem gumowym paskiem rozrządu do krwi. Była tylko jego, gdy pijany żytniówką prezentował ukochaną córunię kolegom prywaciarzom. Za tykowate nogi odziane w białe rajstopki wyciągając ją spod stołu.

Lucille patrzyła na mnie coraz uważniej. Myślę, że zaczynała się bać tego, że coraz lepiej, coraz dokładniej poznawałem jej życie. Od dziecka do dzisiaj. Byłem obciążony coraz większą tajemnicą minionych dni. Po raz pierwszy uderzyłem Rudą Kobietę w twarz. Kurwa! Nerwowo nie wytrzymałem opowieści o trenerze judo, umięśnionym głupku z AWF.

Nie zdzierżyłem miętowej gawędy o tym, jak kładł na niej tors w biurze turystycznym. Na starych fotelach ze skóry. Fałszywie tłumaczyłem się – przed sobą samym – iż lepsze jest moje bicie po twarzy z miłości. Lepsze jest niż jej beznamiętne oddawanie ciała w przydrożnych motelach. W wynajętych mieszkaniach, na zmiętej, używanej pościeli, skórzanych, przechodzonych fotelach.

Po tym uderzeniu jeździłem bez celu samochodem po mieście kilometrami. Wrzeszczałem w szoferce – kurwa, kurwa! Potniała mi głowa, miałem mokre włosy, brał mnie suchy kaszel. Kiwałem się jak pluszowe pieski, te z samochodowej półki umieszczonej za zagłówkami foteli. Co rusz włączałem cyfrowy dyktafon i tak jadąc w samotności, wymyślałem sentencje usprawiedliwiające mój postępek.

Nie patrząc na nic konkretnego, wbijałem wzrok w mijane budynki. Wówczas myśli napływały same. Wspólna nienawiść łączy jak wspólna modlitwa. To słowa starego Gustawa Le Bona.

Jeśli jesteś idolem u jednych, musisz być diabłem u innych.

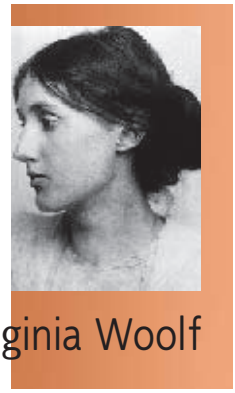

044. Virginia Woolf

Równia Pochyła Mojego Życia pracowała przez dwadzieścia cztery godziny na dobę. Wszystko szło na gorsze. Znów z zagraconego stołu, z domu Lucille przy Januszowickiej, zabrałem – ukrywając go w spodniach pod T-shirtem – wyświechtany notatnik Panoramy Firm. Pełen adresów i telefonów do mężczyzn. Niemal wyłącznie do nich. Pełno w nim zapisanych terminów. Dziwnych spotkań późnymi wieczorami. U nich w prywatnych domach. Wariowałem z każdym dniem bardziej.

Smuga Cienia bezlitośnie zbliżała się do moich drzwi.

A ja w coraz większej niepewności. Widziałem w majakach człowieka zazdrosnego. W jaki to sposób rozmawiała z klientami? O czym? O reklamie? Otaczał mnie chaos złych myśli. Muzyka i koncerty schodziły na dalszy plan. Coraz częściej oglądałem zdjęcia Lucille w rodzinnych opasłych albumach, które zdeponowała u mnie w bezpiecznym miejscu.

Były na nich ślady jej skancerowanego dzieciństwa. Wyblakłe ząbkowane fotosy małej, dziesięcioletniej, przedwcześnie dojrzałej dziewczynki. Jest na nich smutna, zamyślona. Zastanawia kobiecymi rysami, za którymi skrywa się tajemnica. Nie było w albumie zdjęć, na których śmia-

łaby się beztrosko. Tak jak zapewne śmiały się jej beztroskie rówieśniczki.

Na piersiach zalegał mi wielki kamień – otoczak. Skrócił na stałe oddech. Opanował myśli, wysyłając je w jednym tylko kierunku. Między opalone uda Rudowłosej. Rzeczy dotąd ważne uczynił ozdobnikami podwórkowego śmietnika. Im wyższy postawisz sobie cel – tym bardziej jesteś samotny. Ja byłem. Ruda Kobieta przypominała teraz klon, chodzący portret Virginii Woolf.

Miała rozedrgane dłonie nieustannie poszukujące zajęcia. Blaszaną twarz z martwo połyskującymi oczami. Wzrok utkwiony w nieobjętych umysłem czeluściach nieba. Gromadziła rozchybotane zapiski na luźnych, pozaginanych papierach firmowych z logo Panoramy Firm. Prostokąty pełne wersów na kalendarzowych kartkach, przyjmujące kształt białych wierszy.

I ten totalny brak przewidywań. Nie wiadomo, co z nami zdarzy się jutro. Co stanie się za jedną zaledwie godzinę. Ale wciąż pragnąłem, pożądałem. Moje Nieszczęście. Seksualność była dla mnie zawsze ważna, tak jak narodziny, śmierć, honor, duma i uprzedzenie. Tak ważna jak obiecująca, chociaż nieznana, kręta droga w leśnej głuszy.

Zabrałem Lucille do znajomego lekarza od zajobów. Patrzył zdumiony, najpierw na mnie, a dopiero później na Moją Miłość. Poprosił o wyniki wszystkich dotychczasowych badań. Scena z odkryciem przeze mnie jej chorobowych papierów to był krótki epizod. Wysiadała z retony. Zaczepiła o stopień wysoko zawieszonej terenówki.

Z kieszeni płaszcza wypadły opieczętowane kartki. Niczym Złowieszcze Wrony uleciały stadem, lądując na bruku. Z niespotykaną gwałtownością zaczęła je zbierać spod samochodu. Wciskała je nieporadnie, byle jak, do skórzanej

juchtowej torby. Wyrwałem z jej dłoni pognieciony plik. Okładała mnie na oślep pięściami. Oddaj, krzyczała głosem nicowanym strachem. Tym bardziej chciałem wiedzieć, co zawierają. Przeczytałem złowieszczą diagnozę.

Cyklofrenia!

Niewiele mi to nienawistne słowo mówiło. Ale później przeczytałem dokładny opis choroby w Internecie. Łykałem słowa o związanych z nią przypadłościach, oddychając coraz szybciej. Zaczynałem rozumieć zamknięty świat nieprzewidywalnych zachowań Lucille. Kliniczny, beznamiętny, elektroniczny zapis choroby był przecież realnym życiem Rudej Kobiety.

Była chora!!! To, co od lat niszczyło jej organizm, było maniakalno-depresyjną psychozą. Chorobą Janis Joplin i Kurta Cobaina z Nirvany. Oraz wielu innych znanych i anonimowych ludzi. Zżerała ją choroba psychiczna, w której następują po sobie na przemian stany depresji i niespodziewanych, mocno energetycznych uniesień.

Czytałem na ekranie laptopa: W przerwach pomiędzy falującymi stanami chory nie ma odchyleń od normy. Okres trwania jednej fazy waha się od kilku tygodni do kilku lat. Jednak właściwe leczenie skraca ten czas do najwyżej kilku miesięcy. Zdecydowanie częściej zdarza się obserwować stany depresyjne niż maniakalne. Przyjmuje się genetyczne uwarunkowania jako bodziec rozwoju choroby, choć dokładne jej przyczyny nie są znane. W trakcie rozwoju choroby fazy wydłużają się. A okresy bezobjawowe stają się coraz krótsze.

Tak brzmiała internetowa lekarska diagnoza. Zrozumiałem, dlaczego – zanim mnie spotkała – bez umiaru rozkładała nogi przed przypadkowymi mężczyznami. Dlaczego czyniła liczne euforyczne głupstwa przeciw sobie. Usidlona nadmiernym ożywieniem.

Zrozumiałem teraz właściwy sens jej niedawno wypowiedzianego zdania, które można byłoby przypisać Virginii Woolf. Że doceniamy drugiego człowieka dopiero wówczas, gdy odchodzi od nas na zawsze. Teraz moc tych słów napływała do mnie z minionymi obrazami naszych wspólnych dni. Pojąłem, dlaczego tak obsesyjnie boi się, drży o Marysię.

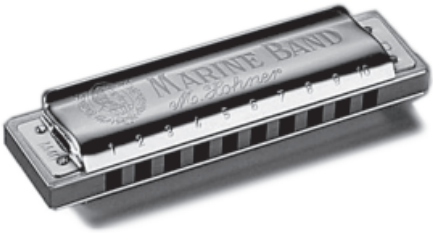

Ankieta ogłoszona w dimanszowym wydaniu „Gazety Wrocławskiej" – Czym jest miłość?

Wysłałem swoją wersję i niespodziewanie wygrałem. Pierwsza Nagroda: dwuosobowy straussowy weekend w czterogwiazdkowym hotelu na Praterze w Wiedniu. Z której nie skorzystałem.

Oszukiwałem siebie. Lucille była niezrównoważoną kobietą. Ale wciąż mocno ją kochałem. Dlatego ja – który dotąd nie napisałem do gazet jednego zdania – stworzyłem dla siebie iluzję. Napisałem o Lucille tak, jak chciałbym ją postrzegać. Jak byliśmy z sobą chwilami. Potraktowałem Rudowłosą niczym najżarliwszą, oddaną kochankę. Jak się pod ankietą podpisałem? Jakim nazwiskiem? Fałszywym.

Jeden – Sikanie

> Miłość to po nocy – będąc zanurzonymi po szyję w porannym Morzu Czarnym – obsikiwanie się. Trwając w mocnym uścisku. Nieopodal plaży z tłumnie zalegającymi wczasowiczami.
> Przyjmowanie ciepła moczu odczuwanego na ciele jako przesłanie intymności, oddania, wspólnoty.
> To częste powolne mycie w wannie całego ciała twojej jedynej kobiety.
> Od namydlania jej włosów do masowania gąbką końców palców. Najważniejsze jednak są, o czym wiecie doskonale, okolice brzucha, zakończenia ud.

To decydowanie o długości, ułożeniu i kolorze Jej włosów. O intensywności Jej makijażu – dziwka, matrona, uczennica.
Miłość to zasypianie z myślami wyłącznie Nią zaprzątniętymi. Budzenie się w środku nocy nie z powodu ochoty na sikanie.
Ale po to, by o Niej marzyć.
Przewracać się z boku na bok.
Złościć się, że do świtu już tak blisko.

Dwa – Esemesowanie

To nieokiełznane, spontaniczne wysyłanie do Niej niezliczonej ilości esemesów.
Esemesy pozwalają adresatowi rozwinąć wyobraźnię. Słowa wylatujące ze słuchawki telefonu brzmią, jak brzmią.
Znaczą tylko tyle, ile znaczą.
Te zaś odczytywane na ekranie komórki niosą niedopowiedzianą tajemnicę, nadzieję. Są erotyczną grą.
Miłość to wspólne obieranie ze skórek jesiennych jabłek antonówek. Krojenie ich na cząstki i wzajemne się nimi karmienie.
Z tych nie do końca zjedzonych, zrudziałych od upływającego czasu, gotowanie niesłodzonego kompotu. Przyprawianie go miodem.
To poranne – na przykład o godzinie plus minus szóstej – chodzenie do pobliskiego sklepu po świeże bułki.
Bez najmniejszego ociągania się.
To przy ich jedzeniu – obfitość solonego masła – beztroskie rozsypywanie kruszyn.
Wzajemne wycieranie resztek bułki z kącików ust. Zlizywanie ich.

Trzy – Przymierzanie

Wspólne kupowanie w supermarketach, których się przecież nie znosi, mnóstwa niepotrzebnych rzeczy.

Przymierzanie w sposób chaplinowski płaszczy w zbyt dużych rozmiarach. Chowanie się pomiędzy regałami. Zakładanie na głowę garnka do gotowania niczym zimowej czapki.
Podkradanie ze sklepowej lady orzechów pistacjowych.
Urywanie z kiści pojedynczych winogron.
Kupowanie tandetnych talerzy na wagę.
Zasypianie z językiem mocno wciśniętym w Jej ucho.
Nieprzejmowanie się smakiem wnętrza ucha.
Przypominającym gorzkie migdały.
Jedzenie z demonstrowanym apetytem zupy ziemniaczanej przez Nią przyrządzonej.
Mimo że kartofle są półsurowe, twarde.
Wywar zaś przypomina mydłowatym smakiem minutowe, wietnamskie torebkowe ciecze.

Cztery – Całowanie

Miłość to poranne, namiętne całowanie się z językiem w łóżku.
Jeszcze przed pójściem do łazienki.
Przed myciem zębów.
Właściwie umycie ich sobie nawzajem pocałunkami.
To cierpliwe wielominutowe siedzenie na drewnianym krześle.
Przyglądanie się we wspólnotowym milczeniu, jak zmniejsza się pod żelazkiem przez Nią prowadzonym góra różnorakiej garderoby.
To wirtualny kamień osadzony na twoich piersiach.
Nieznośnie je, te piersi, uciskający.
To krótki, rwany oddech, brak tchu.
Szybkie bicie serca, co rusz, tup, tup, tup, tup.
Złość, że twoja kobieta nagle odchodzi, zasypia beztrosko na małej poduszce, kiedy jeszcze jest tyle do powiedzenia, tyle do wyszeptania.

Pięć – Czekanie

Miłość to grzechocące irytująco, lecz mocno oczekiwane telefony o najbardziej nieprawdopodobnych porach dnia i nocy.
Szczególnie nocy.
To własnoręczne ubieranie Jej rankiem w grube, czarne, nieprześwitujące rajstopy.
W kraciaste szkockie spódniczki nad kolana.
Zapinanie niesfornego biustonosza.
Gdy Ona udaje, że niby nie może sobie z nim poradzić.
Miłość to tęsknota, gdy Jej nie ma przy tobie.
Spieszenie się do łóżka, czekanie na gwiazdy, by móc o Niej marzyć, przywoływać w pamięci.
Nieirytowanie się, gdy na cały tydzień zapomni o włączonym żelazku – dobrze, że działa w nim bimetalowy wyłącznik.
Albo gdy spali silnik miksera, wciskając jego mieszarkę w nazbyt gęste, zbrylone ciasto.
Takie nie do ruszenia.
To częste, zaczepne strzelanie z Jej gumki przy majtkach.

Sześć – Mlaskanie

Pozwalanie Jej pierwszej na czytanie świeżo zakupionej gazety, na pogniecenie tej gazety, niedbałe jej rzucenie.
Mimo że do tej pory nikomu na to nie pozwalaliśmy.
Ubieranie Jej, chodzącej po domu boso, na luzaka, we własny, mocno na nią za duży, sprany T-shirt.
Tylko w T-shirt.
Jedzenie z oczywistym mlaskaniem i zachwytem ciasta z kruszonką przez Nią upieczonego.
Nawet gdy w połowie przypomina węgiel z kopalni Turów.
W drugiej zaś połowie obraz zakończonej właśnie bitwy pod Waterloo.

Przebywanie z Nią w bliskości przez wiele minut w milczeniu.
Gdy w lekkim rozkroku siada na twoim kolanie przodem, twarzą blisko twarzy, mocno przytulona.
Gdy jeszcze przed wstaniem z łóżka, przed śniadaniem, przynosi szklankę z musującą w niej wodą z rozpuszczonym magnezem, wapniem.

Siedem – Zjadanie

Miłość to samotne, tęskniące wąchanie Jej intymnej bielizny, gdy wyjedzie z miasta na dwa, trzy dni.
To pragnienie, aby w ten sposób być razem z nią, czuć.
Czuć, że jest nieopodal, widzieć ją nieomal.
To całowanie Jej twarzy o każdej porze.
Czyszczenie językiem jej oczu z nocnych pozostałości.
Wciskanie języka głęboko do jej nosa.
Mycie własnym językiem Jej szyi.
Jedzenie z jednego talerza, jedną łyżką, jednym widelcem.
Wzajemne się karmienie.
Rozgniatanie na twarzy kulek winogron.
Tarcie kawałkiem pomidora pod jej pachą.
Zjadanie tego pomidora.
Zjadanie oliwek wyjętych z wilgotnej jamy.
Wspólne spanie wyłącznie nago. Bez względu na porę roku.
Wszystko jedno, lato czy zima.
Żadnych obleśnych nocnych koszul, paskowanych chińskich pidżam.
Żadnych skarpetek frotté zabijających estetyczne wrażenia.
Spanie ciałami splecionymi w warkocz.
Spanie pod jedną kołdrą.

Osiem – Przebieranie

Wspólne moczenie nóg w dużej misce.
Wzajemne obcinanie sobie paznokci.
Z celebrą wycinanie włosów z nosa, golenie wzgórka Wenery. Przycinanie brwi, wzajemne upiększanie pumeksem stwardniałych pięt. Powolne mycie pach, suszenie tych pach językiem.
Malowanie plakatówkami w fantazyjne wzory ceramicznych doniczek.
Obdarowywanie się tymi doniczkami.
Trzymanie ich w ulubionych, widocznych miejscach.
Przebieranie Jej, przed dużym lustrem w przedpokoju, w twoje męskie rzeczy.
W czapki bejsbolówki, w koszulki polo XXL, w spodenki bokserki, kraciaste koszule z zawijanymi rękawami, przeciwdeszczowe kurtki, w których najczęściej wygląda rewelacyjnie.
Miłość to wstyd, to zahamowanie przed robieniem Jej zdjęć nago.
A więc szacunek dla Jej ciała.
Zazdrość, że mógłby je zobaczyć inny mężczyzna.
Podczas gdy z niekochanymi kobietami, choć akceptowanymi, nie ma takich zahamowań. Wręcz przeciwnie.

Dziewięć – Siedzenie

To zazdrość, gdy wychodzi z domu w zbyt krótkiej spódniczce.
Ma dekolt wystawiony na pokaz.
Siądzie na ławce zbyt wyzywająco.
Nie tak założy nogę na nogę. Spojrzy nie w tę, co trzeba, stronę.
A wszystko to zgodne z naukami żyjącego w X wieku talibskiego mędrca Ali Ibn Ali.
Uważającego, że najlepsze kobiety to te, które są cnotliwe wobec obcych, a rozpustne wobec męża.

To częste wyglądanie przez okno, czy już wreszcie nadchodzi.
Wkładanie okularów do dali, żeby zobaczyć czy nie idzie od strony autobusowego przystanku.
Denerwowanie się, gdy się spóźni, gdy nie wyśle uśmierzającego niecierpliwość esemesa.
Siedzenie jak na szpilkach, częste spoglądanie na zegarek.
Uczenie Jej, co oznaczają słowa: ergonomika, instygator, rachatłukum, kongregacja albo szachinszach. Kim była Ksantypa? A kim koleżka Figaro?
Dlaczego nie warto się znaleźć pomiędzy Scyllą i Charybdą.
Co napisał Friedrich Dürrenmatt, co Eugène Ionesco?
A co na przykład taki Arthur Koestler łamany przez Kena Keseya i podszyty Normanem Mailerem, że o Januszu Głowackim nie wspomnę.

Dziesięć – Glosa

To wspólne słuchanie jazzu, nic na siłę, raczej edukacyjnie, w brzmieniu łatwiejszym, kojącym, z uwzględnieniem rozmarzającej Diany Krall, Diane Schuur albo Sugar Pie Desanto.
Czy też proponowanie głosów bardziej mięsistych: Etty James, Zakiy Lee Hooker, Shirley Horn.
Dyskretne podsuwanie do lektury głównych tekstów w miesięczniku „Jazz Forum".
Stworzenie wspólnej Nieustannej Niedzieli!

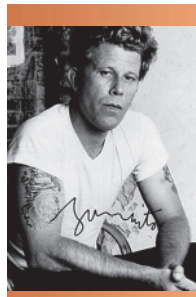

045. Tom Waits

Trwałem w stanie umysłowego i fizycznego rozgardiaszu. Zimna Empiria podpowiadała mi, że nie powinienem być dłużej z Lucille. Mój pomysł pozostania z nią do Końca Ziemskich Dni odpływał. Pogrzebali go własnymi kutasami jej wcześniejsi kochankowie.

A jednak Ruda Kobieta była dla mnie silnym elektromagnesem, którego polu w żaden sposób nie mogłem się skutecznie oprzeć. Jednocześnie Kochałem i Nienawidziłem. Była najbardziej pożądaną ze wszystkich kobiet, jakie dotąd poznałem. Nie myślałem o dawnych, jednodniowych hotelowych materacach branych pod siebie na trasie w pijanym widzie. Była jednocześnie kobietą najgorszą.

Tak jak za każdym żołnierzem na wojnie – oddalonym od bliskich – kryje się kobieta, tak za każdą moją myślą o kobiecie kryła się Lucille. Nosiła w swoim wnętrzu jakąś nieokreśloną noc. Ciemność, milczenie, wymowny smutek opuszczonej głowy.

Mówiła prawie wyłącznie prostymi zdaniami typu podmiot i zaraz po tym orzeczenie. Bez użycia oszałamiającej miętówki trudno było wydobyć z niej słowne Bizancjum. Taka była na początku naszej drogi. Tuż po przyjeździe z Kanady. Ale wówczas sądziłem, że jest to zachowanie spowodowane powtórną adaptacją. Dzisiaj wiem, że musiał to być chorobowy niż.

Ku harmonii i normalności otworzył Lucille dopiero wakacyjny plenerowy koncert Toma Waitsa, na który zabrałem ją do Pragi. Słuchała w stutysięcznym tłumie jego chropowatych songów z płyty *Mute Variations* i nowszych. Kawałków olewających konwenanse i mieszczańskie sznyty. Przytulona łapczywie, sączyła mi do ucha słowa nadziei.

Jeżeli te tysiące wspaniałych ludzi wokół czują to, co czuję ja – nie jestem sama. Mój kochany Bluesie. Mam przecież ich i ciebie. A razem możemy mieć, tylko dla nas, maleńką Nadzieję. Bardzo cię miłuję! Nigdy cię nie zdradzę. To były dni wyjęte spod jurysdykcji syfu. Nasza wspólna podróż miała w takich chwilach oczywisty cel. Być w pełni księżyca!

Dzisiaj za Chiny nie mogę przeskoczyć własnego cienia!

A przecież z pokorą uczyłem się od Lucille wielu powszechnych zachowań. Nauczyła mnie pić mineralną wodę bez gazu. Do tej pory używałem wielkimi haustami wyłącznie gazowanej. I musiała być zimna, prosto z lodówki. Pilnowała, abym regularnie połykał cukrzycowe i przeciwciśnieniowe tabletki. Surowo nakazywała po sikaniu opuszczać sedesową deskę na swoje miejsce.

Uczyła, jak po umyciu zębów nie wypłukiwać dokładnie ust. Zostawiać między zębami resztki pasty. Po to, by dłużej czuć świeżość. Ja zaś nauczyłem ją zostawiać otwarte drzwi do łazienki. Nigdy ich przed sobą nie zamykaliśmy. Często sam zdejmowałem jej majtki i sadzałem na muszli. Słuchałem odgłosów wodospadu. Intymność przy otwartej kurtynie.

Byliśmy wówczas niekłamaną jednością. Dokładnie wymieszaną dwukolorową plasteliną. Pierwotną cywilizacją. Nierozerwalną jak Kościół i Religia. Ona to kościół. Ja to religia. Miałem z nią wspólnotę, która jednak nie mogła się dopełnić do końca. Nie mogła potwierdzić sloganu – nad-

używanego przez życiowych iluzjonistów – o dopasowanych połówkach jednego jabłka.

Kochałem ją, gdy do domu przynosiła jakieś chwastowe badziewie, zamieniając chaos badyli w piękne bukiety. Umieszczała je w spatynowanych upływem czasu miedzianych dzbanach, które kupowałem na targach staroci.

Nienawidziłem, gdy rozsmarowywała po swoim ciele mój Krochmal. Kochałem, kiedy puszczała *Feels Like Home*, relaksacyjną płytę Norah Jones, i podawała na ukwiecony balkon przygotowywane przez siebie proste dania.

Makaron z wyżyłowaną wołowiną, kalafior pokryty kołdrą gliwiejącego sera. Szpinak na ziemniaczanym placku, świeże grzyby duszone w śmietanie. Czy utopione w wiejskim maśle młode ziemniaki z nadmiarem posypane wonnym koperkiem. Wymyślałem te zestawienia, a Lucille, jak tylko potrafiła, przerabiała moje pomysły na dania. Czasem udawały się aż nadto.

Siadaliśmy ciasno obok siebie, niczym w podmiejskim pociągu, wzajemnie się karmiąc. Sobie nakładała zawsze większą porcję. I jadła zawsze zbyt szybko. Jakby za chwilę ktoś miał gwałtownie zabrać jej spod nosa talerz z niedojedzoną zawartością. Niekiedy, gdy w szybkości jedzenia znacznie mnie wyprzedzała, zdarzało się jej przemówić.

Bluesie, nareszcie uwierzyłam w twoje słowa, że człowiek to nie jest chwila, jedno zdarzenie, jeden wybrany sezon. Człowiek to cały życiorys. Chociaż dawniej było wokół mnie gwarno, byłam wciąż samotna. Nie miałam oparcia w najważniejszych chwilach mojego życia. Marysię rodziłam sama. Ojciec nie przyszedł do szpitala. Właściwie nie miałam matki.

W przeszłości bałam się zbliżać do rówieśniczek. Jesteś, Bluesie, moim pierwszym prawdziwym marzeniem, moim

wyśnionym mężczyzną, moją miłością i pożądaniem. Miewam takie jak dawniej miesiączki. Wiem, że gdy przebywasz w domu, czekasz na mnie bardzo niecierpliwie. Denerwujesz się każdą minutą mojego spóźnienia.

Przy tobie stałam się pełną kobietą. Wiem, co to jest tęsknota. Żal osobnych chwil.

Ale czuję, że wciąż nie masz do mnie zaufania. Jeszcze cały nie przeszedłeś na moją stronę. Czy nigdy nie będziesz wyłącznie mój? Nienawidzisz mnie, pogardzasz mną, czuję to. Ale moja miłość to wszystko przetrzyma. Nie bądź taki twardy, nieustępliwy. Rozmiękczę cię. Będę twoją codzienną nieustanną myślą. Powszednim chlebem.

046. Jimmy Smith

Tak mi powiedziała. A ja rzeczywiście w tym okresie życia pragnąłem chleba powszedniego. Nie wiodłem myśli o Lucille w stronę Wenus – cukrzonego obrazu Botticellego. Raczej błądziłem zdezorientowany pomiędzy katastroficznymi oraz świńskimi rysunkami Rolanda Topora. Pomiędzy jego przerysowanymi czernią, kosmicznymi, nieobjętymi cipami. Destrukcja *made in* Topor pokazywała niebezpiecznie pazury.

Siedzę w domu i kuruję się prochami z recepty. W supermarkecie kupiłem wczoraj śmierdzące, nieświeże małże. I teraz, obolały w środku, zdycham. Czuję się jak podczas pobytu w szpitalu. Chociaż w szpitalu nigdy dotąd nie leżałem. Nigdy nie było mnie na odwyku. Mimo wielu alkoholowych i narkotykowych pokus. Zapowiadało się dobrych kilka lat temu, że z przedawkowania na zawsze przyjmie mnie gleba. Ale damie z kosą ustąpiłem z drogi bez żalu.

Lubię przez chwilę przebywać w szpitalach. Wyłącznie podczas odwiedzin. Pracuje tam dużo tam ładnych, cycatych kobiet w białych, krótkich fartuchach. Niewiele zarabiają i niewiele mają pod spodem. I prawie zawsze nie zapinają fartuchów na pierwszy i ostatni guzik. W każdym są kobiety ładniejsze niż niejedna Miss Polonia. Wbrew nazwie są to miejsca nasycone seksem.

Dogorywam w domu. Aby nie zwariować, ściągam z Internetu nagrania genialnego czarnoskórego hammondzisty Jimmy'ego Smitha. Aranżacja jego największych standardów na harmonijkę to pewnie jeden z ostatnich moich projektów artystycznych. Przed niechybnym trafieniem do czubków.

Któregoś dnia przy kolacji powiedziałem Lucille spokojnie, stoicko, że bez powodu zacznę ją otwartą dłonią bić po twarzy. Będzie to pokuta za nadmierne rozkładanie nóg w przeszłości. Zgodziła się natychmiast. Coraz bardziej bałem się, że podzielę los mojego kumpla, trenera koszykarzy Turowa. Stracił właśnie żonę, którą bardzo kochał.

Odeszła do niewielkiego Greka, za to wielkiego estradowego buzukisty. Miał wciąż czarne – a nie jak trener siwe – włosy. Buzukista często śmiał się do sera, prezentując wciąż białe zęby. Znał sto kawałów o blondynkach. Przede wszystkim z helleńską werwą Greka Zorby grał i śpiewał nieskomplikowane kawałki o słońcu i miłości. Umiejscowione nad kamienistym Morzem Egejskim.

Pewnie też częściej niż zniszczonemu alkoholem trenerowi stawał mu kutas.

Trener chodził po Wrocławiu w brudnych flanelowych koszulach, secondhandowych kurtkach rozdartych przy rękawach, z wyrwanymi zamkami błyskawicznymi. Śmierdział wódą, wymiocinami, uryną. Także nie do końca przetrawionymi alkoholowymi wynalazkami. Mamrotał ledwie zrozumiale: Podnieś kamień i rzuć. To będę ja. Boga nie ma.

Świat zamieszkują wyłącznie interesowne kurwy!

W trudnych chwilach zwątpienia podzielam diagnozę trenera. Oglądałem na przykład zdjęcia Lucille z sylwestra organizowanego na zamku Książ. Przez lupę – z mężczyzn blisko ją otaczających – typowałem tego, który poszedł z nią

nad ranem do pałacowego hotelu. Kiedy podczas wertowania kartek albumu wskazałem moim zdaniem właściwego, ze zmieszania zapomniała się i krzyknęła w zapamiętaniu – Nie chcę, Bluesie, żebyś był taki wścibski jak mój tato.

A przecież miała już ponad czterdzieści lat! Innym razem poszedłem do hotelu Panorama oglądać na żywo jej kolejnego kochasia, którego trafnie wyłowiłem z notatnika Panoramy Firm. Miał w tym luksusowym hotelu firmę sprzedającą wina światowych marek. Rozpoznał mnie z telewizji albo z płytowych okładek i ledwo wszedłem do jego biura, zaczął tłumaczyć się gwałtownie, że bez obawy, z Lucille to nie było nic poważnego.

Dukał, że akurat ze wszystkimi pieniędzmi, jakie mieli, odeszła od niego żona i szukał jakiegoś chwilowego pocieszenia. Więc zabrał panią Lucynę któregoś wieczora z artystycznego klubu Jatki. Ale później, kiedy straszyła go, że jeśli ją porzuci, to popełni samobójstwo, zakończył przypadkowy romans. Więc chwilę tylko byli razem. Żebym mu wybaczył.

Oddalał się od tej pomyłki tak szybko, jak tylko mógł, przekonywał. Specjalista od win wyglądał jak zaspany, zaropiały dziad. Rozmawiał ze mną w szarym już, gipsowym chomącie na szyi. Z szuflady biurka wyciągał tylko jednego papierosa, nie częstując mnie. Mówił szarpanymi, ledwie logicznymi zdaniami.

Kazałem mu przejść wolnym krokiem do szklanej witryny i z powrotem. Wyszedłem, zostawiając go z rozdziawioną gębą.

Również w betonowym domu przy Januszowickiej prześladowały mnie zapachy dawnych kochanków Lucille. Gdzieś w zapuszczonych kątach klockowatego budynku czułem ciągłą obecność jej byłego męża. Pełno tam było zleżałych

ubrań, zużytych butów, starych, nieprzydatnych przedmiotów. W opowieściach Rudej Kobiety mąż był człowiekiem skrytym.

Mogli więc sobie podać rękę. I podawali. Mówiła, że nigdy nie lubiła się z nim całować. Mnie zagarniała wilgotną łopatą języka długie minuty. Twierdziła, że między nimi nie było nawet szczątków miłości. Chyba że jednym z jej rachitycznych przejawów było chwytanie Lucille za włosy i brutalne pchanie jej głowy w kierunku rozsuniętego mężowskiego rozporka.

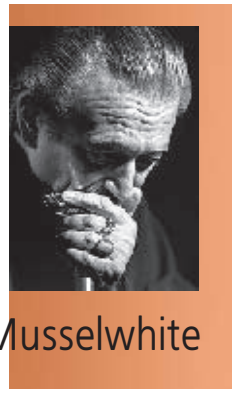

047. Charlie Musselwhite

Jednocześnie z murszeniem naszego związku na znaczeniu traciły kostiumy ze sztuki zatytułowanej *Miłość do dziwki*. Była to sztuka współczesna, ale nosiła wiele cech artystycznego manifestu Williama Szekspira. Koniecznie z wątkami Romea i Julii. Przestawała być ważna bielizna – a raczej czernizna – zawsze oszczędnie pokrywająca ciało Lucille.

Pożegnaliśmy się z damską uprzężą firmy Leg Avenue. Na piersiach i sromie Rudej Kobiety przeważały teraz chińskie podróbki koronek nabywane na bazarach za kilkanaście złotych. Nie miałem już serca do własnoręcznego ubierania jej w nakręcającą mnie garderobę. To, co dawniej było takie ważne, dzisiaj coraz częściej odpuszczałem.

Z zasobów bieliźnianej wytworności pozostał mi w pamięci połyskliwy, śliwkowego koloru komplet Triumpha, pierwszy naprawdę wytworny, który kupiliśmy w Berlinie. Wówczas gdy przez tydzień grałem przed Charliem Musselwhitem w tamtejszych artystycznych dzielnicach Mitte i Prenzlauer Berg.

Ze scenografii szczególnie ulubionej, skrapianej Krochmalem, zostały w głowie czarne, samonośne, grube pończochy wykonane w konwencji ascetycznej mniszki cichodajki, w których Mojej Kobiety pożądałem nieustannie. Biel

ciała na końcu ud i surowy wojłok nieprzeniknionych pończoch zmuszał krew do prawdziwego galopu.

Mniej teraz zajmował bieliźniany chaos. Czyli porozrzucane wszędzie majtki, biustonosze, pończochy. Na kuchennym kredensie, na telewizorze, którego nie włączaliśmy tygodniami. Także na moich zeszytach nutowych, niemalże w lodówce. Szydziła tym ubraniowym bałaganem z zasad schludności. Kpiła z udawanej niewinności kobiet dojrzałych.

I serdecznie nienawidziła powiedzenia – Lucille, przecież musisz być cna. Ten staropolski wyraz doprowadzał ją do niekontrolowanej złości. Dawniej lubiłem totalny bieliźniany rozgardiasz. Często nawet bywałem kontent. Zakładałem na głowę jej dwudniowe, nieświeże majtki. Wyglądałem w nich nader dzielnie. Jak legendarny torreador El Cordobes szykujący się do walki z bykami na najstarszej andaluzyjskiej arenie w Rondzie.

Albo jak porąbany muzyk Vince Guaraldi. Amerykański harmonijkarz na okładce torreadorskiej płyty *Nince&Bola Sete*. Specjalizujący się w przysposabianiu bluesów do hiszpańskich klimatów. Patrzyłem z rozbawieniem w lustrze na to oryginalne nakrycie głowy. A Lucille, udając oburzoną damę z kręgów high life'u, próbowała je z mojej głowy zedrzeć. Ale tak naprawdę cieszyła się z tych humorystycznych przymierzanek.

Albo stawałem w szerokim rozkroku, rozpościerałem ramiona niczym zwycięzca dorocznej ankiety „Down Beatu". Kazałem się przepraszać za jej dawną seksualną rozwiązłość. Musiała klęknąć i obejmować mnie w kolanach. Miała skowytać, że jestem wyłącznym, jedynym właścicielem i użytkownikiem Małej Lucille.

Tak mnie to nakręcało, że przed jedzeniem wciskałem w Małą Lucille język.

Po to, żeby mi lepiej smakował obiad. Taki oryginalny apéritif kochanków wytresowanych przez siebie samych. Następnie do łóżka prowadziła mnie za rękę. Nie pozwalałem jednak tymi małpimi nogami uwalniać mnie z bokserek. Nie chciałem zachowań prostytutki, chociaż tak naprawdę nigdy nie widziałem, jak zawodowe putany ściągają gatki godzinowym partnerom.

Rudowłosa nigdy nie chodziła w spodniach. Nie mogę patrzeć na kobiety w spodniach. Na co dzień ubierała się w używane, ale markowe kanadyjskie spódniczki i sukienki, których przywiozła z Toronto wielkie toboły.

Czując, że wyślizguję się ze związku, dodawała do codziennego języka soczyste bluzgi.

Burzyła się na mnie, gdy opowiadałem o zaledwie czternastoletniej Matce Boskiej, którą sprzedano staremu stolarzowi Józefowi. Maria miała tyle lat, ile ty pod studentem nad morzem! Nie uwierzyła. Nie wiedziała też, że Maria po Jezusie wychowywała synów spłodzonych po ludzku.

Ale czy przez wiekowego starca Józefa? Mało wiedziała o świecie. Robiła proste błędy językowe i ortograficzne. Ale lubiłem jej nieporadne pomyłki w esemesach i listach do mnie. Mówiła, że w młodości przepadała za poniedziałkowymi teatrami telewizyjnymi.

Wiedziała, gdzie usytuowany jest w Wiedniu pamiętny z polsko-żydowskich szemranych interesów Mexico Platz. Pewnie w czasach Gierka jeździła tam na handel. Ale nie miała pojęcia, jak wygląda tort Sachera.

Coraz częściej w kolorowych gazetach dla łaknących blichtru kobiet rozwiązywała krzyżówki.

Wciąż o coś pytała. O nazwy rzek, terminy z ekonomii, o historyczne daty, pisownię wyrazów. Bardzo mnie tym wszystkim rozczarowywała. Dużo jadła, siedząc godzinami przed telewizorem. Zagryzając słone pistacjowe albo ziemne orzechy, patrzyła beznamiętnie w ślepie migającego ekranu. Przed laty w ten sposób gryzła prażony, osolony słonecznik.

Nigdy nie chciała mieć w oknie wymaglowanych firanek. Nauczyłem ją, aby nie nosiła nad czołem, wpiętych we włosy, przeciwsłonecznych okularów. Wyglądała w nich jak idiotki redaktorki, zagonione wyrobnice, mało zorientowane specjalistki od telewizyjnych i prasowych wywiadów.

Come On In My Kitchen

Wariacja na temat bluesa Roberta Johnsona

Lepiej schowaj się w mej kuchni
Kotku zbiera się na deszcz

To kobieta którą kocham
Wcześniej miał ją kumpel mój
Znowu szczęścia mi zabrakło
Znów u siebie ma z nią znój

Lepiej schowaj się w mej kuchni
Kotku zbiera się na deszcz

Och dziewczyna już się zmyła
I wiem że nie wróci już
Grosz ostatni powierzyła
W pustej torbie mieszka kurz

Lepiej schowaj się w mej kuchni
Kotku zbiera się na deszcz

Gdy kobieta ma problemy
Wszyscy na nią plują wnet
Chociaż szuka przyjaciela
Męskie grono skręca grzbiet

Lepiej schowaj się w mej kuchni
Kotku zbiera się na deszcz

Nadchodzi już sroga zima
Długo skubana ma trwać

Nie przeżyjesz chłodów solo
Nie masz chęci sama spać

Lepiej schowaj się w mej kuchni
Kotku zbiera się na deszcz

048. Alexis Korner

Daleka od szablonów, miłość Lucille i Bluesa dziadziała w zauważalnym tempie. Lecz wciąż starałem się zachowywać fason. Gdy wiedziałem, Ruda Kobieta że ma przyjść do domu, ciągle ubierałem świeżo wyprane bokserki, zakładałem wyprasowane T-shirty, dokładnie wietrzyłem mieszkanie. Nie lekceważyłem jej obecności. Starałem się także mieć na jej przyjście prezent – niespodziankę. To było u mnie rodzinne.

Gdy w młodości jeździłem do Strzegomia, do babki na wakacje, Antonina czekała z moją ulubioną pieczoną kiełbasą. Wielokrotnie podgrzewana w węglowym piecyku, przypominała gruby elektryczny kabel. Ale jadłem ten na wpół zwęglony kawał chabaniny z wilczym apetytem. Cieszyłem się z babcinego serca.

Także Lucille – w przypływie witalnych prądów – starała się szarość zamieniać w kolory. W moim domu od wielu lat nie było nadmiaru kwiatów. Przed Lucille nie było ich w ogóle. Ciągłe koncerty w trasie, wielodniowe nieobecności powodowały, że nie mogłem mieć pod dachem zwierzaka i roślin wymagających stałej opieki.

Gdy więc pojawiała się razem z przydrożnymi bukietami, gałęźmi pachnącej lipy, nieznanymi mi bylinami, mieszkanie stawało się przyjazne. Przynosiła też pisma ilustrowane, zatytułowane „Mój Dom”, „Twoje Mieszkanie”. Albo

specjalistyczny miesięcznik „Kwietnik", który zaprenumerowała, podając mój adres. I wciąż, do dzisiaj, przychodzą monity, ponaglenia do zapłaty.

Kwiatów brak. Tak jak w nieskończoność mogę oglądać muzyczną komedię filmową *Blues Brothers*, tak w złych chwilach zaglądam do książki Salingera *Buszujący w zbożu*. Zaglądam do niej, by powrócić do młodości, do czasów, w których wszystko wydawało się proste. Z których wysnuwam coraz częściej myśl, że

prawdziwa ojczyzna człowieka jest w jego dzieciństwie.

W te poszarpane dni myśl ta jawi się spotęgowana. Ma większe emocjonalne znaczenie. Coraz naturalniej, niczym z człowiekiem, rozmawiam z buczącymi zrozumiałym tekstem kanalizacyjnymi rurami w kuchni. Łapię się na tym, że na głos omawiam z sobą, co i jak mam za chwilę robić. Strofuję się głośno. I głośno, ze specjalną dialogową intonacją, pochwalam. Myślę obsesyjnie o Lucille.

Kombinowałem, aby nazwać ją Chodzącą Kamasutrą. Ale byłoby to przegięcie szydzące ze Starej Księgi – nauczycielki setek milionów. Mój B.B. King coraz częściej ostentacyjnie i samowolnie wypinał się z munsztuku. Ku mojej rozpaczy – i bardziej złości – przestawał mnie słuchać. Z grubego walca zamienił się w nos Pinokia.

Któregoś dnia, ze strachu przed blamażem, poprosiłem ją o pierwszą w życiu niebieską tabletkę. Czekaliśmy wspólnie pół nocy na cud, który się nie zjawił. A potem wziąłem ją po swojemu. Normalnie.

Znów ruszam na drogi. Ze mną Alexis Korner i jego muzyka. Korner to niepokorny, pojebany Brytyjczyk greckiego pochodzenia. Pojebany, ale zarazem wielki artysta. Słuchając dźwięków wydobywających się z jego gitary, jeździłem

retoną bez celu. Za gasnącym purpurowym światłem mijającego dnia. Próbowałem bezskutecznie dogonić zachodzące słońce.

Przyciskałem gaz do dechy. Lecz nie zbliżałem się do krwawej kuli. Wpadała coraz głębiej za widnokrąg. Bezcelowe tłuczenie się po autostradzie było od kilku tygodni normą. Godziny mijające bez powrotu. Zanurzanie i wynurzanie się zniszczonej drogi z popękanych betonowych bloków, której nie remontowano od zakończenia światowej wojny. Litość nad samym sobą.

A litość to najplugawsze ze znanych mi uczuć.

Samotność łagodziła wypełniająca szoferkę, szorstka jak ścierny papier muzyka Kornera. Nie lubię puszczać go w domu. Nie nadaje się do scenografii miejskiego gniazdka. Za to na trasie, w podskakującym na nierównościach samochodzie, jak najbardziej. Mam zawsze w podręcznym schowku terenówki kilka wciąż tych samych płyt.

Dwie zapisane na CD ścieżki dźwiękowe z obydwu *Blues Brothers*. Chociaż ta z pierwszego filmu, z Johnem Belushim, jest nie do pobicia. Prawie zawsze wożę w podróże, a nawet gdy kręcę się po mieście, największe kawałki Etty James, Janis Joplin, The Allman Brothers, Led Zeppelin, Jimiego Hendriksa i właśnie Alexisa Kornera.

Te postaci i ich muzyka są dla mnie tym, czym dla milionów ludzi są ich niedostępni bogowie różnej maści. Z tą różnicą, że moi mają realną twarz, pełen meandrów życiorys oraz niezwykły talent. I nie muszę składać im w hołdzie mamrotliwych, zaciętych modlitw o unicestwienie wrogów.

Wyposażony w niezwykłe płyty ważnych artystów, lubię też jeździć drugorzędnymi, bocznymi drogami po Czeskim Raju. Krainie położonej zaraz za granicami Zgorzelca. Tam

został świat moich młodych lat. Tam została prostota przyjaznej cywilizacji i zalety umiarkowanie schlastanej przyrody. Tam świat do dzisiaj ułożony jest bez zbędnego upiększania.

Podobają mi się te asfaltowe wstążki pełne niespodziewanych ostrych zakrętów. Chociaż nigdy nie marzyłem, aby mknąć po nich, siedząc okrakiem na bydlaku – harleyu davidsonie. Szpanować obuty w firmowe kowbojki z haftami na czarnym juchcie. W czarnym skórzanym ubraniu zakończonym wzorzystą chustką zakręconą wokół szyi.

Zamiast ryku stukonnego silnika bardziej przekonuje mnie urozmaicony krajobraz, tajemnicza ściana mieszanego lasu, nieodgadniona zagadka asfaltowej serpentyny. Powierzchnie mijanych wodnych oczek niby krótki błysk klejnotu. Kurwa, staję się zbyt sentymentalny.

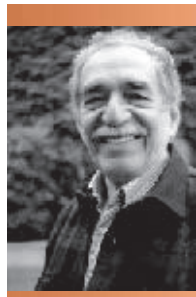

049. Gabriel Garcia Márquez

Niejeden raz wpisywałem się w dramaturgię takiej podróży wspólnie z Lucille. Przed zmierzchem kochaliśmy się w scenografii Sudeckiego Przedgórza. Jechałem powoli. W szoferce Ruda Kobieta powolnym przemieszczaniem ciała wyzwalała się z majtek. Podnosiła letnią kretonową sukienkę wysoko nad biodra. Zwycięską literą V przybliżała do mnie rozwarte nogi, u zbiegu których pulsował ceglastego koloru Krzak Gorejący.

Powoli wciskałem w zaślinioną Małą Lucille mój Prawy Kciuk. Lewą ręką trzymałem mocno hikorową kierownicę. Prawą, usztywniając w łokciu, oddawałem Rudej Kobiecie, by doszła do oczekiwanego stanu stężenia całego ciała. Zawsze chciałem tych prawdziwych – jak szczerze myślałem, że tylko naszych – pantomimicznych scen.

Widziałem, jak niecodzienność sytuacji ją także gwałtownie podnieca. Stawała się w jednej chwili zwierzęcą, z ukontentowaniem pomrukującą suką w środku rui. A przede wszystkim nigdy w takich chwilach nie wydawała z siebie idiotycznych warknięć: Tak cię czuję, taki jesteś mój!

Z niespotykaną zawziętością, w milczeniu burzonym ochrypłym oddechem, rytmicznie nabijała się na palec, dążąc do szybkiego spełnienia.

Gdy w finale opadała na fotel, zwalniałem, zatrzymywałem samochód na poboczu, przenosiłem ją na rękach, kładąc na leśne poszycie. Za chwilę byliśmy Jednością. Melodramat mieszał się z uniesieniem. Kicz ze spełnieniem.

Łapię się w tej chwili na niemożności opanowania emocji przy prowadzeniu tych zapisek w kolejnym zielonym zeszycie. Notując surowe jeszcze, nieobrobione w laptopie słowa oraz zdania, płaczę razem z Lucille. Śmieję się razem z nią. Chaotyczne notatki absorbują mnie coraz żarłoczniej. Jest to, jak sądzę, obrona przed utratą Rudowłosej na zawsze, bezpowrotnie.

To chęć zatrzymania jej – mocno wyidealizowanej kochanki – przynajmniej na papierze. Na kartce, skoro już nie chcę jej realnie. Myślę coraz mniej o bluesie. O zapisywaniu dwunastotaktowej muzyki w nutowych zeszytach. Gram obecnie unplugged najwyżej godzinę dziennie. Ale czynię to zupełnie bez przekonania. Jak robotnik pracujący przy taśmie.

Myślę, że w Następne Drzwi będę już musiał wejść solo.

Powoli mogę zapominać o myciu w misce – dłońmi Lucille – moich zrogowaciałych stóp. Do których z coraz większym uporem nie chce dopływać świeża krew. Zapomnieć o wprawnym znakowaniu ich gruboziarnistym pumeksem. Do historii przejdzie niebawem wyciąganie kosmetyczną szpatułką miodu z moich uszu.

Przepadnie na zawsze terminowe przycinanie moich brwi typu Albert Einstein. W otchłani zgubi się nacieranie otłuszczonego ciała kremem. A przede wszystkim popołudniowe delikatne drapanie po jajkach, za którym tak tęsknię. Rozpoczyna się Sto Lat Samotności, prawie według Gabriela Garcii Márqueza.

Wszystko przepadnie także za sprawą nowego odkrycia. Tym razem bez udziału miętówki KB. Po jednym z naszych łóżkowych uniesień zrozumiałem wreszcie, dlaczego wciąż nosi w swojej wielkiej juchtowej torbie tajemniczą zielonooką buteleczkę ze spożywczą oliwą. Okłamywała mnie, ciężkiego idiotę, że to do celów konsumpcyjnych. W razie nagłej potrzeby.

A któregoś razu zauważyłem, że w skrytości smarowała oliwą z buteleczki Małą Lucille. Gdy ta była nazbyt sucha. Kurwa! Miała ją od pierwszych dni naszej drogi, więc był to sprawdzony w przeszłości seksualny patent. W tej nienawistnej dzisiaj torbie ukrywała także dyżurne kondomy, które przy mnie, po pijanemu, z ogłupiającym, hałaśliwym śmiechem, wciskała w kieszenie mundurów osłupiałym celnikom z przejścia granicznego w Zawidowie.

Wracaliśmy z kilkudniowego weekendu w Czeskim Raju, gdy nagle przed oszkloną budą strażników spadł niespodziewany deszcz prezerwatyw. Wypadły jej z torby przypadkowo, więc głupkowaty spektakl zrobiła specjalnie dla mnie, by ukryć zmieszanie. Śmiała się nieszczerze, że kupiła je w Czechach dla kumpeli. Są tam znacznie tańsze. A ona bezrobotna. Cha, cha, cha!

Kurwa! Dlaczego nie wziąłem jej, jak przyszła do mojego domu za pierwszym razem. Gdy zagubiona, zakurzona, milcząca, z rozszerzonymi źrenicami przyszła napić się herbaty. Dałaby przecież do używania Małą Lucille bez zbędnych ceregieli. I w tym alfonsiarskim stylu bym ją potraktował. Jednak dla Tajemnicy Przyszłych Dni uszanowałem wówczas jej rozbity stan. Odpuściłem.

Czego na pewno nie czynili liczni kochasie wyciągający ją na noc z Jatek. Klubu popierdolonych artystów. Oraz serwilistycznie nastawionych kurew. Udających topowe modelki. Wyjmowali ją po prostu jak towar do użycia. Jak ja

przed laty traktowałem na trasie jednonocne fanki bluesa. Brałem je w mojej autorskiej interpretacji. Beznamiętnie i przedmiotowo.

Lecz i Lucille wygarniała czasem bywalców tamtego i innych klubów. Osobliwie wchodzących w życie gejów, których niczym słynna czarnoskóra królowa Big Mama Thornton zabierała nad ranem na Januszowicką. Nakazując, by siedzieli cicho, bo może się obudzić Marysia, tańczyła przed znudzonymi widzami zupełnie nago.

Aż po tych modernistycznych pląsach, tych kpinach w żywe oczy z mistrzostwa Isadory Duncan, zasypiała zwinięta wężowo. Gdy się budziła przed południem, po anonimowych gościach zostawał butelkowo-niedopałkowy bałagan. I głodne koty żałośnie domagające się swoich praw.

Oraz smutna poetyczna artystka Marysia, siedząca przy stole w otoczeniu skrzypiec i rozrzuconych kartek zapisanych nutami. W wymownym milczeniu mieszała łyżką w talerzu. Podnosiła ją pełną do ust i jak automat, jak maszyna, żuła podlane mlekiem niesłodzone, niskokaloryczne müsli.

050. Phil & Leonard Chess

Jej wielka turystyczna torba z juchtowej skóry skrywała też dyżurną zmianę bielizny i czernizny. Trzymała tam czysty komplet na chwile niespodziewane. Nie do zniesienia było to życie w towarzystwie juchtowej torby. Mimo że w szufladzie miała u mnie w domu kilka par świeżych, wypranych majtek, te, które w dzień nosiła, wygniatała w umywalce, obficie polewając je mydłem w płynie.

Nie mogłem ścierpieć tego zwyczaju. Znanego szeroko wśród płatnych kobiet przechodnich. Żyjących chwilą. Od hotelu do hotelu. Od kutasa do kutasa. Znowu powracała do dawnego sposobu spania. Gdy niedługo po poznaniu Lucille chciałem w nią wejść, wystarczyło, że mocniej ucisnąłem wewnętrzną część jej uda. Rozchylała wówczas nogi szeroko, nie mrugając nawet martwą powieką.

Mogłem używać intensywnie Rudej Kosodrzewiny na różne sposoby. Mogłem grzebać we wnętrzu Małej Lucillie i wciąż oddychała równo. Pogrążona była w głębokim, nieobecnym śnie. Raz tylko, pewnie z powodu bólu spowodowanego moją niezręcznością, otworzyła oczy, spojrzała nieprzytomnie i wyrzęziła chrapliwie: Chuju złamany, spadaj, odpierdol się!

Innym razem, gdy całowałem ją po twarzy, zamruczała rozkapryszonym głosem – Krzysiu, nie teraz. Zbudziła się nagle

ze snu i bardzo tych słów żałowała. To jakieś demony z przeszłości – przepraszała niezręcznie. Później było inaczej. W apogeum naszej miłości spała już jak zając pod miedzą. Przytomniała natychmiast, za każdym moim najlżejszym dotknięciem. Ściskała mocno uda, gdy niespodziewanie wsuwałem dłoń pomiędzy nie.

Byliśmy parą żyjącą wyłącznie dla siebie. Dałem jej wreszcie klucze do mieszkania. Była pierwszą stałą kobietą po rozpadzie mojego małżeństwa, która taki klucz dostała. Wiedziała o historii przedwojennych talerzy, rozróżniała klasę starych srebrnych sztućców. Nago siadaliśmy w kuchni na drewnianym zydlu, Lucille okrakiem na moim udzie, i łopatą języka lizała mnie – jak solną lizawkę albo głowę cukru – przez długie minuty.

Krzyczałem na nią, udając oburzonego, gdy siedząc na krześle z nogami pod brodą, rozpychała kolanami moje T-shirty. Karmiłem ją dziko łamanymi kawałami bardzo gorzkiej czekolady Harrodsa, której cały karton podarowała mi nieznana fanka. W szafach, chroniąc ubrania przed molami, wyłożyła obficie bobkowe liście.

Bez przymusu zaczęła mnie w łóżku regularnie drapać. Przyszywała do spodni dyndające guziki. Gdy przyjeżdżała do mnie na noc z Januszowickiej, rzucałem z okna pod stojącą taksówkę dwadzieścia papierowych złotych, pisząc na marginesie banknotu słówko „kocham". Albo – Chodź szybko. Jestem gotów!

Po raz pierwszy od rozwodu nie zajmował mnie Krochmal oznaczony na pościeli kraterowymi plamami. Po raz pierwszy chciałem, aby było tam wiele takich kraterów. W czasach przypadkowych partnerek nieporadnie i groteskowo wpychałem im pod dupy ręcznik. Trzymałem taki dyżurny materiał frotté pod poduszką.

Byłem sam i nie chciało mi się wciąż prać prześcieradeł. Nie chciałem też, aby te skrzepłe plamy widziały następne kobiety walące się na holenderskie łóżko. Kochając Lucille, pragnąłem teraz, aby pościel wyglądała jak mapa Księżyca. Pokazałem jej taką powierzchnię w *Wielkim atlasie nieba*.

Podsuwałem jej wiele książek. Wielką literaturę klasyczną. Ale i historyczną, z kolorowymi obrazkami. Przeglądała biografie sławnych ludzi, książki z piwowskiej Biblioteca Mundi, albumy z pracami Hieronima Boscha. Bezmyślnie spoglądała na podpisy pod obrazami w opasłym tomie *Historia sztuki*. Bardziej te wielgachne księgi oglądała, niż czytała.

Ale kartki przewracała z widocznym zaciekawieniem. Chociaż najchętniej sięgała po opasłe albumy wydawnictwa Taschen. Szczególnie te wypełnione seksem. Niezliczoną ilość razy kartkowała tom *Tysiąc różnych rodzajów majtek*. Zapraszałem Lucille, bez złośliwych podtekstów, by puszczała na okrągło i we fragmentach setki jazzowych i bluesowych płyt CD.

A przede wszystkim pozwoliłem na bezkarne sięganie po – ułożone na specjalnej półce – płyty kultowej wytwórni Phila i Leonarda Chessów. Założonej pięćdziesiąt lat temu przez polskich Żydów. Chess skupiała największych wykonawców bluesa. Elmore James, Howlin Wolf, McKinley Morganfield, czyli Muddy Waters, stanowili jej wielką siłę.

Skompletowane w czarnych charakterystycznych okładkach stanowią, obok Dzieł Wszystkich Roberta Johnsona, moją największą świętość.

Często, niczym wiarą zestrachany wieśniak, modlę się do tych wielkich płyt.

Więc na taki gest nie zdobyłem się dotąd wobec żadnej kobiety. To z Rudowłosą – ciało przy ciele, język przy języku, B.B. King w jej Małej Lucille – pragnąłem dzielić się nie-

zwykłością języka w powieści Márqueza *Jesień patriarchy*. Wspólnie z nią chciałem słuchać gry saksofonisty Charliego Birda Parkera. Także starego, zmęczonego życiem bluesmana Johna Lee Hookera.

Pragnąłem wspólnie poddawać się zniewalającemu, pilnikowemu głosowi Etty James. Zwierzyć się mojej Lucille, jaki ogromny wpływ miał na mnie w młodości utwór Bobby'ego Hebba – *Sunny*. W interpretacji czarnego kryminalisty Jamesa Browna. Gdy u jego boku stały na scenie Dee Felice Trio. Oraz smakować standard *Spinning Wheel* brawurowo wykonany przez podobnego do mnie grubasa Davida Claytona Thomasa. Lidera jazzującej kapeli Blood, Sweat & Tears.

051. Keith Jarret

Jakoś tak przykro jest gromadzić w głowie cywilizacyjne fakty i zdarzenia tylko dla siebie. Czyli dla nikogo. Niemożność podzielenia się światem z kimś bliskim jest oznaką samotności krańcowej. Myślałem na przykład, że najważniejsze będą dla mnie recenzje koncertów i tekstów piosenek płynące z ust Lucille. A nie te smarowane niechlujne po zasranych reklamami prowincjonalnych gazetach. Wystukiwane na komputerze przez krytyków wchodzących na widownię z darmowymi biletami w garści.

Dwa lata temu przeczytałem w „Wieczorze Wrocławia" kuriozalne sprawozdanie z koncertu, w którym grałem przed triem amerykańskiego perkusisty Jacka de Jonette. Wychudzonego czarnoskórego wirtuoza występującego z równie wielkimi: Garym Peacockiem, Keithem Jarrettem.

A idiotka z tej gazety – pewnie w przeciwsłonecznych okularach wsuniętych nad czołem w blond włosy – obwieściła czytelnikom niezwykłą wiadomość: Wprawdzie nasz Blues Brother był w wysokiej formie, ale najlepszy był Murzyn, który grał na perkusji!!! Murzyn bez nazwiska grający na perkusji! Naprawdę tak napisała dzielna fanka jazzu!

Podobnie zaczynało się z Rudą Kobietą. Albo mi dopiero teraz bielmo zauroczenia schodziło z oczu. Niby słuchała mnie, lecz coraz mniej rozumiała. Czyżby linia chorobowej sinusoidy spadała gwałtownie w dół?

Jedynie do pisania i czytania wierszy miała niezwyczajny dryg.

Podsuwałem jej poezje Cohena i Zbigniewa Herberta. Chociaż Herbert wydawał mi się zawsze zawstydzonym fryzjerczykiem. I niejeden raz czytałem gazetowe zwierzenia jego otoczenia, jakim okrutnym macho był ten zakompleksiony liliput dla swoich kobiet, jak je dręczył.

Ja pierwsze teksty bluesów wydrukowałem w miesięczniku „Odra". Razem z rysunkami Andrzeja Mleczki. Pierwszy tomik, czyli piosenki z płyty *Bluesy gorszych bogów*, wydałem w wydawnictwie Ossolineum. Rozszedł się w nakładzie pięciu tysięcy egzemplarzy. W Rynku stała po tę książkę kolejka. Pewnie także dlatego, że moje utwory były bardzo obyczajowe. I na tamte czasy szczere.

Myślę, że *Bluesy gorszych bogów* i ostatnia płyta – *Tatuaże Bluesa* spinają moje życie autora tekstów do dwunastotaktowej muzyki. Dlatego tak bardzo zależało mi, aby to, co robię, akceptowała Lucille. Jej chropowate zdanie było dla mnie ważniejsze niż drobno zadrukowana kartka z zachęcającą recenzją w „Jazz Forum" czy „Twoim Bluesie".

Wciąż ją kochałem, pogardzając nią – irracjonalnie. I coraz bardziej jej nienawidziłem. Ona sama stawała się coraz częściej nieobecna. Nie była oddana, jak przed wieloma miesiącami, gdy tarzaliśmy się po holenderskim łóżku kilka razy dziennie. Coraz wyraźniej przypominała wielką Mannie Smith.

Pierwszej czarnej kobiety, która zarejestrowała na płycie bluesa zatytułowanego *Crazy Blues*. Lucille nie przychodziła już do mojego domu dla regałów pełnych słynnych powieści. Dla tysięcy najważniejszych płyt na globie. Nie przychodziła kleić coraz bardziej widocznych pęknięć na skórze naszej miłości. Zrezygnowała z nadmiernej dbałości o czystość miejscami zrudziałego ciała.

Przestała zabierać do domu niedojedzony chleb i kości dla psa. Schorowanego zwierzęcia coraz częściej przerażającego Marysię głodnym, przedśmiertnym wyciem. Przenikającym wszystkie członki. Znowu dużo paliła. Ale nie chude damskie irysy. Raz za razem ćmiła mocne marlboro. W rogach popielniczek zostawiała liczne czarne ślady. Podłoga stawała się śmierdzącym szlakiem wyznaczanym przez popiół.

Zupełnie przestała doglądać doniczkowych kwiatów na balkonie. Nie ścieliła rano holenderskiego łóżka. Chociaż bardzo dobrze wiedziała, jakie to dla mnie jest ważne. Niczym w hotelowym pokoju opłaconym przez efemerycznego kochanka czekała w otępiałej pozie na pokojową. Która przecież nigdy nie nadchodziła, bo nadejść nie miała prawa.

Była coraz bardziej sucha w środku.

Potrzebowała większych dawek mojej i swojej śliny – mieszaliśmy ją w ustach – aby Mała Lucille stała się dla B.B. Kinga bardziej przyjazna. Aby jego niespodziewane odwiedziny nie sprawiały Rudej bólu. Rozmyślając o rychłej samotnej przyszłości, wybierałem coraz częściej zdjęcia z jej rodzinnego albumu.

Chronologicznie układałem puzzle historii życia Lucille. Od dziecka, od dnia niewinnej bożej inicjacji, czyli Pierwszej Komunii. Aż do dzisiaj. Od dnia, w którym z karłowatym pieskiem stała w białej, anielskiej sukience i rzemiennych sandałkach przy syrence bosto. Patrząc smutno w obiektyw.

Aż do dzisiaj, gdy na zdjęciu – jakie pstryknąłem cyfrową konicą – siedzi zgaszona i naga na naszym metalowym, srebrnym Łóżku Miłości. Na jednej i na drugiej fotografii ma ten sam żałosny wyraz oczu.

Nie ma na ich dnie śladu dziwkarskiej zachęty.

I taką właśnie chciałbym Lucille zapamiętać do starczych dni. Mieć te fotografie ze sobą wówczas, gdy na dobre rozejdą się nasze drogi. Zmienimy scenografię, zapachy dookoła siebie, garderobę, zwyczaje, nieszczere modlitwy i wciąż niedościgłe marzenia. A to nieuniknione jak Sąd Ostateczny.

Hellhound On My Trail

Wariacja na temat bluesa Roberta Johnsona

Muszę być wciąż nakręcony
Blues wali mnie niczym grad
Muszę być wciąż nakręcony
Blues wali mnie niczym grad
Demony dni zawracają
Czort z piekieł niucha mój ślad
Hej z piekieł niucha mój ślad

Gdyby Wigilia dziś była
A jutro Gwiazdka że hej
Gdyby Wigilia dziś była
A jutro Gwiazdka że hej
W twoich ramionach kochanie
Kpiłbym z godziny złej
Hej kpiłbym z godziny złej

Zawsze bałaganiła
Sprzątać nigdy nie chciała
Zawsze bałaganiła
Sprzątać nigdy nie chciała
Wszystko ją przypomina
Gdzie jesteś moja mała
Hej gdzie jesteś moja mała

Myślę zaprzestać ucieczek
Niech trwa odpoczynku czas
Myślę zaprzestać ucieczek
Niech trwa odpoczynku czas

Pieścić chcę moją kobietę
Czort nie rozdzieli nas

Widać jak wiatr siłę wzmaga
Liście płochliwie drżą
Widać jak wiatr siłę wzmaga
Liście płochliwie drżą
Pragnę rasowej laski
Wabi mnie słodki jej srom
Hej wabi mnie słodki jej srom

052. Scott Henderson

Zamiast miesięcznej krwi o duszącym, tajemniczym zapachu, wciąż wydalała z siebie ciemne, zbrylone skrzepy. Nie mówiła wiele o tej dziwnej przypadłości. Tak, jak czyniły to jej rówieśniczki i kobiety nieco starsze. Znam w branży estradowej kilka takich zapudrowanych, zasłużonych dla kraju piosenkarek, które chcąc poinformować o swojej przydatności do dalszego rozwoju gatunku, opowiadały niby to tajemniczo, niby protekcjonalnie: Słuchaj, stareńki, ależ mam w tym miesiącu bolesną ciotkę. Wszystko mnie uczula. I to już czwarty dzień. Wybacz, że dzisiaj jestem taka do niczego. Zagrajmy ten utwór jeszcze raz.

Tak Lucille nie zachowywała się nigdy. Syndrom tego typu rajfury był jej obcy.

Tylko raz, jakiś rok temu, w zgorzeleckiej restauracji Kameralna, przypominającej lokal Arethy Franklin z filmu Johna Landisa, powiedziała jakoś tak miękko przy śniadaniu, Bluesie, dziękuję, przywróciłeś mi Macierzyństwo. Mam po wielu miesiącach beznadziejnej posuchy klasyczny, obfity okres. Ale było to wyznanie incydentalne.

Po mgnieniach myśli macierzyńskich była coraz częściej wulgarna.

Już w południe tego samego dnia na rynku we Frýdlandzie, po pierwszym hauście oczyszczającego płynu KB Likér, zaczęła opowiadać o skrobankach swojego życia. Odgrywając pantomimę klęski, odpalała papierosa od papierosa. Suchym, rwanym szlochem zwierzała się z utraty kolejnych dzieci. Których twarzy nigdy nie zdążyła zobaczyć. Kurwa!

W tym czeskim miasteczku, na ławce przy miejskiej fontannie, z której, chuchając na szczęście, korony, złotówki i euro wyciągały cygańskie dzieci, zwierzała się też z kolejnych kochanków. Relacje były beznamiętne. Ale w moim wnętrzu czyniły wyniszczające spustoszenie. Aby uśmierzyć płynącą do głowy krew w szalonym tempie saksofonu Scotta Hendersona, ja też, z desperacji, zacząłem popijać zwierzeniowładny KB Likér!

W tych dniach oddałem do salonu volkswagena passata combi. Lucille stała się jego właścicielką jeszcze przed naszym poznaniem. Chociaż już w dniu zakupu powinna wiedzieć, że jest przez nią nie do utrzymania. Ale owoce zbierała cyklofrenia. Trwała w okresowym chorobowym uniesieniu. Stała praca w lukratywnej Panoramie Firm uśpiła samochodowego sprzedawcę. Przyznał jej nawet finansowo korzystne raty.

Więc wyjechała nowym niemieckim autem na dolnośląskie drogi. Ruszyła bryką koloru butelkowej zieleni, aby z obrzeży asfaltu zebrać łatwą zdobycz. Unikała autostrady, ale z podrzędnych dróg zabierała do kabiny mężczyzn nawet wówczas, gdy nie machali ręką znaku stop.

Mówiła im zaraz od wejścia do auta, że właśnie pracuje w reklamie i chętnie będzie z nimi współdziałać. Jest na współpracę otwarta. Tylko muszą pojechać na chwilę – najlepiej do domu złowionego pasażera – by tam wypisać wszystkie niezbędne marketingowe kwity. I często te kwity wypełniała. Czyli wybrani autostopowicze wypełniali jej krocze.

Wspaniałe rude loki rozrzucone na ramiona i białe suknie, w jakich po drogach jeździła, zapowiadały seksualną gratkę, spotkanie z niewinnością. Ale i z uosobieniem ladacznicy pożądanej w śmiałych snach nie do spełnienia.

Była połączeniem dantejskiego Piekła – to włosy. I czystej kobiecej formy – to białe odzienie.

Jej wygląd rozwiązłej kobiety z wieloznacznych obrazów Almodovara zwiastował zdobycz nieosiągalną dla szmirowatych facetów. Losowych przegrańców przemierzających podrzędne szosy na piechotę. Lucille pojawiała się nieopodal przydrożnego rowu, w ich bezbarwnym życiu, prosto z Raju.

Rzadko prosiłem, aby w białe szaty nienaruszonego dziewczęcia ubierała się dla mnie. Po pierwsze, burzyła się we mnie nieokiełznana zazdrość, gdy w miejscach publicznych lepki wzrok napalonych samców obmacywał ją całą. Przyczyną drugą, prozaiczną, był fakt, że przy posiłkach świniła się pierwszymi łyżkami potraw.

Kochałem Rudą po swojemu. Lubiłem, gdy pod pachami odrastały jej zrudziałe włosy. Gdy Kosodrzewina na miękkim podbrzuszu tęskniła do sekatora Ogrodnika, którym byłem ja. Gdy na zwieńczeniu ud miała odciśnięte ślady po koronkowych gumach białych pończoch. Gdy w odruchu akademika Pawłowa nie mamrotała nienawistnego zwrotu: Tak cię, Bluesie, czuję. Taki jesteś mój.

Kochałem Lucille bezkrytycznie, gdy zaraz po zejściu Krochmalu cicho płakała, szczelnie się we mnie wtulając. Bez rozmazywania białej zawiesiny w okolicach brzucha, bez małpiego tańca nogami przy bokserkach. Wiedziałem, że w takiej chwili jest tylko moja. Przeszłość zostawiła za drzwiami.

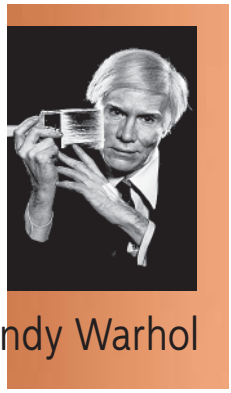

053. Andy Warhol

Seksualna działalność Lucille na asfaltowych lokalnych drogach została skasowana gwałtownie przez przedstawiciela firmy leasingowej. W towarzystwie komornika i dwóch zbytecznych osiłków na zawsze zabrał z Januszowickiej bogato chromowanego passata. Po aucie, którego rat nie była w stanie spłacać, pozostały na trawniku przed domem ślady opon.

W samochodzie zaś plamy po rozlanych alkoholach i lepkich popitkach. Ślady po gaszonych na tapicerce petach, daleka woń przypadkowych mężczyzn. Może jeszcze w zakamarkach jakieś wymięte chińskie majtki Rudowłosej. Ale nie mogła już mówić zdziwionemu autostopowiczowi, muszę spać u pana w domu ze względów organizacyjnych. Rozumie pan, chodzi o podpisanie umów.

Skończył się czas częstego używania Lucille w marnych małomiasteczkowych hotelach, przydrożnych motelach. Wizyt w sublokatorskich mieszkaniach we Wrocławiu. Bo tylko nielicznych kochanków, rokujących seks wielokrotny, przyprowadzała do betonowego klocka sąsiadującego z mieszkaniem poety Różewicza. Wstydziła się Marysi.

Wolała dzwonić z obcych mieszkań, z telefonów, których numerów nie znała, by solennie zapewnić córkę, że mamusia ją bardzo, ale to bardzo kocha. Jak tylko podpisze z klien-

tem kontrakt, zaraz przyjedzie do domu. I przyniesie córuni szczęśliwy Kamyk Zielony.

W chorobowym okresie euforii otaczała ją zmięta, wielokrotnie używana pościel samotnych mężczyzn. Albo kosmetyki innych kobiet, akurat nieobecnych w domach, do których kochankowie przyprowadzali Lucille z nocnych knajp. Łatwość i gotowość oddawania się bez umiaru, co wyzierało z opowieści wyzwalanych przez miętówkę KB Likér, dojmująco mnie niszczyła.

Kim naprawdę była, jest, Moja Największa Miłość? Poznała wiele. Od molestowania łapami pierdolonego tatuśka, przez gwałt zadany przez świńsko zarośniętego Bułgara z campingu. Aż po pijackie umizgi karykaturalnego, mikrego filmowca gramolącego się na nią w obłoku intensywnie woniejących perfum.

Krzysiek! Przestań! Powiedziała do mnie którejś nocy na początku naszej wspólnej drogi. Odpierdol się, ty chuju, nie poznała mnie w inną noc. Odepchnęła gwałtownie, gdy zaczynałem grę z Małą Lucille. Często po nagłym przebudzeniu nie wiedziała, gdzie się znajduje. W czyim kolejnym śpi domu, w jakim hotelu. Zupełnie nie miała pojęcia, z kim dzieli chwilowe łoże.

Jej łowieckie tereny to Jatki, spauperyzowany Klub Związków Twórczych. Siodłała mężczyzn w okolicach Festiwalu Piosenki Aktorskiej, festiwalu Blues Brothers Day. Przechodziła z rąk do rąk. Mściła się na nieudanym dzieciństwie, życiu ciągle pod górę.

Z tej przyczyny kończyły się dni, w których spaliśmy z Lucille, trzymając języki wciśnięte sobie nawzajem w usta. Już nie trzymała mnie za jaja całą noc, do świtu. Nie głaskała palcem, nawet we śnie, zgrubienia wokół głowy B.B. Kinga.

Słowa – nasz dom – zaczynały być tylko martwym ciągiem liter.

A jeszcze niedawno lubiła zmieniać pościel na naszym holenderskim łóżku. Powoli naciągała poszwę. Strzepywała niewidoczny kurz z pachnących praniem poduszek. Po ziołowej kąpieli udawała na prześcieradle rozwalonego orła chcącego zbadać jego przyjazny chłód.

Tego w dawnym życiu widać bardzo jej brakowało. Tutaj miała to, czego przed laty nie zaznała – klimat wspólnoty. Ale ostatnio spała ze mną w obojętnej pozie. W takiej, w jakiej spały inne moje kobiety w finale związków. Na brzuchu tuż przy rancie. Albo w kącie łóżka, twarzą do ściany. I ja obok, bezsenny.

Znów przez lupę patrzę wielokrotnie na pocztówkową fotografię nagiej matki Lucille. Gdy ją uchwycono w obiektywie, była zapewne po pięćdziesiątce. Stoi w otoczeniu butelek po wódce na tle letniskowego domku. Ukradłem to zdjęcie, by móc ze szczegółami porównywać ciała matki i Lucille. Sprawdzam, czy jej matka także miała w wyrazie twarzy, w sposobie patrzenia – rozwiązłość?

Porównuję dwa zdjęcia. Fotograficzne podobizny dwóch kobiet – krew z krwi – stojących w identycznej pozie. Ruda przekonywała mnie niemrawo, że jej nagą fotkę pstryknęła w ogrodzie którejś niedzieli Marysia. A przecież lubieżny wyraz twarzy, z jakim spogląda w obiektyw, oznajmia kobietę gotową do rui. A nie matkę gapiącą się macierzyńsko na własne dziecko.

Kłamała. Aparat musiał trzymać świeżo złowiony facet, przed którym w chwilę po pstryknięciu rozłożyła nogi. Na pewno w tym kadrze nie była zagadkową Marilyn Monroe. Ze słynnej, powielanej w milionowych wydaniach grafiki Andy'ego Warhola.

054. Stasys Eidrigevičius

Kilka dni temu po raz pierwszy powiedziała, że nie stawi się u mnie na noc. Nie przyjedzie do mnie taksówką, którą już telefonicznie zamówiłem. Nie przyjedzie, chociaż w przypadku odmowy straszyłem ją zerwaniem. I nie pojawiła się. A ja jeszcze grubo po północy, coraz bardziej zdenerwowany i wściekły, wyglądałem z okna na róg ulicy. Patrzyłem, czy zza budynku Straży Pożarnej nie błysną triumfalnie dwa samochodowe ślepia.

Zaparła się, zacietrzewiła. Jak wówczas, gdy chciałem ją przymusić do wspólnego oglądania hiszpańskich pornosów na Canal Plus. Z rosłymi Murzynami w głównej roli. O mało wówczas nie zemdlała. Dobiegła do klozetowej muszli, opadła na kolana i długi czas z tamtego kierunku dolatywały odgłosy wymiotowania. Na siłę.

Traciłem Lucille. Wymykała się z moich rąk. Miała dość miętówki i rozgrzebywania przede mną szlamowatego życiorysu. Po raz pierwszy od dnia zmieszania naszej krwi przestała być posłuszną. I ja wmawiałem sobie, że muszę zakończyć wspólnotę z Rudą Kobietą. Czy będzie to proste? Nie będzie!

Łatwo jest ukryć kobietę przed inną kobietą? Wystarczy w domu schować jej ubrania? Nie wystarczy. We wszystkich kątach, na długi czas, pozostaje zapach. I intuicja, że

jest to jeszcze miejsce niewygasłe. A z sufitu wciąż spływają nuty uniesionych argentyńskich tang wiedzionych po klawiaturze akordeonu palcami Astora Piazzolli.

Cyklofrenia żłobiła wciąż nowe historie w chropowatej przeszłości Lucille. Gdy sinusoida wariowała i euforia przechodziła w przygnębiający stres, na służbowych kartkach Panoramy Firm pisała białe wiersze. Pisała je wszędzie. Nawet w hałasie jednostajnie pulsującej muzyki oblepiającej klub Jatki. I gdy kolejny partner wygarniał ją na obiecujące przedłużenie nocy, wciskała mu strofy pisane w chorobowym widzie.

Nie wiedział, o co idiotce chodzi z tym zapisanym papierkiem. W klubowym środowisku przylgnęła do niej ksywka – Pojebana Poetka. Lepiej byłoby nazywać ją Sylvią Plath. Ale rozochoceni adoratorzy nie mieli pojęcia o inności dusz. Chcieli dobrze wypić i nie gorzej podmuchać. A Lucille kochała swoje wiersze. Później powierzyła mi ich kilkadziesiąt.

Pomyślałem, że byłby z nich – ilustrowany, przez wspaniałego graficznego wizjonera Stasysa Eidrigevičiusa – ciekawy poetycki tom. Ale miętówka KB Likér wybiła mi to z głowy. Wiele wierszy straciła bezpowrotnie. Gubiła je w niestabilnych wyrach świeżo spotkanych kochanków. A w letni wieczór przed wrocławską operą napadł na nią wyrostek.

Zerwał z ramienia torbę, w której nie było wprawdzie pieniędzy. Ale chybotliwie zapisanych kartek Panoramy Firm wiele. Kilka dni płakała, nie mówiąc jednego zdania. Kilka dni nie zjadła nawet sucharka. Wymiotowała gorzko pachnącym, żółtym mazidłem. Przestała się myć. Jedna tylko świeżo zapisana kartka uchowała się, dlatego że trzymała ją w kieszeni płaszcza.

Moje narodzone i nienarodzone dzieci.
Moje przeszłe, ale pełne przyszłości dzieci.
Moje przyszłe łzy wylane przez moje przeszłe dzieci.
Moje marzenia na moje przyszłe nadzieje.
Moje nieszczęśliwe życie dla dzieci mojego szczęścia.
Dzieci mojej nadziei.
Dzieci moje i nie moje.
To ja – wasza matka.

Zmieniałem w tym czasie wygląd mieszkania. Pieniądze z płyty *Tatuaże Bluesa* pozwoliły mi kupić na starociach dziewiętnastowieczne meble brandenburskie. Także stare, ale soczyście kolorowe ryciny ze szkoły Alfonsa Muchy. Przedstawiające wędrownych muzyków. Poprzednie meble, pościel, garnki i dywan udający turecki kobierzec zawieźliśmy wielką ciężarówką na Januszowicką.

Podarowałem jej z mojej pilnie strzeżonej kolekcji kilka szklanych ryb z rozdziawionym pyskiem. Częściej zabierałem Rudą Kobietę do miasta. Na przyjęcia ubierałem ją w moje, zbyt na nią wielkie ciuchy Toma Tailora, s.Olivera, Daniela Hechtera. W markowe szmaty za kilka euro przywożone z Görlitz od oszukanego Armaniego.

Wyglądała w nich luzacko, nowofalowo. Bardzo w takie dni adorowałem Lucille. Pożądałem jej ciała jak rekrut. Marzyłem, by jak najdłużej przebywać w jej towarzystwie. Siedziałem podniecony, gdy wieczorem, w domu, zanim za rękę poprowadziła mnie do łóżka, zdejmowała bezwstydnie odpustowy różowy pas do pończoch.

Gdy inne pończochy na gumowym ściągaczu rolowała powoli na udach w obwarzanek. Zdejmowała cienkie, wysoko wycięte majtki wyłącznie w mydlanych kolorach.

Odpinała sposobem jawnogrzesznicy najlepsze koronkowe biustonosze.

055. Tomasz Stańko

Była w takich chwilach dwustuprocentową samicą. Uosobieniem kobiecości. Ostentacyjnie to, z rozmysłem, ujawniała. Każdy ruch zapraszająco rozchylonych ud, falowanie piersi, gest ruchliwych ramion pchał ku niej natychmiast. Roznosiła wokół mnie zapach pełnokrwistej suki, gotowej do natychmiastowego uwiedzenia.

Mówiła z podniecenia pogrubionym głosem – Mój Kochany, Niezawodny Kciuku. Przede wszystkim wówczas, gdy już nie miałem sił zadowalać ją B.B. Kingiem. Troskliwie dbała o kciuk mojej lewej ręki. Przestrzegała moralizatorsko, bym nie zrobił mu krzywdy. Niepotrzebnie go nie zranił. Nie pchał byle gdzie. Na przykład między drzwi.

Byłem happy. Często szarym świtem włączałem na całą moc tuner yamahy. Na początek słuchaliśmy Niemena. Śpiewał krzykliwie wiele razy w kółko doskonały song – *Jednego serca*. Potem Peter Green wykonywał we współczesnym brzmieniu autorskie wersje archaicznych pieśni Roberta Johnsona. Była to jedna z płyt z mojego prywatnego topu.

W jej takt myliśmy się z Lucille w łóżku zasychającymi często językami. Aby z tej porannej toalety ochłonąć i napić się kawy. W kuchni towarzyszył nam Tomasz Stańko. Dmąc w trąbkę, rozwijał leniwie linie melodyczne z płyt, które nagrał ze Skandynawami. Czasem puszczałem kołysankę

Dziecko Rosemary, która przecież jeszcze nikogo nie uśpiła. Raczej przeciwnie.

Trwało to długie kwadranse. Sąsiadka zza ściany wytrzymywała jazzową edukację o świcie, nie donosząc na nas policji.

Wstawałem często w nocy. Spocony. Chaos mojego życia powodował, że do holenderskiego łóżka brałem gruby ręcznik frotté, by nieustannie wycierać nim głowę ze słonej cieczy. Ale i tak na poduszce znajdowałem mokrą plamę. Zwalałem wszystko na cukrzycę. Ale prawdziwym powodem była Lucille.

Czuła się za mnie odpowiedzialna, więc po muzycznym koncercie płynącym z głośników serwowała rozpuszczone w mineralnej wodzie wielkie tabletki firmy Krueger. Multiwitamina, wapń, magnez i inne wynalazki dla ludzi żyjących zbyt szybko. Pilnowała, abym codziennie, razem z tabletkami, wypijał szklankę przegotowanej wody z gryczanym miodem. Po co, nie miałem pojęcia. Nigdy jednak nie protestowałem.

To były te dobre między nami chwile. Ale wraz z chorobą przychodziły te krzywe, kaprawe, cyklofreniczne. Nastawał nagle dzień, w którym Lucille nie była Lucille. A zwierzęciem świdrującym ruchliwymi ślepiami dookolny świat. Jej ciało było martwe. Nieczułe na moje w nim się zatapianie. Może to pozostałość z dzieciństwa, gdy młody rozum nakazywał kamienieć dziewczęciu szarpanemu łapami Nocarza?

Tak właśnie było z Lucille trzy tygodnie temu, gdy znów spaliśmy w hotelu Pod Orłem w Zgorzelcu. W naszym stałym pokoju sto piętnaście. Była nieobecna. Niecierpliwie, bez czucia, drapała mnie po plecach. Szybko się nudziła. Zasnęła, dając o tym znać regularnym oddechem. Gdy przyciągałem ją do siebie, była niczym kłoda.

Zaczepiałem jej Małą Lucille na różne grubiańskie sposoby. Ale ze strony Rudej Kobiety nie było najmniejszej reakcji. Dusza opuściła ciało. Dałem spokój, obawiając się nieraz już słyszanego bluzgu – Odpierdol się, ty chuju! Ale nagle dramatycznie jęknęła. Wystraszyłem się. Mocno Rudowłosą szarpnąłem za ramiona. Otwartą dłonią uderzyłem w twarz.

Powoli wróciła do rzeczywistości. Jak z innej planety. Wstała z łóżka, nie wypowiedziawszy słowa. Z nienaturalną siłą odtrąciła mnie na bok. Weszła do łazienki. Puściła wodę z prysznica, zimną. Na dnie otwartej natryskowej kabiny zwinęła się w sposób wężowy. Trwała tam wiele minut. Woda rozpryskiwała się na jej ciele. Jak na dachu samochodu w ulewnym deszczu. Potem przykleiła się do kaloryfera, jak topielec chwyta deskę rzuconą z pokładu.

Nie znałem takiej Lucille.

W jednej chwili stała się Megierą o niszczącym wzroku. Obojętną i zimną.

Milczała jak na początku naszej znajomości. Przypominała inną Lucille, dawną kobietę, bezradnie stojącą w moim przedpokoju w czarnej, krótkiej, skórzanej spódniczce, spod której wyłaziły strzępy podartej podszewki. Spódniczce z wyrwanym zamkiem błyskawicznym, zapinanej na wielką agrafkę.

Z włosami w nieładzie, śmierdzącą wypalonym w nadmiarze tytoniem oraz starym psem pozbawionym opieki. Nieświeżą, bełkotliwą, wrzucającą używany zestaw czernizny do umywalki. Po przyjściu z klubu Jatki sprawdzałem jej majtki. Czy na wstędze zakrywającej srom nie ma gęstej męskiej mazi. Czy z dna majtek bije wyłącznie ostry zapach moczu spowodowany przez niestarannie wytartą Małą Lucille.

Rzadko wówczas wydalała z siebie przerobioną przez kiszki żywność. Raz na kilka dni. Za to często wpatrywała się martwo w jeden punkt. Umieszczony na ledwie widocznej kresce horyzontu.

056. Muddy Waters

Taką kobietę przywiozłem do Zgorzelca, by razem ze mną dotknęła przeszłości. Zaraz po przyjeździe poszliśmy na cmentarne wzgórze na grób Matki. Chciałem jej opowiedzieć o ostatnich wydarzeniach mojego życia. Mama spoczywa przy głównej alei, po której zazwyczaj kręci się, szczękając słoikami, wielu podstarzałych ludzi.

Ale wtedy padał zimny deszcz i cmentarz był wyludniony. Miałem na sobie chińską, puchową, ortalionową kurtkę. Więc spadające z nieba krople nie robiły na mnie wrażenia. Gorzej było z Lucille. W lekkim garniturze z szarej bawełny musiała się schować pod wyrośniętą tuję rosnącą zaraz za granitowym grobowcem Matki.

Deszcz miał dla mnie znaczenie wyłącznie nostalgiczne.

Uosabiał kurtynę, zza której widziałem nieostrą, zasmuconą twarz Mamy. Jej rysy nie zmieniały się nawet w krótkich przebłyskach słonecznych promieni. Znikająca i powracająca w przestworzach twarz wyglądała jak odbitka na starym, pełnym niedopowiedzeń całunie. Takim, o jakim mowa w księdze ksiąg – Biblii.

Patrzyła na mnie wzrokiem zapamiętanym przeze mnie z dzieciństwa. Które pachniało fasolową zupą i kotletami mielonymi. Jej oblicze było mieszaniną matczynej wyrozu-

miałości oraz troski kobiety samotnie wychowującej dzieci. Z wyżyn, gdzie wiecznie mieszkała, wiedziała przecież wszystko. Jej fantasmagoryczna twarz zdawała się mówić perswazyjnie: Synu, z kim do mnie przyjechałeś? Czy twoje obecne życie jest, synku, dobre? Musisz wrócić do swojej pracy. Do grania. Wyjmij z szuflady tamte bożonarodzeniowe organki. Znów na nich zagraj. Nie fałszuj swojego życia. Wróć do synów. Siedziałem na cmentarzu długo, milczałem. Lucille wyczuwała mój niezwyczajny nastrój. Nie odzywała się nawet jednym słowem.

Zapytałem Rudą Kobietę, czy w tym miejscu pomodli się za swoich bliskich. Czy w błagalnej modlitwie wspomni ojca? Tak, odpowiedziała bezwiednie. A o co dla niego poprosisz Boga? Zamilkła, opuszczając głowę. A mnie zrobiło się przykro. Obok z ziemi na deszcz wylazł robak. Ucałowałem zimny blok granitu, obiecując poprawę.

Ruszyliśmy w kierunku wyjścia, trzymając się za ręce jak za najlepszych chwil. Pod wpływem matczynego wzroku chciałem przekreślić złe dni. Objąłem Lucille ramieniem pojednania. Ledwo jednak oddaliliśmy się od miejsca spoczynku kobiety, która wydała mnie na świat, usłyszałem odgłos gwałtownie pękającego szkła. Przyniesione białe chryzantemy rozsypały się na grobowcu na kształt wachlarza.

Nieopodal z szatańskim chichotem przebiegł po grobach złachmaniony garbus. Przypominający zegarmistrza z ulicy Bohaterów Getta. Tego, co na zapleczu swojego zakładu zniewalał na stojąco młode repatriantki z Ukrainy. Z cmentarnej kaplicy dobiegały natomiast oleiste tony dumnej muzyki Wagnera. I wreszcie, niczym na tandetnym oleodruku w złoconej ramie, wysoko nad cmentarzem pojawiła się tęcza.

Do takiego miejsca przywiozłem Lucille. Do prawdziwej ojczyzny mojego dzieciństwa. Miasta, które wciąż kocham

bez wzajemności. Tutaj właśnie – w miejskim amfiteatrze – grałem z rówieśnikami Grekami pierwsze chropowate bluesy. Od socjalistycznych Niemców w niebieskich koszulach FDJ jako honorarium dostawałem harmonijki firmy Weltmeister. Nigdy na nich nie grałem.

Ale nie wypadało odmawiać sztucznie usłużnym aktywistom, którzy dla cementowania przyjaźni między dwoma narodami przychodzili do Zgorzelca na ideologiczne wiece. Na pordzewiałym Moście Pokoju łączącym dwa zaminowane brzegi Nysy Łużyckiej tupali w rytm pieśni.

Zdradzających ich skrywaną teutońską butę.

Tutaj słuchałem rembetik, greckich, ciężkich, więziennych bluesów granych przez młodych buzukistów. Nieodrodne dzieci twardych górali Kurkutas. Bitnych mężczyzn z okolic górskich szczytów Grammos i Vitsi. Tutaj nad Łużycką Nysą, w której kilka razy się topiłem, podczas pierwszego publicznego koncertu zagrałem i zaśpiewałem solowo *Calzedonię* – standard Muddy'ego Watersa.

Tutaj od wielu lat obsługa restauracji Pod Orłem szykuje specjalnie dla mnie śniadanie. Na które składa się prawdziwie wiejski twarożek o nazwie gzik. Podlany dużą porcją śmietany. Obsypany górą szczypiorku prosto z działki. Podają mi też dwużółtkową jajecznicę na miejscowym pachnącym maśle bez cudacznych dodatków.

Opowiadałem o tym wszystkim Lucille. Mówiłem, jak i kiedy powstawały moje pierwsze utwory. Jak przed miejską księgarnią czekaliśmy na nowe winylowe płyty kapel Polandii. W jaki sposób, nie posiadając biletów wstępu, wchodziliśmy na koncerty niemieckich grup jazzowych i rockowych. Wskazałem witrynę prywaciarskiego sklepiku, w którym sprzedawano pierwsze polandyjskie buty bitelsówki.

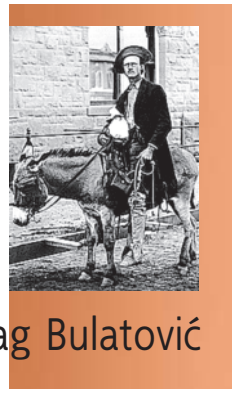

057. Miodrag Bulatović

W apartamencie sto piętnaście hotelu Pod Orłem ubrałem świeżą, białą, lnianą koszulę z dyskretnym monogramem BB na kieszeni. Widać było na niej wyraźne kanty po prasowaniu. Przez co wyglądała jak równoramienna geometryczna figura. Po sukcesie *Tatuaży Bluesa* zacząłem nosić koszule szyte na miarę. Lecz nie za sprawą nadmiaru sodowej wody.

Jedna z fanek bluesów nagranych na tej płycie, właścicielka wziętego studia mody, skomponowała mi je w rozmaitych fasonach. Wiedziała, że nie przyjmę ich w prezencie. Więc wymyśliła absurdalną cenę dziesięciu euro za jeden wytwornie uszyty egzemplarz. Czyli mniej, niż kosztował materiał. Dałem się w ten sposób podejść.

W takiej koszuli, rozpuszczonej na kolana, patrzyłem w lustro wiele minut. Znieruchomiały. Myślałem, co dalej zrobić ze swoim życiem. Pożerała mnie świadomość nienasyconego pragnienia Lucille. Jednocześnie dręczył mnie obyczajowy sznyt nakazujący porzucenie kobiety – dziwki.

A przecież chciałem, by była moją partnerką do śmierci.

Znów bardziej niż koncertowa trasa interesowało mnie siedzenie przy palących się przez wiele godzin specjalnych świecach z holenderskiej sieci Blokker. Chciałem wpraw-

dzie – niczym suchotniczy poeta romantyczny w stylu Słowackiego – pisać teksty o miłości. Która nigdy nie mogła się spełnić. Ale pióro marki Mont Blanc, używane na specjalne okazje, nie chciało ruszyć w galop.

Czułem się bardzo samotny. Jak wówczas, w Atenach, w połowie lat osiemdziesiątych, gdzie ze zgorzeleckimi kumplami Grekami grałem pierwszą helleńską trasę. Zamiast euforii z powodu występowania w kapitalistycznym państwie opanował mnie nostalgiczny smutek. Po koncertach w podrzędnych klubach leżałem wiele godzin na łóżku w hałaśliwym hotelu Marmara.

Tęskniłem za rytmem Wrocławia. Oślepiany błyskami reflektorów bezliku przejeżdżających dołem aut, marniałem. Na pobliskim straganie kupiłem tandetne tranzystorowe radio „Raysonic", szukając na skali śladu polskiej rozgłośni. Łaknąłem mojej mowy bezskutecznie. Samotność z tego powodu przybierała monstrualny kształt.

Zatem w klimatyzowanym pokoju wypijałem do lustra kilkanaście butelek piwa „Amstel" i w nadmiarze gwałciłem B.B. Kinga – który wówczas B.B. Kingiem jeszcze nie był – przywołując w pamięci kobiety, w jakie dotąd wchodziłem. Uważałem tylko, by nasieniem nie spryskać pościeli. Gdyż wciąż ta sama, przychodząca rano, młoda, kruczoczarna pokojowa o wielkich zdziwionych oczach wiedziała, że jestem w hotelowym numerze singlem.

Tutaj, w hotelu Pod Orłem, nie szukałem w radioodbiorniku stacji polskojęzycznych. Puszczałem z laptopa ludowe bałkańskie kawałki z jugolskiej rozgłośni Smederevac Novica Muzica. To wspaniała internetowa stacja. Słucham jej programu bardzo często. Śpiewają tam w eterze prawdziwi, wkurwieni na podłe życie, twardzi ludzie Bałkanów.

Także Macedończycy i Grecy ze swoimi kręcącymi rembetikami, więziennymi pieśniami.

Żadna dmuchana lipa i tandetne przeróbki lukrowanej ludowości w klimacie braci Golców. Ta pełnokrwista, pulsująca muzyka przywoływała mi klimaty surowych powieści Miodraga Bulatovicia. Wielkiego wizjonera, pisarza, wiele lat temu przewidującego, że Europa będzie wkrótce wieżą Babel. Taką bibilijną wizję przedstawił w powieści – apoteozie narodów przegranych – *Ludzie o czterech palcach*.

Te zawadiackie melodie ułatwiały mi rozmowy z kwiatami hodowanymi w domu i na balkonie. Samotność i kwiaty – brzmi odpustowo. Ale czułem z nimi żywą więź. Wymyślałem też samotne obiady, czyli kombinowałem niespotykane połączenia. Ziemniaki w mundurkach z oscypkami w plastrach, obłożone ćwiartowanymi gruszkami w syropie. Albo żydowska sałatka, plastry prosciutto, niedojrzałe brokuły al dente i ciemne winogrona.

Chociaż moim daniem numer jeden jest porcjowany karp smażony na maśle. Zawsze, gdy miałem stałą kobietę, przez bożonarodzeniowe dni zjadałem kilka kilogramów rybiego mięsa. Tylko karpiem żywiłem się przez święta. Mięso królewskiej ryby nie mogło mnie nasycić. Kilkudniowe, wielokrotnie odgrzewane kawałki były jeszcze smaczniejsze.

Niestety, takiego karpia nie mogła mi zapewnić Lucille. Po pierwszej groteskowej próbie przygotowania ryby zrezygnowałem. Smażyła go zbyt niecierpliwie, na zbyt dużym ogniu. Wszystkie potrawy soliła na pałę, nieprzytomnie. Soliła i nawet nie próbowała ich językiem.

Kapuśniak wychodził Rudej Kobiecie brejowaty, z niedogotowanymi kartoflami. O innych daniach nie warto wspominać. Zatem niejeden raz musiała mi wystarczać wietnamska zupa z krabów wysypywana do kubka wprost z torebki.

Była jak matka Witolda Gombrowicza. Matka pisarza, który swoją źle rozpoznaną twórczością do dzisiaj kpi z krytyków. Lucille, podobnie jak jaśnie wielmożna pani Gombrowiczowa, najlepiej zaparzała herbatę. Za to o jedzenie walczyła jak dzikie zwierzę. Wspólnego dania nigdy nie dzieliła na równe kawałki.

Na swój talerz odkrawała większy. Grubszy plaster karkówki z grilla, dłuższą parówkę, gęstszą zupę z dna wazy. Nawet gdy umówiła się ze mną na wspólny wieczór przy Januszowickiej – a mąż przyjaciółki z sąsiedztwa niespodziewanie przyniósł w tym czasie do ogrodu darmowe piwa – nie istniałem. Zwyciężał chmiel.

058. Pedro Almodóvar

Wizyta w Zgorzelcu pozostała zaledwie wyblakłym wpisem do sztambucha. Znowu zaczął się chocholi taniec. Lucille, sterowana przeze mnie miętówką, wiodła kolejne niesamowite opowieści z pieczątką pana Brantôme. Rozpustnego kronikarza życia swawolnych kobiet. Było teraz – w dniach przesypujących się przez palce bez pożytku – niczym na planie filmowym u Luisa Buňuela.

Albo raczej jak w nagrodzonych Oscarami dziełach potomka poganiaczy mułów – Pedra Almodóvara Caballerro. Coraz silniej odczuwałem uciążliwość narracji z Dziennika Dziwkarstwa. Jej mentolowych wyznań o kolejnych napalonych torsach. Nienawidziłem upokarzającego mnie bełkotu.

Ale jednocześnie chciałem je wszystkie mieć w komplecie. Takie dzieła zebrane umieszczone w jednym opasłym tomie. Podobnie jak szpieg zapamiętuje hasło widoczne zaledwie przez mgnienie oka, tak ja zamierzałem znać kody zachowań Rudowłosej. Jednak wciąż jeszcze udawaliśmy normalność.

Mruczała z ukontentowaniem, gdy w nagim zwarciu zbyt silnie szarpałem jej włosy. Bezwstydnie stając w szerokim rozkroku, prowokowała mnie, bym sprawdzał palcami wilgotność Małej Lucille. W czasie samotnych nocy w holenderskim łóżku wąchałem poduszkę, na której spała dzień wcześniej. Sprawdzałem, czy nie pozostał na niej jej ślad.

Oglądałem dokładnie jej ciało, szukając świeżych zadrapań, nieznanych mi siniaków.

A znajdowałem po raz pierwszy ciemne wątrobowe plamy na dłoniach, czarne nikotynowe narosty na wewnętrznej stronie zębów. Zauważyłem, że wyraźnie wiotczeją jej uda. Coraz częściej, wypiwszy porcję mikstury KB Likér, zwijała się na indyjskim, ręcznie tkanym dywanie obok łóżka.

Przestała nosić golfy, bała się zaciśniętej ściągaczem szyi. Podobnie w ostatnim okresie życia zachowywał się Janek Himilsbach. Wybitny, wielkiej klasy recytator surowych bluesów. Podczas wspólnych koncertów wynajmowałem mu we wrocławskim hotelu Monopol pokój jednoosobowy. Ale nie spał na wygodnym szerokim łożu. Kładł się obok, na dywanie, na podłodze.

Bał się zadusić we śnie własnymi wymiocinami. Co już wiele lat wcześniej przepowiedziała mu Cyganka, nie mniej od niego pijana. W latach socjalizmu lubiłem wielką sentencję wymyśloną przez Janka. Z wielkości której pewnie nie zdawał sobie do końca sprawy: Tak dużo dróg w Polsce budują. A nie ma dokąd pójść!

Udręczona lepkim alkoholem Lucille zamierzała zostać modelką Twiggy – Wieszakiem na Ubrania. Chciała tego, mówiła, specjalnie dla mnie. Tak to czułem. Wiedziałem, że nie jestem kolejnym gościem w gromadnym marszu samców tratujących jej podbrzusze. Seryjnym popychaczem z Encyklopedii Ludzi Odwiedzających Jej Krocze.

Miałem wiele dowodów na to, że jestem dla Lucille kimś wyjątkowym. Niejeden raz przyjmowała mnie z żarem bezgranicznie oddanej kobiety Wschodu. Ale jednocześnie, i to wcale nie na początku wspólnej drogi, w służbowym notatniku Panoramy Firm zapisany zostałem wśród innych zalotników rozmaitych profesji jako lokalny muzykant!

Kurwa! Stałem się w jej świadomości trywialnym miejscowym grajkiem! Był to czas, w którym kochając się ze mną, by przyspieszyć spust, gwałtownie się wiła. Robiły tak hotelowe, przygodne kobiety na trasie. Te, które szybciej chciały pójść do domu. Był to czas, w którym lekki nacisk dłonią na biodra Lucille podnosił jej ciało, napinał je w łuk. Ułatwiający zdjęcie majtek.

Ten ruch przypominał mi kobiety, z którymi znajomość liczyła się najwyżej w godzinach. Wyobrażałem sobie wówczas, jak przypadkowi mężczyźni we wnętrzu mojej Lucille czyścili z sera niemyte kutasy.

Pod powiekami wybuchały mi w takich momentach gejzery zazdrości, zbudowane z ognistej lawy Wezuwiusza.

Opornie w takich chwilach całowałem Rudowłosą. Znikał żar zwierzęcego uniesienia. Zawijałem usta w niewielką, zamkniętą studnię. Nie wpuszczałem jej języka do środka. Nie pozwalałem w żaden sposób pieścić B.B. Kinga. Aby upodlić wspólne chwile, przypominałem sobie, jak beznamiętnie naszym prześcieradłem wycierała ciało z kremów, pudru i tuszu do oczu.

Tak, jakby była brana w kanadyjskich, jednopiętrowych drewnianych motelach na godziny. Za kilka dolarów wraz z ceną mydła i ręcznika wydawanego w recepcji bez zbędnych ceregieli. Nie jej to pościel, nie jej to łóżko. A pokój wyjątkowo przechodni. Bywało, że prześcieradłem czyściła nawet buty. Muzyka zlewozmywaka łagodziła wówczas mój strach przed jutrem. Podpowiadała także, iż za ścianą mieszkają normalni, poukładani ludzie.

059. Cab Calloway

Aby doświadczać siebie do granic człowieczeństwa, nasilałem okrutne dla nas obojga seanse z ambrozją. Tajemniczym, otwierającym umysł alkoholem KB Likér. W domu kończył się zapas pełnych butelek. Wysłałem znajomego taksówkarza do Frýdlandu po nową dostawę. Moje namolne żądania częstego picia miętówki Lucille przyjmowała z rezygnacją skazańca.

Być może także uznała, że nic już nie uratuje naszego związku. W szczegółach beznamiętnej relacji powrócił zatem temat faworyzowanego przez tatuśka Handlarza Chińskim Sztruksem. Zeznawała, jak długotrwałym masowaniem kutasa leczyła go z nadchodzącej impotencji.

Następnym efemerycznym kochankiem został człowiek teatru. Więc bez właściwego skautom ekwipunku wysłała Marysię na trzytygodniowy wędrowny obóz harcerski w siodle. Marysia nigdy nie spała w namiocie pod gwiazdami. Nie widziała na oczy prawdziwej końskiej stajni. Uczyła się nowych słów – jazda stępa, popręg, zgrzebło, derka pod siodło.

Ale wieczorami często słyszała w służbowym telefonie komendy obozu, że mamusia bardzo, ale to bardzo ją kocha. Myśli o niej i od pana profesora wydębiła nowe partytury na skrzypce. A pan poeta Różewicz pochwalił ją za ostatnie wiersze. Ponadto miała się nie przeziębić. A gdy zabraknie pieniędzy, ma pożyczyć od pana komendanta. Z którym mamusia później się rozliczy.

Człowiek teatru, którego mięso brała na siebie, był o piętnaście lat młodszym od Lucille maszynistą sceny w Teatrze Współczesnym. Maszynista mieszkał w Obornikach Śląskich, satelickim miasteczku wrocławskiej aglomeracji. Po raz pierwszy spotkali się w klubie Jatki. I kilka godzin później teatralny maszynista leżał już na Lucille w domu przy Januszowickiej. Mimo że do pierwszego wkładu zamienili zaledwie pięć, sześć prostych zdań. W tym jedno, to najważniejsze. O której pojedziemy do ciebie?

Uwolniwszy się od Marysi, spotykali się codziennie. Lucille swoim nowym, niespłaconym samochodem wyjeżdżała po kochanka na wrocławski dworzec kolejowy. Na okołoperonowych straganach maszynista za pieniądze Lucille, pańskim gestem – nie przyjmując reszty – nabywał wielkie ilości cebulowych i bekonowych chrupek w sreberku. Dobierał zgrzane w folii najtańsze puszkowe piwa typu strong.

A nowa partnerka wiozła go do wakacyjnie pustego domu. W którym skrzypcowe pasaże Wieniawskiego nie przeszkadzały wolnej miłości. Lucille, chcąc pokazać twarz czułej poetki, zadedykowała maszyniście sceny zabawny miłosny wiersz. Naskrobany dużymi literami. Na całej stronie osobistego brulionu PF.

Już i tylko mam Ciebie miesiąc

Miesiąc z Tobą z miłością!
Powolnym wyciszeniem.
Miesiąc tylko dla nas!
Miesiąc Twojego lenistwa
i piwska!
Miesiąc telefonów do Ciebie,
I Twoich przyjazdów do mnie.
Miesiąc szalonego seksu!!!!!
Miesiąc czułości i miłowania!

Po takich sprawozdawczych seansach przez długi czas drżały mi dłonie. Ssało mnie w środku. Nieustannie już nosiłem bardzo ciemne przeciwsłoneczne okulary. Podobne do tych, w jakich narodowi pokazywał się tragiczny dyktator – generał broni Wojciech Jaruzelski. Jego oczy zachorowały w bezmiarach dzikiej Syberii, gdzie z rodziną zesłał go w młodości inny dyktator – Stalin.

Bałem się bez ciemnych okularów patrzeć na świat. Byłem skazany na jego jednokolorowy wymiar, bez głębi. Wstydziłem się ludzi i sam siebie. Chwilami wydawało mi się, że o szczegółach życia Lucille wiedzą wszyscy moi rozmówcy, bliscy. Wszyscy mieszkańcy Wrocławia. Więc nie mogłem patrzeć im w oczy.

Krytyk muzyczny napisał o *Tatuażach Bluesa* w recenzji zamieszczonej w „Jazz Forum": Biały Człowiek, Czarne Okulary, Czarne Tatuaże, Czarny Blues. Ale czy krytyk wiedział o nadejściu Lucille? Never! Okulary to był model Blues Brothers. Z fasonem noszony – gdy jeszcze żył i śpiewał o pchle szachrajce – przez mojego ukochanego mistrza i nauczyciela, wielkiego śpiewaka jazz-bandu – Caba Callowaya. Były to ray bany, znany w środowisku bluesowym model z metalowymi rombami przy zawiasach.

Rozklejałem się. Gniłem od środka. Dotychczasowy twardziel bluesowej estrady – idol wybranej, znającej życie bluesowej publiczności, dysponent fanek pachnących dojrzałym wiatrem – przeistaczał się w popierdoloną miękką kluchę. W dziurawe, zapomniane rzeszoto. W rozpaćkaną, inercją karmioną kukłę.

Terenówką dryfowałem nocą po autostradzie w nicości. Połykałem milowe słupki pobocza jak hiena, łowca padliny. W czasie takiej bezcelowej eskapady popękanymi betonowymi płytami dzwoniłem do Lucille z komórki, pytając groźnie, bez możliwości dialogu, w którym dniu znajomości położyła się pod kochankami.

Głupkiem z AWF, Agentem Ubezpieczeniowym, Filmowcem z Pożyczką Włosów, Sztygarem z Bonami PEKAO? No mów, w którym?! Mów!

Sycząc, radziłem, żeby nie kłamała. Przecież dobrze o wszystkim wiem. W pierwszym, odpowiadała dalekim, zduszonym głosem Lucille. Wiedziała, że gdyby odpowiedziała inaczej, postronki moich nerwów pękłyby na niezliczone strzępy.

Kurwaaaa! W pieeerwszym! Krzyczałem w ciemnej szoferce retony do wyplucia płuc. Kurwa!!! Rozpędzałem auto do maksymalnej prędkości, pragnąc natychmiastowego czołowego zderzenia.

Byłem ogłupiałym z zazdrości zwierzęciem, które nie podlega jurysdykcji umysłu.

060. Bob Woodward

Gdy wyczuwała w sobie impulsy napływającej euforii, zachowywała się prowokacyjnie. Pobudzała się wielką puchową kołdrą z IKEA. Naszą kołdrą, pokrywającą od pierwszych dni wspólnoty holenderskie łóżko. Patrząc na mnie rozszerzonymi źrenicami, wciskała zwinięty wałek pomiędzy zwieńczenia ud. Rytmicznie zaciskała go kolanami, jak łódź na fali. Lubiłem, gdy robiła to dla mnie.

Teraz, mimo jawnych zachęt, odmawiała solowych pieszczot. Powiedziała, że nie chce już wracać do chwil przeszłych. Przed wielu laty w podobny sposób doświadczał ją mąż. Przyjeżdżał z pełnego kobiet malarskiego letniego pleneru z wyzywającą miną. Zachowywał się pogardliwie. Tak jakby wiedział o mocno skrywanej tajemnicy Lucille.

Kładł się we wspólnym łóżku przy młodej niezaspokojonej żonie. Lecz zamiast koić jej wielodniową tęsknotę, gwałcił siebie dłonią, ubierał bez słów i wychodził na noc do studenckiego klubu Pałacyk. Szedł posłuchać, co podczas autorskiego spotkania ma do powiedzenia na temat wolności totalnej Bob Woodward.

Dziennikarz gazety „Washington Post". Śmiałek – który wspólnie z koleżką Carlem Bernsteinem – obalił prezydenta USA, Richarda Nixona. Mimo że ten ostrzegał ich, aby wyhamowali. Ich krytyczne teksty przypominały bowiem

cycki wkręcane w wyżymaczkę. Może dali mu popalić z nieujarzmionej miłości do cycków?

Coraz więcej mojej śliny potrzebowaliśmy, by jej Mała Lucille była wilgotna, gotowa do użycia. Pewnie w innej sytuacji zastosowałaby swój przetestowany wynalazek – smarowanie wejścia oliwą. Ale przy mnie nigdy tego nie zrobiła. Dni zacienione Wielkim Dołem przynosiły rozmaite kłopoty.

Pijana, dzwoniła natarczywie głęboką nocą, bym jak najszybciej zabrał ją z Januszowickiej. Natychmiast masz po mnie przyjechać i basta! Nie chcę już w ruskiej czapce uszance na głowie bujać się tutaj na połamanym krześle. Nie chcę dłużej tłumaczyć obszczanemu psu i pojebanym kotom, dlaczego świat zmierza do przepaści z prędkością światła.

Przyjedź natychmiast, bo zrobię jakieś głupstwo. Które na zawsze pozbawi cię Małej Lucille. Przyjeżdżałem, mobilizując ostatnie zapasy cierpliwości. Rzeczywiście. Z nogami rozwalonymi na boki siedziała na krześle w nieświeżej, wymiętej czerniźnie. Kiwała się sieroco, jednostajnie. Z kącika jej ust zwisał dawno wygaszony niedopałek.

Śmierdziała tanim siarkowym winem i domowymi zwierzętami.

Pierdol mnie, facet! Zrób to szybko, rzęziła od progu z manierą podrzędnej aktorki. Daj się napić grzebiącej mój los przeklętej miętówki. Daj, a wyjawię ci, Bluesie, ostatnie swoje tajemnice. Nalej Zielonego Szatana. Zakop mnie żywcem w ziemi. Niech pali cię w rękę złoty zegarek tatuśka. Mężczyzny, który wyreżyserował moje życie.

W tych dniach nie byłem lepszy. Piłem zbyt dużo. Niczym zdarta winylowa płyta wyrzucałem Lucille chodzenie po ludziach w poszukiwaniu nowego mięsa. Popychałem ją za-

czepnie na łóżko. Szarpałem wielką juchtową torbę. Rozerwała się i z uwolnionego miejsca pomiędzy skórą a podszewką wypadły kolorowe zdjęcia. Oraz niewielki notatnik, którego do tej pory nigdy u niej nie widziałem.

Kurwa! Odkryłem osobiste archiwum Rudowłosej. Fotografie prezentowały nagą Lucille wyginającą się bezwstydnie na tle murów fortu w Srebrnej Górze. Przecież tych zdjęć nie mogła zrobić Marysia. W rachitycznym notatniku zapisanych zaś miała kilka adresów i telefonów zupełnie innych niż te umieszczone w służbowym kajecie Panoramy Firm.

Robiłem przed samym sobą fałszywe dziarskie miny. Niczym głupek do reklamowej kamery, która przecież nie istniała. Potrzebne będą wkrótce kolejne litry KB Likér – udawałem zblazowanego chojraka. A to właśnie zawaliła się ostatnia zapora oddzielająca mnie od otwartej nienawiści. Zanim z krzykiem wyrwała mi zapiski, cyfrówką pstryknąłem błyskawicznie zdjęcia stronic notatnika. W domu zeskanowałem adresy do laptopa.

Od następnego poranka dzwoniłem do mężczyzn zapisanych na kartkach jej ręką. Nie wiem, po co do nich telefonowałem. Halo! Czy jest u pana pani Lucille? Dzwonię z kurierskiej firmy Woole Boole. Chciałbym z nią pilnie rozmawiać w sprawie reklamowego anonsu do Panoramy Firm. Pieprzyłem tekst drżącym głosem.

Odpowiadali zawsze burkliwie. Z tą panią mnie nic nie łączy! Nie znam takiej osoby. Skąd pan ma, do jasnej cholery, mój prywatny telefon? Skąd pan dzwoni? Nie widzę na wyświetlaczu pańskiego numeru. Niech pan już nigdy pod ten numer nie telefonuje. Nie ma pan bliższej rodziny? Użytkownicy kosodrzewiny Lucille chronili mieszczańskie ciepło. A kto ochroni mnie?

Love in Vain

Wariacja na temat bluesa Roberta Johnsona

Odprowadziłem ją na stację
Bagaż pomogłem nieść
Odprowadziłem ją na stację
Bagaż pomogłem nieść
Wiedzieć chcę czy to prawda
Że ona ma mnie gdzieś

Ech! Ona nie chce mnie

Gdy pociąg się wtoczył pod parą
W oczy spojrzałem jej
Gdy pociąg się wtoczył pod parą
W oczy spojrzałem jej
Ujrzałem tam nocy pustkę
Wnet zrozumiałem – hej

Ech! Ona nie chce mnie

Pociąg opuścił już stację
Zostałem całkiem sam
Pociąg opuścił już stację
Zostałem całkiem sam
Nie licząc mego bluesa
Wszystko inne to chłam

Ech! Ona nie chce mnie

061. Joe Cocker

Bóg na pewno stworzył kobietę, co przed laty z wyższością obwieścił reżyser Roger Vadim. Tylko dlaczego mi właśnie przydzielił taki osobliwy egzemplarz? Rudą Kobietę tracę bez nadziei na come back. Wymazuje się z mojego życiorysu z każdą kolejną chwilą. Chociaż, przełamując dumę, myłem ją od szczytu głowy do paznokci u nóg szarym czeskim mydłem „Biały Jeleń".

Delikatnie szczotkowałem jej zęby bułgarską pastą. Lubieżnie wylizywała biały, wypełzający z tubki walec. Lubiła zwyczajnie jeść miętowy rodzaj pasty. Umiarkowanie krwawiła. Jasnoczerwoną, intensywnie pachnącą cieczą. Daleką od zwykłych u niej buraczkowych skrzepów. Dziwnie tylko zaczęła się ubierać.

Jakby upadlając się postmodernistycznym strojem, chciała porzucić wszelkie ślady kobiecości wzbudzającej pożądanie. A przecież miała jej w sobie nadmiar. Odziewała się w to, co w kontenerze przywiozła do Polski z Toronto. Gdzie mieszkała w polskojęzycznej dzielnicy Mississauga.

Wietrzyła zleżałą garderobę, na której powstały plamy z piwnicznej stęchlizny, i kładła to wszystko na grzbiet.

Przychodziła do domu w krótkich, dupiastych, gabardynowych spodniach z naszytymi po bokach, niby lampasy, liśćmi kanadyjskiego narodowego klonu. Przyjeżdżała pordzewiałym chińskim rowerem w śmiesznych, złachanych, wielokolorowych getrach wiązanych za kolanami. Oraz w dziwnych paramilitarnych bluzach z metalowymi guzikami. Bluzach-marynarkach zakończonych pagonami haftowanymi srebrem.

Spływały z nich oficerskie sznury skręcone w gruby warkocz. Wyglądała w nich jak Michael Jackson, albo jeszcze lepiej, jak południowoamerykański marionetkowy generał z Márquezowej powieści *Jesień patriarchy*. Albo prezentowała się w stylu podstarzałej aktywistki protestacyjnych marszów przeciwko wszystkim i wszystkiemu.

Czasem zjawiała się w kostiumie wyluzowanej żony beatnika wyznającego filozofię Flower Power. Albo woodstockowego Joe Cockera. Z niewielką pomocą przyjaciół, czyli gorzały i marihuany. Przynosiła wówczas do domu niezwyczajne w jedzeniowym repertuarze wiktuały. Puszki z mięsem ćwiartowanej ośmiornicy, kilogramowe torby żytnich otrębów. Wędzone, białe, chude sery utytłane w paprykowym proszku. Wreszcie znosiła sojowe flaki.

To jest bardzo zdrowe i teraz to właśnie będziemy jeść, przekonywała. Jak każda kobieta hołdująca iluzji, bezustannie się odchudzała. Ale po cichu, po spaleniu w jednym ciągu większej ilości słomkowych papierosów, garściami wpychała w siebie nadziewane cukierki miętowe. Piła tłuste kefiry i jogurty. Unicestwiała za jednym posiedzeniem ważące pół kilo kartony waniliowego ptasiego mleczka.

Podczas gdy ja wypijałem ze skorupek surowe jajka, jadłem chleb wyłącznie chrupki, omaszczony twarogowym, niesłodzonym mazidłem. Czasem tylko pozwalając sobie na zimne, porcjowane greckie gruszki z puszek – Lucille szalała!

To w tamtych dniach przestawałem wyraźnie odróżniać miłość od miłosierdzia. Czy jeszcze gorzej – uczucie od olewackiej litości.

Nie odróżniałem już poczerniałego ochłapu z taniej jatki od szlachetnego porywu serca. Tajemnicę wzniosłego ducha od zwykłego, beznamiętnego rżnięcia w przydrożnym motelu. Bowiem pomimo chwil małżeńskiej normalności działała równia pochyła naszego niezwyczajnego związku.

Artykułowana coraz powszechniej rdzawą wstęgą niedopranych majtek. Ciemnymi na nich plamami z przodu, ale i z tyłu. Nawet moczenie nieświeżej czernizny w umywalce odbywało się coraz rzadziej. Coraz mniej weterynaryjnie doglądałem Lucille w ustalonym przez nas półszpagacie. Jedną wciąż zachowała prawidłowość.

Gdy oddawała siebie z szeroko otwartymi oczami, naprawdę żyła tym aktem.

Lubiła zresztą wpatrywać się, jak moje rozmydlone oczy zmieniają się w młyńskie koła, niczym w słynnej bajce Andersena *Krzesiwo*. Gdy na boki rozsuwałem jej nogi, a źrenice miała szczelnie przykryte powiekami, nie była partnerką. Pozwalała siebie jedynie używać. W takich chwilach wymyślałem okrutną zabawę. Według własnego widzimisię kształtowałem dłonią jej nieobecną twarz.

Naciskając w różne miejsca jej oblicza, zmieniałem układ policzków. Raz była kobietą młodą. Drugi raz brzydką i starą. W niektórych wersjach formowanej przeze mnie maski wyglądała odpychająco. Jak matuzalemowa pensjonariuszka domu starców. Która przypadkowo znalazła się w łóżku przy moim boku. Lucille udawała, że śpi jak zabita, jak owa pensjonariuszka. Nie przerywała mojej zabawy w przeobrażenia maszkar.

Gdy ją później brałem pod siebie, jeszcze przed poranną wizytą w łazience – religijnie zawodzącym głosem kazałem przepraszać się za popełnione i niepopełnione grzechy. Ale i tak byłem coraz częściej zasępiony. Codziennie znajdowałem w sobie tak mało energii, iż to, że udało mi się wstać, graniczyło z cudem. Znowu zaczęły mi pękać pięty. Cukrzyca forever!

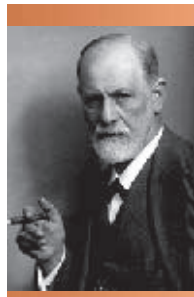

062. Sigmund Freud

Którejś nocy niespodziewanie się obudziła. Z półotwartymi, sennymi oczami wyglądała niemal tak samo jak w *Fargo* jawiła się Frances McDormand. Nieco ospała umysłowo, lecz babsko sprytna policjantka z filmu braci Cohen. Powiedziała z niesłychaną pewnością w głosie, że na pewno jestem jej tatuśkiem.

Dodała, że mnie również zaczyna się bać. Po tym szokującym stwierdzeniu zaczęła modlitewnie mamrotać luźne zdania. Wypychała z ust logicznie niepowiązane apokaliptyczne sentencje. Mówiła tak:

Życie dramatycznie rakowacieje. Jest przez nas, grzeszników, codziennie siniaczone.

Balon wzbierający breją niegodziwości pęknie lada chwila nad naszymi głowami. Nie są one jeszcze przybrane koroną cierniową, ale już poddawane niszczącej chemioterapii. Gwałtownie szarpnąłem Lucille za ramiona. Przygarnąłem do siebie. Mówiła dalej. Tylko tatusiek żądał ode mnie wierności. Wszyscy inni w późniejszym życiu tylko brali ze mnie, co chcieli. I porzucali.

Bluesie, jedynie ty jesteś wymagający, uczysz mnie, jak być miłością. Nie zostawiaj mnie samej sobie. Przed Pierwszą Komunią znienawidziłam tatuśka. Przecież rodziła się we

mnie kobieta. Pragnęłam dotknąć ciała rówieśnika. Młodego chłopaka. A gniótł mnie stary, owłosiony tors. Pastwił się nade mną pewny siebie Nocarz.

Nie mogłam znieść jego widoku. Gdy się do mnie zbliżał, dostawałam febry. Wypchane na kolanach brudne kalesony. Zmierzwiony włos, zapach karbidu z gęby, okropne wylatujące stamtąd przekleństwa. Umierałam! Bluesie, tylko twoja miłość może ukoić moje myśli. Tylko przy tobie mogę zachować godność kobiety.

Bez ciebie jestem na świecie samotna. Czuję na sobie zimny oddech śmierci. Bluesie, ogrzej mnie, proszę. Zaczęła żałośnie, bardzo żałośnie szlochać. Wiesz, że zawsze w najważniejszych momentach swojego życia byłam sama. Gdy rodziłam Marysię, gdy się wyprowadzałam z domu. Jesteś moim jedynym marzeniem. Moją miłością, strachem, życiem i pożądaniem.

Chociaż odpychasz mnie każdego dnia, wiem, że wciąż na mnie czekasz. Przy tobie skończyłam z przeszłym życiem. Znowu stałam się dla kogoś jedyną kobietą. Dla kogoś, czyli dla ciebie, Bluesie. Już nigdy nie powiem, tak cię czuję, taki jesteś mój. Porzuć zadufanie. Bądź tylko mój! Nienawidzisz mnie, pogardzasz mną. Ale moja miłość to wszystko przetrzyma. Nie bądź taki twardy. Przyjdź do mnie. Czekam na ciebie!

Leżeliśmy na holenderskim łóżku w całkowitym milczeniu. Ściśnięci mocno ciałami. Po chwili znów przemówiła jak w malignie. Czy mama nas słyszy? Drzwi do pokoju są zamknięte? Mama znowu udaje, że pierze na korytarzu. Co będzie, jak się o nas dowie? Znów powracały na kołdrę z IKEA koszmary dzieciństwa.

Ojciec chciał mieć syna jedynaka. Traktował Lucille jak janczara. Ale pożądał jak kobiety. W domu przy Januszowickiej trwały nieustannie – pełnymi szklanami wyznaczane – pijań-

stwa wrocławskich rzemieślników. Rządził Bank PEKAO. Wódka żytnia z kłosem na etykiecie. Wydawana za papierki – bony o wartości osiemdziesięciu centów, flaszka.

Popijana greckim pomarańczowym sokiem Dodoni. Triumfowały na stołach grube plastry deficytowej szynki Polish Ham. Konserwowanej, w słonej zalewie. Pakowanej w blaszane puszki o kształcie przybliżonym do serca. Pijany, okazywał córkę tłumom gości. Wywoływał ją z ogrodu głosem Tamerlana.

Nie deklamowała rozbawionej ferajnie patriotycznych wierszyków. Za to nieustannie płakała. Śmiał się z łez córki jak widz na filmach z braćmi Marx. Śmiał się sytym chichotem. Gdy bowiem chciał sobie ulżyć po męsku, nie musiał, szczęśliwiec, wychodzić z domu.

Długie lata strachu, czy zaraz nie wejdzie mamusia. Lata okrutnych, smutnych bajek braci Grimm. Traktowanych jako gra wstępna. Sukienek w grochy, które tylko ojciec zakładał jej osobiście. Kundlowaty piesek przed domem, kupiony specjalnie dla niej, aby nie czuła się zbyt samotnie. Tylko ojciec ją kąpał w wielkiej misce. Matka mogła w tej samej misce wyłącznie prać.

Może dlatego nie przeczytała córce ani jednej bajki. Jeśli już, to z jadowitą intonacją deklamowała wybrane wyjątki z katechizmu. Do kolacji, bo po godzinie dziewiętnastej Lucille stawała się wyłączną własnością ojca. To nasza mała tajemnica, szeptał opiekuńczo tatuś, mama już śpi.

Chociaż obydwoje wiedzieli, że matka za ścianą łamie paznokcie na własnym ciele.

Ale i Lucille była niespokojna, gdy matka specjalnie jęczała głośno, lubieżnie za tą samą ścianą. Bowiem i jej od czasu do czasu wtykał kutasa ten niedzielny katolik. Wówczas to

Lucille nie mogła zasnąć. Objawiała się w ten sposób zazdrość o rywalkę. Atrakcyjność jej młodego ciała konkurowała z intensywnym zapachem matczynego potu, z jej pełnymi, wielkimi piersiami.

Dlatego nie oponowała przeciw zalotom sąsiada. Mikrego licealnego nauczyciela greki. Gdy zapraszał ją na ulubione cukierki. Miał je zawsze. Wielką ilość miękkich raczków, kukułek, cukierków grylażowych. Batonów „Danusia" oraz ptasiego mleczka, z którego łupkami odpadała czekolada.

Stawiał Lucille na dużym taborecie. Wręczał jej w obie dłonie talerz pełen słodyczy. A sam głaskał małą kobietę po całym ciele. Głaskał i śmiesznie, gwałtownie szlochał. Lucille, aby zagłuszyć zew samca, wypychała buzię cukierkami. Mała kobietka – jeszcze bez śladów piersi i rudych włosów na łonie – brała srogi odwet na tatusiu.

063. Jacob i Wilhelm Grimm

Niszczycielskie działanie miętówki KB Likér kasuje wszystko wokół. Staję się Zeligiem z filmu Woody'ego Allena. Niczym kameleon upodabniam się do Lucille. Regularnie popijam zielony alkohol. Chociaż nie bierze mnie po nim na zwierzenia. Moja twarz nabrała jednostajnie ziemistego koloru. Rysy na niej są destrukcyjne, zupełny brak uśmiechu. Nawet jego rachitycznej, udawanej krzywizny.

Wyglądam smutno, z bezradnością wyrysowaną w kącikach ust. Podobnie jak Lucille na połamanym w rogach ząbkowanym zdjęciu sprzed lat. Zdeponowanym u mnie w ubraniowej szafie pomiędzy bawełnianymi T-shirtami. Stoi na tym zdjęciu z ojcem, sztywno i sztucznie upozowana. Przed mosiężnym pomnikiem komediowego dramaturga i świntucha – hrabiego Aleksandra Fredry.

Dziesięcioletnia, w jesiennym płaszczyku w jodełkę, trzyma ojca za rękę. Patrzy prosto w połyskliwy ślep soczewki aparatu. Oboje – ojciec i córka, mają nienawidzące, zastygłe miny. Każde z innego powodu. Ojciec, bo powoli kończyła mu się laba używania. Córka, bo szykowała się do rychłej zemsty rodzącej się kobiety.

Ojciec w dniach, w których pod pomnikiem Fredry było robione zdjęcie, brał Lucille rutynowo. Nigdy córki nie całował. Korzystał z białych dziecięcych ud tak, jak korzysta się

z obciążonej stażem żony. Sporadycznie już podpierał się baśniami braci Grimm. Urodzonymi w silnie nasyconym dziwami mieście Hanau.

Jedynym jego zmartwieniem było to, aby brudne czyny pozostały za grubymi murami domu. Umarły bezkarnie wewnątrz betonowego klocka przy Januszowickiej. Aby trwała tajemnica Rodzinnego Trójkąta. Milcząca zgoda grzebiącej w praniu bezwolnej żony. I paniczny strach poniewieranej córki.

W końcu przestał jednak w wypchanych na kolanach barchanowych kalesonach włazić na Lucille. Coraz bardziej obawiał się, że w tej niedozwolonej hańbie zrobi jej fizyczną krzywdę. Bo niezabliźnione rany w psychice, jakie wyniesie z dzieciństwa, nie obchodziły go wcale.

Rozumiałem teraz, dlaczego strachliwie płakała, gdy w rozognieniu zbyt silnie naciskałem dłonią jej Małą Lucille. Rozumiałem, dlaczego na moich oczach unicestwiła duże kolorowe zdjęcie przedstawiające butnego ojca upitego jakimś seryjnym przyjęciem. Darła je na drobne strzępy.

Szatkowała je z wprawą, z jaką profesjonalistki skubią z gęsi puch.

Chociaż podczas fotograficznej egzekucji ani razu nie spojrzała mi w oczy. Uciekała wzrokiem na boki. Co teraz czujesz? – zapytałem. Ulgę – odparła blaszanym głosem. Bez śladu emocji. I te marne, już rozdrobnione strzępy nie trafiły do klozetowej muszli, do śmietniczki. Rzuciła je na blat stołu, zawinęła w serwetkę.

Zbicie córki klinowym paskiem od silnika syrenki bosto zaraz po uroczystościach Pierwszej Komunii zapowiadało koniec dni przepełnionych strachem. Drżenia spowodowanego nieuchronnym zachodem słońca, rychłą emisją telewizyjnego dziennika, nadejściem wieczorowej pory.

Po skatowaniu córki zmniejszyła się także nienawiść matki, która na małą dziewczynkę zrzuciła odpowiedzialność za to, że jej wybrany – specjalista od włoskich lodów – nie wypełniał małżeńskiej tykwy nasieniem. Lucille także inaczej patrzyła na matkę. Po latach odległych od ran zadanych gumą Ruda Kobieta pokazała mi wypłowiałą, ale czytelnie zapisaną kartkę firmowego papieru kanadyjskiej firmy wysyłkowej. Zanotowała na niej pięknego bluesa. W rogu stronicy widniała data – dziesiąty kwietnia dziewięćdziesiątego czwartego. Z dopiskiem G. AM.

Łono matki

Szare chmury, szare chmury nad polami.
Tylko dziecko nie chce spać w łonie matki.
Gdzie ta wiosna, która niesie nowe życie?
Gdzie ta miłość, która miała wszystko zmienić?
Cisza, cisza niesiona przez wiatr,
Morze, morze szumiące gdzieś w oddali.
Może kiedyś ktoś powie mi – kocham?
Szła dziewczyna zwyczajna polami.
Owiana przez wiosenne wiatry nadziei.
Szła – marzyła, marzyła o innej przyszłości.
O kolorach, o kwiatach, o wiosennych łąkach.
O rozstaniach, powrotach, o domu szczęścia.
Szło też dziecko rzucając piłeczką.
Piłeczka fruwała a dziecko marzyło o nowej lalce.
Szła kobieta zmęczona po pracy i pragnęła miłości.
Lecz miłości dookoła nie było.
Szła i babcia, która życie spełniła,
Lecz jej godność i duma przetrwała.
Czy życie to jest, czy kolejna bajka?
Czy prawdziwa wiosna i do mnie zawita?

Lucille

Piękny, prawdziwy blues. Pamiętasz, z kim wówczas byłaś? – zapytałem nienapastliwie. Z nikim. I to mi musiało wystarczyć.

Thirty Two Twenty Blues

Wariacje na temat bluesa Roberta Johnsona

Wysłałem po moją małą
A ona nie chce przyjść
Wysłałem po moją małą
A ona nie chce przyjść
Na nic jej wszyscy doktorzy
W cholernej dziurze Hot Springs.

A jeśli się okaże
Że z innym chce pójść w tan
A jeśli się okaże
Że z innym chce pójść w tan
Wtedy ją rozpołowi
Mój trzy dwa dwa zero gun

Cizia ma lufę trzy osiem
Kaliber lekki jest
Cizia ma lufę trzy osiem
Kaliber lekki jest
Ja mam trzy dwa dwa zero
Ten bydlak zieje fest

Gdzie łazisz złotko po nocy
Sprzedajesz ciało zadbane
Gdzie łazisz złotko po nocy
Sprzedajesz ciało zadbane
Pachniesz męskim nasieniem
Masz włosy potargane.

Wysłałem po moją małą
A ona nie chce przyjść
Wysłałem po moją małą
A ona nie chce przyjść
Bez pracy zostaną niestety
Białe Kitle z Wisconsin.

Niewierna suko och powiedz
Gdzie balowałaś tej nocy
Niewierna suko och powiedz
Gdzie balowałaś tej nocy
Me łóżko świeciło pustkami
Gdy słońce wyszło spod kocy

Będę strzelał z mej broni
Będę walił z pistoletu
Będę strzelał z mej broni
Będę walił z pistoletu
Byłem twoim kochankiem
Używasz innych waletów

Chłopaki nie mogę spocząć
Odpuścić zdrady się nie da
Chłopaki nie mogę spocząć
Odpuścić zdrady się nie da
Zabiję niewierną cizię
Prosto w łeb trafię zgreda

064. Sean John

Lucille przez wiele lat daremnie poszukiwała miłości czystej. A znajdowała niecierpliwych jebaków, którzy beztrosko wtryskiwali w nią zagęszczone mleko. Tak jak do doświadczalnej próbówki mającej identyfikować wątpliwe ojcostwo. Wymywała później ze środka nasienie z płaczem. Usuwała je pod anonimowymi prysznicami licznych hoteli, których dziwnych nazw nie była w stanie zapamiętać.

Wymywała cudze zalążki życia z poczuciem pogardy dla tych, co odepchnąwszy ją od swoich torsów, poszli już do swoich żon. Stan Lucille uzależniony były od sinusoidy cyklofrenii. Wiele rzeczy i spraw pojmowałem dopiero teraz. Dawniej dziwiło mnie, że z dobrych restauracji wykradała stojące na stoliku w drewnianych pudełkach saszetki z wielosmakowymi herbatami.

Musiała być wiele razy w trudnych sytuacjach, bo rdzawe papierowe płatki po wyciśniętych herbatach ekspresowych kładła sobie leczniczo na oczy. A przecież to domena ludzi, których życie dalekie jest od stabilizacji. Przeszłymi czasy nie rozumiałem, dlaczego tak pieszczotliwie – jak żywe stworzenie – traktuje nasze holenderskie łoże.

Czyniła tak, bowiem nigdy nie miała własnego porządnego łóżka ze śnieżnobiałą, sztywną, pachnącą pościelą. Zawsze, nawet w dziecięcych latach, gdy po swoje przychodził do

niej Nocarz, były to jakieś kombinacje zaledwie przypominające miejsce do spania. Albo hotelowe trzeszczące wyra, które przed południem, wraz z końcem opłaconej doby, trzeba było opuścić.

Szerokie holenderskie łoże było pierwszym czystym pod każdym względem. Z materacem nieskrapianym spermą wielu mężczyzn o rozmazanych nijakością twarzach. Wygniatane było tylko naszymi ciałami. Nie rozumiałem także, dlaczego – gdy brałem ją pod siebie przez pierwsze miesiące – oddawała się w milczeniu. Bała się pewnie, że półświadomie, nie poznając mnie, zerwie moją dłoń z Małej Lucille, krzycząc, weź tę grabę, pierdolony złamasie!

Nie wiedząc o niszczących objawach cyklofrenii, nie rozumiałem jej napływających nagle, z godziny na godzinę, cech przywódczych. Podczas niewielkiego remontu jej betonowego klocka przy Januszowickiej była Stalinem. Kamienną, niewzruszoną opoką, wydającą rozkazy podległej tłuszczy.

W ruskiej uszance krzyczała władczo na kilku tanich robotników, którym zresztą nie płaciła za pracę.

Prosiłem – przepędź tych ludzi precz. Gwałcących mieszkanie zabłoconymi buciorami, gaszących niedopałki na meblach, nieudolnie grzebiących przy elektrycznych i gazowych licznikach, obiecujących lewe podłączenia do publicznej instalacji. Używają bez zapytania twoich garnków, zasrywają łazienkę brunatnymi śladami.

Pierwszy prezent, jaki od ciebie dostałem, skórzane kapcie, ci ludzie noszą jak swoje. Zhańbili je, są poplamione wapnem. Oglądają twoje półnagie zdjęcia na ścianach i lubieżnie rechoczą. Strofują Marysię, kpią z jej grania na skrzypcach. Proszę, pogoń grzeszników ze swojej świątyni. To nie jest dom. To poczekalnia małomiasteczkowego dworca kolejowego.

Ale mnie nie słuchała. Nieudanym remontem dowodziły impulsy choroby.

Próbowałem łagodzić ten stan. Chodziłem z nią na długie spacery. W powstałym po upadłej drukarni gigantycznym magazynie ciuchów Amadeo – składzie końcówek odzieżowych serii firm światowej sławy – kupiłem jej kilka zbyt na nią dużych T-shirtów.

Były to porządne bawełniane koszule sygnowane metkami wielkiej nowojorskiej gwiazdy hip-hopu – Seana Johna. Czarnoskórego pieśniarza, który talent muzyczny, śpiewane felietony o murzyńskim niefarcie, z wprawą zamieniał na biznes, na dolary. Wyglądała w nich pociesznie, jak mieszkanka wielkomiejskiej dzielnicy typu Bronx. Do której biali nie docierają bez specjalnej potrzeby. Bardzo mi się podobała.

Całowaliśmy się między regałami zawalonymi markowymi szmatami, nie zważając na obecność licznych klientów. Trzymaliśmy się za ręce. Zaprowadziłem Rudą Kobietę do obskurnej, ale legendarnej restauracji Bałtyk. Do miejsca dokonywania żywota przez wypalonych dziennikarzy działów miejskich, nieudanych plastyków i zapijaczonych prawników specjalizujących się w niskopłatnych rozwodach.

Na wielokrotnie tapicerowanych krzesłach zasikanych przez Upadłych Aniołów, na stole z torlenowym obrusem upstrzonym wypalonymi przez papierosy dziurami, jedliśmy – wzajemnie się karmiąc – po cztery talerze najlepszego w mieście rosołu z kołdunami. Pierożkami napełnionymi delikatnym mięsem. Mijały krótkie, coraz krótsze, szczęśliwe chwile.

065. Ethan i Joel Cohen

Układała bezwiednie humorystyczne odzywki. Mówiła na przykład z całą powagą: Jestem kobietą rozbitą na cztery spusty. Albo: Jestem kobietą diametralnie łagodną. Wreszcie pytała mnie z udawanym zdziwieniem, czy taka dobra kobieta jak ona może puścić raka. Nie lepiej spiec bąka, mówiłem ze śmiechem.

Nie wiedziała, i mówiła to z rozbrajającym uśmiechem dziecka, z której strony jest przód wieszaka na ubranie. Prawie zawsze zaczepiała garderobę ramionami do tyłu. W szafach utykała wciąż nowe laurowe liście. Miałem je pod każdą prawie koszulą. Lubiła to robić.

Podcinała fachowo i fantazyjnie doniczkowe kwiaty. Bardzo mi smakowały obierane przez nią w cząstki jesienne jabłka. Podawała je w poszczerbionej na brzegach misce ceramicznej Villeroy&Boch. Niejeden raz prosiłem Rudowłosą, by w letnie dni nie ubierała majtek, wówczas gdy ruszaliśmy w miasto na sklepowy rajd.

Lubiłem narkotycznie dotykać Rudej Kosodrzewiny w najbardziej zatłoczonych publicznych miejscach. Jej wilgoć na moim palcu stawała się zdobyczą w wielkomiejskim safari. Bez czernizny była dla mnie Piękną i Bestią. I euforyczne stawały się takie chwile. Coraz rzadsze, niestety.

Cień Klęski wydłużał się na ścianach rozsłonecznionych budynków. Aby oddać się złudzie pozorów, Ruda Kobieta prowadziła nas do parku Szczytnickiego, do astronomicznego obserwatorium. Znała tutaj każdy zakamarek jeszcze z czasów studiów. Jej znajomy z młodzieńczych lat, dzisiaj operator gigantycznej lunety, wpuszczał nas w nocy do budynku.

A Lucille pokazywała mi gwiazdozbiór etiopskiej księżniczki Andromedy. To mój osobisty kawałek nieba – objaśniała. Andromeda to właśnie ja. Za sprawą klątwy dzieciństwa też jestem przykuta do litej skały. I nie wiem, co ze mną będzie. Wskazywała mi także gwiazdozbiór Wodnika, mój zodiakalny znak, wielki kawał amarantu pod Pegazem.

Szeptała w bezszmerową, rozgwieżdżoną noc – o swój los możesz być spokojny. Szklane paciorki nie poranią ci dłoni. Ja jednak nie wierzyłem w grę szklanych paciorków, zawodził mnie nieszczery różaniec.

Pracownik obserwatorium, jej znajomy, żegnając nas któregoś razu, sondował: długo pan jest z Lucille? Ona od młodości była jakaś dziwna. Znikała na kilka tygodni z zajęć. Chodziła z głową w kosmosie. Z wykładów wychodziła nagle, w pół zdania. Miała niewidzące, wielkie oczy. Pisała dziwne wiersze. Epatowała szokującymi pomysłami. Przyniosła któregoś dnia samochodowe paski klinowe. Bez słowa rozdała je chłopakom z grupy. Czy dzisiaj też tak jest?

Nie odpowiedziałem. Nie wspomniałem, że teraz mówi grubym językiem. Razi zachowaniem gminu. Ma częste seanse trywialności. Filmy może oglądać w telewizji do i od połowy. Najczęściej amerykańskie, głupie, serialowe, podkolorowane. Jedyny, jaki mogła śledzić – od początku do końca bez zniecierpliwienia – był apologią i kpiną jednocześnie z ruchu hippisów. To *Big Lebowski*.

Akceptowała ten sardoniczny obraz braci Cohen. Twierdziła, że Jeff Bridges, grający główną rolę zblazowanego, podstarzałego hippisa, to wypisz, wymaluj ja. We własnej osobie. Patrz, siada przy stole jak ty. Smarka w chusteczki zupełnie tak jak ty. Nawet na sedesie puszy się jak mój mężczyzna – Blues. Miała trochę racji.

Ja zaś, wśród napisów końcowych *Big Lebowskiego* – na tak zwanej liście płac – szukałem swojsko brzmiących nazwisk. Ethan i Joel zatrudniali sporo Żydów polandyjskiego pochodzenia, których przodkowie wyjechali za Wielką Kałużę. Często szukam polskich nazwisk w amerykańskich filmach. W kanadyjskich jest ich bardzo dużo. Podobnie jak w australijskich.

Te chwile z gwiezdnym, rozmarzonym niebem w tle miałem już za sobą. W rynku, w oblepiającej ubrania kurtynie jesiennego kapuśniaku, dałem Lucille pożegnalny list. Była to pierwsza, oprócz zwyczajowych kłótni, próba rozstania się z Rudą Kobietą. W dłonie wcisnąłem kopertę i odszedłem bez słowa. Stało się to pod repliką miejskiego pręgierza. Niby miejsce symboliczne, ale niewybrane rozmyślnie. Nie, że tak właśnie szmondakowato kombinowałem.

Ostatnimi kruszynami zdrowego rozsądku szukałem normalności.

Miałem nazbierany przez lata pracy na scenie niewielki kapitał. Wystarczający na dom na wsi i studio nagrań. Zagmatwany w Lucille, nie potrafiłem skomponować nic, co tchnęłoby świeżością. Żyłem niemal wyłącznie z tantiem. Moja ostatnia trasa, którą dlatego tylko przyjąłem, że wiodła niedaleko domu, po Dolnym Śląsku, była być może znośna dla publiczności.

Dla mnie jednak stała się łańcuchem pustych dźwięków. Brzmiących profesjonalnie wyłącznie dzięki wieloletniemu doświadczeniu w graniu na hohnerze.

A towarzyszyłem z harmonijką wziętemu gitarzyście Gwynowi Ashtonowi. Zdolnemu Irlandczykowi z mojego woodstockowego pokolenia. Miał zapewnione pełne sale, zgrabnie podrzucał mi ostre frazy, pokrzykiwał chrapliwie we właściwych momentach.

Byłem jednak niewrażliwym Martwym Bydlęciem.

Wypalonym dupkiem, głuchym na niepokojący zew bluesa.

Rolling Stone

Dla Magazynu „Rolling Stone" sporządziłem ranking pięćdziesięciu najlepszych płyt wszech czasów. Zaprosili do ankiety pięćdziesięciu muzyków z całego świata. Oto faworyci wskazani przeze mnie.

001. The Beatles – *Sgt. Pepper's Lonely Hearts Club Band*
002. The Beach Boys – *Sounds*
003. The Beatles – *Revolver*
004. Bob Dylan – *Highway 61 Revisited*
005. The Beatles – *Rubber Soul*
006. Marvin Gaye – *What's Going On*
007. The Rolling Stones – *Exile On Main Street*
008. The Clash – *London Calling*
009. Bob Dylan – *Blonde On Blonde*
010. The Beatles – *The White Album*
011. Elvis Presley – *The Sun Sessions*
012. Miles Davis – *Kind Of Blue*
013. The Velvet Underground – *Velvet Underground & Nico*
014. The Beatles – *Abbey Road*
015. The Jimi Hendrix Experience – *Are You Experienced?*
016. Bob Dylan – *Blood On The Tracks*
017. Nirvana – *Nevermind*
018. Bruce Springsteen – *Born To Run*
019. Van Morrison – *Astral Weeks*
020. Michael Jackson – *Thriller*
021. Chuck Berry – *The Great Twenty-Eight*
022. John Lennon – *Plastic Ono Band*

023. Stevie Wonder – *Innervisions*
024. James Brown – *Live At The Apollo (1963)*
025. Fleetwood Mac – *Rumours*
026. U2 – *The Joshua Tree*
027. Robert Johnson – *King of The Delta Blues Singers, Vol. 1*
028. The Who – *Who's Next*
029. Led Zeppelin – *Led Zeppelin*
030. Joni Mitchell – *Blue*
031. Bob Dylan – *Bringing It All Back Home*
032. The Rolling Stones – *Let It Bleed*
033. The Ramones – *The Ramones*
034. The Band – *Music From Big Pink*
035. Dżamble – *Wołanie o słońce nad światem*
036. Carole King – *Tapestry*
037. The Eagles – *Hotel California*
038. Muddy Waters – *The Anthology, 1947-1972*
039. The Beatles – *Please Please Me*
040. Love – *Forever Changes*
041. The Sex Pistols – *Never Mind The Bollocks, Here's The Sex Pistols*
042. The Doors – *The Doors*
043. Pink Floyd – *The Dark Side of The Moon*
044. Patti Smith – *Horses*
045. The Band – *The Band*
046. Bob Marley & The Wailers – *Legend*
047. John Coltrane – *A Love Supreme*
048. Polanie – *Polanie 1968*
049. The Allman Brothers Band – *At Fillmore East*
050. Little Richard – *Here's Little Richard*

066. Janis Joplin

Kurwa! Stawałem się salonem płytowym bez jednego czarnego krążka z nagraniami na półkach. Pustą sceną bez świateł i artystów. Kwiaciarnią bez aromatu kwiatów. Czułem wokół siebie destrukcyjny, intensywny zapach lizolu i wirtualnych wielotygodniowych gówien. Coraz lepiej rozumiałem złamanych ludzi uciekających przed ciężarem dnia do wanny z gorącą wodą.

Ale Lucille wciąż była dla mnie Nieznośną Lekkością Bytu, kawałkiem mnie. Jak w tradycyjnej chińskiej operze sto razy na minutę zmieniałem zdanie. Kluczyłem. Ale wciąż zwyciężała ona. Czy musi być tak, że aby poznać Miłość Totalną, trzeba obcować z dziwką? Aby poczuć niezwyczajne porywy sercowego mięśnia, należy mieć pod własnym dachem kobietę publiczną?

Nadal bardzo kochałem Rudą Kobietę. Życie bez jej obecności wydawało mi się chybione. W skrytości wąchałem jej dwudniowe zapomniane majtki, silnie pragnąc, aby pojawiły się wspomnienia Dobrych Dni. Jak wtedy, gdy przychodziła do mnie w czerniźnie targanej przez moje, a nie inne, niecierpliwe dłonie. Wołałem w myślach, aby było jak wówczas, gdy po raz pierwszy

wkroczyła do domu w pończochach miodowego koloru i zdjęła je powoli na moich oczach.

Lubiłem bardzo i Lucille nadzwyczaj lubiła czerwone jesienne drzewa na krętej drodze do Obornik Śląskich. Jeździliśmy za Wrocław w te liściaste lasy przez wiele słonecznych popołudni września. A nawet października. Zanurzaliśmy się w kolorową kołdrę podobni do zwierząt szykujących się do zimowego snu. Z asfaltowej drogi nie było nas widać. W górę, pobudzane wiatrem, wzlatywały tylko zrudziałe chmury.

Jej rozpuszczone długie włosy i podobnego koloru opadłe liście tworzyły wielobarwne kompozycje warte pędzla najsłynniejszych impresjonistów. W takich chwilach byliśmy Dziećmi Lepszego Boga. Lucille, pobudzona oślepiającym słońcem i barwami wybuchłej jesieni, wkładała mi pod ubranie kiście liściastych bukietów, mrucząc zalotnie, czy raczej ostrzegawczo, abym nigdy nie nosił w spodniach zasuszonego badyla.

Kładąc się na plecach na miękkim poszyciu, kreśliliśmy znak orła. Całowaliśmy się, wpychając sobie liście do ust. Zapłodniona rysunkami Rolanda Topora, formowała Lucille z kopczyków listowia wielką trumnę, w której, żegnając się ze światem, z trudami marnej codzienności, układałem ciało z udawanym smutkiem.

Nasza niekłamana euforia wspólnego przebywania zamazywała błotniste plamy na życiorysie Rudowłosej. Po takiej wycieczce, wtulony w jej piersi, zasypiałem wieczorem błyskawicznie. Bez używania B.B. Kinga.

Lecz, co dobrze wiadomym jest z ludowych mądrości, szczęście nie może trwać wiecznie. Znów, za sprawą nowej dostawy miętówki KB Likér, dowiedziałem się, że w te okolice wywoził ja także Handlarz Chińskim Sztruksem. Lecz nie po to, aby w drogich ubraniach walać się idiotycznie w jakiś śmierdzących rozkładem zwiędłych liściach.

Zawoził ją małym sportowym samochodem do pobliskiej opuszczonej fermy kurczaków. Tam mógł się ukryć przed wścibskim ludzkim okiem i niewyparzonymi językami znajomych. W martwych, zimnych kurnikach brał kobietę, którą wciąż kocham, na stojaka. Niczym ów dramaturg Bertolt Brecht. O którego istnieniu nie miał zapewne najmniejszego pojęcia.

Włączał na cały regulator stojące na oknie, poplamione farbą przenośne radio. I bez ceregieli wpychał w nią kutasa zniecierpliwionego zbyt długą jazdą samochodem. Używał Lucille wśród zeschłych hałd kurzych gówien. Zalegających betonowe przestrzenie podłogi.

Pochylona do przodu, opierała się dłońmi o ściany zabazgrane grubymi słowami. Wypisanymi przez zwolnionych pracowników fermy.

Policja to kurwy!, *jebał cię pies* i takie inne. Nie wypowiadała przy tym jednego słowa. Chociażby dlatego, że Handlarz Chińskim Sztruksem był szybkim jebaką. Więc nie podjąłby miłosnego dialogu.

Po takich oczyszczających Lucille monologach brałem cyfrowy dyktafon i autostradą pędząc w stronę azylu, czyli Zgorzelca, wymyślałem zdania mogące uchronić mnie przed klasycznym pierdolcem. Wbijałem niewidzący wzrok w ruchomy horyzont. A kojące myśli napływały stadami same. Nagrywałem je na cyfrówkę, chociaż nie wiedziałem po co. Jako świadectwo tego fragmentu życia?

W te dni woziłem ze sobą w samochodzie *Perłę*, płytę złożoną z najlepszych kawałków Janis Joplin. Z otwierającym krążek ważnym dla mnie utworem Gershwina – *Summertime*. Oraz bożonarodzeniowe kolędy Etty James, puszczane na okrągło. Nawet w środku lata, nawet w dzień Cudu nad Wisłą.

Te dwie płyty – dość dalekie od klasycznych bluesowych dźwięków – uspokajały mnie na nieprzewidywalnych zakrętach. Gdy nie mogłem wyjechać na autostradę, biegałem ze słuchawkami na uszach wokół Hali Targowej. Po przylegających do niej nadodrzańskich alejkach. Pragnąłem w finale paść bez tchu. Ale nigdy mi się to nie udało. Natomiast po tych wyczerpujących fizycznie biegach byłem bardziej zahartowany.

Jutro nie straszyło upiorami z przeszłości. Wychodziło znajome słońce spod Obornik Śląskich!

067. Michał Urbaniak

Zadzwoniła największa w mieście właścicielka sieci punktów sprzedających kwiaty. Zapytała z nieudawaną ironią w głosie: Czy pani Lucille to twoja znajoma? Nawet więcej, powiedziałem do słuchawki zgodliwie. Czy dobrze wiesz, co robisz? Z kim się zadajesz? – napierała Kwiaciarka. Chyba tak, bąknąłem tym razem niepewnie.

Kilka dni temu przyszła do mnie podekscytowana, nienaturalnie pobudzona kobieta z rozszerzonymi źrenicami. Niecierpliwa, strzelająca w powietrzu palcami – relacjonowała. Zaproponowała układ. Wiedziała, że dostarczam na twoje koncerty bukiety kwiatów. Powiedziała, że jeśli za darmo dam do muzycznej szkoły dwieście świeżych róż, opowie mi pikantne historyjki o tobie, znanym muzyku.

Jej córka – Marysia – ma zaliczeniowy solowy koncert skrzypcowy. Zaaranżowany z jazzowych utworów Michała Urbaniaka. A przecież jest dobrą matką i te róże w szkolnej auli zrobiłyby na głupich nauczycielach wrażenie. Zaczęłam wypraszać natręta, nie chciałam wariatce dać kwiatów. Ale nie dała się pożegnać.

Nadawała o tobie jakieś kosmiczne bzdury. Zażądała kilku papierosów i na wpół opróżnionej butelki mineralnej wody. Oraz dziesięciu złotych na dwa wina. Przyszła do mojego biura brudna, w getrach robionych na drutach, ziejąca wczorajszym alkoholem i tytoniem.

Sprzedała nas za dwa bełty! Za dwa zasiarczone jabole! – przeleciało mi przez głowę.

Blues płaci mi pięćdziesiąt złotych za numer, zaczęła z wyższością. To ja sprawiłam, że teraz mały dyga mu bez problemów. Tylko że na jedzenie i fajki daje mi zaledwie kilka złotych dziennie. Ale nie mogę narzekać. Dba o mnie jak o swoją jałówkę. Zagląda mi między nogi niczym weterynarz. I czasem, coraz rzadziej, zabiera do knajpy na dobre jedzenie.

Da pani drobne na winka? Mogę jeszcze coś poopowiadać. Dałam pieniądze, żeby nareszcie poszła. To, Bluesie, naprawdę twoja znajoma? Tak, powiedziałem z rezygnacją. Przypomniałem sobie, jak po bluesowym koncercie Kanadyjczyka Gwyna Ashtona zbierała w Teatrze Polskim pomiędzy rzędami promocyjne śmiecie pozostawione tam przez publiczność.

Myślałem też o tym, jak w ostatnich miesiącach zaczęły do domu przychodzić listowne przeprosiny z firm taksówkarskich. Ich właściciele kajali się na wyrost, że moja kobieta została być może niewłaściwie potraktowana przez kierowców korporacji. A to Lucille, podając się za moją żonę, wywoływała raban o byle gówno. Rzucała drajwerom na fotel moje wizytówki i obiecywała, że ich załatwię na amen!

Ostatnio coraz mniej zwracała uwagę na to, co do niej mówię. Choroba wyraźnie triumfowała. Lucille stała się tytoniowym parowozem nie do okiełznania. Kaszlała tonem z ostrzegawczych antynikotynowych telewizyjnych programów. Otoczenie jej rozgrzebanego polowego łóżka na Januszowickiej – bo na takim teraz spała – przypominało scenografię w schronisku brata Alberta.

Warstwy garderoby rzuconej w bezładzie na wiklinowe krzesła. Oparte o lustro przełamane zdjęcia portretowe wyko-

nane w planie amerykańskim. Kosmetyki bez zakrętek zmieszane z opakowaniami produktów spożywczych. Toaleta z mazidłami umiejscowiona na telewizorze.

Była kobietą bez osobistej szafy! Więc ubrania grupowała w bezładnych kłębowiskach na podłodze. Nosiła bluzki nieustannie tęskniące do żelazka. Rzadko kiedy dokręcała pokrywki od miodu i dżemów. Gdy brałem do ręki słoiki oraz butelki, kończyło się to katastrofą na kuchennej podłodze. Uruchamiała elektryczny czajnik bez wody.

Zapominała o wyłączeniu żelazka po prasowaniu. W mikserze ukręcała gęste ciasta, paląc kolejne silniki. I bulimicznie jadła. Pożerała wszystko wokół. Najczęściej w nocy, gdy niby spałem. Pochłaniała ciemny chleb polewany jagodami w syropie. Gryzła oliwki z serem feta. Kiedy zaspokoiwszy nerwicowy głód, przychodziła nad ranem do łóżka, czuć było wokół niej cebulę, musztardę, maggi, kiszone ogórki.

Demon Samotności bratał się ze mną coraz intensywniej. Wiele nocy stałem w otwartym oknie, nerwowo reagując na przejeżdżające ulicą samochody. Ich rozpalone elektrycznością ślepia nie zapowiadały jednak przybycia Lucille. Już kilkakrotnie postawiłem jej przez telefon ultimatum: nie przyjedziesz – koniec! Nie przyjeżdżała. Bała się miętówki i moich nieustannych wyrzutów.

Starałem się to rozumieć, pomimo że policzkowała moją nadzieję na powąchanie jej ciała. Studziła pożądanie, obsesję odwiedzenia Małej Lucille. A przecież chciałem zgarnąć ją pod siebie i ściskać moim mięsem. Pragnąłem nawet tylko trzymać Rudą Kobietę w ramionach. Łudziłem się, że nagle na świecie zgasną wszystkie światła.

Nie będzie rozszalałego Piekła i Sądu Ostatecznego.

Ale będzie ciemno. Stawiałem przed sobą, obok laptopa, gałązkę kolczastego ostrokrzewu zatopionego w dużej mie-

dzianej łusce po naboju. Patrzyłem uważnie na stopień rozwoju rośliny. Im gorzej było między nami, tym większy obserwowałem rozkwit kolcowej gałązki. Przyniosła ją z budowy po drugiej stronie ulicy. Na której Szwedzi wznosili przeszklony biurowiec z wielkim podziemnym parkingiem.

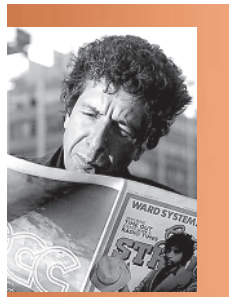

068. Leonard Cohen

Kamień Zalegający Moje Piersi był już gigantyczny. Przypominał niemieckie zeppeliny. Był większy niż gąsienicowe caterpillary grzebiące w ziemi. Jeszcze niedawno z budynku starej drukarni z czerwonej cegły robotnicy podglądali, jak kochamy się przy szeroko otwartym oknie.

Teraz naprzeciwko roztaczał się krajobraz podobny do Hiroszimy po atomowym ataku. Bałem się tego Kamienia na Moich Piersiach. Bałem się pustki wyrażanej przez szwankujący czerwony neon, migający nerwową trzęsionką na jeszcze nierozwalonej do końca ścianie drukarni. Trwam niesiony zjawiskiem inercji. Odruchowo powtarzam życiowe, codzienne czynności. Ale nie widzę w tym wszystkim logiki, śladu witalności. Brak mi przylepy Lucille.

Kobiety zbudowanej i uformowanej według mojego, egoistycznego zapewne, wyobrażenia.

Przed miesiącami, kupując szczoteczkę do zębów, wręczałem ją Rudej Kobiecie. Tylko ona miała prawo użyć jej pierwsza. Zęby nową szczoteczką myłem zawsze po Rudowłosej. Robiliśmy coś, co inne pary na pewno brzydziło. A było naszą intymną wspólnotą. Ostatnio zaś kupuję ten dentystyczny sprzęt u dalekowschodnich handlarzy pod przejściem podziemnym do Galerii Dominikańskiej.

Wybieram tam całe naręcza szczoteczek. Płacę po złotówce za sztukę. Nie proszę, by używała ich pierwsza. A po każdej kłótni z Lucille, wyrzucam je do śmieci. Nie mają więc długiego żywota.

Lucille nie zdrapuje mi już – jak troskliwa szympansica – krostek na plecach. Ja nie przecieram drobnoziarnistym papierem ściernym drewnianej deski ułożonej na muszli. Aby wystającymi zadziorami nie rysowała jej ud. Pieczołowicie nie gładzę dłonią płaszczyzny klapy. Nie oglądam z rozbawieniem jej praktycznego sposobu składania po praniu skarpetek.

Chociaż zdarzały się dobre chwile. Kiedy o czwartej nad ranem pieczołowicie umyła mi nogi, wycierając je wielkim niebieskim ręcznikiem. Jak słynnym niebieskim prochowcem Leonarda Cohena. Spiłowała rogowate, popękane pięty. Uformowała nożyczkami kruche, połamane paznokcie u stóp. Wygrzebała z kącików oczu resztki snu.

Kończył się grudzień. Od życia nie chciałem niczego. Może tylko złożonego w spiralę kosmyka z Rudej Kosodrzewiny. Przestawała być moją Lili Marlen. Nieuchronnie zbliżał się nasz miłosny Armagedon. Po raz pierwszy denerwowały mnie jej włosy rozrzucone na mojej twarzy. Kiedyś to uwielbiałem.

Już nie czułem się dobrze w mało oślinionej Małej Lucille. Nie byłem tym kochankiem, który po miłosnym akcie dzielił się własną krwią utoczoną z palców za sprawą niemieckiego glukometru. Który rankiem, zaraz po przebudzeniu, własnym językiem mył twarz Lucille. Którego zawsze po nocy z nią bolały mięśnie.

Wysysała ze mnie witalne siły. Ale myślałem tylko o niej. A nie o sobie. Gdy odmawiała mi przybycia na srebrne holenderskie łóżko, wciąż zasypiałem przy długo palących się

świeczkach, które przywiozłem latem z czeskiego Frýdlandu. Sądziłem, że w ten sposób powiadomię Lucille. Gdy niespodziewanie przyjedzie taksówką, migające płomienie w oknach upewnią ją, że jeszcze chodzę po domu.

Słuchałem z kolumn yamahy jazzu albo bluesa. Gdyby wtedy przyszła, mogłaby chować z powrotem do pudełka spalone zapałki, czego nienawidziłem. Mogłaby, bez złośliwych uwag, palić tytoń w domu. A nie na balkonie, w tajemnicy. Mogłaby śmiecić dookoła pestkami słonecznika, dyni i innych trywialnych zagryzek.

Nie denerwowałoby mnie, że ostentacyjnie nosi w sobie zdania innych ludzi, że rzadko wyraża swoje, powtarzając bezkrytycznie to, co wokół zasłyszała.

Wybaczyłbym bunt przeciw moim wezwaniom na srebrne łóżko. Ale moje chciejstwo nie mogło znieść rzeczywistości.

Dlatego coraz częściej kreśliłem w powietrzu koła wyrażające napis – *The End*. Kreśliłem je, ale nie mogłem opanować wewnętrznego, niewytłumaczalnego przymusu chodzenia do biur jej poprzednich kochanków. Wydanych zdradliwie na dzienne światło przez nieustępliwą miętówkę KB Likér. Oraz służbowy notatnik Panoramy Firm.

Obserwowałem zatem specjalistów od ubezpieczeń, fachmanów od grania na filharmonicznych instrumentach szarpanych, macherów od produkcji filmów, speców od turystyki i rekreacji, geszefciarzy od handlu tandetnymi towarami z Dalekiego Wschodu. W biurach i hurtowniach siadałem obok nich w fotelu, na krześle, nie zaczynając dialogu.

Skonfundowani, proponowali idiotycznie szklankę mineralnej wody, rozpuszczalną kawę, ekspresową herbatę. Milczeli. Albo chrząkali bez sensu, czekając na zbawczy grze-

chot telefonu mogącego przerwać nieznośną ciszę. Otwierali okno, wychylając się za parapet prowokująco daleko. Czynili wiele niepotrzebnych ruchów, by rozładować napięcie.

Gdy milczenie stawało się nieznośne, wychodziłem bez słowa.

069. Ralph Ellison

Tomasz Mann – autor *Czarodziejskiej góry* – z wyniosłością geja zanotował w swoim rozwlekłym, nudnym dzienniku, że każda historia, jeśli ma być dobrze opowiedziana, musi być miniona. I im bardziej jest miniona, tym lepiej.

A przecież ja nie opowiadam z wyższością zmurszałej historii życia jakiegoś mojego idola. W zeszycie *Nostalgic Places* zapisuję własną poszarpaną krzywiznę losu. Wciąż jeszcze dręczy mnie gorączka niezwykłych chwil spędzonych z Lucille. Wciąż, mimo nieodwracalnych faktów, chciałbym wierzyć w iluzoryczną bajkę. Że jej połówka jabłka znów zetknie się z moją.

Dlatego znacznie bliższe są mi słowa innego pisarza. Czarnoskórego zbuntowanego piewcy dwunastotaktowej filozofii – Ralpha Ellisona. Zasiewającego słowa, że blues to autobiograficzna kronika katastrofy. Jednakowoż wyrażona lirycznie. I to właśnie – taki właśnie blues – siedzi we mnie.

Z tą myślą, by zachować zręby normalności, znów przemierzałem targowiska ze starociami. Kupowałem talerze i sztućce. Ale tłumaczyłem sobie nieprzekonująco, że te nabytki już nie posłużą Rudowłosej. Będą przeznaczone dla przyszłej kobiety. Która wprawdzie nie miała jeszcze nazwiska, rozpoznawalnych rysów twarzy, przyzwyczajeń, indywidualnego zapachu Oślinionej Owcy.

Słabo i chaotycznie wiły się te zapewnienia. Częściej ustawiałem na biurku kolekcję zdjęć Lucille. Zestawioną od młodości, od lat dziecięcych, do naszej eskapady do Frýdlandu. Szukałem w nich potwierdzenia prawdy, że każdy człowiek rodzi się cny.

Na wyprzedaży tanich płyt w markecie kupowałem krążki Sibeliusa oraz Edvarda Griega, jego londyńskie nagranie *Brzmienia północy*. Muzyka Skandynawów i stare naczynia stały się skutecznym lekiem na mój duchowy stan. Mogłem nawet rzadziej połykać ogłupiające tabletki mianserinu. Przed nienawistną bezsenną nocą mogłem częściej gardzić pastylkami kavadury. Mogłem w majestatycznym rytmie przybyłych z Północy dźwięków Griega znów widzieć półrealnie Wilgoć Rudej Kobiety.

Gdy dawniej B.B. King wchodził w gardło Małej Lucille, nigdy po domu nie krążyły dźwięki mojego bluesa. Wydawało mi się to niestosowne, sztuczne. Ale Lucille nie rozumiała, co dzieje się w moim wnętrzu. Ostatnio nie puszczałem przy niej muzyki w ogóle. Przychodząc, nie uważała już na to, w co się ubiera. Zjawiała się w rzeczach, szczególnie intymnych, przeze mnie zakazanych.

Które, jak przypuszczałem, przed miesiącami zdzierali z niej inni. Na przykład czarny, niezwykle delikatny biustonosz marki Chantelle. Przywiozła go jeszcze z Kanady. Nie akceptowałem pajęczego stanika od pierwszego wejrzenia. Na pewno zdejmowała go w wielu innych scenografiach. Zabroniłem przychodzenia w majtkach z kanadyjskimi metkami. Puszczała moje słowa mimo uszu.

Stawała się nie do przewidzenia. Jak sarkastyczne święto Halloween.

A ja nie miałem spowiednika, któremu mógłbym zwierzyć się ze stanu mojego umysłu. Solo dźwigałem to wszystko na

grzbiecie. Jedynym wieczornym powiernikiem, krótkim, tuż przed zaśnięciem, ukojeniem dręczących mnie myśli, była silna tabletka melatoniny. Powodowała odroczenie egzekucji.

Kto ulega sile wiedzy, kto myśli, ten na pewno gromadzi ból. Mój rozlewa się na wszystko, co dzieje się wokół. Znów staję się zapisem, drobną fiszką zaledwie, w służbowym zeszycie Lucille. Zanotowała wówczas, przed wieloma miesiącami, Blues – lokalny muzyk. Znów przychodzi mi przyjąć tę rolę.

Przestaliśmy się namiętnie całować. W łóżku nie nakładała nóg na mój tors. Jeżeli spała w moim domu, a czyniła to coraz rzadziej, była nieobecna. Niczym szczeniak zwijała się na odległym, przeciwnym brzegu holenderskiego łóżka. O mało z niego nie spadała. Przestaliśmy się kochać w kuchni na podłodze. Nie grała na B.B. Kingu ekstatycznych bluesów. Nie używaliśmy już towarzyszy miłości – osełki masła czy kanapkowego sera.

Nie szarpałem rudowłosych pasm na jej głowie. Nie sięgałem po jednorazową golarkę, aby zdrapywać kosodrzewinę z miękkiego podbrzusza. Przestała skowytać – jestem twoją dziwką. Rozpustną tylko dla ciebie. Przeważnie milczała, przyssana do mojego spoconego torsu. Nawet dyszała zbyt kłamliwie, zbyt głęboko. Mimo że te udawane ochy i achy nakazywał damsko-męski rytuał.

Przestrzeń pomiędzy jej nogami stawała się dla mnie coraz bardziej nieznanym lądem. Nie wyzwalała zwierzęcych, goniących krwi myśli. Nie pragnąłem już, aby czarni, niskiej klasy urzędnicy Pana Boga – o nazwiskach chłopskich przodków, typu Kapusta, Zając, Kołek, Kiełbasa czy Cebula – odmawiali jej w konfesjonale rozgrzeszenia.

By namawiali do hołdowania czasom, w których nie było jeszcze na świecie lateksowych kondomów, elektrycznych,

regulowanych wibratorów, pornograficznych telewizyjnych filmów na Canal Plus. A przede wszystkim nie było dobrotliwego wujka dla cierpiących i zagubionych – mistrza nad mistrzami, Zbigniewa, ale i Lwa, Starowicza.

Nic nie ruszyło z miejsca, nawet wówczas, gdy zaprosiła mnie na karykaturalne Boże Narodzenie. Jej święta to powierzchowne domowe porządki, barszcz z torebki, kupione w markecie chemizowane ciasta i porcjowane karpie oraz śledzie z Centrali Rybnej. Mimo tego, wieczorem, wraz z drugą gwiazdką, czekałem pod domem na Januszowickiej.

W środku pierwszej gwiazdki wypatrywać miał coroczny gość – ojciec Marysi. Ja miałem być następnym biesiadnikiem. Gdy mąż Lucille pójdzie świętować do swojego nowego stadła. Ale zbyt szybko się upił. Zasnął na środku salonu. Wśród miaucących kotów i starego psa. Lucille milczała. Nie odbierała telefonów na komórce. Zziębnięty, wróciłem przed północą do domu. Gdy podochoceni katolicy szli na pasterkę.

Piłem wódkę z dozorcą budowy prowadzonej naprzeciw mojego mieszkania. Świat fetował kolędami ubogie przyjście Jezuska. A ja przyrzekłem stróżowi, że nigdy już nie przekroczę progu domu przy Januszowickiej. Nie zagłębię się w nijakość. Nie zobaczę już szarej pościeli od lat pozbawionej ciepła włączonego żelazka. Nie użyję skrzeczącego paździerzami łóżka, agonalnej kuchni z szafkami ledwie trzymającymi się ściany.

Nie napiję się herbaty w kubku do mycia zębów. Ale przyrzeczenie złamałem. W sylwestra. Gdy wybrałem się po Lucille wieczorem, by zabrać ją do znajomych plastyków. Lecz i to okazało się porażką. Gdy przyjechałem taksówką, twardo, po męsku spała, chrapliwie oddychając. Wcześniej piła alkohol. Mała dziwnie podarte rajstopy. Była nieumyta, rozkojarzona.

Bełkotała o skurwiałym szczęściu mieszkającym z dala od ulicy Januszowickiej.

Północ przywitałem we własnym domu solo, słuchając kolęd Etty James.

Me and the Devil Blues

Wariacja na temat bluesa Roberta Johnsona

Po ósmej z rańca
Zapukała do mych drzwi
Po ósmej z rańca
Zapukała do mych drzwi
Rzekłem – Witaj Szatanie!
Czas więc nadszedł w drogę mi

Gdy ją opuszczałem
Diabeł mnie prowadził
Gdy ją opuszczałem
Diabeł mnie prowadził
Wciąż kobietom łamię serca
Szatan tak łebsko poradził

Cizia w ząb nie kapuje
Czemu z diabłem trzymam sztamę
Cizia w ząb nie kapuje
Czemuż z diabłem trzyma sztamę
Dusza ma zła i rogata
Kręcę więc oszustw gamę

Choćby tuż przy autostradzie
Mogą już zakopać mnie
Choćby tuż przy autostradzie
Mogą już zakopać mnie
By po śmierci zły duch wygrał
Ruszyć mógł nie pytaj gdzie

List do siostry
(z udziałem Toma Waitsa)

Wrocław.

Kochana Odległa Zamorska Siostrzyczko!

Jest skamieniała bezczynnością niedziela, zimne popołudnie. Kolejny dzień wietrznego stycznia.
Siedzę przy biurku i piję mocną kawę.
Dzisiaj nad ranem zakończyłem nowe bluesowe aranżacje do płyty Toma Waitsa – *The Heart of Saturday Night*.
Pamiętam, pisałaś, że bardzo podoba ci się ten krążek.
Skomponowałem też jedną nową piosenkę. Zatytułowałem ją *Lucille*.
Jak wiesz, Lucille to wierna, ukochana gitara starego B.B. Kinga.
Mój kawałek opowiada o nieszczęśliwej miłości starzejącego się, schorowanego bluesmana do, jak się okazuje, dziwki.
Nową piosenkę przyślę ci Internetem, kiedy tylko nagram muzykę.
Teraz, słuchając Sary Vaughan, stukam w laptopa list do ciebie.
Lubię bardzo czytać to, co do mnie piszesz. Ładną, nowoczesną polszczyzną, której po tylu latach nie zapomniałaś.
Pytasz o Lucille.

Jest tak.
Przedwczoraj dużymi literami napisałem wyłącznie dla siebie kartkę o następującej treści:

Tej nocy odzyskałem wolność. Zwyciężyłem siebie – podległego do tej pory miłości narkotycznej, nieokiełznanej. Jestem znów wolnym ptakiem na nieboskłonie. Znów zabiorę się do wyczerpującej, pozytywistycznej pracy. Boże – dziękuję Ci!

Kartkę przykleiłem do ramy regału z książkami. Tuż nad stołem, przy którym pracuję.
Patrzę na nią bardzo często, podkręcam się.
Ale w nią tak naprawdę nie wierzę.
Próbuję odejść od Lucille, bo nie mogę się pogodzić z jej przeszłym, spędzonym między innymi w Toronto, lekkomyślnym życiem.
Dzisiaj ma czterdzieści pięć lat.
Jej marzeniem jest, abyśmy mieli córeczkę o imieniu Nadzieja!!!
Wierzy, że urodzenie dziecka wszystko w naszym życiu zmieni.
Ma już czternastoletnią córkę z dużym muzycznym talentem.
Lucille jeszcze niedawno była wspaniałą, oddaną mi istotą.
Do dzisiaj kocham ją najbardziej ze wszystkich kobiet, jakie w życiu poznałem.
Tęsknię za nią bardzo.
Pragnę jej jak nikogo i niczego na świecie.
Ale nie chcę spłacać weksla za jej przeszłe życie.
Nie mogę się z tym pogodzić.
Pomimo że jestem pewien, iż nie znajdę już takiej partnerki.
Ale wolę cierpieć – do niedawna nie wiedziałem, co to takiego cierpienie z miłości – niźli wchodzić w jej świat permanentnej rozwalanki.

Za Lucille ciągnie się ogon codziennej destrukcji, niepozwalający mi zupełnie funkcjonować.
Ciągnie się za nią rybacka sieć pełna muszli, wodorostów, szlamu i czarnego mułu.
Byłem z nią ponad trzy lata.
To niemało.
Jak młody mąż z młodą żoną. Blisko, bardzo blisko.
To niszcząca miłość, która sprawia, że już codziennie łykam melatoninę.
A przecież wiesz, że nigdy dotąd nie myślałem o jakichkolwiek prochach.
Lucille zmusza mnie do zamyślenia, milczącej apatii.
Czyli do stanów, których istnienia nigdy bym u siebie nie podejrzewał.
Powstanie pewnie z tego, gdy ostygnie palący mnie wewnętrzny ogień, mocno przeżyta opowieść.
Powstanie po to chociażby, bym tę miłość zachował na lata.
To prawie tragedia – piszę „prawie", żeby nie popadać w rozdzierającą serce retorykę.
Lucille jest największą i najbardziej poszarpaną miłością mojego życia.
Mój aktualny najbardziej osobisty mail to: jazz@blues.pl
Tyle Siostrzyczko na dzisiaj, odezwij się. Będzie mi raźniej!

Twój braciszek!

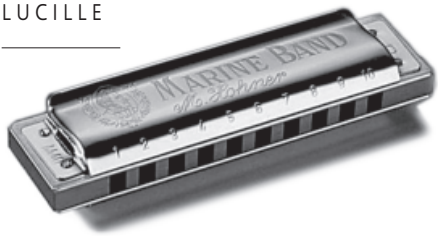

List do brata
(z udziałem Rafała Olbińskiego)

Original Message From: Toronto To: Blues Brother. AM Subject: List do brata.

Braciszku!

Tutaj też jest, podobnie jak we Wrocławiu, zimny styczniowy dzień.
Uśmierzam Twoim listem tęsknotę za światem, od którego kiedyś odeszłam.
Oszołomiłeś mnie i wzruszyłeś opowieścią o swojej pokiereszowanej miłości. Jestem Ci wdzięczna za szczere podarowanie mi odrobiny swojego obolałego wnętrza.
Nie jest to rana, na którą umiałabym przykleić plaster.
Ale mogę Ci powiedzieć – wielka jest miłość kobiety pragnącej mężczyźnie urodzić dziecko.
Noś w sobie ślad tego uczucia.
To wielki dar od losu.
Trudno jest mówić mi o miłości, nie popadając w grafomaństwo i ckliwość.
Ale ja, licząc na Twoją pobłażliwość, chciałabym jeszcze, chociaż trochę, o miłości właśnie.
Miłości innej, prostszej, subtelnej.
Czasem tak bardzo codziennej, że aż trudnej do zauważenia.
Kiedy zmarła nasza mama i pojawiłam się w Zgorzelcu po dwudziestogodzinnej podróży na pogrzebie, byłam śmiertelnie umęczona.

Przerażona własnym bólem, otępiona zmuszaniem się do poprawnego funkcjonowania wśród otaczających mnie ludzi.
Najsilniejszym pragnieniem, jakie mi wówczas towarzyszyło, była chęć ucieczki.
Chciałam tam być tylko z mamą.
W pośpiechu uczyłam się pamiętać kształt jej ciała, dłoni, twarzy.
I kiedy tak stałam pochylona nad grobem, dzisiaj już nie wiem, czy to Ty mnie, czy też ja Ciebie chwyciłam za rękę.
Wczepiając się w ciepło Twojej dłoni, poczułam, że mój fizyczny niemal ból jest też Twoim bólem.
Nieśliśmy ten smutny ciężar oboje.
Nie byliśmy bratem i siostrą. Mężczyzną i kobietą.
Byliśmy po prostu Jej Dziećmi.
Teraz, kiedy minęło już trochę czasu, wracają ciepłe wspomnienia.
To Ty wydrapywałeś z dzienniczka moją pierwszą dwóję.
Ty byłeś starszym bratem, którym straszyłam okoliczne poobijane przeze mnie dzieciaki.
Kiedy próbowali zebrać siły zbrojne i sprawić mi lanie.
To Ty, przyłapany na pracowitym dłubaniu szydełkiem w mojej skarbonce, przyzwoliłeś mi poznać pierwszą prawdziwą słodycz odwetu. Kupując moje milczenie wielkim deserem w przygranicznej kawiarni Łużyczanka.
Twój świat wchodził już wtedy wielkimi krokami w inne obszary.
Masz prawo do niepamięci.
Mój maleńki światek kręcił się wówczas wokół Ciebie.
Chciałam Ci o tym opowiedzieć i o wielu innych rzeczach, do których jeszcze kiedyś wrócę.
Dzisiaj jestem w twojej rozterce razem z Tobą.
Trzymam Cię za rękę.

Tak samo, jak czyniłam to przy mamie.
Będzie dobrze.
Wytrwasz.
Mam bardzo dobrą wiadomość.
Twoje *Tatuaże Bluesa* są tutaj we wszystkich polonijnych księgarniach.
W municypalnej TV News puścili w dobrym antenowym czasie wywiad z nowojorskim plastykiem Rafałem Olbińskim.
Pokazywali jego ostatnie, wspaniałe okładki z „Timesa" i „Newsweeka".
Ale także duży projekt, który stał się okładką Twojej płyty.
Bardzo Ci gratuluję.
Pozdrawiam.
Czekam na nagraną już piosenkę *Lucille*.
Czuję, braciszku, że zawarłeś w niej wiele ukrytych znaczeń.

Twoja siostrzyczka.
Wierna powierniczka.

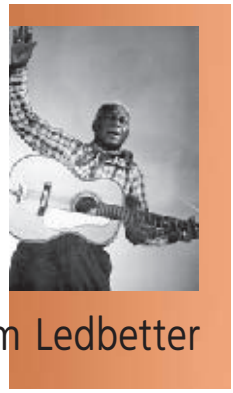

070. Huddie William Ledbetter

Kiedy w poświacie jasnej tarczy księżyca leżysz w łóżku z szeroko otwartymi oczami i nie możesz zasnąć – to jest właśnie Blues! Kiedy przewracając się z boku na bok, oglądasz niezliczoną ilość razy ten sam fragment ściany w sypialni. Nie możesz znaleźć sobie miejsca – to jest właśnie niewidzialny Blues!

Gdy myśli krążą wokół niecierpliwie i nie dają ci ukojenia – to znaczy, że naszedł cię ten stary jak świat Blues. Nie chcesz widzieć na oczy kumpla, niewiernej kobiety, pieniędzy, alkoholu, a nawet własnego brata? Wiesz, co się stało? Zawitał do ciebie z odwiedzinami Blues! Poczekaj. Nie martw się na zapas.

Obudzisz się jutro rano, a Blues będzie w twoim chlebie.

Będzie cierpliwie stał przy twoim łóżku. Bo Blues to jesteś Ty! Tak mniej więcej śpiewał archaiczny artysta Huddie William Ledbetter. Znany bardziej jako Leadbelly. A ja od wielu minut grałem to na harmonijce razem z nim. Ciągnęliśmy frazę bez pośpiechu. Bo do mnie też przyszedł Blues.

Chociaż, zanim sięgnąłem po hohnera, w powietrznej przestrzeni nie zabrzmiała ani jedna nuta dwunastotaktowca. Leżałem w holenderskim łóżku i obsesyjnie wspominałem bia-

łe koronkowe pończochy na udach Lucille. Przywoływałem na żer pamięci wygląd jej łatwo dostępnych majtek.

Podarować jej przeszłość mnie zabijającą? Wybaczyć Rudowłosej to, co za nią wciąż się ciągnie? Cieszyć się każdą wspólną chwilą? Czy zatwardziałym być narcyzem, pielęgnować zranioną miłość własną? Dumą urażoną jaśnieć, nikomu nieprzydatną! Na początku drogi naszego duetu Ruda Kobieta często mówiła do mnie niemal niecierpliwie, ze złością. Odczep się. Moja przeszłość to moja sprawa.

Teraz już tak nie mówi. Ale i ja – za sprawą KB Likér – patrzę dzisiaj na to zupełnie inaczej. Znów chcę się bardziej skupić na własnym życiu. Od zawsze moim celem było wydać w kapitalistycznych krajach popularną wśród tamtejszych odbiorców bluesową płytę. W wielce profesjonalnym studiu nagrać krążek notowany na czołowych miejscach w branżowych pismach typu „Down Beat", „Rolling Stone", „Billboard".

Zaistnieć na globalnym medialnym rynku. Widzieć kobyłami wypisane moje imię i nazwisko w przeszklonych witrynach muzycznych salonów europejskich stolic. Znów myślę, że pójście w tamtą stronę pomogłoby mi podnieść się z grząskiej gleby. Myślami zaczynam powracać do biednej młodości, w której pragnąłem silnie, by mieć na własność profesjonalny kompas. W zielonym militarnym etui.

Także wojskową lornetkę najwyższej klasy. Dużej średnicy krystaliczną lupę z chromowaną obejmą. Stalową zwijaną miarkę oraz prawdziwy bagnet komandosa. Ociekający konserwacyjną oliwą. A jak dorosnę, obiecywałem sobie, gdy rzadkim ciemnym meszkiem zaczęło mi zarastać podbrzusze, zdobędę na własność blondynę z wielkimi piersiami. Taką do utrzymywania na moim wikcie, do codziennego uwielbiania.

Pragnąłem, aby gotowała mi mączne fasolowe zupy lekko skropione octem. Albo czerninę – wielkopolską polewkę z kaczej krwi. Wymyśliłem, że ta osobista kobieta przez całą noc będzie trzymała na moich jajach dłoń uformowaną w kukułcze gniazdo. Oraz będzie paradować po domu w samych tylko różowych, połyskliwych majtkach. Wówczas nie znałem jeszcze piorunującego oddziaływania koronkowej czernizny.

Zawsze, przez wszystkie dotąd przebyte lata, miałem świadomość posiadania zadziornego, piejącego zwycięsko Grzywiastego Ptaka. Podobnego do tego ze słynnej powieści Miodraga Bulatovicia – *Czerwony kogut leci wprost do nieba*. Zawsze, od kilkudziesięciu lat, czegoś od życia chcę. Mam wiele niezrealizowanych pomysłów zapisanych w kajecie.

Ale też wiem, że kłamstwo i intryga to najsilniejsze chorobliwe demony.

Czuję się jednocześnie jak drzewo i wiatr. Najlepiej działam, gdy na moje liście pada zimny, wyzywający oddech. Sprawdzający umocowanie łodyg. Ale krajobraz się zmienia. Mijają godziny. Scenografia butwieje. Zwycięża tandetna religia Wielkiego Brata.

Znów mam trudności w łapaniu głębokiego oddechu. Boję się krzywych, patykowatych nóg, szkaradnego starczego oblicza, hańbionego licznymi bruzdami. Wystającego bazyliszkowatego brzucha. Bandziocha podobnego do centralnego bębna yamahy. W moim domu straszą mnie dwa równoramienne krzyże okiennych futryn. Widzę je zaraz po przebudzeniu.

Mój B.B. King coraz częściej wypina się z uprzęży. Ku mojej rozpaczy nie słucha rozkazów rozpaczliwie wysyłanych przez mózg.

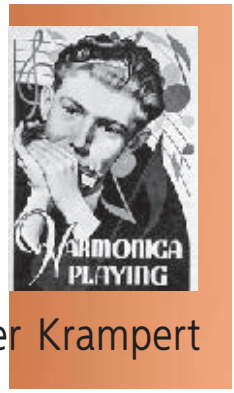

071. Peter Krampert

Czuć powiew wolności. Czynię desperacki zabieg. Zabieram Lucille na Gran Canarię. Do letniego zbiorowiska high life'owych jachtów zacumowanych w niewielkim Puerto de Mogan. Gdzie milowe, powulkaniczne kamienie szlifują majętni obywatele planety. Do miejsca okupowanego także przez zachwyconych blachą nieba Polaków.

Oraz przez sterylne, w ordnungu ułożone niemieckie gospodynie domowe. Gran Canaria – idealna wakacyjna skalista wyspa dla teutońskich emerytów. Czytających wyłącznie kloacznego „Bilda". I dla spasionych, wytatuowanych Angoli od rana zanurzonych w stronicach trotuarowego dziennika „The Sun".

Dołączę do tej oranżerii, aby zatrzymać erozję, pocerować nasz rozerwany, wspólny z Rudowłosą wór.

Kilkanaście dni temu doręczono mi zaskakujący i wspaniały jednocześnie list od profesora Petera Kramperta. Autora opasłego dzieła – *The Encyclopedia of the Harmonica*. Napisał, że za świeżą brzmieniowo płytę *Tatuaże Bluesa*, za twórcze eksploatowanie hohnera, za nowatorskie – jak to określił – solówki na tym instrumencie, chce mnie umieścić w swoim wciąż aktualizowanym kompendium. Na znaczącym miejscu.

Burza Nadchodzi od Wschodu, oczyszczająca burza pełnokrwistego bluesa – formułował nazbyt wylewną myśl. A ja oczywiście nie protestowałem. Prosił, abym zajrzał na internetową stronę www.eharmonica.net i odpowiedział jak najszybciej, czy towarzystwo tam skatalogowanych mi odpowiada. Znałem bardzo dobrze wszystkie te wielkie nazwiska.

Umieszczenie mnie w jednym szeregu z wirtuozami harmonijki ustnej byłoby spełnieniem marzeń. Wycieranych w piwnicznych studenckich klubach. W których pot fanów spływał ze ścian. Mieszał się z uryną, marychą i tanimi jabłkowymi winami z podpisem na etykiecie byłego premiera Polandii – Józefa Cyrankiewicza.

Byłby to zaszczyt. Największy, jakiego mogłem oczekiwać. Ludzie z tej encyklopedii ukształtowali mnie na całe życie. Z nich czerpałem Powiew Feelingu. Wyzwalałem się z dalekiej od komfortu etykiety scenicznego rzemieślnika. Profesor Krampert zaprosił mnie z partnerką na organizowane na wyspie dwutygodniowe sympozjum. Poświęcone historii ustnej harmonijki.

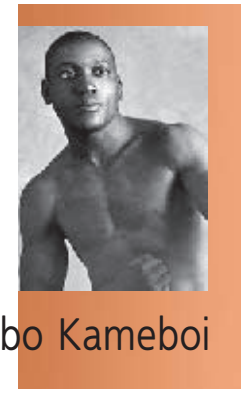

072. Sem Mashebo Kameboi

Dwa lata temu, w czasie wieczornej podróży z koncertu, Lucille wydobyła z siebie znaczące słowa. Życie nasze jest tylko nasze. Niech nie odbierają nam naszych minut bez nas. W obudowę prędkościomierza retony wcisnęła kartkę wyrwaną z notatnika Panoramy Firm. Te dwa ważne zdania pobrzmiewały Seneką. Albo przyswajalnym przez ogół ludu Gomezem de la Serną.

Ruda Kobieta przysięgała jednak, że myśli przybyły do jej głowy prosto z powietrza. Teraz wirowały w mojej wyobraźni. Gdy boeingiem biura turystycznego Fischer przylecieliśmy bez przykrych przygód na kanaryjską wyspę.

Od pierwszych godzin pobytu w afrykańskim słońcu martwiłem się, w jakiej kondycji są pozostawione we Wrocławiu balkonowe kwiaty. A przecież wokół jawił się inny świat. Opalonych, sytych wakacjuszy. Dni płynących leniwie w rytmie muzyki, wina i owoców morza. W otoczeniu kolorowych ludzi i światła znacznie bardziej intensywnego niż w reklamowych folderach.

Jeździliśmy po okolicach Puerto de Mogan z Julią, śmieszną, grubawą taksówkarską kobietą, całą w czerni. Bardzo lubiła Polaków. Znała i poważała papieża. Wiedziała, kto to jest odjazdowy projektant mody – Arkadius. Oryginalnie

dość wymawiała słowa – Lech Wałęsa. A przede wszystkim kłaniała się Wojciechowi Kilarowi, którego uwielbiała za muzykę do amerykańskich filmów grozy.

W niewielkim, wygodnym, kilkupokojowym pensjonacie należącym do niemieckiej sieci hotelarskiej miałem świetne warunki do pracy. Z okna widziałem port, a w nim jachty wielu bander. Zamieszkiwaliśy dwa klimatyzowane pokoje z zielonymi okiennicami w stylu Cesara Manrique. Na biurku leżał pełen muzycznych programów laptop z dostępem do Internetu. Oraz stary mosiężny dzwonek, natychmiast przywołujący kelnera z restauracji na dole.

Przed południem uczestniczyłem w jubileuszowym sympozjum firmowanym przez profesora od harmonijki. Lub półnadzy siedzieliśmy z Lucille w porcie, rzucając kamykami prosto w podpływające ryby. Po obiedzie złożonym najczęściej z paelli oraz delikatnych morskich mięs schylałem się nad laptopem.

Przygotowywałem, a raczej szlifowałem w szybkim tempie nowy program – *The Heart Of Saturday Night*. Czyli aranżowałem w bluesowych klimatach burkliwe kawałki Toma Waitsa. Dla Teatru Powszechnego w Warszawie przerabiałem znowuż najbardziej znane utwory Keitha Jarreta. Do kompozycji *Meaning Of The Blues* czy *So Tender* wkładałem aranż wprowadzający harmonijkę ustną.

Najbardziej zadowolony byłem z nowego potraktowania wielkiej kompozycji *God Bless the Child*. Nuty zapisane przez Jarreta i niskie tony mojego hohnera tworzyły melanż wywołujący mrowienie na plecach. A ten oczekiwany przez artystów stan zdarzał mi się coraz rzadziej. We Współczesnym zamierzali wystawić sztukę *Amerykański blues*. Kompilację tekstów publicystycznych pomieszanych z jednoaktówkami Arthura Millera.

Dużo dobrej pracy. Odnalazłem sens przemijających dni. Cieszyłem się każdą upływającą godziną. Słońce znów wschodziło. Gdy kończyłem stukać w klawiaturę, prowadziliśmy się po Puerto de Mogan niczym pełnoprawni obywatele zjednoczonej Europy. Na szyi brakowało mi tylko chomąta fotograficznego aparatu. A na głowie przeciwsłonecznego kapelusza.

Lucille zasłaniała się od słońca wielką reklamową torbą z napisem *Max Mara*. Wcisnęli nam ją na molo. Szokująco drogich butików rozsiadło się wokół portu niemało. Ogólnie było spokojnie, nawet romantycznie. Nie chciałem być głupcem. Zaczynałem wierzyć w poranek. Mój z Rudowłosą. Ona też miała inny wyraz twarzy. Przemówiła złożonymi zdaniami. W nocy tuliła się jak kotka. Sikała przy otwartych drzwiach.

Wieczorami grałem największe standardy Musselwhite'a, Cottona, Sonny'ego Boya Williamsona. Zasuwałem w lekko zużytej, ale pojemnej Iris Tavern. Knajpy ludnej do ostatniego krzesła. Z niepowtarzalną wolnościową atmosferą. Rządziło tutaj w nieograniczonym totalu hasło *Make Love Not War*. Szyłem z długowłosymi muzykami mojego pokolenia. Ze zmarnowanymi używkami klezmerami wychowanymi na Woodstock.

Nawet ich zasuszone kobiety siedzące w pubie przez wiele godzin w oparach marihuany wyglądały jak fanki Woodstock. Kolorowymi ciuchami, gęsto splecionymi warkoczykami przypominały Joan Baez w najbardziej buntowniczym okresie śpiewania. Przyjęły polandyjską Lucille do swojego stolika bezproblemowo, od razu wciskając jej jointa.

Czekałem z ciekawością na słynny w tej części świata czwartkowy targ. Na który przypływają setki łodzi wypełnionych etnicznym afrykańskim towarem. Tak chętnie kupowanym przez wakacyjnych przybyszów. Zamierzałem zanurzyć się w gwar półnagich ciał, w brzmienie języków, jakich do tej pory nigdy nie słyszałem.

Tutaj, w rozpustnym słońcu rozgrzanego oceanu, przyszła mi do głowy myśl, iż byłoby wspaniale, gdybym jako pierwszy mężczyzna w historii świata posiadł osobliwą właściwość. Pozwalającą z zapachu kobiety dowiadywać się o jej seksualnym życiu, od chwili inicjacji aż do dnia jej poznania. Nie musiałbym posługiwać się czeską miętówką.

Ale później przyszło otrzeźwienie, że gdyby tak było naprawdę, gdyby mężczyźni posiedli taką moc, świat szybko by sczezł, oszalał. Zawaliłby się od milionów codziennie zdradzanych samców. Rozsypałby się na miliardowe cząstki. Nie przypuszczałem nawet, że ten targ pełen czarnych sprzedawców gwałtownie zmieni wkrótce rytm przemijających dni.

Na razie paradowałem po Puerto de Mogan z czarnymi przeciwsłonecznymi majtkami Lucille na głowie. Spacerowicze nie rozpoznawali, z jakiej intymnej materii sporządziłem ochronę przed słońcem. Rozpoznała ją tylko drajwerka Julia, obiecując, że taką samą czapkę podaruje swojemu mężowi, nudnemu ekonomiście. I zmusi go, by wyszedł w niej na plażę.

W muzycznym salonie Steinway & Sons kupiliśmy Marysi opasłe zeszyty nutowe z utworami XIX-wiecznych hiszpańskich klasyków – Isaaca Albéniza i Enrique'a Granadosa. Gdyby zechciała w przyszłości zagrać przed publicznością oryginalny iberyjski wieczór. Był to wyłom, bo do tej pory matka wracając z kochankami na Januszowicką, przywoziła córce tanie elektroniczne zegarki z sieci Jysk i Blokker.

Nadrzeczny żwir, stare jadłospisy. Stępione przez piasek plaży fragmenty starych flaszek, nadbrzeżne kamienie otoczaki. Nawet wodę morską w długich butelkach po winach. Wypitych wcześniej podczas seksualnych biesiad. Tu, w Puerto de Mogan, nie szukała w komórce esemesów od córki, aby być z kimś bliskim.

Była ze mną, rozluźniona, ze skasowaną pamięcią, wyrzuconą przeszłością.

Nie musiała myśleć, czy Marysia znów je w milczeniu dziki ryż z foliowej torebki. Czy miesza łyżką w daniach zalatujących psimi szczynami. W otoczeniu ruskich figurek wytargowanych przez tatuśka w Pociągach Przyjaźni. W handlowych bolidach triumfalnie wracających z ZSRR.

Tutaj myślała o córce z nadzieją.

Ale na horyzoncie pojawił się Sem Mashebo Kameboi.

073. Ryszard Riedel

Od pierwszego raportu o licznym męskim mięsie uciskającym tors Lucille, raportu złożonego pod fontanną na rynku we Frýdlandzie, do ciosu, jaki zadała mi w Puerto de Mogan – minęło wiele burzliwych miesięcy. Tam i tu była stara, kamienna, kilkusetletnia fontanna. Tam i tu z kieszeni jasnych flanelowych spodni wyłuskiwałem garść mosiężnych monet.

Tam i tu, igrając ze szczęściem, rzucałem je za siebie. Tam i tu bilon natychmiast wybierały z wody małe łobuziaki. Tam i tu moim pomocnikiem w poznawaniu życia Lucille była czeska miętówka. Jednak na kanaryjskiej wyspie nastąpiła eksplozja.

Po relacji wygłoszonej beznamiętnie przy bazaltowej skale w Puerto de Mogan Lucille wciąż miała ponad czterdzieści lat. Mnie w godzinę przybyło ich co najmniej dziesięć. Stałem się zupełnie siwowłosym, słabym, roztrzęsionym dziadem. Kościół nie zbawił mnie ode złego. Pan przestał reagować na moje błagalne prośby. Aby w cudowny sposób pohamował jednostajne zeznanie Lucille. Najlepiej zmienił je na inne.

Rozumiałem wprawdzie, że Bóg nie może na każdą modlitwę odpowiadać cudem. Straciłby bowiem wówczas boskość. Ale niecierpliwie czekałem na znak. Na gorejący krzak. Od wielu miesięcy czułem w podświadomości, że najgorsze dni

związku z Rudowłosą są jeszcze przede mną. I właśnie najgorsze pojawiło się u zielonych drzwi portowego hoteliku. Kurwa!

Zrozumiałem teraz, dlaczego zeszłego lata ganiła mnie, kiedy w sporze z kierowniczką produkcji jednej z koncertowych tras – Macedonką Maricą – wziąłem stronę śniadej przyjaciółki. Pokłóciły się o miejsca w loży dla znajomych Rudej. Jestem białą dumną kobietą, zaperzała się z podejrzaną histerycznością. Nie będzie bałkańska dupa dyktować mi, co mam robić. Nie będzie mnie pouczać. Jestem białą dumną kobietą, paplała bełkotliwie, za to z uporem.

Teraz pojąłem także, dlaczego nie ulegała moim namowom i ostentacyjnie nie chciała oglądać pornosów na hiszpańskich częstotliwościach Canal Plus. Gdy od fana dostałem w prezencie lewą kartę tej stacji z ostrymi pornograficznymi programami. Szczególnie szybko znikała z pokoju, kiedy białą aktorkę rozbieranych filmów dosiadał Murzyn.

W dniu afrykańskiego targowiska wokół portu udawała niedyspozycję. Marudziła, wymawiając się migreną, zdecydowanie nie chciała wmieszać się w ludzką kolorową ciżbę. Zgodziła się wreszcie, ale człapała za mną w tłumie z obliczem wymalowanym zwierzęcym strachem. Łapała głęboko powietrze, dostała głośnej czkawki. Nieustannie piła wodę z niesionej przez siebie butelki.

Zamiast omiatać wzrokiem liczne stoiska, płacić za ludowe wyroby, z coraz większą uwagą spoglądałem na Lucille. Po powrocie do hotelu milczała, zzieleniała, była senna. Jej powieki tańczyły charlestona. Podałem miętowy alkohol. Wypiła z determinacją pomieszaną z ulgą. Po opróżnieniu trzeciej szklanki KB Likéru wyznała głosem skazańca, że w Toronto

jej motelowym kochankiem był przez kilka miesięcy człowiek z Kenii – który do Kanady przypłynął w zaplombowanym kontenerze!

Sem Mashebo Kameboi. Nocny dostawca do pocztowych skrzynek darmowych reklamowych folderów. Seryjny sprzedawca codziennych gazet na ulicznych skrzyżowaniach Toronto. Żywy słup ogłoszeniowy stacji benzynowych.

Kurwa! Dlaczego?! Dlaczego również czarne mięso zalegało ciało kochanej przeze mnie istoty? Kobieta, z którą dzieliłem holenderskie łóżko blisko cztery lata, wymiotowała teraz do miski. A ja dostałem klasycznego pierdolca. Eksplozyjne błyski w głowie odebrały logiczność myślenia. Słabłem falami, jak w ataku cukrzycy spowodowanym zbyt długimi przerwami w przyjmowaniu posiłków.

Wpadłem w bezrozumny szał. Stałem się jej tatuśkiem. Dygot mojego ciała utrudniał proste stanie na podłodze. Usiadłem więc. Jęczałem niezrozumiałymi monosylabami. Napoczętą butelkę miętówki wyrzuciłem za okno, do portowego basenu. Już nigdy jej nie chcę widzieć. Koniec z KB Likér z Ústí nad Labem!

Lekceważyłem poprawność polityczną i obyczajową. Nie zważałem na szlachetne idee Amnesty International. Srałem na naiwne wygłupy Greenpeace'u, na życiowo cwane nauki mormonów. Olewałem Armię Zbawienia, plułem na Czarne Pantery, Adwentystów Dnia Siódmego. Pierdoliłem Komitet Helsiński, odpuszczałem innych farbowanych mesjaszów i etyków. Cały ten załgany Freedom House.

Powstałem z podłogi. Dusiłem i szarpałem Lucille, każąc jej opowiadać ze szczegółami, w jakiej garderobie ten Sem paradował po ulicach Toronto. W stroju afrykańskiego czarownika czy w dżinsach? Może w dobrze skrojonym garniturze? Smarowałem ją całą oliwą wylewaną z litrowej prostokątnej butelki, krzycząc, pewnie dla niego potrzebowałeś tej mazi wyjątkowo dużo!

Przez krótką chwilę, błysk, sądziła, że to zaloty, jakich zaznała w przeszłości z innymi. Szybko jednak zorientowała

się, że płynem mażę po niej z rosnącą złością. Parszywa oliwa. Rozpaczliwie się przed tym broniła, zasłaniała rękami, ale nie zaprzestawałem. Kto pierwszy się rozbierał, gdy wchodziliście do kurewskiego motelu na godziny?

Wyciągałem z niej nienawistne dla mnie słowa. Kto pierwszy szedł pod prysznic? Czy w ogóle najpierw się myliście? Może od razu do roboty! Zamawiał do jebackiego pokoju jedzenie z restauracji, czy parzyliście się na głodniaka? Pozwalałaś mu do środka wpuszczać mętną maź? Czy po kotłowaninie pozostawiał cię w barłogu samą i znikał z drewnianego hotelowego baraku?

Czy może szłaś do domu spać na resztę nocy? Czy umawialiście się też w godzinach porannych na szybkie numery? Kto komu po wszystkim przypalał papierosa? Kto zakładał mu na czarnego fiuta gumę? A może dawałaś mu sauté? Jaki zapach ma murzyński pot? Wyginałaś się w łuk, podnosząc tułów, gdy zdejmował ci majtki? Mówiłaś mu pieszczotliwie, tak cię czuję, taki jesteś mój?

O czym z nim rozmawiałaś? Przecież nie o esejach Edmunda Husserla. Ani nawet o *Romeo i Julii*. Czy wpychał ci do ust język? Brałaś kutasa między swoje zęby? Czy wiedziałaś, nieszczęsna – pierdoliłem androny z głupawych propagandowych ulotek – że w Kenii co trzeci Murzyn jest nosicielem wirusa HIV. A ich król zaleca ostrożność przy podejmowaniu stosunków płciowych?

Plotłem takie schizofreniczne bzdury. Lucille wymiotowała do miski. Wzywała umarłą matkę, aby jak najszybciej zabrała ją do nieba. Nieprzytomna opierała się o hotelowe sprzęty, żółta ślina znaczyła kąciki jej ust. Cuciłem ją zimną wodą z plastikowej butli. Całowałem niezdarnie w policzki. Przylizywałem mokre włosy, wachlowałem ręcznikiem uświnionym rzadkimi wymiocinami.

Co zrobiłby na moim miejscu inny mężczyzna, gdyby takim obuchem dostał w głowę? Gdyby gwałtownie dowiedział się o czarnoskórym mięsie leżącym na ciele jego ukochanej kobiety. Lucille, ociekająca smugami oliwy, uciekła na zewnątrz, za zakotwiczone jachty. Nagle przypomniałem sobie, że w domu, w kuchni, mam na parapecie afrykańskiego fiołka. Chciałem natychmiast, najbliższym samolotem frunąć do Wrocławia i wyrzucić go do śmieci. Piekło!

Aby zagłuszyć myśli, uspokoić ciało, puściłem na full pierwszą zgarniętą z półki płytę CD. Których z Polandii przywiozłem pełne etui. Ryszard Riedel umęczonym głosem zaśpiewał w portowym wyspiarskim miasteczku – *Człowieku, co się z tobą dzieje*?! Za chwilę zabrzmiała słynna *Cegła*. To ja byłem czerwony jak cegła. Polski ton w kanaryjskim okręgu przywracał mi poczucie rzeczywistości. Rysiek Riedel. Samotnik w tłumie i poeta używek.

Często karcony przez los. Śpiewanymi słowami dawał wytchnienie. Zbieg to okoliczności, zupełny przypadek? A może ostateczny sygnał od mojego Anioła Stróża? Na hiszpańskim ludowym kilimie leżałem bezwładnie, skonany, z rozrzuconymi nogami. Z nadzieją, że za sekundę zniknę z Puerto de Mogan na zawsze. Wyparuję. Nieważny stał się jubileusz i feta zatytułowana Sto Lat Bluesa.

Powietrzem stał się profesor Krampert od harmonijkowej encyklopedii. Straciły na znaczeniu światowej marki instrumenty firmy Hohner. Zetlało moje ostatnie osiągnięcie artystyczne – utwory z płyty *Tatuaże Bluesa*. Świat przewartościował się w jednej chwili. Do dnia targowiska był już mocno zmurszały. Ale teraz runął. Stałem się człowiekiem bez właściwości.

Zabrzmiał Walc Pożegnalny. Życie Było Gdzie Indziej. Zbliżała się Jesień Patriarchy. Miłość w Czasach Zarazy.

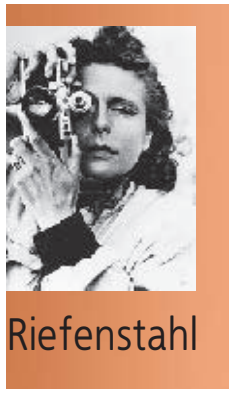

074. Leni Riefenstahl

Murzyn stał się faktycznym i ostatecznym grabarzem naszego związku. Plątaniny zdarzeń łączących Starego Bluesmana z Łatwą Kobietą – marzącą wciąż, że koszmar dzieciństwa zamieni na dobre bytowanie. Lucille nie uciekła daleko od okrutnych, obnażających pytań. Wróciła. Z nogami wysoko pod brodą siedziała w krzakach eukaliptusa, pod oknem hotelu. Nieopodal metalowego słupka, na który zarzuca się cumę.

Pewnie nie chciała, abym krzyczał z okna, że ledwie wyszła za róg domu, znów, niczym kurwa, wali się pod męskie mięso. Daleko było mi do bluzgów. Bąkałem pod nosem dziwne w tej sytuacji słowa: riff, swing, shimmy, funky, smooth jazz, dixieland, big-band, Thelonious Monk, boogie-woogie, mainstream, Mahalia, Taj Mahal, soul, archi blues, cool, feeling. Jazz Jamboree, Round Midnight, Summer In The City.

Materia żagli jachtów wpływających do portu nienaturalnie pobielała moją twarz. Wyglądała w lustrze jak pośmiertna maska. Martwy obszar nieba pomiędzy mną a Rudą Kobietą niespokojną trajektorią lotu wypełniały rozkrzyczane mewy. Takie jak Jonathan Livingstone Seagull. Bohater minipowieści Richarda Bacha.

Samotny, bliski samobójstwa, nieakceptowany przez zbiorowisko pozostałych mew.

Straciłem ochotę do budowania zdań, choć lekko ocierających się o logikę. Nawet takich – cholera, napiłbym się piwa. Albo – poproszę pikantne tapas. Z Lucille nie wiodłem dialogu w ogóle. Od chwili zakończenia opowieści o pokrywającym ją Murzynie nieustannie trzęsły mi się ręce. Wszystko mi z nich wypadało. Także hohner.

Zaprzestałem chodzenia na jubileuszowe wykłady o początkach bluesa z okolic St. Louis. Nie grałem wieczorami w irlandzkim nahajowanym pubie. Czego nie mogły mi wybaczyć pomarszczone od skrętów hippiski. Dręczyła mnie myśl, czy po ujawnieniu Kenijczyka tym samym muzycznym uczuciem będę darzył moich idoli. Czy zaakceptuję wyłącznie starych, odchodzących bluesmanów. Z matuzalemową, białą szczeciną na twarzy. Taką, jaką nosił na obliczu John Lee Hooker.

Wszystko, co czarne wokół, zaczęło wchodzić w zasięg moich oczu. Jeszcze bardziej nie lubiłem zegarków Citizena, bo w reklamowym folderze Murzyn z takim czasomierzem na ręce obejmował czule białą kobietę. W nieaktualnym, przywiezionym na wyspę tygodniku „Polityka", od razu rzuciło mi się w oczy zdjęcie Kenijczyka, który wygrał Maraton Warszawski.

Boże, jak mnie to wkurwiało! W sierpniowym „National Geographic" pomieszczono fotoreportaż z rezerwatu w Kenii. Zmuszałem Rudowłosą, aby patrzyła na poorane twarze Kenijek. Pozbawione najmniejszego śladu kobiecości pojętej w sposób europejski. Na grubo ciosane gęby z przekutymi wargami, policzki podziargane rytualnymi kraterami.

To twoje przyrodnie siostry i szwagierki – wołałem w nerwach, siłą wpychając kartki za biustonosz Lucille. W najnowszym numerze „The Times" zobaczyłem na okładce zdjęcie wielkich murzyńskich warg przyklejonych do deli-

katnych ust białej kobiety. Wyrwałem pierwszą stronę. Kazałem nadrukować kilkanaście kolorowych odbitek ksero.

Nadchodziła obsesja. Porozkładałem kserowane usta na stolikach nocnych, przy lustrze, w ubraniowej szafie, przyczepiłem na drzwiach wyjściowych od środka. Tak, by z każdej strony pokoju był widoczne. Zginając jedną kartkę wpół, zrobiłem zakładkę do książki. Gdy odkładałem czytaną w łóżku powieść – chociaż co to było za czytanie – mój wzrok, tuż przed zgaszeniem nocnej lampki, musiał zetknąć się z osobliwą fotografią.

Musiałem tak czynić, żeby nie wyć do księżyca.

Chociaż już zwariowałem. Chciałem na przykład napisać rymowany tekst o Murzynie, który nago, wyłącznie w śnieżnobiałych skarpetkach, dobiera się do rudej, rozwiązłej kobiety. W Internecie znalazłem wyjątkowe zdjęcie Leni Riefenstahl. Starej, pomarszczonej pudernicy, przed wielu laty artystycznej faworyty Adolfa Hitlera.

Zdolnej kobiety, w czasach *Deutschland Uber Alles* i *Gott Mitt Uns* nowatorsko rejestrującej na szesnastomilimetrowej taśmie nazistowskie praktyki Fürhera. Pokazującej kult siły w sposób do dzisiaj zaskakujący. Na znalezionym przeze mnie zdjęciu multimedialna Leni – w stroju khaki – maszeruje po afrykańskiej wiosce z rosłym Masajem. Ma jakieś sześćdziesiąt lat. Na jej szyi wisi dobrej klasy leica. Uśmiecha się zagadkowo.

Obok idzie posłusznie, krok za nią, nabłyszczony czarny tragarz. W jednej ręce niesie coś na kształt obronnego kija. W drugiej kolorową reklamową torbę marki Kodak. Wyższy o głowę, z zachwytem wlepia wzrok w starą białą kobietę. Wystawia szufladę białych zębów. To właśnie zdjęcie oprawiłem w bogatą ramkę. Sielskością wyrazu pozwala mi nienawidzić Lucille.

Taka jest moja obrona przed zdziwaczeniem. Chociaż dziwakiem staję się klasycznym. Z codziennego słownika wyrzuciłem słowo „ciepły". Bo tak o Kenijczyku powiedziała nieopatrznie Ruda Kobieta. Więc nie może już przy mnie używać tego wyrazu. Inaczej myślałem teraz o dawnej pracy Lucille w Toronto.

W dobrych chwilach, w naszym holenderskim łóżku, opowiadała mi przed zaśnięciem pedagogicznym tonem, jak zarabiała w mieście jazzu i niskiej zabudowy. Na peryferiach, w przydrożnym drugstorze. Niby w takiej świetlicy, do której zaglądali kolorowi kierowcy nocnych taksówek, czarni robotnicy municypalni oraz samotne i porzucone kobiety.

Wydawała im kawę, zbierając dla Marysi saszetki pełne dietetycznego cukru. W tym miejscu nie używano go nadmiernie. Mnie, starego wróbla, przekonywała pocałunkami zamykającymi usta, że była to państwowa filia Miejskiego Centrum Biznesu. Takie bezalkoholowe nocne centrum biznesu! Żart stulecia!

W takich chwilach nie chciałem już dłużej z nią być. Za oszukańczą Kanadę, za nocną pracę z kurwami, za Murzyna, za zeszyt służbowy Panoramy Firm, za wielką, wciąż mroczną kurtynę, zakrywającą to, gdzie była i co z kim robiła. Nie byłem święty. Ale to, co serwowała, było ponad moje siły. Musiałbym mieć stoicyzm i umiejętność wybaczania zdrad obecną w poetyckich utworach Charlesa Bukowskiego.

Miłość to Piekielny Pies, z właściwym luzem zawiadamiał nas w swojej najlepszej książce Charles Bukowski. Lecz ten pies przegryzł mi gardło. Odgryzł mi ucho. Więc nie muszę już teatralnie go obcinać. Ale najgorsze jest podejrzenie, coraz bardziej intensywne, że mnie, dumnego dotąd Bluesa, pozbawił Jaj. Śpiewałem cienko.

075. Andrzej Wajda

Kocha się tylko to, od czego się cierpi, co przynosi cierpienie, to słowa pisarza Flauberta. Ogólnie są w porządku. Sam przecież, podobnie jak ja z Lucille, przeżywał Gustaw wyniszczający romans z urodziwą poetką Colet. Z tym że nie na hiszpańskich Kanarach. A na greckim Peloponezie. Szkoda tylko, że nie dodał konkretnie, gdzie jest granica tegoż cierpienia.

Ile można bowiem wytrzymać w nieustającej karuzeli maligny. Z mocnego faceta konsumującego umiarkowaną w Polandii popularność – stałem się roztrzęsionym prykiem. Nie potrafiącym już, jak dawniej, obracać w perzynę Niemożliwego. Nie patrzyłem już ludziom w oczy zbyt zuchwale.

Dygot niepewnych dłoni stał się moim codziennym menu.

Traciłem zdolności wydobywania wyrafinowanych dźwięków z harmonijki firmy Hohner. Ta Jesień Patriarchy nie była kokietowaniem samego siebie.

Słońce mniej się starało dopiekać. Co przy lekkiej bryzie skomponowało przyjemny dzień. Lucille spała martwo w rogu drewnianego łóżka. Spała tak, nie śpiąc wcale. Milcząc, trwała właściwie w pościeli po dziesięć godzin dziennie. To była z kolei fizjologiczna obrona jej organizmu przed moim

nasyconym wyrzutami wzrokiem. I przed kolejnymi porcjami wymiocin. A przecież przestała jeść. Nie wiedziała już, co robi w Puerto de Mogan.

W mglistym zarysie późnego poranka wyszedłem z hoteliku półnagi. W samych tylko krótkich zielonych spodniach khaki. Chciałem wystawić na umiarkowane słońce nogi upstrzone coraz wyraźniejszą siatką żylaków. Rozgrzać doświadczane cukrzycą, martwiejące stopy.

Usiadłem na kamiennym krawężniku stanowiącym brzeg portowego basenu.

W otoczeniu jachtów, nieopodal restauracji La Lonja. O tej porze miasteczko regenerowało siły po nocnej towarzysko-muzycznej feerii. Po uderzeniu cyklonu, w którym gitarowe flamenco, podlewane tysiącami litrów zacnego wina, mieszało się z głosem Stinga, Madonny i jeszcze wielu innych topowców.

Nieopodal, wprost na kamieniach, stała wczorajsza taca wypełniona szklanami z grubo rżniętego szkła. Z resztkami czerwonawego wina. Oraz numerem telefonu wysmarowanym jaskrawą szminką na całej przestrzeni prostokątnego plastiku – 928 565 261. Przyciągnąłem tacę pod kolana. Tych gruboskórnych szklanic było dwadzieścia.

Butelek w wiklinowym koszu jeszcze więcej. W tym kilka pełnych. Fabrycznie zakorkowanych. Wino w nich ciemnobursztynowe, dziesięcioletnie. Malvasia, sporządzona z winogron wyhodowanych w wulkanicznej ziemi na sąsiedniej wyspie Lanzarote. Niezła balangita musiała nocą trwać na jachtowym wybrzeżu. Aż dziw, że nie słyszałem ludzkiego hałasu.

Wypłukałem tacę w morskiej wodzie. Wymyłem od słodyczy lepkie szklany. Korkociągiem pozostawionym po balowiczach otworzyłem pierwszą butelkę.

Wino było mocne, słodkie, na modłę portweinu. Dawno nie piłem takiego alkoholu. W ogóle dawno nie piłem. Ten smakował nadzwyczajnie. Pociągnąłem łapczywie kilka łyków. A przecież nie miałem kaca.

Po opróżnieniu duszkiem pierwszej szklanki doznałem olśnienia. Rozrachunkowej myśli. Przypomniała mi się słynna scena z wybitnego filmu Andrzeja Wajdy *Popiół i diament*. Ta, w której kumpel bohatera, podziemnego żołnierza Maćka Chełmickiego, w kieliszkach wypełnionych spirytusem zapałką wskrzeszał chybotliwe płomienie.

Przy każdym nowym płomyku wspominał nazwiska kobiet i mężczyzn zabitych podczas wojny przez Niemców. Film był czarno-biały. Ale płomyki jawiły się w jasnych kolorach piekła. I ja zacząłem z coraz większą częstotliwością napełniać grube szkło. Malvasią przypominałem sobie wydanych przez miętówkę kochanków Lucille.

Brało mnie na gigantyczne picie, aby wspominki mniej bolały. Z tym że obok nie było przyjaznego kumpla typu Maciek. Nie było brata łaty, któremu dedykowałbym oczyszczające słowa. Musiałem brzemię szlamowatej przeszłości Rudej Kobiety dźwigać sam. Musiałem je nieść solo.

Czy znalazłby się bowiem mężczyzna, który drugiemu mężczyźnie, aż po grób nieustannemu łowcy, opowiedziałby ot, tak, na luzie, o dwudziestu kochankach kobiety, którą miało się na wyłączność? Czy opowiedziałby z samczą wyższością o dawnych popychaczach pasażerki wspólnego łóżka? Z którą chciało się mieć córkę Nadzieję, być z nią dozgonnie? Aż do śmierci, jak sobie to wymyśliłem na początku miłości.

W uniesionych czasach całonocnego trzymania języków w ustach.

Dwadzieścia stojących obok szklanek mogłem zapełniać malvasią. Oraz realnymi postaciami chodzących po ziemi kochasiów. Ustami Lucille opowiedziała mi o nich miętówka KB Likér. A o ilu jeszcze porcjach męskiego mięsa – pchającego się na kadłub Lucille, w stronę Rudej Kosodrzewiny – nie miałem najmniejszego pojęcia?

Dlatego chociażby, że zapas butelek z miętówką, przywieziony boeingiem do Puerto de Mogan, rozbiłem o ostre kanaryjskie skały w okolicach Playa Amadores. Kurwa. Robiło mi się gorąco i zazdrośnie. Bursztynowe mocne wino rozpoczęło właściwą sobie działalność. Miękłem wspominkowo. Będą się działy jaja.

Ene, due, like, fake, torba, borba,
usme, smake, eus, deus, kosmateus.
Ale love – the end!

Z kamiennej belki morskiego portowego brzegu nachyliłem się niebezpiecznie w stronę zacumowanych jachtów. Muszę uważać na właściwe tempo opróżniania butelek z kanaryjską ambrozją, pomyślałem. Zamaszystym ruchem wiejskiego kosiarza nalewałem do szklanki – zielonej powierniczki – wino. Po wypukły menisk. W pewnym sensie wino mszalne. Bo przecież odprawiałem teraz swoiste nabożeństwo. W myślach – niczym w panoramicznym obrazie sygnowanym pieczęcią Metro Goldwyn Mayer – przepuszczałem korowód postaci obsesyjnie zaludniających moją wyobraźnię. Przez wiele popierdolonych miesięcy. Wywoływałem waleczną męską drużynę K.S. Lucille Wrocław.

Kamera! Łączyć! Klaps!

Pierwsza szklanica, wiadomo, inauguracyjna

Premierowy kochanek Rudowłosej – tatusiek. Kalesonowy Kat z Paskiem Klinowym. W karzącej ojcowskiej dłoni. Właściciel meszkiem zarastającego, dziecięcego jeszcze łona Lucille. Mówiła przy mnie gniewnie, że wciąż nienawidzi oprawcy. Ale gdy tylko wracaliśmy z podróży, biegała w tajemnicy na cmentarz zmieniać kwiaty na świeże. Szorowała granit. Wszystko, co posiadała, tatko zostawił jej w testamencie. Może za to jest mu wdzięczna? Przez Kalesonowego Kata zaczęła sikać w majtki. Z panicznego strachu, że wyda się tajemnica, gdy podekscytowane kozy z klasy paplały o tajemnicach seksu, o Nabrzmiałym Wodzu. Tatko przestał na nią włazić, ale zazdrosny o Lucille był do śmierci. Zgred.

Druga szklanica ze skazą, słodkim dotykiem

Cukierkowy Nauczyciel Greki z liceum. Ojciec Eleni. Przygarbiony sąsiad z tej samej bramy. Uczestnik wojny domowej w Grecji. Jego żona, słabo znająca polski język, kupując pomidory, mówiła karykaturalnie: prosia edna kilo popierdolić. Lucille przychodziła do Cukierkowego, gdy kiwał na nią z okna w kuchni. A Eleni bawiła się z innymi dziećmi na podwórzu. Za głaskanie po całym ciele Lucille dostawała nadziewane raczki, cukierki grylażowe, batoniki „Danusia", miękkie toffi. Nigdy nie zamienili słowa. Nauczyciel był delikatny. Stawiał dziewczynkę na taborecie i ostrożnie głaskał, kwicząc z podniecenia helleńskie wyrazy. Nie pchał do środka paluchów. Lucille, nie mogąc się doczekać końca zalotów, pogryzała raczki w trakcie pieszczot. Fakt.

Trzecia rozkręca wyobraźnię na nowe mięso

Nieznany student z Łodzi – Pies na Świeże Szpary. Pierwszy partner Rudowłosej, który nie nosił na grzbiecie woni starych ludzi. Miał lat dwadzieścia i duży temperament. Lucille lat trzynaście i dosyć spoconego torsu o zapachu tytoniu, kiełbasy, czosnku. Odebrał Lucille dziewictwo na gumowym materacu. W namiocie. Ale krwi wokół nie było. Tatusiek paluchami już rozwalił wianek. Pies na Szpary był moderny. Nie uważał przy spuście. Pierwszy raz poczuła w środku ciepło. Zanim tatusiek ich nakrył, dała Psu trzy razy. Zaraz po kotłowaninie rodzice zabrali ją do Wrocławia. Tatuś nie chciał się dzielić Lucille. Nie wzięła od studenta adresu. Lipa.

Czwarta szklana zdegustowana biseptolem

Bułgar ze Świńskim Zarostem na Piersiach. Pierwszy mężczyzna, który wystawił rachunek za beztroską kokieterię. Bułgara poznała na piaskach Morza Czarnego. Z przyjaciółką, z którą w młodości bywała w astronomicznym obserwatorium, przyjechała do bratniego kraju. Pohandlować kremem „Nivea" i biseptolem. Towar sprzedała hurtem nadzorcy parkingu. Natarczywie się zalecającemu. Przy winie emablowała gościa. Może by i uległa letniej przygodzie. Ale śmierdział na kilometr czosnkową kuchnią. Nie chciała przesiąknąć. Ale musiała. Nożem skłonił do rozłożenia nóg w lichym campingu. Natarł na Lucille falą bałkańskiego pożądania. Przyjaciółkę znalazła rankiem na wydmach. Dygotała. Stres.

Piąta wypita bez szwów jędzowatej historii

Cwany Dobrodziej z Helu. Średniego szczebla ministerialny urzędnik. Wysyłał Marysi ze stolicy deficytowe zagraniczne nutowe książki. Poznali się na

Helu. Lucille płakała, bo mąż odjechał po awanturze. Zostawił ją z córką wprost na plaży. Szybko znalazł się pocieszyciel. Włożył między uda kilka godzin później. Stołecznym kutasem osuszał małżeńskie łzy. Gdy przyjeżdżał do Wrocławia równo co dwa miesiące, wynajmował ten sam pokój w hotelu Monopol. W którym ponoć przed laty pierdział w pościel Gustaw Holoubek. Przed ułożeniem mięsa na Lucille pedantycznie układał na krześle garnitur, koszulę, skarpety z podwiązkami. Zamawiał do numeru węgierskie torciki i flaszkę ciepłej wiśniówki. Gardziła tym sznytem. Szmelc.

Szósta młotowata, wkurwiająca do spodu

Jebaka po Utracie Żony. Agent ubezpieczeniowy. Dealer, unit menager i kij wie kto jeszcze. Pracował jakiś czas z Rudą Kobietą w Panoramie Firm. Szukał pocieszenia po utracie żony. Która kładła się już pod innym mięsem. Więc on przez jakiś czas legł na Lucille. Miał do jej ud niedaleko. Dwa biurka dalej w tym samym pokoju. Ale pierwszy raz wsadził podczas integrującego szkolenia w Kazimierzu Dolnym. Byłem oglądać go z bliska. Kazałem mu chodzić w kółko po pokoju, w którym pracował. Miał twarz z blachy i szeroką szczękę. Rękę w gipsie. Oraz niepasujący do masy ciała cienki głos. Ale Lucille musiała jednak widzieć w nim hoplitę. Któregoś dnia powiedział – odchodzę. Postraszyła go samobójstwem. Na nic. Młot.

Siódma impotencka, ale z nadziejami na tak

Handlarz Chińskim Sztruksem. Kombinator z lewym polskim paszportem. Wyjeżdżał z nim po towar do USA. Brał ją na stojaka w opuszczonej fermie drobiu. Miał pieniądze. A Lucille liczne potrzeby. Ale nie kupował jej nowych ciuchów. Dawał te, które w szafach zostały po żonie doprawiającej mu rogi. Lubił sportowe samochody i umiejętne palce Rudo-

włosej. Dwa razy leczyła go z impotencji. Pierwszy raz po cichu, gdy jeszcze była przykładną mężatką. Masowała kutasa z błogosławieństwem tatuśka, partnera Handlarza w biznesach. Drugi raz po powrocie z Mississaugi. Przysięgał w zimnych drobiarskich halach, że gdy z sercem zadba o sprawność jego kuśki, chiński sztruks zapewni im sen Carringtonów. Wcześniej zwinęła go bezpieka. Pech.

Ósma wykończona duszkiem dziesiątej muzy

Filmowiec z Pożyczką Włosów. Kurduplowaty, pudrowany alkoholik. Niewolnik pachnących wód zabijających woń gorzały. Nigdy nie pchał swego mięsa na Lucille będąc trzeźwym. Zawsze po pijaku. Przyjmował ją w wynajętych kawalerkach. Które często konspiratorsko zmieniał. Na konto filmów, które coraz rzadziej produkował, nabywał dobrej klasy wiktuały. Sam jadł mało. Pił dużo wódki z sokiem pomidorowym. Więc zasypiał w połowie drogi do Czarnej Dziury weekendowej nałożnicy. Przed padnięciem opowiadał wciąż tę samą historyjkę, jak kiedyś na planie opierdolił Andrzeja Wajdę. Obiecywał Lucille, że zagra w filmie. Ale zanim skończył obiecywać, spał. Zabierała go często z Jatek na plecach. Gdy do spodu miękły mu nogi. Fiut.

Dziewiątą walnąłem bez wąchania karbidu

Sztygar z Bonami PEKAO. Był zawiadowcą zwałowarki w kopalni Turów. Przyjeżdżał z premią zwaną Kartą Górnika. Stawiał w Panoramie całe menu. Wpuszczała go między nogi przez wiele lat. Nie był natrętny. Mężowi Lucille przywiózł pierwszy we Wrocławiu zawodowy aparat foto – Pentacon six TL. Jej czarne sztruksowe lee. Wiele butelek eksportowej żytniej. Osłabiał natomiast zapachem sztolni, strzelniczego dynamitu, potu. Szybko zaczynał, jeszcze

szybciej kończył. Żegnał ją u drzwi i pił na umór z kurewkami na dole. Ale nie brał putan na hotelowe wyro. Stawał mu tylko na widok rozebranej Lucille. Gdy nastał kapitalizm, zaniechała widzeń. Coraz bardziej śmierdział karbidem. Miał coraz mniej dolarów. Nosił białe skarpetki. Pajac.

Dziesiąta szklanica w różowych majtkach

Mięśniak w Skórze Agroturystyki. Absolwent wrocławskiej AWF. Wyjmował Lucille z kawiarni Horszowskich. Prowadził – maszerując trzy kroki za nią – do własnego turystycznego biura. Brał na chybcika w czeluściach skórzanych, wytartych foteli. Przywiezionych z wystawki w Holandii. Ale częściej pogmerał tylko miękkim kutasem w okolicach Owcy. Schodząc z lędźwi niedoszłej ofiary, mówił, kurwa, mam tyle roboty. No i biorę za dużo tabletek. Nosił, nie wiadomo dlaczego, damskie majtki. Staroświeckie figi. Gdy próbował wciskać w nią knuta, zbierało jej się na śmiech. Nie dawał pieniędzy. Ale czasem za darmo wysyłał nałożnicę na letniskową wieś. Do agroturystycznych chłopów płuczących miastowych z kasy. Cienias.

Jedenasta wspólna z produktem Pizza Hut

Pizza Hut Man. Ochroniarz szefów tej firmy. Jaguarem właściciela zabierał Lucille do Pragi. W obszernym mieszkaniu przy zabytkowej ulicy Celetnej pokrywał Lucille na czarnym iberyjskim łożu. Słuchał tylko piosenek Dolly Parton. Elegancik. Nie pozwalał się obejmować. Mogła mu zadrapać skórę cherubina. Praskie mieszkanie było urządzone w klimacie mrocznych książek Franza Kafki. Pisarz mieszkał w przeszłości obok. Cztery bramy dalej od Celetnej. Na półkach wokół łoża stały wszystkie jankeskie wydania Franza. A jego *Listy do Mileny* na nocnej szafce.

Ale Pizza Hut Man nie miał bladego pojęcia o Kafce, o obsesjach twórcy. To nie jego świat. Chciał tylko do syta poruchać. W tajemnicy przed żoną. Za banknoty bossa. Farciarz.

Dwunaste pół szklany, naćpane poezją rany

Bard Piosenki Wkurwionej. Estradowy szmirus w moim wieku. Widywałem go z rzadka na telewizyjnym ekranie. Śpiewał o czystej miłości, ale zawsze miał przy tym tłuste, zlepione włosy. Twarz nawiedzoną bezbrzeżnym męczeństwem. Wzrok wbity w lepszą przyszłość. Gdy go widzę, wyłączam telewizor. Na stronach Internetu obejrzałem jego artystyczną drogę. Znaczenie wykonywanych tekstów. To oczywisty plagiator poezji amerykańskich beatników. Ginsberga, Dylana i im podobnych. Na pewno dzisiaj nie pamięta Lucille. Którą wyprowadził chwiejnie z Klubu Związków Twórczych, bełkocząc – Czego ty dzisiaj kurwa nie wyruchasz, wyruchają inni. Nie widział dobrze twarzy Lucille. Ale krochmalem polał. Szczun!

Trzynasta emanowała odruchem Pawłowa

Maszynista teatralny Śmierdzący Tanim Piwem. Lucille okłamała mnie w strachu, że nazywał się Parandowski. Ale nie uwierzyłem. Szukałem nazwiska o podobnym brzmieniu, bo ludzie kłamią blisko oryginału. Wydało się, że to mój współpracownik z młodości – niejaki Panas. Obsługiwał technicznie moją pierwszą kapelę. W teatrze zarabiał dwieście euro na miesiąc i żył z pokrywanych przez siebie kobiet. Wkładem Lucille do jego życiorysu był zakup dziesiątek, a może nawet setek paczek chipsów. Gryźli je razem. Wypili setki puszkowych piw typu strong. Nie liczę darmowego dostępu do dziury sezonowej kobiety. Podpity bywał w niej długo. Ale był to raczej posuwisto-zwrotny ruch Pawłowa. A nie miłosne uniesienie. Pasożyt.

Czternasta szklanica z przytupem sokołów

Zajebisty Wańka Wstańka. Uliczny akordeonista z Ukrainy. Najlepiej wychodziła mu pieśń *Hej sokoły*! Grał przed restauracją Lwowska. Stamtąd zabrał któregoś dnia pijaną Lucille. Rano, nie wiedząc, gdzie jest, zawyła profilaktycznie – Odpierdol się, ty chuju! Ale została w marnym, wynajętym lokalu dłużej. Zadzwoniła tylko do Marysi z zapewnieniem, że bardzo ją kocha. Wańka był nienasycony. Tolerowała w sobie jego kutasa, bo dla niej wykradał z restauracji wędzoną surową szynkę. Po kryjomu wynosił bliny z kawiorem. Mimo zachęt nigdy nie rozbierał się do końca. Ukrywał jakiś kawał szpetnego mięsa. Nauczył się zwrotu – zajebisty. Głosił z zaśpiewem: Na starej picy młody szuflować się ćwicy! Sokół.

Muszę zmniejszyć kolejne porcje malvasii, bo zbyt szybko padnę.

Piętnasta skucha, ledwo wlazła do brzucha

Od mocy wina miesza mi się w głowie. Kiwam się w sierocej chorobie. Dostaję małpiego rozumu. Warczę na podpływające do brzegu ryby. Odgrywam free monodram. Dramę podrażnionego samca, zazdrośnika miotającego się w naturalnej scenerii portowego teatru Puerto de Mogan. Lucille pewnie dławi w pokoju strach przed rychłym, odmienionym jutrem. Ja kontynuuję wyliczankę. Kolejnym mięsem mojej zguby jest Multimedialny Besserwisser. Ekscentryk z klubu artystów Jatki. Żyjący z opróżniania konta rodziców, którzy przed pójściem do nieba pozostawili mu w Bonn wielką drukarnię. Jeździ po mieście najdroższym w Polandii harleyem. Miał ponoć Rudowłosą raz. W męskiej toalecie Jatek. Tak na kolanach przysięgała. Bananowiec.

Szesnaste pół szklany skażone świrencją

Poeta Głowa Nie Ta. Wrocławski oryginał. Udawał potomka hrabiego Lanckorońskiego. Albo przed studentami, od których wyciągał drobne i papierosy, uniwersyteckiego naukowca. W klubie Jatki wykorzystywali go do drobnych napraw. Toczył z piwnicy beczki z piwem. Wszystkiego się spodziewałem. Ale tego, że i on będzie się mazał potem Lucille – nigdy. Chodził po mieście z futerałem od kontrabasu na plecach. Przypisywał sobie aforyzmy innych. Na przykład – Gwizd pociągu służy do rozsiewania melancholii po polach. Może na poetyczne słowa wziął Rudą. Naśladował też kreskę Mayka. Mieszkającego w Malmö rysownika dziennika „Svenska Dagbladet". Mezalians nie był wieczny. Ale bolał mnie najbardziej. Szok.

Siedemnaste dwa łyki z butelki folksdojcza

Wyniosły Folksdojcz z Hamburga. Sprawca dwóch szybkich skrobanek sprzed lat, gdy sprzątała tamtejsze hotele na godziny. Folksdojcz wyjechał z Polandii w stanie wojennym. Wyciągnął rodzinę Lucille z obozu uchodźców pod Hamburgiem. Mąż zniknął chwilę po tym. Lucille zaczęła sprzątać hotele. Pięć marek za godzinę. Ale od czasu do czasu musiała przyjmować na siebie mięso właściciela firmy. Puszczał przyniesioną płytę z teutońskimi marszami. Kładł się nago na wyrze i czekał. Lucille dobrze wiedziała, co ma dalej robić. Wytłumaczył jej to w słowach o brzmieniu rozkazu. Gdy opuszczał pokój, z bezsiły zakręcała w dłoniach łóżkowe narzuty. Nigdy nie spłynęła z nich kropla potu. Parzyli się jak nakręcane roboty. Skurwysyn.

Osiemnasta załazi za skórę gnijącego bmw

Półłysy Nygus. Bała się tego mężczyzny. Po raz pierwszy zobaczyłem go w Rynku. Siedział u wylotu

w pordzewiałym kilkunastoletnim bmw. Na jego widok, gdy spotkali się wzrokiem, skamieniała, a następnie wbiegła szybko na pobliskie podwórko i zwymiotowała. Posadziłem ją na ławce. Co się stało? Nie odpowiedziała. Złapała mnie rozpaczliwie za rękę i błagała ulegle. Nie zostawiaj mnie samej, proszę. Nigdy działanie miętówki nie wywołało nygusa w opowieściach Rudej Kobiety. Musiał jej mocno zaleźć za skórę. Albo gdzie indziej. Była tak przerażona, że nie dociekałem więcej. Nigdy nie zapytałem o Półłysego Nygusa, bojąc się gwałtownej reakcji Lucille. I ona nigdy nie wróciła słowem do spotkania. Unikała Rynku. Tajemnica.

Dziewiętnasta jest czarna jak blues shoes

Murzyn w Wełnianym Garniturze. Sem Mashebo Kameboi. Zabił we mnie resztki nadziei na wspólnotę z Lucille. Znam zasady Wielkiej Karty Wolności i Równości. Płakałem jak bóbr, gdy podrostkiem będąc, czytałem *Chatę wuja Toma*. Oscarowy aktor Sidney Poitier został w latach panowania Gomułki moim moralnym wzorcem. Jego *Ucieczkę w kajdanach* w reżyserii Stanleya Kramera odchorowałem. Dwa tygodnie bredziłem w gorączce o złym świecie. Podziwiałem odwagę Martina Luthera Kinga. Uwielbiam Milesa Davisa. Umyłbym nogi Robertowi Johnsonowi. Czarni kompozytorzy nauczyli mnie bycia sobą w muzyce i w życiu. *Tatuaże Bluesa* są hołdem złożonym Czarnym. Ale widok Sema na rudej kosodrzewinie Lucille? Nie!

Malvasia rozlana. Dwudziesta to koniec!

Szklane Naczynie Zbiorowe. Czyli lista kochanków zamaskowana w juchtowej torbie. Oraz notatniku Panoramy Firm. Nie mam sił dalej rozsupływać liny przegrańca.

To już koniec. Padnę zaraz na pokład najbliższego jachtu. Albo rzucę się w wody Atlantyku. Zaraz zabraknie w Puerto de Mogan grubo rżniętego szkła. A wymieniłem tylko tych kochanków, o których – z pomocą miętówki – na pewno wiem, że istnieli. Ścierali swoją skórę na podbrzuszu Lucille. Czy istnieje mężczyzna napasiony taką zrogowaciałą wiedzą, który by chciał pozostać przy kobiecie na następne dni? Jest?!

Cleophus James (Brown)

Posłuchajcie, ludzie!
Uważnie słuchajcie, ludzie.
Kiedy obudziłem się dzisiaj rano, usłyszałem niepokojący głos.
Więc powiadam wam, że kiedy obudziłem się dzisiaj rano, usłyszałem niepokojący dźwięk.
Ten dźwięk to Wieczne Echo.
Tumult tysiąca zagubionych dusz.
Mówię o duszach śmiertelników – kobiet i mężczyzn.
Tych, którzy odeszli już z tego świata.
Zaczekajcie chwilę, szanowni Bracia Blues.
To zagubione, umęczone, niewidzialne dusze błąkające się po świecie.
W poszukiwaniu boskiego światła.
Jasności, której nie znają.
Bo jest już dla nich za późno.
Za późno!
Tak, za późno, by kiedykolwiek mogli ujrzeć światło.
Które kiedyś porzucili.
Proszę!
Nie zagubcie się, gdy nadejdzie czas!
Bo Dzień Pana nadejdzie na pewno!
Jak złodziej czarną nocą.
Amen.
Powtórzcie za mną amen!
Amen!

Przesłanie, jakie Wielebny Kapłan, czarnoskóry Cleophus James Brown z Kościoła Baptystycznego Potrójnej Opoki (z siedzibą w północnej części Chicago – stan Illinois) przekazał podczas kazania Braciom Blues. Aby zrobili rozważny krok w kierunku pokuty.

Ruda Lucille

Kamień na piersiach puste godziny
Puściła się niecna Lucille
Noce w objęciach melatoniny
Zupełny brak sercowych chwil

Zdradziłaś Bluesa Ruda Kobieto
Zmora mnie toczy noce i dnie
Trudno przy tobie być poetą
Sprzedając ciało czyniłaś źle

Zupa z torebki chleba opłatek
Oraz milczenie kuchennych rur
To samotności smutny zadatek
Dni pogardzanych wysoki mur

Zdradziłaś Bluesa Ruda Kobieto
Zmora mnie toczy noce i dnie
Trudno przy tobie być poetą
Sprzedając ciało czyniłaś źle

Łóżko z Holandii moje nasienie
Sól naszych ciał i twoja łza
Nie są pamięci już brzemieniem
Żałoba żmij namiętnie trwa

Zdradziłaś Bluesa Ruda Kobieto
Zmora mnie toczy noce i dnie
Trudno przy tobie być poetą
Sprzedając ciało czyniłaś źle

Tekst napisany tego lata przez Blues Brothera na rynku we Frýdlandzie. Nieopodal fontanny pełnej miedziaków. Licznie odwiedzanej przez emanujących alkoholem bezrobotnych i Cyganów. W miejscu, w którym pod wpływem czeskiej miętówki KB Likér, Lucille blisko cztery lata temu wywlekła na światło dnia charakterystykę pierwszych dziesięciu kochanków.

076. Blind Blake, Blind Boy Fuller

Sznury zdań, na których zawieszam myśli, przypominają brzuch staroświeckiej telefonicznej centrali. Są podobne histerycznym obrazom Jacksona Pollocka. Chyba już nie potrafię ułożyć logicznie i składnie więcej niż kilka słów w jednej gromadzie. Skończyła się miętówka, skończyły się czyste kartki w kolejnym zielonym zeszycie *Nostalgic Places*.

Piszę na przypadkowych kawałkach papieru, na nieaktualnych programach koncertów i teatralnych premier. Wreszcie na rewersie pism urzędowych, dokumentów wyplutych przez drukarkę. Mimo całkowitej utraty ducha w najgłębszych zakamarkach ciała wciąż czuję, że jestem jak Szekspirowski Romeo.

Jestem Romeo. A Lucille jest Miedzianą Julią. Pomimo ciągnącego się za nią rakowatego welonu. Jestem naiwny uczuciowo, pomimo że mój mosznowy worek stał się tak rozluźniony, że siadając na krześle, wciąż go boleśnie przygniatam. Ale w żarze uczucia, wypalających organizm namiętnościach, mógłbym konkurować ze szczawikiem Romeo. Czy jest po co?

Bez pośrednictwa fałszywych świadków – intrygą zwaśnionych rodów Montekich i Kapuletich – przeżywam ekstremalne chwile. Wciąż targam się z myślami, czy zaprząc dumę starzejącego się człowieka i odepchnąć Lucille na zawsze? Czy może karmić kruchą nadzieją, że ranne przebudzenie

u boku Rudowłosej warte jest odpuszczenia jej zamierzchłych grzechów.

Nie byłem jak stare wino. Jak lampowy wzmacniacz Marshalla. Albo gitara Ibanez JS Chrome Boy – używana przez Joego Satrianiego. Najszybsza na świecie. Stawałem się raczej przeterminowanym lekarstwem. Nie byłem Robertem Johnsonem. Przed moją garderobą nie kłębił się tłum fanek – napalonych, spoconych i wilgotnych w środku.

Z namiętnościami Romea stawałem się jednocześnie w te dni schorowanym interpretatorem dwunastotaktowej muzyki. Odłamu amerykańskiej kultury etnicznej. Chwilami czułem się jak wyleniała, śmierdząca skóra białego niedźwiedzia pozująca do zdjęć z turystami. Tymi turystami, którzy za darmo, do woli i wszędzie macali Lucille. Zostawiali w niej swoje seksualne śmiecie.

Gdy tylko o tym myślałem, nawiedzały mnie natychmiast dzikie pomysły. Projekty dalekie od normalności. Przez okno w moim gabinecie-pracowni, wprost na brukowe kamienie ulicy, wyrzucałem wyciśnięte torebki po ekspresowej herbacie. Strzelałem nimi z łyżeczki niczym z katapulty. Uznawałem, że wyparzone, zużyte fusy wewnątrz nich to odpowiedniki grzesznej przeszłości Lucille.

Niech więc opony aut wielu marek anonimowo rozniosą je po świecie. Chciałem, aby herbaciane drobiny tułały się po wrocławskich ulicach bez przebaczenia. Albo nagle pragnąłem mieć wszystkie złote zęby, którymi godzinami gryzłbym pistacjowe orzechy. W tym czasie Ruda Kobieta kręciłaby czarodziejskie kółka wokół żołędzia mojego kutasa, lekko go tylko szarpiąc.

A jednocześnie z internetowego radia 365.com słuchałbym na okrągło przesterowanych współczesnych bez frazowych autorstwa Karlheiza Stockhausena. Na przykład kakofonii

ulatujących z organów Hammonda w utworze *Mikrophone*. Podobnej do moich zeszytowych zapisków. Pełen odjazd.

Blind Blade oraz Blind Boy Fuller byli wspaniałymi czarnoskórymi bluesmanami z początkowych lat istnienia tego gatunku. Obaj niewidomi. Ja także błądzę w nieprzeniknionym mleku zdarzeń. Słuchając ich chropowatych kawałków, też chciałbym utrwalić obrazki nasycone światłem Południa. Mimo że nie widziałem dotąd tamtejszych zniewalających słonecznych promieni. Czułem je.

Wróciłem z kanaryjskiej wyspy do Wrocławia. Ale nie wychodzę z domu. Nie przyjąłem oferty plenerowego koncertowania na partynickim torze hippicznym. W dniu świętego Huberta obiecałem wykonać solówkę w składzie w bluesie niespotykanym – saksofon, tuba i moja harmonijka. Ale tchórzliwie skrewiłem.

Wciąż żyję różańcem wyznań Rudowłosej. Finał jej murzyńskiej opowieści przeżyłem na lotnisku w Las Palmas. Podczas rejsu powrotnego do Polandii. Czekałem na przedpołudniowy lot do Pragi. W tym czasie z komunikacyjnego rękawa wysypali się pasażerowie opóźnionego boeinga z senegalskiego Dakaru. Sami Afrykanie. Wokół mnie zrobiło się czarno. Słowo ciałem się stało. Byli dobrze ubrani, z licznymi kobietami w kolorowych szatach przy boku.

Pierwszy raz widziałem w jednym miejscu tylu bogatych Murzynów. Hałaśliwych, pewnych siebie, obwieszonych walkmanami i kilogramami złota. Ale patrzyłem im w oczy zuchwale, bo myślałem irracjonalnie, że wiedzą o mnie i Lucille. Desperacko więc wchodziłem między nich butnym krokiem, rozbijając grupy rozgadanych przybyszów z obrzeża Sahary.

Samotny, w czarnym, niepohamowanym potoku, szedłem pod prąd. Każdy mężczyzna wydawał mi się być Semem

Mashebo Kameboi, kochankiem Rudej Lucille. Bardzo pilnie i uważnie wpatrywałem się w Czarną Otchłań. Niestety. Otchłań mnie ignorowała. Byłem dla nich nikim. Seryjnym, anonimowym pasażerem. Zagdakały megafony i po chwili w holu lotniska zrobiło się przestronnie.

Muszę wciąż mocno nienawidzić Lucille. Po to, aby na powrót polubić Murzynów. Przynajmniej bluesowych muzyków. Moich nauczycieli. Których słuchając, wzruszałem się niejeden raz.

077. Czesław Niemen

Od powrotu do Polandii moje zdrewniałe wargi próbowały wodzić po ustniku harmonijki. Bez słyszalnych efektów. Instrument marki Hohner wydawał z siebie włącznie sromotne dźwięki. Może jednak działo się tak nie tylko z powodu utraty Lucille. Tak naiwnie tłumaczyłem sobie upokarzający stan rzeczy. Kilka dni temu oglądałem w Teatrze Polskim kapelę mojej młodości – Procol Harum.

Ze sceny wionęła nuda bez cienia sentymentalnego chociażby wątku. Szpakowaty Gary Brooker w restauracyjny sposób smęcił porywający kawałek z przeszłości – *A Whiter Shade of Pale*. Też mu się nie udawało.

Ale może to ja nie myślałem w tym czasie o bielszym odcieniu bieli. Lecz o nieprzeniknionej czerni. O motelowym kochanku Rudowłosej – Murzynie z Kenii.

Od prasowego fotoreportera dostałem fotografie z tego koncertu. Patrzę na nich poza obiektyw, jestem nieobecny. Żadnych śladów emocji na twarzy. Zerwałem z medialnym światem. Szamotam się jak student Raskolnikow. Jednak w finale inaczej jest niż w *Zbrodni i karze*. Nie pragnę odrodzenia. Chcę przepaść, zniknąć.

Retona od setek godzin rdzewieje pod domem, za drucianą siatką ogrodzenia. W południowej porze spacerem milczącym i nieśpiesznym mijam dziesiątki ludzi. Kieruję kroki do

pracowniczego bufetu Teatru Polskiego. Jem tam prosty obiad za dwa euro. Schudłem.

Moja twarz stała się przez to ostra, w rysach szlachetniejsza. Daleka od gargantuicznej gęby towarzyszącej mi przed laty. Nabrzmiałej od gorzały, bawarskich spieczonych golonek otoczonych chrzanem. Od krajowej ogródkowej marychy różnej jakości, od nocnych hotelowych partanin z przygodnymi kobietami na godziny.

Na starych estradowych plakatach widać nad moim nosem zalegające wory. Spojrzenie naznaczone brakiem snu. Dzisiaj moje oczy to marmurowe, kuliste wypustki z antycznego popiersia Oktawiana.

Mięso mego ciała nie jest już zbite jak dawniej.

B.B. King utracił dumną nazwę. Ograniczył się właściwie do oddawania moczu. Taki kawałek zbytecznej parówki bez dopływu utwardzającej krwi.

Wieczorami grzebałem w Nostalgii przy pomocy stereofonicznej wieży marki Yamaha. Otaczałem się świecami przywiezionymi z czeskiego Frýdlandu. Wyglądałem podczas tej Mszy Przypomnienia jak Niemen na okładce winylowej płyty. Z pokoleniowym hymnem – *Bema pamięci żałobny rapsod*. Z tym, że Czesław ustawiał setki zapalonych świec na organach Hammonda. Ja zalewałem kroplami stearyny mniej ważne krążki CD.

Zawsze podziwiałem Niemena za osobność. Nie znosiłem natomiast wypowiedzi artysty w mediach. Wówczas gdy plótł półfilozoficzne androny. Ale z jego muzyką podróżowałem w czasie przez dziesiątki lat. Od matury. Była to również moja osobista muzyka. Dla Czesława Samotność często oznaczała Krzyk. Też często krzyczałem. Ale teraz zwinąłem żagle. Ległem.

Z pamięci komórkowej nokii wyrzuciłem w ostatnich dniach prawie wszystkie telefony. Wiele adresów. Zostawiłem tylko te niezbędne do życia. Po to, abym, gdy zagrzechocze, wiedział, że to wiadomość od Rudej Kobiety.

Kiedy zakładałem świeżą pościel w szarą kratkę, myślałem o łzach i pocie Lucille wsiąkających w przeszłości w poszwę, prześcieradło, poduszkę.

Zaraz po tych konstatacjach wyjmowałem z chińskiej szafy jej zdjęcia nago. Bez uśmiechu siedziała na tej kratkowanej, wymiętej wówczas pościeli. Aby być bliżej niej, rozstawiałem fotografie na obrzeżach holenderskiego łóżka. Kładłem się między nie.

Pusta poduszka wymacana rankiem odbiera mi ochotę do jedzenia. Nie moczę w glauberskiej soli skancerowanych stóp. Listki diaprelu MR śniedzieją kolorem zapomnienia. Przysyłane do domu wizytowe bilety i zaproszenia na czerpanym papierze zasrały śmietnikowe muchy. Nie ustaje drążyć mnie pierdolec zazdrości. Nawet wówczas, gdy z rzadka wyjdę na powietrze.

Na jesiennym vipowskim grillu w niemieckim generalnym konsulacie ułożyłem dwadzieścia ściemniałych, popękanych od żaru wurstów. Polałem je kroplami skondensowanego, gęstego mleka z puszki.

Podczas patriotycznej imprezy pod słowiańską górą Sobótka z dwudziestu zebranych od ludzi telefonów komórkowych ułożyłem runicznemu niedźwiadkowi elektronicznego kutasa.

Zebrałem na wrocławskim Rynku dwudziestu facetów, w tym jednego czarnego. Za sto złotych kazałem im gęsiego, biegiem okrążać pomnik Aleksandra Fredry. I jeszcze te dwadzieścia torebek wymoczonych herbat wyrzucanych

z okien na kostkę bruku. By herbaciane fusy roznosiły w dal koła aut.

Czułem się jak dobrowolny zakładnik Szóstego i Dziewiątego Przykazania.

W dekalogowych, oszczędnych słowach chciałem wyrazić obraz ostatnich lat życia. Wyjmowałem z lodówki cząstki jabłek, krojonych tak, jak nauczyła mnie Lucille. I przy biurku – w otoczeniu instrumentalnego jazzu Herbiego Hancocka – próbowałem je łączyć, przywrócić kształt przeszłych dni.

Jem teraz wiele jesienno-zimowych gruszek typu bosc. Ich miąższ i intensywny zapach schładzają moje emocje. Sok cieknie mi po brodzie. Ciężkie krople spływają po ostrzu noża na biurko, krasząc leżące wokół, zapisane papiery. Ale to wcale mi nie przeszkadza. Lubię moje lepkie od soku dłonie, powoli schnące. Mam teraz takie smakowe napady.

Przez kilka kolejnych dni wypijam dziesięć surowych jajek dziennie. Albo pochłaniam wiele kubków odtłuszczonego kefiru. Lub kilogram maczanych w sosie skomponowanym z maggi, octu i oliwy pokrojonych w paski marchewek.

078. Dag Hammarskjöld

Z Rudowłosą zawsze byliśmy ekstremum. Woda i Ogień. Zimno i Gorąco. Bliskość i Dystans. Piekło i Niebo. Nigdy wodnisty kisiel, berbelucha. Gdy wsuwałem w nią B.B. Kinga, niejeden raz syczała chrapliwie: pluj na mnie, Bluesie. Proszę, wyzywaj od rozpustnych dziwek. Ja zaś z nadmierną siłą ciągnąłem ją za włosy.

Gdyby nie te znienawidzone słowa, wypowiadane w zapomnieniu – Tak cię czuję, taki jesteś mój – uwierzyłbym w naszej miłości Jedyność. Nawet wtedy, gdy w toalecie, w rogu marmurowej półki nad sedesem, znalazłem pozostawiony przez nią wycinek ogłoszenia matrymonialnego. Gdy Rudowłosa zbierała siły na odejście.

Wycinek zawieruszył się pod książką z zebranymi sentencjami Daga Hammarskjölda. Byłego sekretarza ONZ, uśmierconego żarliwego katolika. Od dawna trzymam w tym miejscu skromnie wydany tom pełen jego myśli. Książka zdążyła już zżółknąć. Wiele razy czytam jedno zdanie. A zawarł ich tam setki.

Wybrałem to, że każdy chaos – przy szczerych sercowych wysiłkach – można przemienić w cywilizację ładu. Czy na pewno? Hammarskjöld był wzorcowo etyczny. Bez stosowania szarych kolorów. Nadzwyczaj ufny. Wierzyłem jego

przesłaniom, wierzyłem w to, co napisał ten Człowiek Tragiczny. Chociaż życie żłobiło własny tor.

Podczas rzadkich wizyt Lucille znów spała mocno. Znów stała się nieczuła na dotyk palców, na pieszczoty, pocałunki.

Znów w nerwowym pośpiechu szorowała ciało. Jak gdyby zmywała z siebie ślady bytności w hotelach i motelach. Jakby doskwierała jej patyna dni łajdactwa. Po kąpieli w milczeniu wyrównywała frędzle kończące materię dywanu. Docinałem jej chuligańskimi słowami. Gdy jednak mieszkanie było puste, nerwowo kręciłem się wokół telefonu. Podnosiłem, i bezwiednie, i z rozmysłem, słuchawkę. Wyzwolę się od niej wówczas, gdy odbierając telefon, nie będę myślał, że to dzwoni Lucille.

Zapytała któregoś dnia o zabytkowe przedmioty, które wyparowały z Januszowickiej. O srebrne sztućce, świeczniki z brązu. Zapytaj tych, których, mimo moich ostrzeżeń, zatrudniałaś na czarno. Oni rozkradli gadżety po rodzicach. Figurki z petersburskich manufaktur, zabytkowe czajniki, noże do papieru. Teraz winnych nie znajdziesz.

079. John McLaughlin

Przyszła niespodziewanie na koncert. Ubrana w krótką czarną sukienkę czekała na mnie przy służbowym wyjściu z Teatru Polskiego. Zaraz po finale tegorocznego festiwalu Blues Brothers Day. Grałem tam prawie zupełnie nieznane kompozycje Roberta Johnsona. Z tłumaczonymi przeze mnie słowami.

Wypełniony ponad miarę Teatr Polski, brawa też ponad zwyczajową normę. Wiele bukietów kwiatów. Ale gdy ze sceny zobaczyłem ją na telebimie z twarzą opisaną zachwytem, posłałem do kwiaciarni na Plac Solny. Po jeszcze jeden bukiet z rzadkimi fioletowymi różami. W nocy holenderskie łóżko znów jęczało zapomnianymi dźwiękami.

Znów nasze ciała były złączone w to samo soczyste jabłko. Nasze języki splotły się w jeden warkocz. W ciemnościach waga wypowiadanych słów znów była podwojona. Ciała stawały się bardziej powabne. Dźwięki z płyty CD niespodziewanie brzmiały dwa razy głośniej. Znowu Etta James była najwłaściwszym świadkiem pojednania. Kołysała do snu głosem niosącym najpiękniejsze bluesy. Chociaż spać się zupełnie nie chciało.

Po domu nosiłem ją na barana. Chodziłem z Lucille na grzbiecie od ściany do ściany. Udając ćwiczenia zbijające kilogramy. Łóżko z wykrochmaloną czystą pościelą było tylko

naszym, starym pobojowiskiem. Po raz pierwszy wcisnąłem B.B. Kinga poniżej Małej Lucille. Przyrzekała w uniesieniu, że nigdy dotąd nikomu, nie oddała siebie w ten sposób.

Bardzo chciałem uwierzyć w te słowa. Znów, po wielu miesiącach, mieliśmy coś tylko dla nas. Nie przeszkadzał nam nawet motocyklista szarżujący nocą ulicą Piotra Skargi przy odkręconych na full manetkach gazu. Przez kilka dni nie wychodziliśmy z domu. Lucille smażyła małe kotlety z mielonego mięsa indyczego mieszanego z tatarską metką. Przypominały lionskie pulpety. Nawet przesolone mogłem je jeść całymi tygodniami.

Zamawialiśmy do domu wieloskładnikowe pizze, z których lubiłem odkrawać obrzeża. Smarowałem je francuskim solonym masłem i trzydziestoprocentowym pomidorowym przecierem z Pudliszek. Na wierzch układając grube plastry krakowskiej suchej. Jedliśmy tę kompozycję na wyścigi. Z restauracji Bałtyk zamawialiśmy telefonicznie wielki garnek rosołu z warzywami.

Moje życie to także urozmaicone jedzenie. Kontemplowanie niecodziennych potraw. Lecz coraz rzadziej ulegałem fanaberiom zawodzącego brzucha. Przed laty zacząłem smakowanie rozmaitych egzotycznych potraw, gdy w Polandii nie było jeszcze nowobogackich jadłodajni. Z gównami udającymi dania rodzącego się high life'u.

Uczyłem się nowych smaków w otoczeniu kalifornijskich win chardonnay i sauvignone. W niewielkiej restauracji Marilyn Monroe przy ulicy Odrzańskiej. W której za wielką szybą wisiał w gablocie setny fałszywy szlafrok amerykańskiej artystki. Ale jedzenie podawali wspaniałe. I nieustanną muzykę gitarzysty Johna McLaughlina, którego wszystkie wydane płyty zgromadził anglojęzyczny właściciel restauracji.

080. Taj Mahal

Znów zdzierałem skórę ciała o jej srebrną biżuterię. Podbrzusze rysowały mi w kreski Chagalla bransolety, ostrobrzeżne pierścionki, koralowe kolczyki. Brałem ją niecierpliwie i zazwyczaj nie zdążyła ściągnąć z siebie ozdobnego metalu. Zrywałem z niej moje sprane obszerne T-shirty, moje wielkie kolorowe bokserki. Wyglądała w nich jak cyrkowy clown.

Zostawiałem wiele śliny na Rudej Kosodrzewinie, na posiniaczonych pośladkach. Lizałem setki piegów Lucille. Mówiliśmy do siebie słowa pojednania. Jakby nie istniał przemycony do Kanady Kenijczyk. Krótka jest i fałszywa ludzka pamięć, wybierająca wygodę chwili.

W tym samym czasie *Tatuaże Bluesa* zaczęli puszczać w internetowej rozgłośni 365.com. Zgrabnie mieszali je z najsłynniejszymi utworami Taj Mahal. Łącznie z tym słynnym, wymruczanym kawałkiem, wylansowanym przez Janis Joplin – *Mercedes Benz*. Byłem podekscytowany. Trwały Dobre Nuty w brudnej kałuży niepowodzeń. To był niespodziewany happening. Lucille i 365.com.

Gdy po raz pierwszy usłyszałem z laptopa anglojęzyczną audycję, z radości grałem w kuchni na hohnerze godzinę solo. Nawet, nawet zabrzmiało. Dobro nie może jednak trwać długo. Po kolejnej szarpaninie, w której obsadziłem

Lucille w pierwszoplanowej roli kurwy, zaciągnęło miałem. Zawadiackie portrety w stylu Bonnie & Clyde wywiał wiatr. Wystartowała sinusoida.

Miłość poszła się jebać, wyznała bez bon tonu Rudowłosa. I przestała po domu chodzić w łatwo dostępnych T-shirtach. Pod które często wkładałem dłoń, szukając wilgoci Małej Lucille. Już nie nosiła dla mnie specjalnej koronkowej czernizny z lumpiarni Armaniego w Görlitz. Jej zapachy przestały przechodzić na moje ciało.

Nie szukałem ich śladów na porannej poduszce. Zaraz po tym, jak otworzyłem oczy. Dawniej wskazującym palcem świdrowała mi w uchu. Już nie czułem tamtej zamierzchłej przyjemności. Myślałem natomiast, ilu facetom w ten sam sposób dawała znać, że mogą z niej korzystać do woli.

Miała zresztą teraz niecierpliwe palce. Zakończone paznokciami łuszczącymi się łatami popękanego lakieru. Szybko traciły elegancję. Dekadencja znajdowała w nas encyklopedyczną definicję. Coraz częściej moczyła się nadmiernie długo w wannie. Trwała w niej z zamkniętymi oczami. Jakby chciała pod kotarą powiek przepuszczać autobiograficzne filmy z własnego życia. Jakby nie zamierzała dopuszczać do siebie obecnego bytowania.

Znów przynoszone z placu Dominikańskiego chińskie szczoteczki lądowały na śmietniku. Zabroniłem używania moich kosmetyków. Jej zniknęły z łazienki. Łaziła po kuchni z wykałaczkami utkwionymi w zębach. Na bosaka tańczyła Piazzollę.

Jak, Bluesie, wyglądam? Cha, cha, cha! Odpowiadałem – jak zdzira plemiennego Murzyna, któremu za dobre jebanie podarowałaś starego forda. Jej ciało znieruchomiało. Patrzyła na mnie lodowato. Nie tak jak wówczas, gdy uczyłem ją czytać powieści nowych klasyków. *Pachnidło* Süskinda, *Mewę*

Richarda Bacha, *Pantaleona i wizytantki* Llosy i podobne niewydarzone historie.

Podczas kinowych seansów nie trzymałem Rudej za dłoń. A to, po wielu latach zapomnienia, było moim ulubionym zajęciem. Urządzonego przez Lucille ogródka na balkonie nie zmieniałem po swojemu. Podlewałem tylko kwiaty według jej wskazówek. Lecz siła tych gestów była rachityczna, wyraźnie zmierzchało.

Nie chodziło już między nami o miłość, o dialog, zaskakiwanie siebie czynami, gestami oddania. Szło wyłącznie o niszczące, wypalające przebywanie z sobą. O wymianę nienawistnych spojrzeń z czającymi się w nich demonami zemsty. O przechodzenie obok siebie bez ocierania się, milcząco.

Byliśmy wzajemnymi zakładnikami. Nie ufam ci, gdy cię nie widzę przy mnie, gdy nie wiem, co robisz poza domem – kwitowałem zaczepne dialogi. Rzadko dzwoniłem na Januszowicką. Ale kiedy już tak się działo, nakazywałem Lucille krzyczeć na cały dom – Bluesie, kocham cię!! Po to, by płoszyła ewentualnego, przebywającego tam godowego mężczyznę.

Płakała któregoś wieczora, że ksiądz nie dał jej po spowiedzi rozgrzeszenia. Chociaż przyznała się tylko do jednej pozamałżeńskiej zdrady. Właśnie ze mną. Przekonywała duchownego, że ogarnęła ją wielka miłość, namiętność, którą dobrotliwy Bóg mógłby pobłogosławić.

Niestety. Nie położył odpuszczającej dłoni na rudych włosach. Jak zatem zareagowałby surowy urzędnik niebios, gdyby wyznała mu, że w ręce trzymała co najmniej dwadzieścia kutasów. Różnej wielkości, barwy, twardości i kształtu? Tyle przynajmniej, o ilu wiem na pewno.

Osobista lista najważniejszych standardów mojego życia ogłoszona dzisiaj w tygodniku „Polityka". Idzie raczej o wykonawców, a nie kompozytorów. *Summertime* jest Gershwina, ale najlepiej ten kawałek śpiewa Janis Joplin. Ciekawe, że moja lista jest niezwykle podobna do ułożonej przez Quentina Tarantino, reżysera pokopanych kryminałów. Jego muzyczne wybory wydrukowano w „Timesie". Mamy podobne gusty.

01. *Sunny* – Bobby Hebb
02. *Summertime* – Janis Joplin
03. *Hey Joe* – Jimi Hendrix
04. *Rosemary Baby* – Krzysztof Komeda Trzciński
05. *Ode To Billie Joe* – Bobbie Gentry
06. *Georgia On My Mind* – Ray Charles
07. *Wild Thing* – The Troggs
07. *God Bless The Child* – Arthur Herzog Jr.
08. *Spinning Wheel* – Blood, Sweat & Tears
09. *Whole Lotta Love* – Led Zeppelin
10. *With A Little Help From My Friends* – Joe Cocker

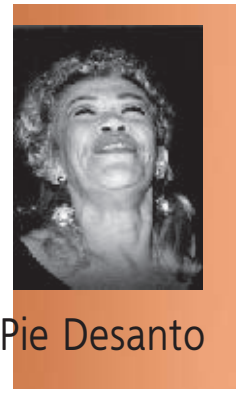

081. Sugar Pie Desanto

W te dni ostatnie Lucille zdradziła mnie! Wydały ją gwałtowne ruchy bioder.

W piosence *How Do You Do It* zdradę przepowiedziała czarnoskóra wokalistka z wytwórni Chess – Sugar Pie Desanto. Śpiewała, że w kobiecie drzemie instynkt wilczycy. Gdy nadchodzi ruja, uparty samiec dopadnie niechybnie pożądliwą sukę. Piosenka ma wiele lat, ale jest wciąż prawdziwa.

Czarne piosenkarki mają głos kobiet pozornie uśpionych. Taką sztuką emanowała Billie Holiday, Dinah Washington. Tak toczą wokalizy Shirley Horn, Shemekia Copeland. I jeszcze wiele innych. Rozkręcają się podczas czesania. Czyli nabierają feelingu oraz energii z każdą kolejną zwrotką. Lucille rozkręcała się z każdym wypitym łykiem KB Likér.

Teraz, gdy ostatnie butelki zielonookiej miętówki zostały rozbite o kanaryjskie skały, powrócił Smutek Tropików. Cyklofrenia na dobre wypełzała z czeluści jej ciała. Mniej się kontrolowała. Dlatego rozpoznałem bez wątpliwości, że w ostatnich dniach rozłożyła nogi przed innym samcem. Puściła się.

Zachowanie Rudej Kobiety było inne niż zazwyczaj. Kochałem się z nią powoli, bez alfonsiarskiego pośpiechu. Przed

ostatecznym wśliźnięciem się B.B. Kinga do zakamarków Małej Lucille długo się pieściliśmy. Łopata jej języka szlifowała moją twarz. Ja dotykałem mapy ciała Rudej. Wsuwałem wyprostowane palce w globus jej włosów.

Pieściłem skórę jeszcze mojej suki w niezliczonych miejscach.

Lecz w tym dniu nie poznałem Lucille. Nasza miłość już poszła się jebać, ale myślałem, że w holenderskim łóżku byliśmy wciąż jednością. Tym razem, myślę, że z głupoty, nieostrożności i lekceważenia mnie, zachowała się jak za najintensywniejszych dziwkarskich czasów. Jak na początku naszej znajomości, kiedy była przysposabiana do innych kutasów.

Znowu wypuściła z ust żenujący klangor słowny: Tak cię czuję, taki jesteś mój. Ale to wszystko lipa. W ustach przechowywała gorzki smak nikotyny. Co dawniej było nie do pomyślenia. Odnóżami szkolonej małpy ściągnęła z moich bioder bokserki w kilka sekund. Czułem, że ciało Rudowłosej nie jest moje. A wyłącznie mnie obsługuje. Nie jest posłuszne zmysłowi finezji.

Ale to wszystko lipa. Zrobiła za chwilę to, czego unikała jak ognia, wiedząc doskonale, że znam przyczynę takiego zachowania. Nagle, od pierwszych chwil przyjęcia do środka B.B. Kinga,

zaczęła gwałtownie rzucać biodrami. Góra, dół! Góra, dół!

Kurwa! Nabijała się pospiesznie, chcąc wyraźnie, aby mięso mojego ciała odpadło z niej jak najszybciej. Właśnie o takim stylu jej zachowania opowiedziała mi – podczas dawnych raportów Rudowłosej – oczyszczająca miętówka.

Czyli Lucille mnie zdradziła!

Zrzuciłem ją z siebie i znów zobaczyłem małą dziewczynkę stojącą w nieskazitelnie białej sukience przed bramką domu przy ulicy Januszowickiej. Z pieskiem kundelkiem obok. Dziewczynkę schylającą się nad zwierzątkiem, ale patrzącą w obiektyw aparatu fotograficznego niczym mała, zepsuta zalotnica. Wówczas gdy tatusiek miał stały dostęp do jej delikatnych, dziewczęcych ud.

Teraz patrzyła na mnie podobnie. Patrzyła tak, jak niedawno na zużytego alfonsa ze starego bmw. Przyłapałem ich spojrzenia w Rynku. Szła ze mną, gdy mężczyzna zza szyby niemieckiego grata krzyknął, cześć, zadymiaro! I spojrzał tak, jak tylko patrzeć może klient na towar do wynajęcia. Lucille spojrzenie dziwki odwzajemniła. Zwymiotowała je za chwilę na pobliskim podwórku.

A ja wiedziałem z pewnością zawodowego śledczego, że i on przez krótki okres musiał wybierać ją z Klubu Związków Twórczych. Kręciła się teraz na łóżku. Myślała, że oszuka mnie szybko wyrzucanymi z siebie słowami. Zawsze, gdy łapałem ją na kłamstwie, wyrzucała z siebie wiele chaotycznych słów. Albo odkładała gwałtownie słuchawkę telefonu w udawanym wzburzeniu.

Lawa gorącej smoły wylała się z bulgoczącymi pęcherzykami powietrza. Biodra bezmyślnie wydały właścicielkę. Zdradziła! Dusiła mnie wściekłość zranionego samca. Dawniej płakałem z żałości, że tylu przygodnych kochanków używało usługowo jej ciała. Nie jest źle, gdy człowiek płacze. Płacz przynosi ulgę i pozwala znieść wszelkie udręki, niespodziewane razy, twardy bruk.

Zdradziła! Do tej pory okłamywałem siebie idiotyczną ludową maksymą – Czego oczy nie widzą, sercu nie żal. Było

żal sercu, ale w niedostępnych czeluściach mózgu kiełkowała naiwna myśl, abym w jej pokancerowany życiorys tak do końca nie wierzył. Uznał go za iluzję stworzoną przez megalomański charakterek. Abym przygodnych jebaków podzielił przez dziesięć.

Dzisiaj mnie zdradziła. Umarła nadzieja na Lepsze. Najczęściej tak przecież jest. Że im wyższy postawisz sobie cel, tym bardziej jesteś samotny. Autorzy Sentencji wieszczą, że życie to tylko chwila. Lepiej jest wspominać, co się w nim zdarzyło. Niż to, co zdarzyć by się mogło. Naprawdę? Za jakiego idiotę musiała mnie, płaczącego, uważać wówczas.

Gdy wiele miesięcy temu pisałem muzykę i słowa do *Tatuaży Bluesa* czyniłem tak bez jedzenia i bez picia. Gryzłem niemal wyłącznie kilogramy prażonych pistacjowych orzechów. Aż do niesmaku w ustach. I dzisiaj czuję między policzkami słono-gorzki syf. Nie mogę go wypłukać bezprocentowymi płynami.

Krzyczysz na mnie jak ojciec, wyrzuciła mi. A przecież nie krzyczałem. Puszczały postronki jej nerwów. Milczałem zdezorientowany, przede wszystkim zrezygnowany. Jesteś jedynym mężczyzną, u którego w łóżku zobaczyłam twarz taty, wyznała nieostrożnie. Czy był to na mnie wyrok?

Kazałem się Lucille ubrać i zawiozłem na Januszowicką. Koniec. Setki razy wymawiałem to słowo. Postanawiałem tak bez pożądanego efektu. Przyrzeczenie dzisiejsze musiało być jednak ostateczne.

Czym jeszcze może sprawić mi przykrość? Spaniem z jednooką kobietą. Może chodziła na seksualne seanse do domu starców? Uczestniczyła w kombinowanych figurach grupowych. Nago tańczyła na rurze z liliputem.

Do betonowego klocka odwoziłem partiami jej pozostawioną u mnie garderobę. Za każdym razem płakała. Chwytała mnie za materię T-shirta. Prosiła o przebaczenie. Przyrzekała poprawę. Prosiła o pokutę. Nie ulegałem tej liturgii. Ale wiedziony wspomnieniami naszego holenderskiego łóżka któregoś przedpołudnia zawiozłem ją raz w samym szlafroku na Osobowice.

Wziąłem ją pośpiesznie za Domem Żeglarza. Na skraju lasu, na darni, prawie w błocie. Wtedy po raz ostatni pożądałem jej tytanicznie. Chociaż minuty wówczas spędzone były z mojej przyczyny fuszerką. Ledwie zdołałem wepchnąć nieposłusznego B.B. Kinga pomiędzy wilgotne fartuchy Małej Lucille.

Luźna kartka z nienawistnymi słowami

Piszę te złe słowa i czytam je wiele razy jak modlitwę.
Rudą Kobietę spotykam coraz rzadziej.
Zaległem w domu oddzielony od świata wszystkim.
Nie odbierałem telefonów.
Do stołówki Teatru Polskiego przestałem chodzić na smażoną rybę.
Gdy widzę Lucille na ulicy, wydaje mi się, że ma coraz widoczniej pałąkowate nogi.
Podczas nijakiej rozmowy czuję u niej coraz bardziej kwaśny oddech.
Od nieprzetrawionej do końca gorzały.
Normalnie paliła cienkie mentolowe papierosy lighty.
Teraz ćmi jeden za drugim, podobnie jak reżyser Jerzy Grotowski, ekstra mocne.
Albo wyniesione z mojego domu cygara Willigera.
Wiele pokaźnych pudeł cygar tej marki dostałem na jakiejś promocji.
Zamiast honorarium.
Znów pewnie, jak w motelach na godziny, myje zęby tylko palcem.
Do domowych sprzętów, niczym w publicznym kinie, przykleja wyślinione gumy do żucia.
U mnie w domu przyklejała gumę za lodówką, pod krzesłami, pod blatem stołu. Brrr!
Pewnie znów rozgryza na miazgę drewniane wykałaczki.
Zupełnie inaczej pachnie jej skóra.

Na pewno nie słowackimi, lekkimi kremami marki Indulona.
Które kazałem jej kupować we frydlandzkim Penny Markt.
Na pewno ogląda w milczeniu głupie telewizyjne seriale.
Zasypia u boku innego mężczyzny.
Porusza gwałtownie biodrami!
Nie chcę Lucille!
Nie jest dla ciebie, Bluesie!
Nie chcę Lucille!
Nie jest dla ciebie, Bluesie!
Nie chcesz Lucille – Bluesie!

082. Robert Johnson

Wróciłem z kilkudniowego zawodowego pobytu w Trossingen. Z niemieckiej centrali firmy Hohner. Właściciele fabryki zaprosili na miejsce zbrodni wybranych przez zarząd i doradców harmonijkarzy Starego Kontynentu. Otwierali po raz pierwszy europejskie targi instrumentów z miechem. Wytwarzanych przez ten koncern. Podczas finałowego, uroczystego koncertu sugerowali muzykom dwie propozycje do zagrania.

Klasyczne utwory, estetyką dalekie od charakterystycznych dla tego instrumentu. Mozarta, Bacha i im podobnych. Oraz bluesy Roberta Johnsona. Instrumentalistą będąc przybyłym z sąsiedniej Polandii, nie wypadłem w tej konfrontacji mizernie. Zaskoczyłem ich bluesowym tonem utworów Astora Piazolli.

Doprawiłem swoje pięć minut ciężkimi greckimi rembetikami w kompozycji zgorzeleckiego Greka, Janisa Bourasa. By wreszcie zagrać najsłynniejsze fado wielkiej Amalii Rodrigues, której rozfalowany, rozdarty głos umierał w każdej śpiewanej przez nią piosence. Dawałem świadectwo, że muzyka jest jedna.

Wartościować można ją wyłącznie talent interpretatorów. A blues jest zapisem spowolnionej kaskady dźwięków silnie przeplecionych z ludzkim bytowaniem. Archaiczni blu-

esmani byli chodzącą szczerością. Nie do wymazania. Nie do podrobienia. Teksty tamtych songów były ich prawdziwymi życiorysami.

Podczas czegoś na kształt sympozjum mówiłem także, iż blues jest oryginalną, niepowtarzalną muzyką powstałą na styku europejskiej i afrykańskiej tradycji kulturowej. Jest dzisiaj wielonarodowy, chociaż głównym jego źródłem pozostaje jednak niewolnicza Afryka.

Alan Lomax, badacz tradycji ludności afroamerykańskiej, odkrył wśród plemion Wolof i Watusi pieśni bardzo zbliżone do bluesowych utworów z amerykańskiego Południa. Kłaniałem się uniżenie talentowi Johnsona. Dzięki któremu doświadczali uniesień Muddy Waters, John Lee Hooker, Eric Clapton, Rolling Stonesi, Fleetwood Mac i jeszcze bardzo wielu innych.

Peter Green – dawniej Fleetwood Mac, a dzisiaj The Splinter Group – nagrał dwie pieśni Roberta Johnsona w klasycznych interpretacjach. Zwracałem także uwagę na oryginalne teksty, wzmacniające utwory Wielkiego Roberta. Tak bowiem jest, że słowa o niezwykłej sile wyrazu windowały w górę melodyczną linię. To, co w pierwszej chwili wydawać się może trywialne.

Słuchali uważnie mojej wypowiedzi. Może ja odważę się w przyszłości nagrać z Tadeuszem Nalepą płytę wypełnioną kompozycjami mojego Mistrza – Johnsona. Zbliża się sześćdziesiąta piąta rocznica urodzin ojca polskiego bluesa. Na świecie trwa feta z okazji stulecia tego gatunku. Johnson i Nalepa. Jeden i drugi to dla mnie – Genius Hits the Road.

Ta wspólna płyta byłaby muzyką nurzającą się w sentymentalnym pojednaniu z naturą, z seksem po bożemu, posiłkami na trawie pokrytej śnieżnobiałym obrusem. Z dozgonną

miłością naszych partnerek. Taki spokojny album pomógłby mi odzyskać noce przespane do świtu.

W tym roku Europę nawiedziły gigantyczne powodzie. Pod brudną, spienioną wodą Wełtawy ginęła święta Praga Franza Kafki. Na przedmieściach stolicy Hiszpanii w powietrze wylatywały pociągi pasażerskie. W Dreźnie podmywało Zwinger. Tak dramatycznie opisany przez Kurta Vonneguta. W proch waliły się od stężonych, halnych wichrów wypieszczone austriackie kurorty Karyntii. Do władzy w demokratycznych dotąd państwach dochodzili odziani w skóry butni narodowcy.

To wszystko docierało do mnie z oddali. Zawalony byłem dniami przepływającymi bez Lucille. Lukratywny wyjazd do Trossingen był urozmaiceniem szarych, codziennych kalek. Musiałem przestawić swoje życie. Miałem nazbierany kapitał. Żyłem z tantiem. Nie był to jednak dobry sposób bytowania na lata.

Zapragnąłem w rodzinnym Zgorzelcu, przy peryferyjnej ulicy Świętego Jana, kupić opuszczoną, nieczynną wieżę ciśnień. I w jej wnętrzu założyć prywatną, jednoosobową, bluesową rozgłośnię radiową – Blues FM. Uruchamiałbym ją, kiedy zechcę.

Na styku granic Niemiec, Czech i Polandii zamierzam uczyć ludzi, czym jest blues.

Myślałem przy tym, że im mniejsze miasto, tym mniej dręczącej samotności, mniej anonimowości. Jedna wspólna knajpa, piwo z kumplami z młodości. Oraz tajemnice życia. Do znudzenia obrabiane przez tubylców i regionalne brukowe gazety. I kuchnia pachnąca regionalnością.

Tutaj, w Zgorzelcu, często kupowałem od producenta ekologicznej żywności kozi pełnotłusty ser. Jadłem go na cie-

pło z maślanymi grzankami. Popijałem zimnym jesiennym piwem Bock z browaru w Görlitz. Danie to zawsze przypominało mi bezpowrotnie miniony czas cajgowych dzwonów, kwiecistych koszul z żabotem, beatlesówek i pocztówkowych płyt gramofonowych.

Ten kozi, delikatnie gorzkawy ser jadłem także u Janka Antykwariusza. W jego antycznie urządzonej gospodzie Przy Jakubie. Obok, w sąsiednim domu, pięć wieków temu, mieszkał Jakub Boehme.

Jakiś czas temu, po kilku piwach, chodziliśmy z Jankiem po mieście z cyfrowym dyktafonem. Pytaliśmy przechodniów o tego mędrca. Prawie patrona miasta nad Nysą. Na kilkanaście zagadniętych osób nikt nie znał filozofa światowej sławy. Nikt! Boehme – pusty dźwięk.

Natomiast Janek Antykwariusz, w latach panowania Beatlesów, zasłynął wśród nas, miejskich małolatów, wielką kropką pod lewym okiem i umiejętnością błyskawicznego wszywania klinów do tradycyjnie skrojonych spodni. Przerabiał je w godzinę na modne wówczas dzwony. Czynił to tak udanie, że niczym nie różniły się od tych noszonych przez muzyków The Troggs. Razem z nimi, trzeszczącymi na pocztówkowych płytach, wyliśmy utwór Chipa Taylora – *Wild Thing... you make my heart sing*.

Czuliśmy się w takich chwilach Nieśmiertelni. Naznaczeni przez popartową Epokę.

083. Miles Davis

Blues jest w istocie opowieścią nieszczęśników z ludzkich nizin. To pieśń o rezygnacji, nieustannym smutku, bezbrzeżnym żalu. To skarga na to, co nigdy nie będzie spełnione. Mało w nim buntu Czarnych Panter. Nie ma w jego strofach zapowiedzi krwawej zemsty.

Bóg nadał sens protest songom. Gdyby był uległy – świat stałby się nie do zniesienia. Poczucie daremności modłów rozpiera mnie dzisiaj. We własnych ścianach chcę – obok oszczędnie serwującej dźwięki trąbki Milesa Davisa – być solistą w utworze *All Blues*. Pragnę wciąż grać Manifest Wolności z wielkiej płyty *Kind of Blue*. Rozwala mnie *Boom Boom*.

Zamierzam posiąść absolutną niezależność życiowego bluesmana z sąsiedztwa. Przychodzącego rano pod okna mojego poniemieckiego domu. Gdy tylko jestem we Wrocławiu. Osiągnąć wolność nieboraka owładniętego napadami choroby psychicznej. Byłego trenera pierwszoligowej koszykówki, którego na skrzyżowania ulic, do piwnic i na okoliczne śmietniki wyprowadziła zdrada żony.

W parzyste dni, bez względu na porę roku, rzucam mu z pierwszego piętra elegancko foliowane cygaro Willigera. Z celebracją Fidela Castro przypala je zaraz po rozpakowaniu. W ten sposób daje mi sygnał, że nie trafiło ono w inne niż jego dłonie. A w dni nieparzyste rzucam nową błysz-

czącą dwuzłotówkę z dziurą w środku. Taką, jakie mają greckie drachmy.

Ale nie zachowuje podarowanej monety na dłużej. Oddaje ją kilkanaście minut później w nieodległym filatelistycznym sklepiku. Dostaje za rzadką monetę więcej. Starcza mu na dwa mocno naprądowane puszkowe piwa.

Dzisiaj jednak nie jestem groszowym darczyńcą. Terenową retoną ruszyłem z parkingu hotelu Pod Orłem. Wyjechałem do miejsca moich kontemplacji – Frýdlandu. Pod górującą nad miastem kamienną bryłę Wallensteina. Podczas zapisywania mrocznych stronic powieści *Zamek* warownia była dla Franza Kafki literackim zaczynem.

W surowym drewnianym wnętrzu restauracji U Vojevody piję bez umiaru czarnego vielkopopovickiego kozła. I nanoszę osobiste zdania na odwrocie nieaktualnych jadłospisów. Na turystycznych reklamowych ulotkach. Potem przepisuję je do szkolnego szesnastokartkowego zeszytu kupionego za drobne halerze. Albo do pamięci laptopa.

Właściciel restauracji wiele razy słuchał *Tatuaży Bluesa*. Podoba mu się ta muzyka. Więc za jedzenie i browar nie chce ode mnie przyjmować pieniędzy. Ja z kolei przywożę mu nowe gratisowe płyty przysyłane mi testowo do domu przez europejskie fonograficzne firmy.

Zatem w podzięce puszcza mi z restauracyjnych głośników kawałki The London Symphony Orchestra grającej z niesłychaną wirtuozerią Dvořáka. Jego Melodie z Bohemii. Wiele innych dzieł czeskiej muzyki poważnej kupuję tutaj na wyprzedaży. Jeden przeceniony krążek jest wart tyle co miska warzywnej polewki. Czyli plus minus pół euro.

Przy tych perfekcyjnie wiedzionych dźwiękach, przy rozpalonym drewnianymi szczapami kominku tworzy się U Vo-

jevody klimat matecznika. W Polandii nigdy dotąd nie udało mi się trafić w podobne miejsce. Tutaj przypływają do mnie zapomniane obrazy. Te, które w rwanych, rozliczeniowych snach wołają o ciągłą obecność.

Myślę coraz częściej o utraconej żonie. O tym, że zmarnowałem jej życie. Na końcu języka czuję wyjątkowy smak przyrządzanej przez nią wołowiny duszonej w miękkiej, ostro przyprawionej papryce. Słyszę jej troskliwy głos ostrzegający mnie przed zgubnymi meandrami koncertowej trasy.

Często, w tych sennych wspomnieniach, nosi piękny ciemnoczerwony kaszmirowy płaszcz uformowany przez projektantkę Sonię Rykiel. Jedyną markową, cenną rzecz, jaką posiadaliśmy w młodości. Nadzy, przykrywaliśmy się czerwoną płachtą torreadora, czując nad sobą high life.

Na strychu sublokatorskiego mieszkania znalazłem któregoś razu wielką srebrną monetę z podobizną Bismarcka. Na wiele lat stała się moim talizmanem. Wkładałem srebrny krążek pod chybotliwą nogę wieloletniej, zapomnianej przez tapicera, wąskiej leżanki. Zatem Sonia Rykiel nie spadała na podłogę.

W monotonii jesiennego deszczu, przy dialogowych pomrukach frydlandzkich Czechów rozprawiających o tym, czy warto opodatkować dziwki, czułem się dobrze, anonimowo, bezpiecznie. We mgle układającej się do snu szosy, w wieczornych światłach bijących z okien przydrożnych chałup wracałem podpity do Zgorzelca. Do hotelu Pod Orłem. Długo stałem pod błyszczącym lejkiem prysznica, zmywałem ze skóry nieobecne mydło.

Tak, jak ongiś czyniła Lucille, oczyszczając się z potu i śliny kolejnych jej użytkowników.

W te dni czytam także teksty własnych piosenek sprzed kilkunastu lat. Grzebię w przeszłości. Niektórych tekstów się wstydzę. Widzę wersy pełne infantylności. Inne wydają się papierowymi manifestami. Sprawdza się maksyma zmarłego na raka poety, że aby żyć rozumnie, z młodych gniewnych zamieniamy się w starych wkurwionych.

Rytm w moich pierwszych utworach był równie ważny jak ból i krew na ścianie. Równy takim uczuciom jak płacz, zdrada i nienawiść.

Teraz, gdy wzgardzony hohner marine band leży na dnie szuflady, próbuję zasad kinematografii. Wiele razy, podobnie jak na planie filmowym, mówię do siebie: akcja! Ale kamery znanym wszystkim terkotem nie chcą mielić kolejnych metrów taśmy. W ogóle jej nie ma w chromowanym pudle.

Ewangeliczni dziennikarze, zaprzedani Jezusowi za redakcyjne etaty, głoszą jego słowa, że prawda czyni nas wolnymi. A Prawda jest przecież siostrą Śmierci. Kto to powiedział? Czy przypadkiem nie ja? Zachowują się zatem jak ludzie żyjący bez pieśni, bez folkloru. Mają hermetyczne kapliczki wygodnej teologii i wyuczone argumenty, aby pouczać innych. Ale – paradoksalnie – nie czują religii wzbudzającej strach.

Jeśli ikony zastępują im dialog z Bogiem, to jest oszustwo.

Mam głębokie obrazoburcze przeświadczenie, że Pierwszy Hippis tego marniejącego świata dramatycznie się pomylił. Jeśli te słowa nie są wymysłem szczwanych kapłanów. Jeżeli Jezus w ogóle tak powiedział. Prawda jest okrutnym żartem. Łamie ludzkie życia, bardzo boli i wystawia nas na żer zawistników.

Najgorsze piosenki wszech czasów

To taki gorzki żart. Przystałem na propozycję, bo jestem w złej psychicznej kondycji. Odpowiedziałem na ankietę zabawowego, ale opiniotwórczego magazynu „Maxim". Nie wiem, czy moją listę potraktują poważnie. Daleki od bluesa jest rodowód tych piosenek. Ich sprawa. Oto moi, tfu, faworyci, najgorsze piosenki wszech czasów.

01. *We Built This City* – Starship
02. *Achy Breaky Heart* – Billy Ray Cyrus
03. *Everybody Have Fun Tonight* – Wang Chung
04. *Rollin'* – Limp Bizkit
05. *Ice-Ice Baby* – Vanilla Ice
06. *The Heart of Rock 'n' Roll* – Huey Lewis & The News
07. *Don't Worry Be Happy* – Bobby McFerrin
08. *Party All The Time* – Eddie Murphy
09. *American Life* – Madonna
10. *Ebony & Ivory* – Paul McCartney & Stevie Wonder

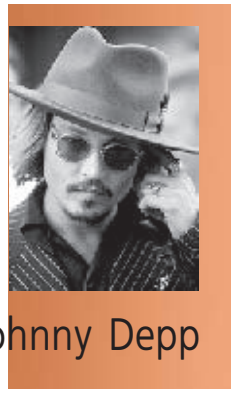

084. Johnny Depp

Wracałem do Wrocławia. Mijałem przydrożne miejsca, w których przebywałem z Rudą. Na skrajach zgorzeleckich borów, targując się komicznie ze zbieraczami runa leśnego, kupowaliśmy w kobiałkach dorodne jagody, rude rydze. Pachnące nadchodzącą jesienią niewielkie borowiki z białymi brzuchami.

W młodniaku, zaraz przed wjazdem na autostradę, całowaliśmy się jak długoletni więźniowie. A Lucille sikała mi na dłonie. Miękki i łaskotliwy puch dmuchawca przyklejał się do wilgotnych palców.

Na łąkach przed Legnicą, nie bacząc na krecie ziemne kopczyki, na uprzykrzone muchy i wielkie pasikoniki, waliliśmy się na trawę bez ubrań. Niczego nie podkładając pod nagie ciała. Nieopodal, niczym grzeszne dzieci, maskowaliśmy się w malinowym chruśniaku. Przed pierwszymi budynkami Wrocławia Ruda Kobieta powoli zdejmowała majtki. Podczas szybkiej jazdy otwierała uda. Prowadziłem retonę jedną ręką, na jednym wysokim biegu. I znów byliśmy jednością.

Po takiej niezwyczajnej podróży nigdy nie miała śladów szminki na zębach, rozmazanego tuszu, potarganych włosów. Doprowadzała się do porządku niepostrzeżenie. Wjeżdżaliśmy do miasta niczym para zdyscyplinowanych skautów. Ale wspomnienia też nie trwają wiecznie. Dół wzywał czernią bezładnej szarpaniny.

Teraz Lucille jest szklaną kulą na mojej otwartej dłoni. Ale kiedy nasze dni zaczynały być splecionym warkoczem, nie rozpoznałem jej stanu psychicznego. Wówczas gdy pod Garnizonowym kościołem po raz pierwszy poczułem zapach jej grzesznego ciała. Gdy zdumiały mnie liczne piegi na jej skórze. Wielka wiązka rudego chrustu na głowie. Niedługo po tym spotkaniu zapadła w siebie.

Zagłębiła się w milczącą stagnację, w umartwienie ciała i duszy.

Nie wiedziałem z jakiego powodu. Chodziła do bioenergoterapeuty, który zamiast przekazywać witalne siły, ordynarnie ją macał. Nie wyczuwałem tego wszystkiego. Tego, że podczas depresyjnych dni miała apetyt wilka. Kilogramowe kostki twarogu, różnokształtne makarony w otulinie z ciężkich sosów jadła w okamgnieniu.

Ostra zupa z cieciorki, a nawet zawiesiste, mąką potraktowane flaki znikały w jej wnętrzu kamforycznie. Podczas tych seansów napełniania brzucha tworzyły się na jej policzkach zabawne dołki. Lubiłem je. Patrzyła na potrawy łapczywie, z lekkim zezem. W specyficzny sposób rzucała ocznymi gałkami. Niby takim zagubionym, ale czujnym spojrzeniem.

Ciągle szukała językiem po zębach drobin jedzenia. Po kilku tygodniach coś się odwracało. Nie jadła nic. Twarz miała martwą, bez wyrazu, ruchy spowolnione. Boję się, płakała. Obawiała się towarzystwa ludzi. Mów do mnie córeczko, mów, Bluesie, do mnie córeczko. Będę się mniej bała. Nie chcę być dorosła. Tak było. A ja macałem nieprzepuszczalną mgłę.

Teraz słucham dziwnej, intrygującej muzyki Kronos Quartet. Ścieżki dźwiękowej, filmu Sally'ego Pottera – *Mężczyzna, który płakał*. Z Johnnym Depem w głównej roli. To film jakby o mnie. Czuję coraz ciaśniejszy oplot muzyki klasycz-

nej, jazzu, bluesa i zimnej elektroniki. Gdy krążą tony utworów kwartetu, przelatują przeze mnie czarne, rozpierzchnięte konie.

Ziemia kręci się gwałtownie, jak obrazy graficzne z programu Windows Media Player.

Mianserin, sedaselect i kavadura to tabletki, które zażywam, aby rzeczywistość snuć podobnie jak snuła ją Ruda Kobieta. Przeżywać to samo co ona. Siedzę długo w nocy, udami ogrzewając porcelit klozetowej muszli. Ale nie zabieram z sobą do toalety gazet, książek, telewizyjnego programu. Nie oglądam kolorowych magazynów.

Nigdy zresztą tak nie czyniłem. Siedzę z nadzieją, że na tronie doznam olśnienia. Jak pokierować bieg spraw. Daremnie. Od dwóch miesięcy, gdy sporadycznie kładę się z Lucille do srebrnego łóżka, nie czuję istnienia B.B. Kinga. Dawniej ściągałem w głąb siebie mięśnie podbrzusza, czując gotowego koguta. Teraz nic, bezsiła, rezygnacja, upokarzająca nieobecność.

Rudowłosa też jest inna. Nigdy w łóżku nie udawała miauczącej kotki. Zazwyczaj milczała, czasem z cicha pojękiwała. Ale nie sztucznie, jak w serialach, które bezmyślnie oglądała. Teraz nie wypuszcza z ust nawet mgiełki oddechu. Ma silnie zaciśnięte oczy. Nie bierze udziału w łóżkowym zdarzeniu.

Czuję nienawiść do spraw ostatnich, bo jestem w nich umoczony, mieszkam w nich jak autochton. Pusto jest bez jej zawadiackich, odpałowych esemesów. Brakuje mi wyłamywania przez Lucille moich głośno strzelających palców u rąk. Lubiłem patrzeć, jak biegła do toalety. Pośpiesznie zdejmowała rajstopy razem z majtkami. Jak głośno sikała z cielęcym uśmiechem przyzwolenia na wszystko.

Znów, w dniach loteryjnej kumulacji, kupuję tylko jeden kupon totolotka. Tylko dla mnie. Już nie sprawdza razem ze mną numerków, aktorsko udając, że mamy wystarczająco dużo trafień, by troski odrzucić na zawsze do zakurzonego pawlacza.

085. Mick Jagger

Ze mną koniec! Odmówiłem grania przed zespołem Rolling Stones!

Dawniej myślałem jak John Belushi, twardy Albańczyk z pochodzenia, że mam misję od Boga. W aureoli tych słów kierowałem swoim losem. Ale wszystko się wykoleiło, stałem się pogardzanym mięczakiem. Uczyniłem rzecz niebywałą. Odmówiłem życiowego kontraktu. Zrezygnowałem z zapewnienia sobie tłustych dni na resztę życia.

Odmówiłem grania przed zespołem Rolling Stones!!! Zrezygnowałem z otwierania koncertu na stadionie w Chorzowie. Jedynego koncertu Stonesów w Polandii. Organizatorzy stadionowego wydarzenia nie wymagali ode mnie wiele. Dokładnie czterech utworów wybranych z płyty *Tatuaże Bluesa*. Oraz greckich rembetik w mojej aranżacji. Przypominających rock'n'rollowe rytmy.

Zbliżonych klimatem do dwupłytowego składankowego albumu grupy Micka Jaggera, krążka *Rolling Stones Forty Licks*. Z największymi przebojami tej kapeli. Tylu strofujących mnie telefonów nie odbierałem od lat. Kumple z trasy, ludzie z wytwórni płytowych, bezinteresowni przyjaciele prosili mnie i jednocześnie rugali, abym nie popełniał artystycznego samobójstwa.

Odmawiając grania w Chorzowie, będę naznaczony tchórzostwem. Na takie harakiri nie zdobyłby się żaden polandyjski muzyk. W środowisku długo nie podniosę się z kolan. Ale cóż, straciłem nad sobą kontrolę. Jestem wypalonym i bezwolnym manekinem. Jak scyzoryk zakapiora złożyła mnie Ruda Kobieta.

Wolałem na wrocławskim rynku wyłuskać z tłumu przechodniów spacerującego Murzyna i wykręciwszy numer telefonu Lucille, kazać mu pieprzyć słownymi łamańcami, że właśnie dla niej przyleciał z Kenii uczyć się polskiego. Chciałby ją zabrać do ojczyzny, by w jego plemiennej wiosce była królową, pierwszą kobietą po czarowniku.

Wolałem w wywiadach bredzić, że archetyp tandety to dla mnie goły Murzyn ubrany wyłącznie w śnieżne skarpetki frotté – dobierający się do białej kobiety. Byłem mściwy, wypalony. Wykrzykiwałem kultowy zwrot: *Field Holler*! Zawołanie czarnoskórych niewolników tyrających na polach bawełny i cukrowej trzciny.

Field Holler! Powtarzałem ten zew będący najwcześniejszym płodem bluesa. Wyrażający cierpienie, poniżenie, ból niewolniczego istnienia. A wszystko z tego powodu, że wciąż tęsknię za Lucille. Wciąż trawi mnie widok jej ud, dźwięk strzelającej szczęki, sens oddawania siebie w milczeniu.

Wywiozłem ją do letniskowej Srebrnej Góry, tam, gdzie w tanim hotelu pstrykała zdjęcia teatralnemu maszyniście bez odzienia, a on pstrykał zdjęcia Lucille. Gdy ją wiozłem, krzyczała w drodze, chciała wysiadać z retony w pędzie. A mi było przykro, że w taką beznadziejnie upokarzającą nas podróż wyruszyłem.

To z powodu trawiącego mnie w nocy ognia zazdrości wychodziłem bezszelestnie z domu – gdy zasypiała – i dzwoni-

łem do filmowego producenta z pożyczką włosów. Pytałem groźnie, ile razy kładł na nią tors nadmiernie oblany pachnidłami. Przebudzony, grubym głosem niszczonym postępującym rakiem krtani, tłumaczył chaotycznie, że związek z Lucille był bagatelnym epizodem. Zabiciem czasu. Chęcią zasypiania przy ciepłej kobiecie.

Słowo „kurwa" było wówczas najłagodniejszym komplementem, jakim obdarzałem ją w złych myślach. Widząc mój stan, w mineralnej wodzie rozbełtywała aspirynę i inne tajemnicze proszki. Wciskała mi do picia taki koktajl jak alkoholowemu rekonwalescentowi.

Pamiętam, jak po raz pierwszy przyniosła do domu tabletki viagry. Nigdy do tej pory nie łykałem tego utwardzacza. Ale na początku wspólnych dni wysłałem Lucille do apteki. Przy niej chciałem być dobry. Nawet nie myślałem o sobie. Wyłącznie o niej. Pragnąłem, by targał nią dreszcz wyzwolenia, by odjechała z krzykiem.

Wartość takich wspomnień polega na tym, że są, nie przemijają wraz z odejściem kolejnej kobiety. Ale trzeba też pamiętać o rzeczach okropnych. Tak jak z młodości pamięta się wyłączanie radia przez matkę. Podczas słuchania audycji Willisa Conovera. Przeglądam na oczy, zrywam maskujące łuski.

Patrycjuszowska elegancja i delikatna kobiecość nie są dzisiaj atutem Rudej Kobiety. Jak wówczas, gdy ufałem jej bez puszczalskich konotacji. Nasze ostatnie spotkania stawały się wizualnym przekazem z innego świata. Nieadresowanym do nikogo. Złożonym z obojętnych uczuciowo, mechanicznych obrazków. Byłem pierwszym, który mówił do niej pięknie. Myślę, że będę ostatnim.

Coraz częściej nawiedza mnie myśl, że Lucille jest ostatnią kobietą, w którą wepchnąłem sztywnego B.B. Kinga.

Literatura pełna jest opisów pierwszych kobiet dosiadanych przez samców. Dla mężczyzny o wiele ważniejsza jest jednak kobieta ostatnia. Ta, z którą kończy się sens i ważność jego życia. A tego wątku w słynnych powieściach ostatnich stuleci nie spotkałem. Pierwsza uruchamia nieogarnięty wzrokiem horyzont. Ostatnia go zwija.

086. Etta James

Coraz bardziej skłaniam się ku refleksjom Paula Getty'ego. Przekonuję się, że jednak pamięć komputera może być dobrym schronieniem dla ludzkich myśli. Gdyby ujawnić zasoby wszystkich komputerów osobistych, na których zarejestrowano wiele niewyobrażalnych tajemnic, świat na pewno byłby zupełnie inny. Więcej byłoby piekła, uczynków bez możliwości przebaczenia.

Proces starzenia zaczął się na dobre. Wiotczeje moje ciało, czernieją myśli o nadchodzących dniach.

Dawniej flanelowe spodnie nosiłem nisko na biodrach. Tak jak nosi się dżinsy. Teraz zacząłem je zaciskać paskiem wysoko nad pępkiem. Coraz częściej ubieram się w zapomniane sukienne modele wielkich, renomowanych firm. Dawniej kupowałem je w Görlitz, u Armaniego, za kilka euro. Ich skrócenie u Staszka, krawca z ulicy Dworcowej, kosztowało więcej niż całe spodnie.

Ale lubiłem mieć takie dalekie od masowej produkcji egzemplarze, krojone w niemieckich autorskich studiach mody. Zacząłem gorzej widzieć. Straciłem zainteresowanie pracą, do której byłem przywiązany za sprawą instrumentu o nazwie Hohner Marine Band. Nie zależy mi już na wysoko opłacanych koncertowych cyklach. Nie dbam o nazwisko drukowane na plakatach wielkimi literami.

Chciałem mieć obok siebie kobietę spolegliwą, bliską powiernicę. Tymczasem została nią w tych finalnych dniach gruba i stara Etta James. Znów puszczam w kółko kolędy wiedzione chropowatym głosemWielkiej Artystki. Chociaż do świąt jeszcze daleko. *Jingle Bells*, *White Christmas* i *Silent Night* to moje protest songi. Ważniejsze niż Boba Dylana – *Blowin In The Wind*.

Ale w końcu te święta muszą nadejść. A w święta najgorsza jest samotna wigilia. Może podświadomie przygotowuję się w ten sposób do jej spędzenia. Spoglądając w przeszłość, przesuwając między palcami łańcuch rozmaitych zdarzeń, wydaje mi się coraz częściej, że chcąc złożyć u jej stóp swój świat, nie byłem dobrodziejem, a charytatywną instytucją. Czyżby wolni, syci i szczęśliwi mogli być tylko głupcy?

Prześladuje mnie klimat porannej łazienki: zapach gówna, pomieszanych kosmetyków, odświeżaczy powietrza, smród wielokrotnie używanego ręcznika. Rana na goleni prawej nogi dostosowała się do tego bukietu, do czekania na Godota. Nałożyłem na nią maść cynkową i wszystko się rozbabrało.

Od nowych butów noszonych jak zwykle bez skarpetek robią mi się kolejne rany. Budzę się ze zlepionymi od potu włosami. Prześcieradło staje się rankiem mokrą mapą z wiernie odrysowanymi kontynentami. Jem łapczywie byle co. Czytam kawałki książek bez tytułów, nie konsumując ich treści. Szybko się męczę. Nawet przy zawiązywaniu sznurówek.

Dzisiaj pozostała mi po Lucille wytworna srebrna piersiówka firmy English Pewter W&W. Z misternie wygrawerowaną na czołowej stronie sceną gry na golfowym polu. Oraz podsycana wspomnieniami niezwykła miłość, którą – mimo licznych wstrząsów, mnogich przeciwności, wahań i napadów złości – będę pielęgnował w myślach aż do śmierci.

Kto z paplających o prawdziwym uczuciu nie poczuł rozpierdalającej samotności, nie niósł ciężkiego kamienia na piersiach, nie miał zastygłego spojrzenia – ten jest powierzchownym fircykiem zaledwie. Kto brak śmiechu oraz płaczu uczynił zasadą bytowania, ten jest grubianinem nieświadomym istoty prawdziwego życia.

Tam, gdzie nie ma oczyszczającego śmiechu, łez zmywających nikczemność, zaczyna się choroba psychiczna. Lucille zawsze starała się być ponętną kobietą. Zawsze magnesem ciała pobudzała mózg, wyobraźnię, instynkty. Ale teraz miała tłuste, garściami wypadające włosy, tytoniem śmierdzącą skórę, nosiła poszarpaną nieświeżą bieliznę.

Pogrubiało jej półazjatyckie oblicze. Trzymała w juchtowej torbie gromady pastylek. Nie było w naszej miłości zwycięzcy. Wyłącznie zwierzęta przegrane. Miała większe niż zazwyczaj i obwisłe piersi. Miękki, rozlazły brzuch. Mówiła wyłącznie proste zdania. Szokowała niepohamowaną chęcią do pożerania wszystkiego, co pożreć można. Rozpadaliśmy się na kwarki.

Wszystkie religie świata mówią niby jak żyć, ale tak naprawdę namawiają do chciwości i nienawiści. Nie byłem lepszy. Na pobrużdżonej twarzy nosiłem zmarszczki jak dawniej na trasie. Po namiętnych pocałunkach z marychą. Na krześle siedziałem skurczony. Zwijałem się w głąb siebie. Moja garderoba nie pamiętała schludnych dni.

I ja nie wykazywałem ochoty na układanie puzzli bizantyjskich słów. Mijający czas uwięził mnie w niedogodnym miejscu. Grymas poddania przebiegał wokół moich ust. Rozmawiając przez telefon, wypuszczałem słowa powoli, z rozmysłem. Wylatywały na świat oszczędnie, jak dźwięki z trąbki Tomasza Stańki. Starałem się mówić tylko rzeczy ważne. Takie niespodziewane, uduchowione jakby sentencje, które rozmówcy przyjmowali ze zdziwieniem.

Każdy dzień kończyłem myślą, że następny będzie jeszcze gorszy. Jeździłem terenowym samochodem dookoła malutkiego szpitala z czerwonej cegły przy osobowickim moście. W którym się przed miesiącami leczyła z wielotygodniowego osowienia. Zaglądałem z nadzieją za drucianą siatkę, spoglądałem na utopione w zieleni podwórko. Może będzie tam nieruchomo siedzieć na ławce.

Ujrzę ją czytającą wciąż te same gazety z wyblakłą datą ważności.

087. Ruda Lucille

Mieszkam i tworzę we Wrocławiu. Średnim mieście na wschodzie cywilizowanej Europy. Miasto pełne jest młodych, pełnokrwistych ludzi. Ma ponad tysiąc lat. Kilka lat temu wielka powódź oczyściła w nim tysiące zagraconych piwnic. Tutaj – w tysiąc dziewięćset czterdziestym ósmym roku – Pablo Picasso przywiózł na Światowy Kongres Intelektualistów swojego fałszem podszytego Gołąbka Pokoju. Napił się do syta polandyjskiej wódki. Frasował się morzem miejskich gruzów. Pochwalił witalność tubylców.

Tutaj z Orkiestrą Śmierci grał słynny perkusista Buddy Rich, śpiewał Leonard Cohen. Władczym gestem pobłogosławił mnie polski papież Jan Paweł II. Wystąpiłem dla tysięcy fanów woodstockowej chrypy wspólnie z Joe Cockerem. Na koncercie w Teatrze Polskim grałem sola Czesławowi Niemenowi.

W czas Milenium słuchałem w Rynku muzycznych potknięć tenora Placida Dominga. W ringu z Nadzieją Białych – bokserem Andrzejem Gołotą – wykonałem polandyjski hymn. W Hali Ludowej publicznej lekcji flamenco udzielał mi na gitarze genialny milczek, Paco de Lucia.

Co z tego wynika? Przecież miasto, każde miasto, podobnie jak mnie, robaki toczą od środka. Nawet gdy skóra lśni świe-

żym balsamem. W agonalnych bramach wielu poniemieckich budynków Starego Miasta wciąż czuć uryną. Tak jak starego psa Lucille. Pozostawione samym sobie od sześćdziesięciu lat – umierają. Dogorywają pomazane sprayem klatki schodowe.

Śmietniki wokół nich są domem i stołówką coraz większej gromady Upadłych Aniołów.

Ale to moje miasto, moje życie, moje rany, moja niechybna śmierć. Dzisiaj, obolały, to właśnie ja jestem z moim miastem. Nie poskarżę się już matce, nie pocałuję jej w mankiet. Chociaż to chciałbym teraz zrobić najbardziej. Śpię ćwierć nocy zaledwie. Z kołdrą między kolanami. Dawniej trzymałem tam ciepłe uda Lucille. Wyczuwałem kłującą szczecinę jej podbrzusza.

Drobię po pokoju jak więzień w pojedynczej celi. Gdy z rzadka wychodzę na świat, skupuję znów stare metalowe przedmioty ze śladami skancerowania. Zacząłem na sobotnich targach staroci wyszukiwać naczynia i sztućce skaleczone upływającym czasem.

Chcę mój stary dom wyposażyć w przedmioty z lat jego młodości. Oddać mu to, co w jego wnętrzu mogło być przed światową wojną. Komplet sztućców z Sanatorium Groedel-Bad Nauheim. Głębokie łyżki z manufaktury Majestic Silver Plate.

Albo talerze i półmiski z przedwojennej wytwórni drezdeńskiej Willeroy&Boch Ze śladami użytkowania przez ludzi obróconych dzisiaj w ziemski proch. To pozwala mi godzinami patrzeć przez lupę. Spoglądać uważnie na stare, wytarte słowa uwiecznione na przedmiotach z przeszłości.

Zamykam zapisane stronice. Składam już zielone zeszyty *Nostalgic Places* do zapomnianej szuflady starej komody.

Wklepuję w klawiaturę laptopa ostatnie słowa mojej historii. Ślady życiowej partaniny tubylczego bluesmana. Pomieszanej, za sprawą Lucille, z chwilami euforii.

W trudnej do zaakceptowania proporcji siedemdziesiąt do trzydziestu. Nastąpił zmierzwiony koniec. Ze strony na stronę stawałem się we wnętrzu zielonego notatnika coraz bardziej bezczelny i niesprawiedliwy. Ale kochałem i wciąż kocham.

Pisarze wiele od siebie wymagający spotykają swoich bohaterów w rzeczywistości dopiero wtedy, gdy ich stworzą na zapisywanych kartach. Ja Rudą Lucille i moje splątane z nią życie opisałem z natury. Wszystko, co złe, biorę na siebie. Krzywd, jakie na tych stronach zadałem nam obojgu, zmazać już nie można. Żyją własnym życiem.

Trudno jest powiedzieć tyle, ile się chce powiedzieć.

088. The End

Apendyks

Nie można już niczego odwrócić. Zapaść w ozdrowieńczy sen. Sen bowiem jest podobny do nieznanego, nieopisanego w podręcznikach zwierzęcia. Bestii, której nie można zobaczyć na jawie.

Na podłodze leżą skorupy potłuczonego jaja. Lecz gdzie jest białko i żółtko? W kanalizacyjnych rurach słychać wyraźnie koncertowe nagrania zespołu Blues Brothers. O niczym nieograniczonej wolności śpiewa ją Aretha Franklin, Cab Calloway, James Brown, John Lee Hoker. Słychać największe kawałki braci Blues. Także ten o słodkim domu Chicago. To muzyka z pierwszej części filmu wytwórni Universal. Czy jeszcze kiedyś posłucham drugiej?

Zamknąłem zielone zeszyty, wyłączyłem laptopa. Zapominam o miętówce KB Likér. Więc żegnaj, Lucille! Ruda Kobieto! Sprawczyni mojego Uniesienia i Upadku! Wiesz najlepiej, Rudowłosa Istoto, że nie do pozazdroszczenia jest los człowieka, któremu spełniły się wszystkie sny. Ziściły najskrytsze marzenia. Wówczas czeka go zagłada, koniec. Lecz ja – właśnie dzięki tobie, także za sprawą nostalgicznego bluesa – będę mógł żyć dalej. Ile lat, z kim – nie wiem. Ale chcę żyć! Aby o tobie, Lucille, wciąż pamiętać. Howgh!

7.10.2004, dziesiąta rano